

CHARLIE DONLEA

ŚWIATOWY BESTSELLER AUTORA *UPROWADZONEJ!*

DOOM SAMOBÓJCÓW



MROŻĄCE KREW W ŻYŁACH MORDERSTWO
W PRESTIŻOWEJ SZKOLE Z INTERNATEM.

FILIA

CHARLIE DONLEA

DOM

SAMOBÓJCÓW

Przełożył
Adrian Napieralski

FILIA

*Fredowi i Sue,
Rodzicom, mieszkańcom Sanibel,
przyjaciołom*

*Odkrycie naukowe polega na tym, że widząc
to, co wszyscy inni,
dostrzega się to,
czego nikt nie zauważył.
– Albert Szent-Györgyi*

Sesja 1

Wpis w dzienniku: TORY

ZABIŁEM BRATA JEDNOCENTÓWKĄ. PROSTE, ŁAGODNE I NIEBYWALE WIARYGODNE.

Miało to miejsce na torach, a jak miałem się nauczyć w nadchodzących latach, pędzący pociąg zyskiwał wiele różnych cech. Bywał majestatyczny, kiedy przemykał z taką prędkością, że nie sposób było zarejestrować czegokolwiek poza rozmytymi smugami kolorów. Bywał potężny, kiedy ziemia dygotała pod stopami niczym zbliżające się trzęsienie ziemi. Bywał też ogluszający, kiedy dudnił na torach jak spadający z nieba grom. Ale to nie jego jedyne cechy. Pędzący pociąg bywał też bowiem zabójczy.

Żwir pokrywający nasyp był luźny, więc podczas wspinaczki ślizgały się nam stopy. Zbliżała się osiemnasta, czyli pora, o której zazwyczaj przez miasteczko przetaczał się skład. Słońce chyliło się już powoli ku horyzontowi, a chmury nabrały od spodu karmazynowego odcienia. Na tory najlepiej było przychodzić właśnie o zmierzchu. W świetle dnia maszynista mógłby nas zauważyć i zgłosić policji, że w niebezpiecznej odległości od szyn kręcą się jakieś dzieciaki. Dopilnowałem oczywiście, żeby taki scenariusz miał już miejsce. Było to niezbędne do realizacji mojego planu. Gdybym zabił brata już za pierwszym razem, kiedy tutaj przyszliśmy, możliwe, że ktoś zacząłby wątpić w moją niewinność. Potrzebowałem amunicji – zamierzałem wykorzystać ją podczas wizyty policjantów, którzy przyjadą mnie przesłuchać. Musiałem opracować wiarygodną historię naszych wypadów na tory. Bywaliśmy tam już. Widywano nas razem. Złapano nas nawet. O wszystkim poinformowano naszych rodziców, po czym zostaliśmy ukarani. Worzec został przygotowany. Postanowiłem powiedzieć im, że tym razem coś poszło nie tak. Byliśmy dziećmi, jeszcze głupiutkimi. Narracja była nieskazitelna, a ja przekonam się później, że taka właśnie być musiała. Detektyw, który zajął się sprawą

śmierci mojego brata, okazał się wyjątkowo upierdliwy. Natychmiast uznał moją opowieść za budzącą podejrzenia i nigdy nie wydawał się do końca zadowolony z mojej wersji wydarzeń. Jestem pewny, że nie zmienił zdania do dziś. Ale moja wersja wydarzeń i historia, którą opracowałem, były pozbawione wszelkich skaz. Pomimo wysiłków detektyw nie znalazł w nich żadnych luk.

Kiedy dotarliśmy na szczyt nasypu i stanęliśmy obok torów, wyłuskałem z kieszeni dwie jednocentówki i podałem jedną bratu. Były lśniące i pozbawione jakichkolwiek śladów używania, a wkrótce miały stać się cienkie i gładkie po tym, jak przejedzie po nich wielki, ryczący pociąg. Umieszczanie monet na szynach było dla mojego brata niezwykle ekscytującym zajęciem – dopóki nie przedstawiłem mu całej koncepcji, nie miał pojęcia, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Miseczka stojąca w moim pokoju wypełniona była innymi, spłaszczonymi już jednocentówkami. Były mi potrzebne. Kiedy policjanci przyjechali zadawać pytania, kolekcja monet stanowiła dowód na to, że już to wcześniej robiłem.

Wraz z nadejściem wieczoru usłyszałem w końcu gwizd. Słaby dźwięk wydawał się uciekać ku chmurom w górze i odbijać echem od tych zaczerwienionych, bawełnianych kształtów. Robiło się coraz ciemniej, a słońce już zniknęło, ziarniste i opalizujące. Było wprost idealnie, żebyśmy widzieli, co robimy, a jednocześnie żeby nikt nie odkrył naszej obecności. Przykucnąłem i położyłem monetę na szynie. Mój brat zrobił to samo. Czekaliśmy. Kiedy przychodziliśmy tutaj wcześniej, kładliśmy jednocentówki na torach i zbiegaliśmy w dół nasypu, żeby skryć się w cieniu. Wkrótce odkryliśmy jednak, że wieczorem nikt nas nie zauważy. Przestaliśmy więc w końcu uciekać przed nadjeżdżającym pociągiem. Mało tego, podchodziliśmy coraz bliżej. Czy to zbliżanie się do niebezpieczeństwa sprawiało, że w naszych żyłach buzowała adrenalina? Mój brat nie miał na ten temat zdania. Ja nie miałem żadnych wątpliwości. Z każdą kolejną wyprawą coraz łatwiej było nim manipulować. W pewnym momencie uznałem nawet, że to niesprawiedliwe – czułem się, jakbym wszedł w skórę tyrana, czyli odgrywał rolę, którą po mistrzowsku opanował mój brat. Starłem się jednak nie zapominać o tym, żeby nie utożsamiać skuteczności z prostotą. To wydawało się proste wyłącznie dzięki mojej dbałości o szczegóły. Wydawało się proste, bo taką strategię przyjąłem.

Wkrótce zobaczyliśmy reflektory nadjeżdżającego pociągu – najpierw górny, potem dwa dolne. Przysunąłem się bliżej torów. On był tuż obok mnie, po mojej

prawej stronie. Musiałem zerknąć nad jego głową, żeby dojrzeć zbliżający się skład. Byłem pewny, że jest świadom mojej obecności, bo kiedy podkradałem się bliżej szyn, on wykonywał dokładnie te same ruchy. Nie chciał niczego przegapić. Nie zamierzał zapewnić mi większego prawa do przechwałek ani pozwolić mi poczuć większego uderzenia adrenaliny. Nie mógł dopuścić do tego, żebym przeżył cokolwiek, czego on sam nie będzie w stanie przeżyć. Tak to już z nim było. Tyran zawsze pozostanie tyranem.

Pociąg znajdował się już prawie przy nas.

– Twoja jednocentówka – powiedziałem.

– Co? – zapytał mój brat.

– Twoja jednocentówka. Nie leży we właściwym miejscu.

Spojrzał w dół, pochylając się nieco nad szyną. Dudniący pociąg już prawie do nas dojechał. Cofnąłem się o krok dalej od brata i go popchnąłem. W ułamku sekundy było po wszystkim. W jednej chwili tutaj był, a w następnej już go nie było. Pociąg przemknął tuż obok mnie, wypełniając moje uszy łoskotem i zmieniając się w rozmazane smugi. Skład wytworzył taki podmuch, że pchnął mnie o krok czy dwa w lewo, jakby pragnął, żebym dołączył do brata. Zaparłem się stopami w żwirze, walcząc z powietrzem.

Kiedy obok przemknął ostatni wagon, niewidzialny uścisk zelżał i zatoczyłem się do tyłu. Powróciła ostrość widzenia, a wokół zapanowała cisza. Kiedy spojrzałem na tory, zobaczyłem, że po moim bracie pozostał tylko prawy but, dziwnie wyprostowany, jakby ten zsunął go ze stopy i ułożył na torach.

Pamiętałem o tym, żeby nie dotknąć buta. Zabrałem jednak moją jednocentówkę. Była płaska, cienka i szeroka. Wrzuciłem ją do kieszeni i ruszyłem w stronę domu, żeby dołożyć ją do mojej kolekcji. I przekazać rodzicom tragiczną wieść.

Zamknąłem oprawiony w skórę dziennik. Wystawała z niego długa wstążka informująca o tym, gdzie należy rozpocząć czytanie w trakcie następnej sesji. W pomieszczeniu zapanowała zupełna cisza.

– Czy to jest szokujące? – zapytałem w końcu.

Siedząca naprzeciw mnie kobieta pokręciła głową. Jej zachowanie nie uległo żadnej zmianie podczas mojej spowiedzi.

– Absolutnie nie.

– To dobrze. Przychodzę tu na terapię, a nie po to, by mnie osądzano. –
Podniosłem dziennik. – Chciałbym opowiedzieć o innych.

Czekałem. Kobieta wpatrywała się we mnie.

– Tak, są inni. Nie poprzestałem na moim bracie. – Znów przerwałem, a ona
nie spuszczała ze mnie wzroku. – Czy mógłbym opowiedzieć również o nich?

Ponownie pokręciła głową.

– Absolutnie nie.

Skinąłem głową.

– Świetnie. W takim razie proszę posłuchać.

Elitarna szkoła średnia Westmont

Piątek, 21 czerwca 2019 roku

23:54

Cienki jak ostrze kosy księżyc wisiał na niebie tuż przed północą, a jego matowy blask przebijał się przez zarośla. Przy okazji podświetlał też wijące się gałęzie drzew, sprawiając, że blade światło malowało leśną ściółkę, nadając jej wygląd jak na czarno-białym filmie. Wędrującemu przez las człowiekowi widzialność zapewniała też niesiona świeca, której płomień przygasał za każdym razem, kiedy ten nabierał tempa i próbował pokonywać las truchtem. Usiłował się przed tym powstrzymać, by zachować ostrożność, ale zwykły chód nie wchodził w rachubę. Spieszył się. Chciał przybyć na miejsce pierwszy i pokonać pozostałych.

Oslonił świecę dłonią, żeby ochronić płomień przed zgaśnięciem, dzięki czemu miał kilka minut na rozejrzenie się po lesie. Przeszedł parę metrów, aż dotarł do rzędu podejrzanie wyglądających drzew. Kiedy stanął w idealnym bezruchu i przyjrzał się pniom w poszukiwaniu klucza, którego tak bardzo potrzebował, płomień zgasł. Nie poczuł najmniejszego podmuchu wiatru. Świeca po prostu zgasła, pozostawiając obłoczek dymu, który wypełnił mu nozdrza aromatem roztopionego wosku. Nagłe i niewytłumaczalne zniknięcie płomienia oznaczało, że Człowiek z lustra był w pobliżu. Zgodnie z zasadą, której nikt nigdy nie złamał, pozostało mu dziesięć sekund na ponowne podpalenie knota.

Manipulując niezręcznie pudełkiem z zapalnikami – zasady zezwalały tylko na nie, wykluczały wszelkie zapalniczki – przesunął jedną z nich po fosforowym pasku z boku. Nic. Drżącymi rękami spróbował jeszcze raz. Zapalnik złamała się wpół i spadła na ciemną leśną ściółkę. Sięgnął do pudełka po kolejną, rozsypując przy okazji kilka innych.

– Cholera – mruknął.

Nie mógł sobie pozwolić na marnowanie zapalników. Będzie ich potrzebował, jeśli ma wrócić do domu i znaleźć się w bezpiecznym pokoju. Teraz jednak stał sam

w ciemnym lesie ze zgaszoną świecą i, jeśli wierzyć plotkom i legendom, był w dużym niebezpieczeństwie. Jakby na potwierdzenie tych przypuszczeń jego ciało opanowały silne dreszcze. Uspokoił dłoń na tyle, żeby po raz kolejny otrzeć główką zapałki o draskę, co sprawiło, że ta z sykiem rozjarzyła się jasnym blaskiem. Przez chwilę widział obłoczek pachnącego siarką dymu, po czym płomyk się ustabilizował. Przytknął zapałkę do knota świecy, zadowolony z obecności światła. Uspokoił oddech i zaczął obserwować cienie, które pojawiły się wokół niego. Nasłuchiwał i czekał, a kiedy miał pewność, że zdążył przed upływem czasu, ponownie skierował swoją uwagę na rosnące w szeregu drzewa. Powoli przesunął się do przodu, chroniąc dłonią płomień świecy – tylko dzięki niej mógł trzymać Człowieka z lustra z dala od siebie.

Dotarł do wielkiego, czarnego dębu i zauważył u jego podstawy drewnianą skrzynkę. Opadł na kolana i otworzył wieko. W środku znajdował się klucz. Jego serce wykonało kilka gwałtownych skurczy, przepychając krew przez naprężone żyły na szyi. Wziął głęboki, uspokajający wdech, po czym zdmuchnął płomień świecy. Zasady mówiły, że można się nią było posługiwać wyłącznie do momentu odnalezienia klucza. Ruszył biegiem przez las. W oddali zagwizdał pociąg, co sprawiło, że poczuł napływ adrenaliny. Wyścig się rozpoczął. Biegł na oślep, wykręcając sobie przy okazji kostkę i bez powodzenia chroniąc twarz przed biczącymi go gałęziami. W pewnym momencie ziemia zadrżała mu pod stopami, a w pobliżu przemknął pociąg. Wibracje napełniły go jeszcze większą chęcią walki.

Kiedy dotarł na skraj lasu, pociąg sunął po torach po lewej stronie z metalicznym blaskiem wywołanym przez odbijające się od wagonów światło księżyca. On oddalił się od ciemnych zarośli i pobiegł w stronę domu, a łoskot pociągu zagłuszał odgłosy jego sapania. Dobiegł do drzwi i wszedł do środka.

– Gratulacje. – Usłyszał za plecami głos, kiedy tylko znalazł się wewnątrz. – Jesteś pierwszy.

– Fantastycznie – rzucił, walcząc o oddech.

– Znalazłeś klucz?

Uniósł dłoń.

– Tak.

– Chodź za mną.

Przeszli ciemnym korytarzem domu i znaleźli się przy drzwiach do bezpiecznego pokoju. Włożył klucz w obrotową klamkę i przekręcił. Zamek się

poddał i mogli wejść. Kiedy to zrobili, drzwi zostały zamknięte. W pomieszczeniu panowała absolutna ciemność, jeszcze gęstsza niż w lesie.

– Szybciej.

Upadł na ziemię i na czworakach zaczął macać po podłodze, aż natrafił palcami na rząd świec ustawionych przed wysokim, stojącym lustrem. Sięgnął do kieszeni i wyjął pudełko z zapałkami. Zostały mu trzy sztuki. Potarł jedną z nich o draskę i w mroku zatańczył płomień. Zapalił jedną ze świec, wstał i spojrzał w lustro, które zakrywał ciężki brezent.

Wziął głęboki oddech i skinął głową temu, który powitał go za drzwiami. Razem ściągnęli okrycie z lustra. Blask świecy utrudniał nieco przejrzenie się w jego tafli, ale udało mu się zauważyć poziome rozcięcia na policzkach i spływającą z nich krew. Wyglądał, jakby stoczył ciężką bitwę, ale przynajmniej wygrał. Dudnienie ustało, kiedy ostatni wagon minął dom i znikł gdzieś na wschodzie. W pokoju zapanowała cisza.

Patrząc w lustro, wziął ostatni oddech i po chwili obaj wyszeptali razem:

– Człowiek z lustra. Człowiek z lustra. Człowiek z lustra.

Minęła chwila, podczas której żaden z nich nawet nie mrugnął ani nie odetchnął. Wtedy coś błysnęło im za plecami i odbiło się w lustrze między ich sylwetkami. Po chwili w ciemności zmaterializowała się twarz. W oczach postaci odbijał się płomień świecy. Zanim którykolwiek z nich zdołał się odwrócić, krzyknąć lub podjąć walkę, świeca zgasła.

Peppermill, stan Indiana

Sobota, 22 czerwca 2019 roku

3:33

Detektyw przejechał obok żółtej taśmy odgradzającej miejsce przestępstwa i zatrzymał samochód wśród migających na czerwono i niebiesko świateł. Wozy patrolowe, strażackie i ambulanse zaparkowano byle jak tuż przed kamiennymi kolumnami, między którymi znajdowały się drzwi wejściowe do elitarnej, prywatnej szkoły średniej Westmont.

Co za pieprzony burdel.

Jego oficer dowodzący przekazał mu tylko zdawkowe informacje na temat pary dzieciaków, które zostały zabite w lesie na skraju kampusu. Sytuacja idealnie nadająca się do rozdmuchania, stąd obecność całej policji miejskiej i straży pożarnej. Do tego na pierwszy rzut oka na miejscu zameldowała się połowa szpitalnego personelu. Lekarze w fartuchach i pielęgniarki w białych czepkach aż świecili, przechodząc przed zapalonymi reflektorami karetek. Funkcjonariusze rozmawiali z uczniami i nauczycielami, którzy wysypywali się przez drzwi i wchodzili do tego cyrku migających świateł. Dostrzegł też zaparkowaną tuż pod taśmą furgonetkę należącą do telewizji Channel 6. Choć był środek nocy, nie miał wątpliwości, że kolejne są już w drodze.

Detektyw Henry Ott wygramolił się z samochodu, a funkcjonariusz prowadzący wprowadził go w temat.

– Pierwszy telefon odebraliśmy dwadzieścia pięć minut po północy. Po nim kilka kolejnych, za każdym razem opisywano jakieś zamieszanie w lesie.

– Gdzie? – spytał Ott.

– W opuszczonym domu na skraju kampusu.

– Opuszczonym?

– Z tego, co słyszeliśmy, do tej pory pełnił funkcję domu dla nauczycieli, ale od kilku lat jest zupełnie opustoszały. Wszystko przez linię kolejową Canadian National, która puściła przez tę część kampusu swoje pociągi towarowe.

Z powodu hałasu nie dało się tam mieszkać, więc zbudowano nowy dom nauczycielski. Szkoła planowała przekształcić ten teren na mały stadion z boiskiem do piłki nożnej i torami dla drużyny lekkoatletycznej. Na razie jednak budynek stoi sobie całkiem pusty w lesie. Rozmawialiśmy z kilkoma uczniami i dowiedzieliśmy się, że to ulubione miejsce spotkań w trakcie nocnych imprez.

Detektyw Ott ruszył w stronę bramy wjazdowej do szkoły Westmont, po czym wszedł na teren. Przed głównym gmachem parkował wózek golfowy. Cztery ogromne kolumny wspierały trójkątny szczyt, który lśnił w blasku reflektorów punktowych. Na kamiennej powierzchni umieszczone było logo szkoły i napis.

– *Veniam solum, relinquatis et* – powiedział detektyw Ott, zadzierając głowę.
– Przybądź sam, odejść wspólnie.
– Co to ma oznaczać?

Detektyw Ott spojrzał na funkcjonariusza.

– Niespecjalnie mnie to obchodzi – mruknął. – Dokąd idziemy?
– Proszę wsiadać – polecił policjant, wskazując wózek golfowy. – Dom znajduje się na skraju kampusu, jakieś dwadzieścia minut drogi piechotą. Tym będzie szybciej.

Detektyw wgramolił się do wózka i po kilku minutach podskakiwał na wąskiej, gruntowej ścieżce. Pnie wysokich brzoź przesuwają się gdzieś na skraju jego pola widzenia. Blask księżyca znikł, kiedy wjechali głębiej w las, jedynie reflektory wózka golfowego pozwoliły określić, w którym kierunku jadą.

– Jezu Chryste – rzucił Ott po kilku minutach. – To nadal jest teren kampusu?

– Tak. Stary dom zbudowano w pewnej odległości, żeby zapewnić nauczycielom odrobinę prywatności.

Detektyw zauważył, że na końcu wąskiej drogi coś się dzieje. Wokół obszaru rozstawiono kolejne reflektory punktowe, a kiedy dojechali do skraju mrocznego lasu, wydawało się, jakby opuszczali paszczę wielkiego, prehistorycznego stwora.

Zanim jednak dotarli na miejsce, funkcjonariusz zwolnił.

– Jeszcze jedno, sir, zanim tam wkroczymy.

Detektyw spojrzał na niego.

– O co chodzi?

Mężczyzna przełknął ślinę.

– Widok jest mało przyjemny. Niczego gorszego dotąd nie widziałem.

Obudzony w samym środku nocy i uwięziony gdzieś pomiędzy szumem, z którym zasnął, i kaczem, który na niego czekał, detektyw Ott szybko stracił cierpliwość i ochotę na dramatyzowanie. Wskazał skraj lasu.

– Idziemy.

Policjant wyjechał z mroku w krąg jasnego, halogenowego światła. Ludzi było tutaj mniej i panował nieco mniejszy chaos. Funkcjonariusze mieli dość zdrowego rozsądku, żeby zminimalizować liczbę swoich ludzi, sanitariuszy i strażaków, a co za tym idzie, nie zanieczyścić miejsca zbrodni.

Policjant zatrzymał wózek tuż przy wejściu do domu.

– Jezu Chryste – mruknął Ott, kiedy wysiadł. Wszystkie spojrzenia spoczęły na nim, a zgromadzeni ludzie czekali na jego reakcję i dalsze instrukcje.

Tuż obok niego stał duży dom w stylu kolonialnym, który wyglądał, jakby wzniesiono go jeszcze w poprzedniej epoce. Reflektory rzucały cienie na bluszcz pnący się po murze. Wejście do domu znajdowało się za furtką z kutego żelaza, a wokół niego ku niebu pięły się wysokie dęby. Pierwsze ciało, które zobaczył Ott, należało do ucznia. Chłopak wisiał nabity na jeden z kolców żelaznej furtki. Nie przypadkowo. Nie, jakby próbował ją pokonać górami i przy okazji nieszczęśliwie nabił się na ostrze. Wszystko wskazywało tutaj na celowe działanie, któremu towarzyszył niemal artyzm. Chłopak został tutaj umieszczony. Najpierw uważnie uniesiony, a następnie opuszczony w dół tak, żeby kolec przebił podbródek i wyszedł przez sklepienie czaszki.

Detektyw Ott wyjął z kieszeni małą latarkę i skierował kroki w stronę domu. Wtedy znalazł siedzącą na ziemi dziewczynę. Była wręcz przesiąknięta krwią. Obejmowała kolana i kołysała się do przodu i tyłu, jakby pozostawała w głębokim szoku.

– To nie były po prostu dzieciaki kręcące się w niewłaściwym miejscu. Ktoś urządził tam rzeź.

Część 1

Sierpień 2020 roku

Rozdział 1

Trzeci odcinek podcastu znalazł się w sieci o nieco wcześniejszej porze i w ciągu pięciu godzin doczekał się niemal trzystu tysięcy odsłuchań. W nadchodzących dniach liczba osób, które wysłuchają tego epizodu *Domu samobójców*, sięgnie kilku milionów. Wielu słuchaczy zaleje później internet i media społecznościowe swoimi teoriami i wnioskami na temat odkryć, które omówiono w tym odcinku. Dyskusje wywołają dalsze zainteresowanie, a nowi użytkownicy pobiorą wcześniejsze nagrania. Już niedługo w popkulturze będzie głośno o Macku Carterze.

Ten fakt wkurzał Ryder Hillier tak bardzo, że nawet trudno to opisać. To ona zajęła się wyszukiwaniem materiałów, to ona narobiła rabanu i to ona zaangażowała się w sprawę zabójstw w szkole Westmont sprzed roku. Nagrała te odkrycia i umieściła je na swoim blogu poświęconym kryminałowi. Kanał Ryder na YouTube miał już ćwierć miliona subskrybentów i miliony wyświetleń. Teraz jednak cały jej wysiłek przyćmił podcast Macka Cartera.

Od razu się zorientowała, że historia z Westmont ma drugie dno, że oficjalna wersja wydarzeń była zbyt prosta i zbyt wygodna oraz że przedstawione przez policję fakty były w najlepszym wypadku wybiórcze, a w najgorszym po prostu wprowadzały w błąd. Ryder wiedziała, że dzięki odpowiedniemu wprowadzeniu w temat i kilku sprawnie przygotowanym raportom śledczym historia ma potencjał, żeby przyciągnąć ogromną rzeszę odbiorców. W ubiegłym roku przedstawiła swój pomysł kilku studiom nagraniowym po tym, jak sprawa trafiła na pierwsze strony gazet w całym kraju i została zamknięta, zanim w ogóle udzielono jakichkolwiek odpowiedzi. Ale Ryder Hillier była tylko podrzędną dziennikarką, a nie gwiazdą jak Mack Carter. Nie cechowały jej typowo amerykańska uroda ani wyrazisty ton głosu, więc żadne studio nie poświęciło jej większej uwagi. Pozostawała trzydziestopięcioletnią dziennikarką, zupełnie nieznaną poza stanem Indiana.

Nie miała jednak wątpliwości, że jej artykuły poświęcone sprawie, które publikowano jako dodatek w „Indianapolis Star” i do których odnoszono się w kilku innych tytułach, jak również popularność jej kanału na YouTube miały coś wspólnego z nagłym zainteresowaniem elitarną szkołą Westmont. Mack Carter, gwiazda popularnych programów telewizyjnych, zapewne nie przeniósł się do zapyziałego miasteczka w Indianie przypadkowo. Ktoś gdzieś zwrócił uwagę na odkrycia Ryder, dostrzegając w nich szansę na niezły zarobek. Wysłali zatem Macka Cartera – aktualnego gospodarza *Events*, nocnego show informacyjnego – żeby przeprowadził pobieżne śledztwo i przygotował materiał na ten temat. Jego nazwisko gwarantowało, że uwaga odbiorców zostanie przyciągnięta, a podcastu wysłuchają miliony osób wierzących w to, że wielki Mack Carter ze swoimi sprawdzonymi już zdolnościami śledczymi i niezwykłym uporem znajdzie rozwiązanie zamkniętej sprawy zabójstw w szkole Westmont. Ostatecznie jednak nie udowodni on niczego poza tym, że dzięki odpowiednim sponsorom i grubym plikom banknotów da się podnieść podcast z dna i uczynić go lukratywnym przedsięwzięciem dla wszystkich zainteresowanych. Dopóki tragedia ta budziła niepokój i była wystarczająco mroczna, by przyciągnąć odbiorców, sprawa zabójstw w szkole Westmont bez problemu się do tego zadania nadawała.

Ryder nie zamierzała pozwolić, by realia świata show-biznesu ją zatrzymały. Wręcz przeciwnie. Pracowała zbyt ciężko, żeby się teraz poddać. Chciała wciągnąć w to Macka Cartera, pokazać mu karty, które trzymała w ręce. Zdobyć jego zainteresowanie i dać się zauważyć. Jej kanał na YouTube zapewniał przyzwoity dochód z reklam, a artykuły w prasie pozwalały opłacić rachunki. Jako kobieta po trzydziestce Ryder Hillier pragnęła jednak czegoś więcej. Chciała zrobić prawdziwą karierę, chciała się wybić. Wiedziała, że połączenie jej nazwiska z najpopularniejszym podcastem kryminalnym w historii wyniesie ją na wyższy poziom.

A fakt był taki, że Mack Carter jej potrzebował. Wiedziała więcej niż ktokolwiek inny na temat morderstw w Westmont, nie wyłączając detektywów, którzy się nimi zajmowali. Pozostawało jej jedynie dowiedzieć się, jak zwrócić na siebie uwagę Macka.

Jak setki tysięcy innych użytkowników, pobrała ostatni odcinek jego podcastu. Włożyła bezprzewodowe słuchawki w uszy, dotknęła ekranu telefonu,

ruszyła ścieżką, którą upodobały sobie osoby uprawiające jogging, i zaczęła wsłuchiwać się w głos Macka Cartera:

Elitarna szkoła średnia Westmont to ciesząca się świetną reputacją uczelnia położona nad brzegiem jeziora Michigan w mieście Peppermill w stanie Indiana. Przygotowuje się tam nastolatków nie tylko do rygoru obowiązującego w college'u, ale również do stawiania czoła wyzwaniom w życiu. Szkoła Westmont funkcjonuje od ponad osiemdziesięciu lat, a jej bogata historia jest gwarancją, że instytucja ta będzie działać z powodzeniem jeszcze długi czas, kształcąc kolejne pokolenia. Jednak niezależnie od pochwał i renomy, szkoła ta ma również poważną bliznę. Paskudne, poszarpane znamię, które pozostanie z nią przez wiele lat.

Podcast ten stanowi przypomnienie tragedii, która wydarzyła się w tej prestiżowej szkole latem 2019 roku, kiedy z myślą o uczniach pozostających w kampusie podczas gorących, letnich miesięcy poluzowano zasady panujące tam w trakcie roku szkolnego. Jest to historia mrocznej i niebezpiecznej gry, która potoczyła się nie tak, jak planowano, historia dwóch brutalnie zamordowanych uczniów i oskarżenia postawionego nauczycielowi. Ale ważnym elementem tej historii są również ci, którzy przeżyli. Opowiem tutaj o uczniach rozpaczliwie próbujących zrobić krok naprzód, ale w tajemniczy sposób powracających do nocy, której nie potrafią zapomnieć.

W tym podcaście przyjrzymy się szczegółom dotyczącym owej strasznej nocy. Poznamy ofiary i porozmawiamy o nierozsądnej zabawie, która odbyła się w lesie na skraju kampusu. Wejdziemy do opuszczonego budynku, w którym doszło do morderstw. Spotkamy się z tymi, którzy przetrwali atak i przyjrzymy bliżej życiu za murami tej szkoły dla elit. Rzucimy okiem na policyjne raporty, zapisy rozmów ze świadkami, notatki pracowników socjalnych i oceny psychologiczne zaangażowanych w to uczniów. Nawiążemy kontakt z detektywem, który prowadził dochodzenie. Na koniec wejdziemy w umysł Charlesa Gormana, nauczyciela z Westmont odpowiedzialnego za te zabójstwa. Mam nadzieję, że w trakcie tej wyprawy napotkam coś nowego. Coś, czego do tej pory nie odkrył nikt inny, może jakiś dowód, który rzuci nowe światło na tajemnicę, zdaniem wielu z nas wciąż ukrywaną za murami Westmont. Tajemnicę, która pozwoli wyjaśnić, dlaczego uczniowie nadal wracają do tego opuszczonego budynku, by się zabijać.

Jestem Mack Carter i witam w Domu samobójców.

Ryder pokręciła głową podczas swojej przebieżki. Już samo to cholerne wprowadzenie okazało się niezwykle wciągające.

Nazywam się Mack Carter. W trzecim odcinku Domu samobójców spotkamy się z jednym z ocalałych z Westmont, z uczniem o nazwisku Theo Compton, który przebywał w opuszczonym domu w nocy z dwudziestego pierwszego na dwudziestego drugiego czerwca. Theo nigdy nie udzielił wywiadu mediom, ale zgodził się porozmawiać ze mną o tym, co się wydarzyło wtedy, gdy jego dwaj koledzy zostali zabici. Skontaktował się ze mną przez forum dyskusyjne działające na stronie internetowej Domu samobójców. Zgodnie z jego życzeniem spotkałem się z nim w restauracji McDonald's w Peppermill.

Usiedliśmy na uboczu, a mimo to podczas naszego spotkania przez większość czasu szeptał. Przekonanie go do mówienia trochę trwało, więc na potrzeby podcastu zredagowałem nasz dialog i przedstawiam materiał z pominięciem tej części, gdzie próbowałem coś z niego wyciągnąć – a zajęło to dwie trzecie całej rozmowy. Materiał uzupełniłem moimi komentarzami.

– A więc byłeś tam tej nocy, kiedy zginęli twoi koledzy?

Theo kiwa głową i drapie się po zaroście na policzku.

– Tak. Byłem tam.

– Opowiedz mi o tym opuszczonym domu. O co wam chodziło?

– O co nam chodziło? Jesteśmy grupą nastolatków uwięzionych w szkole z internatem, w której panują surowe zasady dotyczące zachowania i ubioru. Dom w lesie był naszą ucieczką.

– Ucieczką przed czym?

– Przed regulaminem. Przed nauczycielami. Przed lekarzami, doradcami i sesjami terapeutycznymi. To była wolność. Chodziliśmy tam, żeby oddalić się od szkoły, trochę się powyglądać i nacieszyć latem.

– Niebawem rozpoczynasz swój ostatni rok szkolny w Westmont, zgadza się?

– Tak.

– Ale tego lata nie wychodzicie już z kolegami do tego domu.

– Nikt już tam więcej nie chodzi.

– Minionego lata, w noc zabójstw, w coś się zaangażowaliście. W mroczną i tajemniczą grę. Opowiedz mi o niej.

Theo mruży oczy i patrzy na mnie ze złością, po czym przenosi wzrok na parking za oknem. Ta reakcja pozwala mi sądzić, że jego zdaniem wiem więcej, niż wiem naprawdę. Minął już rok, od kiedy szkoła Westmont zyskała złe imię ze względu na morderstwa, a uczniowie, którzy to przeżyli, wkrótce rozpoczną ostatni rok nauki. Policja odmówiła udzielenia odpowiedzi dotyczących dochodzenia, a cisza jedynie podsyciła plotki. Jedna z nich mówi, że uczniowie grali w niebezpieczną grę tej nocy, kiedy doszło do tragedii.

– Opowiedz mi o tamtej nocy. Co robiliście w tym domu?

Theo odrywa spojrzenie od okna i patrzy mi w oczy.

– Nie było nas w domu. Byliśmy w lesie.

– Tym, który otacza dom.

Theo kiwa głową.

– Graлиście w grę.

– Nie. – Mówi to tak szybko, jakbym go uraził. – Tu nie chodzi o grę.

Czekam, ale nie dodaje nic więcej, więc naciskam.

– Wiele osób uważa, że wraz z kolegami graлиście w grę zwaną Człowiek z lustra i że to zasady i wymagania tej gry mogły doprowadzić do tych straszliwych wydarzeń.

Theo kręci głową i znów odwraca wzrok.

– Spieprzyliśmy sprawę, okej? Czas powiedzieć prawdę na ten temat.

Kiwam głową, starając się nie wyglądać na zdesperowanego.

– Prawdę. Dobrze więc, powiedz mi, co wiesz.

Bierze głęboki wdech, a właściwie kilka, aż zaczynam się bać, że zemdleje.

– Nie powiedzieliśmy policji wszystkiego.

– Na jaki temat?

– O tej nocy. O wielu rzeczach.

– Na przykład?

Theo milknie na dłuższą chwilę. Czekam z niecierpliwością, aż powie coś więcej. W końcu się odzywa.

– Na przykład o tym, co wiemy o panu Gormanie.

Oddech więźnie mi w gardle i przez chwilę nie mogę mówić. Charles Gorman jest nauczycielem z Westmont, oskarżonym o zamordowanie kolegów Theo Comptona. O zarznięcie ich, dokładniej rzecz biorąc, i nabicie jednego z nich na żelazne ogrodzenie. Oskarżenie było poważne, a poza tym nie było innego podejrzanego. Jednak pomimo dowodów przeciwko Gormanowi wiele osób

wierzyło, że sprawa zabójstw w Westmont jest bardziej złożona, niż powszechnie wiadomo. Theo Compton wydaje się gotów do przekazania ostatnich kawałków tej niezwykle skomplikowanej układanki.

– Co z nim?

Brzmie jak desperat i Theo natychmiast to wychwytuje.

– Cholera. Nie mogę tego zrobić.

Theo unosi się lekko i zaczyna przesuwac po siedzeniu.

– Zaczekaj! Opowiedz mi o Charlesie Gormanie. Wiesz, dlaczego to zrobił?

Wbija we mnie spojrzenie.

– On tego nie zrobił.

Wpatruję się bez mrugania w chłopaka. Kręcę głową.

– Dlaczego tak twierdzisz?

Theo wstaje.

– Muszę już iść. Jeśli grupa się dowie, że z panem rozmawiałem, wpadnie w szal.

– Jaka grupa?

Odwraca się od stołu, przechodzi przez drzwi restauracji i zostawia mnie samego przy stoliku.

Siedzę przez chwilę, zadając sobie bez końca to samo pytanie.

– Jaka grupa?

Rozdział 2

Podczas swojej przebieżki Ryder dotarła do połowy odcinka. Chciała wysłuchać podcastu do końca, ale musiała jeszcze napisać artykuł na następny dzień. Co tydzień w „Indianapolis Star” publikowano jej felieton poświęcony sprawom kryminalnym. Była to jedna z bardziej poczytnych kolumn w gazecie i zawsze generowała mnóstwo komentarzy w wersji internetowej, a popularne serwisy często umieszczały do niej łącza.

Wzięła prysznic, założyła dzinsy i koszulkę na ramiączkach, po czym usiadła przy kuchennym stole, gdzie otworzyła laptopa. Pisała przez godzinę, niemal do dwudziestej trzeciej, dopieszczając artykuł poświęcony zaginięciu mężczyzny z South Bend. W sprawie pojawiły się ostatnio nowe doniesienia mające związek z polisą ubezpieczeniową zaginionego, która przyciągnęła uwagę jego żony. Ryder robiła, co mogła, żeby dokończyć artykuł, ale pisanie szło jej opornie i frustrował ją brak koncentracji. Bez przerwy słyszała w głowie opanowany, głęboki głos Macka Cartera i jedyne, czego pragnęła, to wrócić do jego podcastu. W końcu poddała się pokusie, odsunęła laptopa i odblokowała telefon, żeby wznowić odtwarzanie.

Moja rozmowa z Theo Comptonem zakończyła się zatem czymś, co współczesne dzieciaki określiłyby mianem epickiego faila. Epickiego, ale nie zupełnego, bo mimo wszystko nasza krótka rozmowa była interesująca. Morderstwa w Westmont miały miejsce dwudziestego pierwszego czerwca. Charles Gorman znalazł się w kręgu podejrzeń po tym, jak detektywi znaleźli w jego domu zapiski, w których opisał bardzo szczegółowo, jak planuje przeprowadzić egzekucje. Eleganckim pismem wyjaśnił, w jaki sposób chce zabić uczniów, porozcinać im żyły szyjne i jak użyć ostrych prętów na furtce z kutego żelaza do nabicia ofiar. Po szczegółowym przedstawieniu swojego planu Gorman postąpił zgodnie ze złożonymi obietnicami.

Nic zatem dziwnego, że oświadczenie Theo Comptona zakręciło mi w głowie. Jestem ciekaw, czy przy tak miażdżących dowodach przeciwko Charlesowi Gormanowi Theo lub którykolwiek z uczniów dysponuje informacjami, które mogłyby cokolwiek zmienić. Oczywiście jeśli słuchacze mają jakiegokolwiek wskazówki, zachęcam do podzielenia się nimi na forum ze mną i resztą słuchających tego podcastu. Na razie skupmy się jednak na Gormanie i wróćmy do tego, na czym skończyliśmy pod koniec ubiegłotygodniowego odcinka. Jak już mówiłem, zapewniono mi specjalny dostęp do kampusu szkoły Westmont, a w szczególności do domu Charlesa Gormana. Teraz wrócimy do mojej wyprawy, w której towarzyszyła mi dyrektor szkoły, doktor Gabriella Hanover. Oto nagranie rozmowy, jak zwykle z dołączonymi przeze mnie komentarzami.

Kampus szkoły Westmont jest jednocześnie imponujący i złowrogi. Budynki w stylu gotyckim wzniesiono z białego piaskowca i porasta je bluszcz, który pnie się aż do dachów. Dochodzi południe w letni, sobotni dzień, a wszędzie wokół panuje cisza. Widzę w oddali kilku uczniów, a po chwili zauważam doktor Hanover, która podjeżdża do mnie wijącą się ścieżką, prowadząc wózek golfowy.

– Dom, w którym doszło do morderstw... nadal jest zamknięty?

Od razu zauważam, że doktor Hanover nie spodobało się moje pytanie. Rzuca mi ostre spojrzenie i przez chwilę patrzy mi w oczy. Odnoszę wrażenie, jakby po zetknięciu się naszych palców przeskokczyła między nimi iskra. Jej spojrzenie mówi mi wyraźnie, że bym nie przeginał. Podczas negocjacji poprzedzających moją wizytę, wraz ze szkolnymi prawnikami podkreśliła, że część kampusu, w której doszło do zbrodni, pozostaje zamknięta nie tylko dla mnie i mojego podcastu, lecz również dla uczniów. Obszar został odseparowany wysokim murem z cegieł. Widzę go w oddali, kiedy doktor Hanover wiezie mnie przez teren kampusu. Dla takich ciekawskich umysłów jak mój tego rodzaju zaporą z czerwonej cegły nie stanowi żadnego ostrzeżenia, wręcz przeciwnie. Woła mnie, że bym odkrył, co znajduje się po drugiej stronie. Krzyczy, że kryje się za nim coś strasznego. Po drugiej stronie tego muru rozciąga się las, a w tym lesie jest zapomniana już ścieżka prowadząca do niestawnego domu.

Jeszcze na długo przed tragedią planowano zburzenie tego domu i wykarczowanie części lasu z myślą o przygotowaniu miejsca pod tor lekkoatletyczny oraz boiska do futbolu amerykańskiego, baseballa i piłki nożnej. Kilka miesięcy później zgromadzono już nawet niezbędne fundusze. Prace

chciano rozpocząć zaraz po tym, jak policja z Peppermill potwierdzi, że z miejsca zbrodni nie zbierze się już żadnych nowych dowodów.

Choć sprawę rozwiązano bardzo szybko, napisany przez gubernatora list wstrzymał plan rozbiórki domu. Okazało się, że prace chciało opóźnić biuro prokuratora okręgowego, na które naciski wywierał z kolei Departament Policji Peppermill. Ktoś spośród funkcjonariuszy nadal jest przekonany, że gdzieś we wnętrzu tego domu wciąż kryją się odpowiedzi na pytania dotyczące owej pamiętnej nocy. Rozbiórka została więc odroczone. Włodarze Westmont – rada powiernicza i sponsorzy stojący za sukcesami szkoły – nie mogą się już jednak doczekać dnia, w którym mury domu spotkają się z kulą do wyburzania. To paskudna blizna w historii szkoły, a najlepszym rozwiązaniem na pozbycie się jej jest po prostu zniszczenie tego przeklętego budynku. Na razie jednak wciąż tam stoi, a ja szukam sposobu na to, jak się tam dostać.

Tym razem jednak pozostawiłem swoje pytanie bez odpowiedzi zamiast naciskać na doktor Hanover i ryzykować przerwanie wizyty. Wiedziałem, że nie zobaczę dziś tego opuszczonego budynku, choć obiecano mi wejście do domu Gormana. Właśnie się do niego zbliżamy. Dojeżdżamy do długiego szeregu domków mieszkalnych dla kadry. To tutaj, pod numerem czternastym, Gorman mieszkał podczas swojej ośmioletniej pracy w Westmont. Wzorowy nauczyciel chemii z najwyższymi ocenami od dyrekcji i wieloma pochwałami za osiągnięcia. Pochwałami, które po dwudziestym pierwszym czerwca zostały skrupulatnie przeanalizowane.

Zatrzymujemy się pod czternastką – to nieduży bliźniak z czerwonej cegły. Między domkami zauważam wąskie przejścia porośnięte dereniami i hortensjami. Od frontu znajdują się drzwi wejściowe, jedno do numeru czternaście, a drugie do piętnastki. Bardzo tu przyjemnie i przytulnie. Aż trudno sobie wyobrazić, że mógł tu mieszkać taki potwór.

Słyszę grzechot kluczy, kiedy pani dyrektor otwiera drzwi. Wchodzimy do środka. Nie licząc kilku mebli, które stoją nieużywane od roku, jest tu zupełnie pusto. Doktor Hanover prowadzi mnie przez salon do kuchni i do niedużej sypialni. Kiedy chodzimy po opuszczonych pomieszczeniach, dzwoni jej telefon. Przeprasza mnie i wychodzi, żeby odebrać połączenie. Nagle zostaję zupełnie sam w domu Charlesa Gormana. Panuje tutaj niepokojąca cisza. Jest w tym budynku coś złowrogiego i uświadamiam sobie, że pewnie z tego powodu nie przydzielono go nikomu innemu i pewnie nigdy tak się już nie stanie. Dom stał

pusty przez ponad rok, ponieważ Gorman wiódł w nim swoje potajemne życie i każdy inny nauczyciel, który odważyłby się tutaj zamieszkać, poruszałby się po śladach mordercy, wśród duchów zamordowanych przez niego uczniów. Duchów, które z pewnością tutaj krążą, poszukując prawdy i odpowiedzi.

Czuję teraz ich obecność. Szukam tego samego, co one. Staram się jednak myśleć trzeźwo. Nie wiem, ile zostało mi czasu. Co więcej, mój instynkt dziennikarza śledczego nie daje się zdławić. Przechodzę szybkim krokiem do niedużego biura. Pomieszczenie jest puste. Wgniecenia na dywanie wskazują mi, gdzie stało kiedyś biurko. To zapewne tutaj siedział Gorman, pisząc swój plan. W pokoju pozostały tylko pusty regał na książki, przechylone krzesło biurowe bez kółka i tablica z układem okresowym pierwiastków na ścianie. Wiem, co się za nią znajduje.

Zerkam na zewnątrz, aby się upewnić, że doktor Hanover wciąż tam stoi. Zdejmuję tablicę z haczyka. W ścianie znajduje się sejf. To tutaj detektywi znaleźli plany Gormana.

Obracam dźwignię na sejfie i otwieram drzwiczki.

– Proszę to natychmiast zamknąć.

W głosie doktor Hanover nie słyhać nerwów czy paniki. Jest po prostu stanowcza. Odwracam się w jej stronę. Stoi w przejściu. Zostałem nakryty jak dzieciak.

W telefonie rozległa się dziwna muzyka, która przywróciła Ryder do rzeczywistości, z dala od domu Charlesa Gormana, do którego Mack Carter zabrał ją swoim hipnotyzującym głosem i barwnymi opisami. Muzyka ucichła i znów rozległ się jego głos.

W następnym odcinku Domu samobójców opowiem więcej na temat moich odkryć w domu Charlesa Gormana. Nie przegapcie tego! Do usłyszenia, mówił do was Mack Carter.

Rozdział 3

Telefon Ryder zaczęła hałasować, wyświetlając reklamę, stuknęła więc z frustracją w ekran, by go uciszyć. Mack Carter nie odkrył kompletnie niczego w tym sejfie, a Ryder nie musiała czekać na następny odcinek, żeby to usłyszeć z jego ust. Uznała to za tani chwyt, żalną autopromocję umiejętności dziennikarza śledczego. Każdy, kto znał choć trochę temat morderstw w Westmont, wiedział również, że detektywi znaleźli plany Gormana właśnie w jego sejfie. Z odkryciem Macka Cartera nie wiązało się nic przełomowego, a mimo to Ryder nie miała wątpliwości, że niedoinformowani słuchacze zaczną się ślinić na samą myśl o tym, że Macka złapano na gorącym uczynku i że dzięki zawartości sejfu Gormana wkrótce dokona przełomu w sprawie. Wiedziała, że liczba odwiedzin strony *Domu samobójców* skoczy gwałtownie, kiedy słuchacze podcastu, wstrzymując oddech, zaczną ją przewijać w poszukiwaniu zdjęć z kampusu Westmont, domu Charlesa Gormana i zawartości sejfu.

Na blogu Ryder i jej kanale na YouTube wiele tych informacji znalazło się krótko po zabójstwach. Zdjęcia pozyskała z gazet, publicznych albumów z kampusu i z domów nauczycieli. Zdołała nawet znaleźć fotografię przedstawiającą odgrodzony żółtą policyjną taśmą dom Gormana dzień po tragedii. Przez chwilę można ją było znaleźć w mediach społecznościowych, na koncie jednego z uczniów, ale szybko została usunięta. Mimo wszystko Ryder nie wątpiła, że wyczyn Macka Cartera, jego szept, kiedy ściągnął tablicę pierwiastków ze ściany, i urywany oddech, kiedy opisywał znajdujący się za nią sejf, przyciągną do podcastu tłumy. Była zła na samą siebie, że dała się w to wciągnąć. Przeklinała pod nosem, przewijając stronę Macka, bo chwyciła przynętę jak cała reszta. Na forum dyskusyjnym rozgorzała już dyskusja na temat odkryć autora podcastu – teorii dotyczących tajemniczej sugestii Theo Comptona, że Charles Gorman był niewinny, i tego, co Mack mógł znaleźć w sejfie.

– On jest zupełnie pusty, wy półgłówki! – zawołała Ryder w stronę komputera. – Jakim cudem dowody miałyby być dostępne na miejscu zbrodni przez cały rok?

Po trzydziestu minutach lektury wpisów na forum miała serdecznie dość. Sięgnęła po myszkę, żeby przełączyć się na swojego bloga i umieścić na nim wpis o tym, że wciąż była nieustraszonym wojownikiem poszukującym prawdy na temat morderstw w Westmont i że fani nie powinni jej opuszczać, by poświęcać czas na efekciarski podcast. Zanim jednak zamknęła stronę Macka Cartera, zauważyła w sekcji komentarzy odtwarzane w pętli wideo. Rozpoznała je natychmiast, bo sama je nagrała. Pochodziło z dnia, w którym zakradła się przez las przy Westmont kilka tygodni po tragedii i zdołała nagrać ziarnisty film przedstawiający feralny dom. Trudno było jej to zrealizować, ponieważ budynek przez cały czas był otoczony taśmą, a policja pilnowała, by nie zbliżali się tam żadni ciekawscy. Pod nagraniem umieszczono krótki komentarz:

MC, 13:3:5. Dzisiaj. Powiem prawdę. A potem niech się dzieje, co chce. Jestem gotów ponieść konsekwencje.

Ryder wywnioskowała, że komentarz jest przeznaczony dla Macka Cartera i zanotowała, że umieszczono go o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt pięć. Przed trzydziestoma minutami.

Sięgnęła po kluczyki do samochodu i wybiegła z domu, stukając palcami w ekran telefonu.

Rozdział 4

Zwolnił, kiedy minął znacznik numer trzynaście – przydrożny słupek wytyczający trzynastą milę. Wcisnął przycisk zerowania licznika odległości. Jechał powoli, obserwując, jak wskazują kolejne cyfry. Wszyscy, którzy przeżyli, znali te liczby: trzynaście-trzy-pięć. Tak przecież się zaczęło. Jakże inaczej mogłoby się to wszystko potoczyć, gdyby nigdy o nich nie usłyszeli, gdyby nie zostali zwabieni w to miejsce obietnicą przeżycia przygody i zyskania akceptacji. Ale przeszłości nie można już było zmienić. Teraz mógł kontrolować wyłącznie teraźniejszość i mieć nadzieję, że uda mu się wpłynąć na przyszłość.

Kiedy na liczniku mignęła trójka, wskazując, że pokonał jedną trzecią mili za znacznikiem numer trzynaście, zjechał na pobocze, zaparkował samochód na zwirowym nasypie i zgasił reflektory. Noc pochłonęła auto. Był teraz niewidoczny i pragnął, by to się już nie zmieniło. Chciał móc założyć płaszcz i ukryć się przed całym światem. Przed swoimi myślami. Przed wspomnieniami. Przed grzechami i poczuciem winy. Wiedział jednak, że to nie jest takie proste. Gdyby wszystko sprowadzało się do zniknięcia, już dawno temu opuściłby to miejsce i uciekł przed jego duchami. Jakże miło byłoby móc rozpocząć gdzieś wszystko od nowa, może w innej szkole, gdzie mógłby znów być sobą i pozostawić całą przeszłość daleko w tyle. Ale demony wciąż trzymały go w szponach, a ucieczka nie pozwoliłaby mu się z nich wyrwać.

Otworzył drzwi samochodu i wysiadł. Przeszedł na środek dwupasmowej drogi i spojrzał w nocne niebo. Ciężka pokrywa chmur wywoływała posępną aurę, a nadchodząca burza nasyciła powietrze zapachem wilgoci. Chmury zakryły gwiazdy, przypominając mu, że jest w tym zupełnie sam. Nawet niebo nie zamierzało spojrzeć dziś na niego łaskawie.

Nocna cisza wypełniła mu uszy, zapragnął więc usłyszeć przejeżdżającą osiemnastokołową ciężarówkę, której opony szumiałyby na asfalcie. O ile łatwiej byłoby wpatrywać się wprost w jej reflektory. Mógłby zamknąć oczy

i wkrótce byliby już po wszystkim. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy konsekwencje czekające w zaświatach byliby łagodniejsze niż te tutaj, na ziemi.

W końcu zszedł z szosy i rozpoczął swoją wyprawę. Zostawiwszy szeroko otwarte drzwi, obszedł samochód od przodu i wszedł między drzewa. Trzyście-trzy-pięć. Trzynasta mila, jedna trzecia mili i pół mili przez las. Ścieżkę łatwo było zauważyć, ale droga wiodąca przez las zdążyła już zarosnąć od czasu, kiedy szedł tędy po raz ostatni. Było to ubiegłego lata, w noc rzezi. Od tamtej pory w jego życiu wydarzyło się tak wiele, że ledwie je rozpoznawał. Półmilowy odcinek pokonał w ciągu dziesięciu minut, aż w końcu doszedł na skraj leśnej drogi, gdzie między dwoma słupkami zwiisał pordzewiały łańcuch. Na porośniętej mchem tabliczce wciąż dawał się odczytać napis „WŁASNOŚĆ PRYWATNA”, co było ostatnią żalną próbą odstraszenia intruzów.

Minął tabliczkę i wkrótce ujrzał przed sobą niesławny dom. Zanim tamta straszliwa noc wszystko zmieniła, często przychodził tutaj z kolegami. W zasadzie w każdy weekend. Dzięki ich wizytom nieużywany budynek wciąż miał w sobie jakieś życie. Teraz jednak, rok po tym, jak całkiem opustoszał, dom umierał. Nie tak jak podczas masakry, która miała tu miejsce, kiedy koniec nadszedł szybko i niespodziewanie. Nie, dom umierał powolną śmiercią. Dzień za dniem. Cegły zaczynały się kruszyć, a cedr rosnący przy drzwiach i oknach niebezpiecznie się pochylił. Okap przegnił, a rynny sterczały z dachu jak gwoździe. Miejsce to nocą wyglądało upiornie, z postrzępioną żółtą policyjną taśmą wciąż otaczającą wejście i łopoczącą na wietrze. Nie wrócił tutaj od dnia, kiedy wraz z pozostałymi przyszli w to miejsce, aby pokazać policji, co dokładnie się wydarzyło. Oczywiście przekazali tylko tyle, ile chcieli.

Wyszedł na polanę i ruszył w stronę domu. Furtka z kutego żelaza skojarzyła mu się z tamą otaczającą zamek. Pordzewiałe i podniszczone zawiasy jęknęły, kiedy ją pchnął, a dolna część zakreśliła ćwierć okręgu w błocie. Wrócił myślami do tego, jak wyglądała ta furtka w dniu tragedii. Zamrugął, ale nie mógł pozbyć się z głowy tego widoku.

Przed oczami zaczęły mu przepływać obrazy z tamtej nocy – krew i zwłoki. Pomyślał o tajemnicach, które kryły w sobie te ciała, o sprawach, których nie chciały ujawnić. Zakręciło mu się w głowie, aż usłyszał dudnienie pociągu towarowego, który wyrwał go z zamyślenia. Potrząsnął głową, żeby dojść do siebie, po czym okrążył pospiesznie dom, idąc w stronę ścieżki prowadzącej w stronę torów. Decyzje, które podjęli tamtej nocy, doprowadziły go w to

miejsce – to samo, w którym zjawił się pan Gorman – i to tutaj rozpocznie się kolejny rozdział jego życia. To tutaj stawia czoła demonom i w końcu się od nich uwolni.

Gwizd pociągu przegonił nocną ciszę, kiedy w polu widzenia pojawiła się lokomotywa. Nie słyszał niczego poza łoskotem wagonów na szynach. Czekał obok torów, wsunął rękę do kieszeni i zacisnął palce na przedmiocie, który w niej spoczywał. Dotknięcie tej rzeczy uspokoiło go, jak dziecko, któremu dano smoczek. Zawsze tak reagował.

Kiedy pociąg podjechał bliżej, świecąc reflektorem niczym nocną latarnią, nie próbował zasłonić uszu przed ogłuszającym dudnieniem. Chciał go słyszeć, czuć, wciągać w nozdrza jego zapach i smakować go. Pragnął, aby pociąg przegonił demony.

Zamknął oczy. Łoskot stał się nie do wytrzymania.

Rozdział 5

Mack Carter siedział w swoim wynajętym domu w Peppermill. Otworzył piwo i po raz ostatni zagłębił się w notatkach. Przełknął łyk, żeby zwilżyć gardło, poprawił odcinające hałasy słuchawki, przysunął mikrofon nieco bliżej ust i przemówił.

– Morderstwa w szkole Westmont pograżyły kraj w smutku i szoku. Trudno było uwierzyć, że do tak straszliwej tragedii mogło dojść w chronionym sanktuarium, jakim jest prywatna szkoły z internatem. Do tej pory przyjrzeliliśmy się już kilku okolicznościom tamtej straszliwej nocy. W następnym odcinku poznamy lepiej sylwetki dwóch osób, które zostały zamordowane, i zanurzymy się głębiej w zasady niebezpiecznej gry, którą podjęły. W tym celu spojrzemy z bliska na życie wewnątrz murów tej elitarnej szkoły i poznamy jej uczniów. Jak zwykle mam nadzieję przy okazji odkryć coś nowego. Coś, czego nikt do tej pory nie dostrzegł, tajemnicę, która zdaniem wielu z nas wciąż jest ukryta za murami szkoły. Jestem Mack Carter, słuchacie... *Domu samobójców*.

Mack stuknął w ekran dotykowy laptopa, żeby zatrzymać nagranie. Odtworzył wstęp, kończąc piwo. Zredagował jego segmenty, pracując nad wymową i tembrem swojego głosu. Kiedy był już zadowolony, przesłał materiał e-mailem do swojej producentki. Już teraz jego podcast należał do najczęściej pobieranych w tym sezonie. Masakra w Westmont zyskała niezwykłą popularność wśród osób interesujących się prawdziwymi historiami kryminalnymi, a sprawa ta wciąż pozostawała żywa w mainstreamowych mediach. Sieć, która wypromowała popularny show Macka i puszczała go pięć razy w tygodniu, zajmowała się produkcją, a lukratywne kontrakty sponsorskie, które podpisało, zwiastowały duży sukces. *Dom samobójców* okazał się kolejnym strzałem w dziesiątkę.

W swoim małym studiu nagraniowym mieszczącym się w wynajętym domu w Peppermill spędził jeszcze godzinę. Na stojącym przed nim komputerze

znajdowały się wszystkie nagrania, które zarejestrował w ubiegłym tygodniu. Jego producentka zajęła się ich oczyszczaniem i przycinaniem, a teraz czekali na recenzję i zgodę Macka, zanim jego zespół zajmie się układaniem części w spójny odcinek. Wiele fragmentów oznaczono na czerwono, co wskazywało, że wymagają one ponownego nagrania przez Macka.

Otworzył drugie piwo i pracował niestrudzenie do dwudziestej trzeciej trzydzieści, kiedy zadzwonił jego telefon. Nie rozpoznał numeru, ale od kiedy przyjechał do Peppermill, odbierał wiele nieznanym połączeń. Większości swoich wywiadów udzielał przez telefon, podłączony do urządzenia nagrywającego głos nie tylko Macka, ale również rozmówcy. Po późniejszym odtworzeniu w podcaście dźwięk okazywał się zaskakująco czysty.

Włączył rejestrator przed odebraniem połączenia.

– Mack Carter.

– Mówi Ryder Hillier.

Mack zamknął oczy i omal nie wyłączył nagrywania. Ryder Hillier była dziennikarką zajmującą się sprawami przestępstw i prowadziła popularny blog z forami dyskusyjnymi, na których różni popaprańcy dzielili się teoriami spiskowymi na temat wszelakich przypadków z całego kraju – od zaginięć po zabójstwa. Morderstwa z Westmont były jednym z najpopularniejszych tematów podjętych przez Ryder. Gromadziła na ich temat informacje i pisała o nich intensywnie przez cały rok. Z Mackiem próbowała się skontaktować już od pierwszego dnia, kiedy o jego podcaście zrobiło się głośniej.

– Posłuchaj, Ryder, nie mam teraz czasu.

– Czytałeś wpisy na swojej stronie?

– Właśnie zajmuję się czymś ważnym.

– Oczywiście, że nie. Masz zapewne zespół asystentów, którzy robią to za ciebie. Założę się, że nigdy nawet nie spojrzales na komentarze, które umieszczają twoi słuchacze. Ale o jednym z nich powinieneś wiedzieć. Czy liczby trzynaście-trzy-pięć cokolwiek ci mówią?

– Trzynaście-trzy-co?

– Cholera – mruknęła z niesmakiem Ryder. – Ty naprawdę nie masz pojęcia. I pomyśleć, że jesteś autorem najgorętszego podcastu od czasu *Seryjnego*.

– Ryder, jeśli skontaktujesz się jutro z moją producentką, z pewnością cię umówi...

– Lepiej tam jedź. I to teraz. Ja jestem już w drodze.

– Dokąd?

– Trzynaście-trzy-pięć.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Zabierz swój sprzęt nagrywający. Jedź drogą numer siedemdziesiąt siedem na południe. Kiedy zobaczysz znacznik numer trzynaście, przejedź jeszcze jedną trzecią mili. To jest trzynaście i trzy. Piątką zajmiemy się, kiedy dojedziesz na miejsce. Zaczekam tylko dwadzieścia minut, a potem idę sama.

– Dokąd idziesz?

– Do domu w Westmont. Lepiej się pośpiesz, bo nie zdążysz.

Połączenie zostało nagle przerwane. Mack patrzył z niedowierzaniem na telefon. W końcu przypiął mikrofon do kołnierzyka, postukał w niego, żeby sprawdzić, czy działa, i wybiegł z domu.

Rozdział 6

Mack nagrywał podczas jazdy. Reflektory jego samochodu rozświetlały mroczną drogę numer siedemdziesiąt siedem. Lokalne trasy otaczające Peppermill były zupełnie ciemne; wiedział, że słuchacze na pewno wyczują w jego głosie emocje, które nim w tamtym momencie targaly.

– Jadę siedemdziesiątką siódmką – powiedział do mikrofonu zaczepionego przy kołnierzyku. – Dochodzi północ, a droga jest ciemna i pusta. Mniej więcej godzinę temu na stronie internetowej pojawił się komentarz zapraszający mnie do odwiedzenia miejsca zwanego trzynaście-trzy-pięć, dokąd właśnie zmierzam.

Wjazd do szkoły Westmont mieścił się przy Champion Boulevard i Mack wiedział z map, że kampus ciągnął się aż do drogi numer siedemdziesiąt siedem. Mapy zostały opublikowane na stronie *Domu samobójców*, żeby fani mogli rzucić okiem na otoczenie i dom, w którym doszło do morderstw. Dom od drogi oddzielał las o szerokości ośmiuset metrów. Mack starał się to wyjaśnić w trakcie jazdy, ale podniecenie sprawiło, że gubił słowa. Jego producentka będzie musiała popracować nad oczyszczeniem tego opisu, a jeśli którakolwiek część nocnego nagrania skończy w podcaście, z pewnością będzie musiał niektóre fragmenty nagrać od nowa.

Obserwował znaczniki mil i o każdym z nich informował na głos.

– Widzę przed sobą zielony słupek. Jest tu zupełnie ciemno, więc zwalnim. Patrzę na znacznik trzynastej mili. Polecono mi przejechać jeszcze jedną trzecią, więc muszę pilnie obserwować licznik.

Nastąpiła minuta ciszy, podczas której Mack koncentrował się na pokonywanym dystansie. Po raz pierwszy od chwili, kiedy rozpoczął nagrania swoich podcastów, czuł się podenerwowany. Przełknął ślinę, kiedy scena zmaterializowała się przed nim i reflektory oświetliły większy jej fragment.

– Okej – rzucił do mikrofonu. Nagły skok adrenaliny sprawił, że zaschło mu w ustach. – Coś jest na drodze przede mną. Pokonałem jedną trzecią mili i widzę zaparkowany na poboczu samochód. Wygląda na sedana. Światła są

zgaszone, ale drzwi od strony kierowcy są otwarte. Zatrzymuję się za nim. Moje reflektory oświetlają teraz jego wnętrze. W środku chyba nikogo nie ma.

Mack wyłączył silnik i się rozejrzał. Zauważył Ryder Hillier stojącą przy szosie, w płytkim wgłębieniu między poboczem a lasem. Machała zapaloną w komórce latarką, żeby zwrócić jego uwagę.

Wysiadł z auta, podszedł do opuszczonego wozu i zajrzał do środka.

– A więc ten samochód został zaparkowany dokładnie na jednej trzeciej mili za znacznikiem numer trzynaście. W środku nikogo nie widać. Wygląda na porzucony.

Zszedł z pobocza i zbliżył się do Ryder.

– Co my tutaj robimy, do jasnej cholery?

– Nagrywasz to?

Mack skinął głową.

– To dobrze. Ja również. – Uniosła telefon. – Chodźmy.

– To twój samochód?

– Nie.

– A czyj?

– Tego się pewnie dowiemy – odparła Ryder i ruszyła ścieżką prowadzącą w stronę ciemnego lasu.

Mack dogonił ją, zanim światło jej komórki zupełnie zniknęło.

– Ryder, powiedz mi, co się dzieje. Dokąd idziemy?

– Pół mili tą właśnie ścieżką – odpowiedziała. – Trzynaście-trzy-pięć. Nie wierzę, że jesteś autorem podcastu na temat morderstw w Westmont, a nie masz pojęcia, co oznaczają te liczby.

Pokonali pół mili i dotarli do ogrodzenia z łańcucha, który został przecięty nożycami i odsunięty na bok, żeby nie blokował leśnej drogi. Oboje przeszli na drugą stronę tej umownej granicy. Kawałek dalej droga kończyła się na skraju lasu. Między dwoma słupkami zwisały pordzewiały łańcuch z tabliczką z napisem „WŁASNOŚĆ PRYWATNA”. Kiedy poszli dalej, Mack Carter spojrział na ciemną sylwetkę budynku, w którym czternaście miesięcy wcześniej zarżnięto uczniów z Westmont.

– No dobrze – powiedział do mikrofonu, kiedy już zdołał się opanować. Głos nadal mu jednak drżał. – Przeszedłem mniej więcej pół mili w głąb lasu i teraz, kiedy znalazłem się na jego skraju, dróżka prowadzi do furtki z kutego żelaza

i ogrodzenia, które otacza opuszczony dom należący do kampusu Westmont. To właśnie dom...

Niespodziewanie rozległo się głośnie dudnienie, a ziemia pod jego stopami zadrżała. Po chwili usłyszał ogłuszający gwizd.

– Pociąg! – zawołała Ryder i ruszyła pospiesznie w stronę domu.

Mack zawahał się tylko przez chwilę, po czym pobiegł za nią. Okrążyli budynek i odbili na prawo, gdzie ścieżka wiodła przez gęste zarośla i kończyła się przy torach kolejowych. Kiedy znaleźli się na miejscu, pociąg właśnie ich mijał. Ryder uniosła telefon, żeby nagrać przejeżdżające wagony, na których części zauważyła graffiti. Skład poruszał się jednak zbyt szybko, żeby mogła dostrzec jakiegokolwiek szczegóły. Głośnie dudnienie ustało dopiero po trzech minutach, kiedy minął ich ostatni wagon i stopniowo znów zapadła cisza.

Ryder wyciągnęła rękę.

– O cholera.

Mack popatrzył we wskazanym kierunku. Po przeciwnej stronie torów leżało ciało. Ryder stanęła na szynach i przeszła na drugą stronę, a jej kompan zerknął pospiesznie w lewo i w prawo, ale widział tylko dwie równoległe linie szyn znikające w mroku w oddali. W końcu dołączył do Ryder. Kiedy podeszli do ciała, Mack skupił się na poświacie rzucanej przez jej komórkę, kiedy nagrywała znalezisko. W bladym świetle dojrzał rozrzucone pod groteskowymi kątami kończyny i głowę przyciśniętą do ramienia. Kark został bez wątpienia złamany. Jedna z nóg utknęła pod ciałem, druga wygięła się w kolanie jak kij hokejowy. Oba ramiona były blisko korpusu, a dłonie pozostawały wciśnięte w kieszenie kurtki. Mack poczuł, że robi mu się niedobrze, i już miał odwrócić głowę, kiedy coś w twarzy denata przyciągnęło jego uwagę. Przykląkł powoli, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Pomimo dużej ilości krwi i ogólnych obrażeń ciała natychmiast rozpoznał Theo Comptona.

Część 2

Sierpień 2020 roku

Rozdział 7

Doktor Lane Phillips siedział na tylnej kanapie taksówki jadącej po Michigan Avenue i przeglądał notatki, aby przypomnieć sobie szczegóły dotyczące morderstw w szkole Westmont sprzed roku. Zatopił się w lekturze i nie usłyszał kierowcy, aż ten zastukał niecierpliwie w dzielącą ich plastikową przesłonę.

– Jesteśmy na miejscu. – Lane uniósł wzrok znad notatek. Kierowca popatrzył na niego w lusterku wstecznym i wskazał coś za oknem. – Dojechaliśmy.

Lane zauważył lobby wieżowca NBC Tower znajdującego się w chicagowskiej dzielnicy Near North Side. Zamrugał kilka razy, żeby oderwać uwagę od kartek, dzięki którym znalazł się w Peppermill, gdzie doszło do tej straszliwej tragedii.

– Przepraszam – powiedział. Zamknął teczkę i zapłacił kierowcy.

Dochodziła dziewiąta we wtorkowy poranek, ale Columbus Avenue tętniła już życiem. Wsiadł z taksówki i patrzył na budynek. Lane Phillips był psychologiem sądowym i profilerem. Jego bestsellerowa książka z profilami najślynniejszych seryjnych morderców z ostatnich pięćdziesięciu lat – z których wielu rozmawiało osobiście z Lane'em – sprzedała się w ponad dwóch milionach egzemplarzy w pierwszym roku po wydaniu. Całkowity nakład zbliżał się obecnie do siedmiu milionów i niewiele wskazywało na nadchodzące spowolnienie tego tempa. Była to prawdziwa encyklopedia dla każdego, kto interesował się najokrutniejszymi zabójcami, którzy chodzili po tym świecie. Lane uczestniczył jako konsultant w niezliczonych programach poświęconych kryminalistyce, a częste występy w telewizji i radiu oraz publikowane przez niego artykuły sprawiały, że jego popularność nie malała. Dobrze radził sobie przed kamerą, dzięki czemu chętnie zapraszano go do wiadomości sieci kablowych i porannych programów za każdym razem, kiedy na paski informacyjne trafiała informacja o nowej zbrodni.

Kilka lat wcześniej pochodząca z Karoliny Północnej dziewczyna o nazwisku Megan McDonald zniknęła na dwa tygodnie, po czym w niezwykle sposób uciekła swojemu porywaczowi. To Lane'owi Phillipsowi powierzono wyjaśnienie, przez co przeszła porwana. Ze względu na doświadczenie w profilowaniu przestępców z Lane'em skontaktowało się FBI, a stało się to krótko po tym, jak porwanie Megan powiązano z zaginięciami innych kobiet, dzięki czemu mógł on stworzyć profil sprawcy.

Wszystkie talenty doktora Phillipsa i liczne możliwości, które z nich wynikały, wymagały sprawnego agenta, który zajmowałby się nieustannie nadchodzącymi propozycjami. Kiedy Lane wysiadł z taksówki, Dwight Corey już czekał na niego na chodniku przed NBC Tower. Lane zauważył go niemal natychmiast – nawet na zatłoczonych ulicach Chicago, gdzie mijają się wszystkie kategorie ludzi biznesu, Dwight wyraźnie się wyróżniał. Mierzący sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów czarnoskóry mężczyzna ubrany był w szyty na miarę garnitur od Armaniego, który zakładał za każdym razem, gdy Lane dołączał do niego na sobotnie lunchowe spotkania. Swobodny ubiór oznaczał dla Dwighta Coreya wykrochmaloną koszulę pod idealnie dopasowaną marynarką i brak krawata. Tego dnia z myślą o nadchodzącej wizycie założył jednak jasnozielony krawat do beżowego garnituru. Francuskie mankiety koszuli wystawały z rękawów na przepisową długość i kończyły się złotymi spinkami. Jego buty błyszcząły tak, że Lane aż zmrużył oczy.

On sam natomiast prezentował się zupełnie inaczej. Założył ciemne dżinsy, rozpiętą u góry koszulę i sportową kurtkę, a do tego wygodne, znoszone buty. Włosy układały mu się w faliste loki, które kontrolował przeczesaniem dłonią, kiedy tylko opadały mu na twarz. Nosił się w podobny sposób, kiedy był ubogim doktorantem krążącym po kolejnych więzieniach i rozmawiającym ze skazanymi mordercami. Choć w późniejszym czasie odniósł ogromne sukcesy, nie zmienił swojego podejścia do wyglądu.

Lane podszedł bliżej i wyciągnął dłoń.

– Sporo czasu upłynęło – powiedział.

– Dobrze cię widzieć, przyjacielu.

Lane wskazał buty Dwighta.

– Masz w nich zainstalowane baterie?

Corey się roześmiał.

– Dobry styl wpływa na to, jak nas postrzegają. Nie przejmuj się jednak, to nowe spotkanie nie wymaga, by ktokolwiek patrzył na twoją paskudną gębę czy sportową kurtkę z minionej epoki. Będzie słychać tylko twój głos.

– Chodzi o te morderstwa w Westmont, tej szkole dla elity? Czy to nie temat do telewizji?

– Nie. Ale obecnie jest bardzo gorący.

– Wspominałeś chyba, że zajął się tym Mack Carter.

– Zgadza się, ale bardzo zależy mu na twoim udziale.

– Jak bardzo?

Dwight klepnął Lane'a w plecy i spojrzał na zegarek.

– Chodźmy to sprawdzić.

Rozdział 8

Usiedli naprzeciw siebie w kawiarni mieszczącej się w lobby siedziby stacji NBC. Lane wsypywał zawartość drugiej torebki z cukrem do swojej kawy.

– Cukier jest wybitnie rakotwórczy – zauważył Dwight. – Nie ustępuje chyba nawet substancjom smolistym w papierosach, a mimo to pochłaniamy go każdego dnia. Żadnych procesów sądowych, żadnego prawodawstwa, tylko tłumy zadowolonych zombie ciamkających landrynki i umierających na raka.

Lane przerwał wsypywanie i popatrzył na niego z otwartymi ustami i wyrazem niepewności na twarzy.

– Nie – powiedział Dwight. – Nie przerywaj teraz, już i tak ją zatrueś. Nie da się tego cofnąć, a drugiej ci nie kupię.

– A ty się zastanawiasz, dlaczego nie widzimy się tak często, jak kiedyś. – Po krótkiej przerwie Lane skończył opróżnić torebkę z cukrem. – Ostatnim razem, kiedy spotkaliśmy się na kolacji, dałeś mi wykład na temat mojego befsztyku z polędwicy.

– To nie był wykład, poinformowałem cię tylko, skąd pochodzi mięso i w jaki sposób zostało pozyskane. Większość ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy.

– I było mi bardzo dobrze z moją niewiedzą. – Lane upił łyk kawy. – Ach, ale psychota.

– Niczym się to nie różni od picia cykuty.

Lane przecesał włosy dłonią.

– Mam nadzieję, że dożyję chwili, w której opowiesz mi w końcu o tej ofercie. Zamieniam się w słuch.

– Słuchasz czasami podcastów?

– Podcastów? Tak, przed wyjazdem na Florydę w ubiegłym roku wysłuchałem jednego na temat łowienia okoni. Nie pomogło.

– No cóż, stały się one ostatnio bardzo popularne. Radio, jako środek przekazu podcastów, zalicza poważny *comeback*. Podobnie dzieje się z telewizją. Coraz mniej ludzi ogląda ją na żywo, a coraz więcej pobiera treści na żądanie.

Radio podąża tą samą drogą. Nikt już go nie słucha, wszyscy ściągają podcasty. Od polityki po rodzicielstwo zgodne z filozofią zen, każdy znajduje coś dla siebie. Jedna konkretna tematyka podcastów przyciąga jednak niezliczone rzesze odbiorców – chodzi o sprawy kryminalne, czyli coś z twojego ogródka. Większość nagrywających odgrzewa stare przestępstwa, próbując opowiedzieć o nich z innej perspektywy. Niektórzy przyciągają dużych reklamodawców i robią na tym legalny biznes. Podcasty, które osiągają popularność, tak naprawdę nigdy nie giną. Każdy nowy słuchacz odtwarza je od początku. Po upływie lat można pobierać stare odcinki, autor podcastu odsprzedaje swój produkt innym reklamodawcom i tak się to kręci. A jeśli uda ci się uszczknąć kawałek z tych dochodów, możesz się ustawić na lata.

Lane uniósł brwi.

– Chcesz, żebym nagrał podcast?

Dwight uniósł palec.

– Nie jakiś podcast. Największy z możliwych. Produkuje go NBC, a po emisji zaledwie czterech odcinków wygenerowali naprawdę gigantyczną liczbę odbiorców.

Lane podniósł teczkę, której zawartość studiował w taksówce.

– O morderstwach w Westmont?

– Zgadza się.

– Chodzi o nagranie z tym chłopakiem, który wskoczył pod pociąg?

– Theo Comptonem, tak.

– Czy przeciwko facetowi, który przesłał to wideo na YouTube, rodzice Comptona nie wnieśli przypadkiem oskarżenia?

– Nie facetowi, a kobiecie. To dziennikarka, Ryder Hillier. I owszem, rodzina wniosła sprawę do sądu. Nagranie usunięto z YouTube'a i trudno je teraz znaleźć, bo jego publikacja jest zabroniona i wszelkie kopie są natychmiast kasowane. Wywołała tym prawdziwą burzę. Nielegalne nagranie, tajemnicze samobójstwo i proces, a wszystko powiązane ze znaną, tajemniczą sprawą morderstw. Bardzo dziwne, z domieszką krwi i sekretów, czyli dokładnie coś takiego, nad czym ślinią się fanatycy kryminalistów. W NBC uznano, że ten podcast trzeba przygotować jak najszybciej.

– Ach, i tutaj właśnie wkracza Mack Carter.

– Zgadza się. Genialna sprawa. Mack zawiesił nawet swój wieczorny, telewizyjny show z myślą o tym podcaście. Jego nieobecność w telewizji jeszcze

bardziej podsyca apetyt słuchaczy. Kiedy osiem milionów jego wieczornych telewidzów zobaczy, że show zawieszono, i dowie się, że Carter zajął się ważną sprawą, szybko zechcą oni poznać szczegóły. Ludzie, którzy nigdy nie słuchali podcastów, nagle zaczną je pobierać.

Mack Carter był gospodarzem programu *Events*, najpopularniejszego show telewizyjnego, w którym zajmowano się bieżącymi wydarzeniami. Każdego wieczoru miliony osób siadały przed telewizorami, żeby popatrzeć, jak Mack bada rozmaite sprawy, od historii JonBenét Ramsey po tajemnicę ucieczki z zatopionego samochodu. Tragiczna śmierć czteroosobowej rodziny, która wjechała samochodem do zbiornika retencyjnego, stała się przyczyną rekonstrukcji zdarzenia, kiedy to Mack zatopił swój samochód w basenie, a następnie pokazał światu, jak można się z niego wydostać i przeżyć. Był to jeden z najchętniej oglądanych odcinków, dzięki któremu Mack Carter znalazł się w świetle reflektorów.

– A teraz – ciągnął Dwight – oprócz wielkiej sprawy i wielkiego gospodarza mamy jeszcze wielką tajemnicę. I tu właśnie wkraczasz ty. Widziałeś nagranie z tym chłopakiem, który skoczył pod pociąg? Był już trzecim uczniem z Westmont, który przeżył tamtą tragedię, wrócił do tego domu i zabił się na torach. Dwie dziewczyny, jeden chłopak. Wszyscy zginęli pod kołami pociągu towarowego. Tego samego pociągu, pod który Charles Gorman, nauczyciel oskarżony o zamordowanie dzieciaków, wskoczył w chwili, kiedy próbowali aresztować go policjanci.

– Jezu Chryste.

– Samobójstwa utrzymywano w ścisłej tajemnicy. Miejscowe władze chciały uciszyć sprawę, ale dzięki temu wideo i podcastowi Macka Cartera wszystko wyszło na jaw. Mack obiecuje dotrzeć do sedna sprawy, a słupki popularności skoczyły pod sam sufit.

– I jaka moja w tym rola?

– NBC chce, abyś jako psycholog sądowy wskazał, dlaczego uczniowie, którzy przeżyli tamtą noc, wracali na miejsce, żeby popełnić samobójstwo.

Lane odchylił się na krześle i popatrzył w sufit kawiarni. Jego umysł już pracował nad stworzeniem profilu osoby, która wraca na miejsce takiej tragedii, by targnąć się na swoje życie.

W końcu spojrzał ponownie na Dwighta.

– Z tego, co czytałem na temat tej sprawy, Gorman skoczył pod pociąg, ale przeżył.

– To prawda – przytaknął Dwight. – Pociąg odrzucił go niemal dwadzieścia metrów dalej, do lasu. Facet jest teraz praktycznie warzywem i siedzi w bezpiecznym szpitalu psychiatrycznym, załatwiając się w pieluchy i jedząc z łyżeczki. Całą trójkę uczniów, którzy popełnili tam samobójstwa, znaleziono dokładnie w tym samym miejscu, w którym próbował zrobić to Gorman. To zaraz obok tego opuszczonego domu. I to też jest twoje zadanie. Mack Carter musi przekazać swoim słuchaczom, dlaczego tak się dzieje.

Lane pokręcił głową, próbując ogarnąć to wszystko umysłem.

– Ta koncepcja podcastów bardzo ci się spodobała, prawda?

Lśniący, złoty zegarek Dwighta wydał z siebie dźwięk. Corey spojrział na niego i wskazał filiżankę z kawą Lane'a.

– Czekają na nas na górze. Zabierz ze sobą swoją truciznę. Czas na show.

Rozdział 9

Rory Moore siedziała w tylnej części sali sądowej. Ukryła się za okularami w grubych oprawkach i upewniła, że jej kapelusik opada nisko na czoło. Pomimo letnich temperatur ubrała się w lekką, szarą kurtkę, którą zapięła aż po szyję. Był to jej strój bitewny i nosiła go w wielu różnych wariantach, by chronić się przed światem. Jej prawe kolano podrygiwało nerwowo, a wibracje w stopie przypominały, że nie miała na sobie kluczowego elementu swojego stroju. Gumowe podeszwy jej wysokich do kostek, sportowych butów wydawały się niestosowne od chwili, kiedy je założyła. Rory pozbawiona była swego wojskowego obuwia już od sześciu miesięcy, ale miała nadzieję, że dziś się to zmieni.

Ukryła się w ostatnim rzędzie, ale uważnie obserwowała wszystko zza okularów. Przez ostatnie trzydzieści minut sala sądowa stopniowo się wypełniała. Nie została zajęta do ostatniego miejsca, ale ludzie wciąż przychodzili. Najpierw woźni otworzyli wielkie, ciężkie drzwi dla pierwszych zainteresowanych, którzy pospiesznie zajęli najlepsze miejsca. Większość wybrała pierwszy rząd. Rory wolała trzymać się z tyłu. Później pojawili się dziennikarze, którzy relacjonowali sprawę dla „Tribune” i „Sun-Times”. Na koniec przybyły rodziny ofiary i mężczyzny, który został oskarżony o jej zamordowanie. Camille Byrd zabito dwa lata wcześniej, a emocje wokół tej sprawy już się ostudziły. A przynajmniej było tak do chwili, kiedy zaangażowała się w nią Rory. Odtworzyła życie Camille i podążała tymi śladami aż do feralnej nocy, kiedy w Grant Park znaleziono zamarznięte ciało dziewczyny. Rekonstrukcja doprowadziła ją do zabójcy Camille. Rory przekazała swoje odkrycia Ronowi Davidsonowi – swojemu przełożonemu i szefowi wydziału spraw zabójstw w departamencie policji Chicago – który z kolei powierzył je swoim najlepszym detektywom. Ci potwierdzili wszystkie punkty, które połączyła Rory, i w ciągu tygodnia dokonali aresztowania.

Od tego momentu Rory zjawiała się w sądzie na każdej rozprawie, od aresztowania i postawienia w stan oskarżenia po przesłuchanie przed sędzią. Kryła się w ostatnim rzędzie w trakcie całego procesu i spędziła stresujący weekend w domu po wygłoszeniu mowy końcowej w ostatni piątek. Minął poniedziałek, a teraz był wtorkowy ranek i pojawiły się pogłoski, że sędzia przygotował ostateczny wyrok.

Po upływie dwudziestu minut sala była już pełna, choć niestety po dwóch latach od śmierci znacznie mniej ludzi interesowało się zabójstwem Camille Byrd niż na samym początku. Wiele osób, którym pierwotnie powierzono zadanie odkrycia, co przytrafiło się tej pięknej, młodej kobiecie, obecnie zajmowało się już zupełnie innymi sprawami. Podobnie odbiorcy mediów w dużym stopniu ekscytowali się już innymi, gorętszymi tematami. Rory nigdy jednak nie zapomniała o Camille Byrd. Jak w przypadku wszystkich zrekonstruowanych przez nią spraw nawiązała z ofiarą pewną intymną więź. W przypadku Camille było to jednak coś więcej. Martwa dziewczyna w pewien sposób pozwoliła Rory rozwiązać jedną z największych tajemnic jej własnego życia. Rory nie potrafiła zrozumieć, jak wiązało się to z dawno nieżyjącą już dziewczyną, jednak pomocne wskazówki z zaświatów, które przekazała jej Camille Byrd, sprawiły, że Rory postanowiła spłacić dług wdzięczności. W ramach tej rekompensaty obiecała doprowadzić sprawę Camille do końca.

Jej kolano wciąż nerwowo drżało, ponieważ miała nadzieję, że stanie się to właśnie dzisiaj.

W końcu przybyli prawnicy i zajęli swoje miejsca w sądowych ławach. Po chwili zjawił się też sam oskarżony, zakuty w kajdanki i ubrany w pomarańczowy kombinezon. Po kilku pełnych napięcia chwilach ciszy na swoich stanowiskach zameldowali się również ławnicy. Sędzia przyszedł jako ostatni. Nakazał zachowanie spokoju i wyjaśnił, że przysięgli podjęli decyzję. Poprowadził dziesięciominutowy monolog, w trakcie którego wyjaśnił obowiązujące procedury, po czym zwrócił się do rodzin. Kiedy nie było już nic do dodania, odwrócił głowę w kierunku ławników.

– Panie przewodniczący? Czy może pan przeczytać, co postanowiono?

– Tak, wysoki sędzie – odparł mężczyzna. Kiedy podniósł arkusz papieru, żeby odczytać decyzję ławników, Rory zamknęła oczy.

– W sprawie zabójstwa pierwszego stopnia Camille Byrd sąd przysięgłych uznaje oskarżonego za... winnego.

W sali natychmiast rozległy się pomruki i płacz. Matka oskarżonego zalała się łzami. Rodzice Camille Byrd stłoczyli się w uściskach i również rozplakali. Rory wstała i ruszyła w stronę wyjścia. Na ogłoszenie czekały inne wyroki, do poruszenia pozostawały kolejne sprawy, ale ona usłyszała wszystko, co chciała. Kiedy przewodniczący sądu przysięgłych czytał dalej ze swojej kartki, Rory otworzyła drzwi prowadzące na korytarz. Zanim jednak wymknęła się z sali, zauważyła spojrzenie Waltera Byrda, ojca Camille, którego poznała podczas swojego polowania na zabójcę. Skinął jej głową i podziękował bez użycia słów. Rory odpowiedziała podobnym gestem i zniknęła za drzwiami.

Rozdział 10

Godzinę po opuszczeniu sali sądowej Rory Moore weszła do sklepu obuwniczego na LaSalle. Przechadzała się sklepowymi alejkami do momentu, w którym znalazła to, czego szukała – buty wojskowe Madden Girl Eloisee. Były wysokie i czarne, z przeplatanymi na krzyż sznurowadłami z przodu. Na ich widok poczuła ucisk w gardle. Nosila tego typu obuwie, od kiedy nauczyła się chodzić, a przynajmniej od kiedy sięgała pamięcią. Później miała niestety przerwę, kiedy jej jedyna para uległa niefortunnemu wypadkowi związanemu z kominkiem i płynem do zapalniczek. Rory powstrzymała się przed zamiarem natychmiastowego kupna nowych. Zamiast tego postanowiła, że zaczeka z tym aż do pomyślnego zakończenia sprawy Camille Byrd. Teraz ściągnęła z półki parę butów w rozmiarze siedem i wsunęła w nie stopy. Natychmiast poczuła się lepiej. Miarowe tykanie w jej mózgu ucichło po raz pierwszy od wielu miesięcy, ciało się rozluźniło i powróciła wewnętrzna równowaga.

Przy kasie podała puste pudełko.

– Wyjdę w nich.

Kobieta stojąca za ladą się uśmiechnęła.

– Żaden problem – odparła, skanując kod kreskowy. – Osiemdziesiąt pięć, siedemdziesiąt dwa.

Rory niepokoiła się faktem istnienia każdego dowodu zakupu, niezależnie od tego, jaki byłby banalny. Nawet zeskanowanie kodu kreskowego uruchomiło alarm w jej głowie, zdawała sobie jednak sprawę, że pewne kroki są nieuniknione. Podała kobiecie pięć dwudziestodolarówek. Gotówka gwarantowała, że nikt nie powiąże transakcji z jej osobą. Ciekawskie umysły, które znały szczegóły z ostatniej połowy ubiegłego roku, mogłyby wypytywać o jej poprzednie buty, a ona nie chciała, by ktokolwiek ich szukał. Tamte stare Madden Girl zmieniły się w zwykłą kupkę popiołu. Niektórzy ludzie mogliby jednak uznać je za dowód, włączając w to jej szefa z departamentu policji w Chicago. Inni, na przykład utalentowani specjaliści od kryminalistyki,

mogliby zabrać tę kupkę popiołu i wyciągnąć z niej ślady przeszłości. Rory chciała zachować przeszłość dla siebie, martwą i głęboko pochowaną. Zapłaciła więc gotówką, licząc na szczęście.

Kiedy wyszła, wyrzuciła sportowe buty do śmietnika. Z nowymi Madden Girls na nogach ruszyła w stronę samochodu z entuzjazmem, jakiego nie czuła od ostatnich sześciu miesięcy.

Rozdział 11

Od strony ulicy dom wyglądał na ciemny i pusty. Z wnętrza sączyło się jednak delikatne światło, które rzucało mdły blask na deski podłogowe z drewna wiśniowego. Rory siedziała przy swoim biurku w pogrążonym w półmroku pomieszczeniu. Wcześniej ustawiła lampkę na elastycznym pałaku tak, by oświetlała leżący przed nią katalog i emanującego niebieską poświatę laptopa. Pracowała intensywnie, choć nie miało to żadnego związku z jej pracą w Departamencie Policji Chicago. Tego wieczoru zajmowała się badaniami. Tego wieczoru śledziła rodowód. Tego wieczoru upewniała się, że jej następny zakup będzie idealny. Upiła łyk mocnego portera ze szklanki.

Ściany jej pracowni obwieszane były półkami, na których stały dwadzieścia cztery odrestaurowane porcelanowe lalki, każda starannie ułożona na swoim miejscu – po trzy na półce, łącznie osiem półek. Dokładnie dwadzieścia cztery sztuki. Każda mniejsza liczba wywoływała w umyśle Rory chaos. Obsesyjnie nie znosiła pustej przestrzeni. Nauczyła się już, by nie kwestionować tego nawyku, podobnie jak wielu innych dziwactw, które definiowały jej osobowość. Starła się raczej nauczyć żyć z nimi w zgodzie. Cieszyła się więc towarzystwem czterdziestu ośmiu niemrugających oczu, które obserwowały ją podczas pracy, kiedy przechodziła od katalogu wypełnionego zdjęciami starych lalek do różnych witryn internetowych, które otwierała na komputerze. Sporządzała obszerne notatki w swoim dzienniku, aż skończyła pracę. Podniosła wtedy szklankę z piwem i wypiła długi, powolny łyk. Znalazła to, czego szukała, jej zapytania potwierdziły autentyczność, a zdjęcia pobrane z sieci udowodniły, że dokonany wybór pilnie wymagał jej ekspertyzy.

Zadowolona z efektów wzięła głęboki oddech i wyjęła z tylnej kieszeni złożony kawałek papieru. Przygotowując się do lotu następnego dnia, wydrukowała rano kartę pokładową American Airlines. Wizja uwięzienia w metalowej rurze na wysokości dziesięciu kilometrów z dwustoma innymi pasażerami

przyprawiała ją o mdłości. Już na samą myśl o tym na jej czole występowały krople wilgoci.

Usłyszała odgłos otwieranych drzwi frontowych i brzęk wyjętych z zamka kluczy.

– Rory?

– Tutaj – zawołała, wsuwając kartę pokładową z powrotem do kieszeni.

Nie odwróciła się. Wyczuła jego obecność w progu, wibracje jego kroków, kiedy do niej podchodził. W końcu dotknięcie warg na szyi. Sięgnęła dłonią za siebie i przesunęła palcami po jego włosach.

– Winny wszystkich zarzutów – powiedział jej do ucha Lane Phillips. – A mówiłaś, że nie jesteś przekonana.

– To był po prostu ostrożny optymizm.

– Doskonała robota. Rozmawiałaś z Walterem Byrdem?

– Tak – odparła, przypominając sobie jego skinienie głową, kiedy wychodziła z sali sądowej. Rory uznała to za rozmowę.

– I co teraz?

– Teraz zniknę na kilka miesięcy.

– Jak sądzisz, ile upłynie czasu, zanim Ron zastuka do drzwi?

Rory wzruszyła ramionami.

– Zaczeka przynajmniej kilka tygodni. Wie, że potrzebuję przestrzeni.

Ron Davidson miał niekończącą się listę spraw o morderstwa i potrzebował do tego pomocy Rory. Spraw, przy których wymiękali jego najlepsi detektywi. Jako rekonstruktor sądowy specjalizujący się w nierozwiązanych przypadkach zabójstw, Rory dysponowała umiejętnością łączenia kawałków układanek związanych z przestępstwami, które leżały na półkach od wielu lat. Jej mózg funkcjonował inaczej niż u innych, a niezwykle umysł dostrzegał rzeczy, które umykały pozostałym. Nieważne, jak bardzo się starała, nigdy nie potrafiła wyjaśnić, w jaki sposób dostrzegała te brakujące elementy, kiedy brała na tapet nierozwiązaną sprawę lub wchodziła na miejsce przestępstwa sprzed wielu lat. Wiedziała jedynie tyle, że kiedy przekazywano jej akta takiego przestępstwa, coś klikało w jej głowie i uniemożliwiało zapomnienie szczegółów, dopóki nie znajdowała odpowiedzi, które umykały wszystkim innym. Do podobnego zjawiska dochodziło za każdym razem, kiedy podnosiła starą, uszkodzoną lub zniszczoną lalkę. Jej umysł nie zaznawał spokoju, dopóki lalka nie stawała się doskonała.

Sprawa Camille Byrd przyniosła Rory dwa pozbawione chwili odpoczynku miesiące, podczas których odtwarzała ostatnie dni życia dziewczyny. Podążała śladami jej ducha, aż doprowadziły ją one do odpowiedzi. Była to rutyna, ale okropnie wyczerpująca. Ron Davidson doskonale znał swoją genialną śledczą i wiedział, kiedy Rory potrzebuje odpoczynku po zamknięciu sprawy. Dwa tygodnie były zwyczajowym okresem, na który zezwalał, zwykle jednak kończyło się na dwóch miesiącach. Luki wypełniały dramatyczne telefony Rona, niekończące się esemesy czy pogróżki o zakończeniu współpracy z chicagowskim departamentem policji. Na koniec dochodziło do polowania, podczas którego Ron tropił Rory w taki czy inny sposób, by postawić jej ultimatum. Jednak tego pierwszego dnia, uzgodnionego ze samą sobą, urlopu szef się nie odezwał. Czowała się jak na letnich wakacjach w czasach dzieciństwa.

– Dwa tygodnie szybko przelecą – powiedział Lane. – Potem będziesz musiała poszukać sobie kryjówki. Ron jest bądź co bądź detektywem i wie, gdzie mieszkasz. Nietrudno będzie mu cię znaleźć.

Rory odwróciła się z uśmiechem do Lane'a.

– Coś mi mówi, że masz na myśli jakąś konkretną kryjówkę.

– Owszem. Poproszono mnie o udział w podcaście nagrywanym przez NBC.

– Na jaki temat?

– Sprawa tej szkoły Westmont z ubiegłego roku.

– Chodzi o te dzieciaki, które zabito w Indianie?

– Tak. Nagrania już trwają i towarzyszy temu wielki rozgłos i poważni reklamodawcy, a do tego wszystkiego mają głośne nazwisko – Mack Carter. Nagrywają w Peppermill w Indianie. Chcą mnie tam ściągnąć na mniej więcej miesiąc, może dłużej, w zależności od tego, na co trafi Mack.

– A potrzebują cię tam do czego, tak właściwie?

Chwycił jej dłonie i pomógł wstać.

– W tej sprawie jest wiele sprzeczności. Morderstwa, oskarżony nauczyciel, uczniowie, którzy przeżyli. Chcą, żebym popatrzył na to pod kątem psychologii.

Przyciągnął ją bliżej do siebie.

– Jedź ze mną.

Rory uniosła brwi.

– Mam jechać z tobą?

– Tak.

– Do Indiany?

Lane skinął głową.

Rory przewróciła oczami.

– A już myślałam, że wpakujesz mnie do samolotu odlatującego na Karaiby.

– Nie, aż tak pięknie to tam nie jest. Ale pojedź ze mną mimo wszystko.

– I mam pracować za ciebie nad jakąś okropną sprawą? Właśnie zakończyłam pracę.

Lane przysunął się tak blisko, że zetknęli się czołami.

– Ja się zajmę badaniami. Ty dotrzymasz mi towarzystwa i ukryjesz się przed Ronem na kilka tygodni. Nie ma szans, żeby znalazł cię w Peppermill.

– To na pewno.

– Przygotowali dla mnie domek. Widziałem zdjęcia. Jest naprawdę uroczy.

Rory przekrzywiła głowę.

– Z kim ja tak naprawdę teraz rozmawiam? Nigdy w życiu nie używałeś słowa „uroczy”. Rzadko też opuszczasz miasto, chyba że lecisz do Nowego Jorku.

– Próbuję cię namówić, żebyś się zgodziła.

– „Uroczy” ci w tym nie pomoże. – Rory cofnęła się lekko i pokręciła głową. – Nie, Lane. Nie mam teraz ochoty na coś takiego. Ty będziesz pracował, a ja co będę tam porabiała? Zwiedzała północno-wschodnią Indianę? Chcę być tutaj, w domu, blisko moich rzeczy, robiąc to, na co mam ochotę w danej chwili. Potrzebuję spokoju.

Lane pokiwał głową.

– Myślałem, że spróbujesz.

Po śmierci jej ojca w ubiegłym roku na tej planecie pozostał tylko jeden mężczyzna, który ją rozumiał. Oczywiście w takim stopniu, w jakim Rory Moore można było zrozumieć.

– Wybacz. Ja po prostu... – Rory wskazała swoje biurko i otwarty katalog z lalkami, który lśnił w świetle lampki. – Muszę mieć trochę czasu dla siebie, żeby uspokoić myśli i wszystko sobie poukładać.

Lane ponownie skinął głową.

– Rozumiem.

Rory przesunęła dłonią po jego policzku i pocałowała go.

– Wiesz, że jestem prawdziwym utrapieniem.

– I tak cię kocham. Nawet jeśli każesz mi pojechać samemu do tego domku w Indianie.

– Podobno jest uroczy?

Lane się uśmiechnął.

– Zagrałem niewłaściwą kartą.

– Nieładnie – odparła Rory. Odwróciła się, zamknęła katalog i podniosła szklankę z portierem. – Czy ta sprawa ze szkoły Westmont nie została rozwiązana? Otwarta i zamknięta? Jeden z nauczycieli pozabijał tych chłopaków.

– To długa historia.

– Mam całą noc.

Lane wskazał jej szklankę.

– Będę potrzebował czegoś takiego.

Rozdział 12

Rory pstrykała przełącznikami, kiedy szli. Najpierw światło wnekowe w korytarzu, potem szereg kuchennych lampek. Wszystkie ustawiła za pomocą ściemniaczy, co zmniejszało moc żarówek i spowijało wnętrze domu tajemniczą, ciemną poświatą. Jako nocny marek już od dzieciństwa – odkąd w wieku dziesięciu lat wyszła tylnymi drzwiami z domku na farmie swojej babki stryjecznej – Rory wolała mroczne kąty ledwie oświetlonych wnętrz niż sterylny blask, który emanował z okien bungalowów ciągnących się wzdłuż jej ulicy. Otworzyła piwniczkę na piwo – chłodziarkę z przeszklonym frontem, wbudowaną w ścianę tuż obok lodówki. Górną półkę zajmował zapas dwunastu sześćsetpięćdziesięciomililitrowych butelek imperialnego stouta w rosyjskim stylu, które ustawiła w trzech idealnie równych rzędach ze skierowanymi do przodu etykietami. Różnił je jedynie wosk, który ściekał z kapsla każdej butelki, co było wynikiem zanurzenia w browarze. Rory tolerowała tę niedoskonałość.

Wiedziała, że Lane nie wypije więcej jej portera, niż ona była w stanie wypić jego jasnego piwa. W tej kwestii bardzo się różnili. Wyciągnęła butelkę corony light z dolnej szuflady. Trzymała je w ukryciu, ponieważ widok szkła wypełnionego jasnożółtym piwem psuł harmonię jej piwniczki.

Odkręciła kapsel i podała butelkę Lane'owi.

– Wracając do szkoły Westmont. Co jest nie tak?

Lane upił łyk piwa.

– Dwaj uczniowie zostali zabici ubiegłego lata w opuszczonym domu na skraju kampusu. Trzy dni po tragedii policja złapała podejrzanego – nauczyciela chemii nazwiskiem Charles Gorman. Zamierzam przyjrzeć się tej historii pod kątem psychologicznym. Zanurzyć się w umyśle Gormana.

– Masz pozwolenie na rozmowę z nim?

– Chciałbym. Próbował się zabić kilka dni po morderstwach, kiedy osaczyła go policja. Skoczył pod pociąg, który jeździ nieopodal tego domu.

– Próbował?

– Tak, i prawie mu się udało, z tego, co słyszałem. Uszkodził sobie mózg w takim stopniu, że ślini się całymi dniami w zamkniętym szpitalu psychiatrycznym dla obłąkanych przestępców. Od kiedy wyszedł ze śpiączki, nawet się nie odezwał, a EEG nie wykazuje, żeby cokolwiek działo się u niego na strychu.

– Wygląda mi to na winnego, który próbował uciec przed swoimi demonami i wyrokiem więzienia.

– Niewykluczone, ale tam jest chyba coś jeszcze. Opracuję profil mordercy i upewnię się, czy Gorman do niego pasuje.

– Dlaczego uważasz, że to nie jest cała historia?

– Bo w ciągu minionego roku trzech uczniów z Westmont, którzy przeżyli tamtą rzeź, wróciło do tego domu, żeby skoczyć pod ten sam pociąg, który wybrał Gorman.

Rory zatrzymała brzeg szklanki przed samymi ustami.

Lane uniósł brwi.

– Mówiłem, że to interesujące. – Wypił kilka łyków piwa. – Coś stało się z tymi uczniami w ubiegłym roku i ciągnie się aż do dziś. Coś, o czym nikomu nie powiedzieli. Oficjalna historia jest zdecydowanie zbyt czysta. Podejrzany nauczyciel, który przyznaje się w ręcznie napisanym liście, a potem próbuje się zabić. Nie kupuję tego, podobnie jak Mack Carter. Przyjrzymy się więc temu razem. – Lane przerwał na moment. – Jesteś pewna, że nie chcesz jechać ze mną?

Rory roześmiała się, żeby zyskać trochę czasu. Pomyślała o poznanym katalogu z setkami starych porcelanowych lalek, który przeglądała. Przypomniała sobie poczucie równowagi, które osiągała dzięki przerzucaniu stron, wrażenie spokoju w zbyt intensywnie używanym ostatnio mózgu. Pomyślała również o karcie pokładowej na odlatujący za dwanaście godzin samolot, którą miała w kieszeni.

– Jestem pewna – przyznała w końcu.

Ale pewna nie była. Historia ze szkoły Westmont sprawiła, że w jej umyśle odezwał się jakiś cichy szept. Pośród pierwszych rodzących się myśli dominowała ta, że ofiary, które wróciły, by odebrać sobie życie, miały coś do opowiedzenia.

Upiła kolejny łyk portera, ale nie mogła przestać myśleć o słowach, które wypowiedział Lane.

Coś stało się z tymi uczniami w ubiegłym roku i ciągnie się to aż do dziś.

Szkoła Westmont

Lato 2019 roku

Sesja 2

Wpis w dzienniku: DZIURKA OD KLUCZA

W drzwiach do sypialni była dziurka od klucza. Stanowiła portal, przez który szpiegowałem znieawidzony przeze mnie świat. Nigdy nie dyskutowano o rzeczach, które przez nią widziałem. Miałem po prostu uwierzyć, że się nie wydarzyły. Ale tak nie było. Choć nie rozmawialiśmy o nich z matką, to one istniały. Widziałem je i jestem pewny, że matka wiedziała, że podglądam przez tę dziurkę. Zawsze się zastanawiałem, czy te rzeczy działy się w polu widzenia dostępnym przez drzwi mojej sypialni z określonej przyczyny. Czy ona prosiła mnie o pomoc?

Uniosłem wzrok znad dziennika. Głos załamał mi się nieco podczas tego ostatniego zdania i dopiero po chwili doszedłem do siebie.

– Przepraszam.

Kobieta siedziała na krześle naprzeciw mnie i czekała. Wzięłem głęboki oddech, spojrzałem na oprawiony w skórę dziennik i powróciłem do czytania.

Rzeczy, które widziałem przez tę dziurkę od klucza, zmieniły moje życie. To właśnie okropności, które obserwowałem przez ten wąski otwór uczyniły mnie tym, kim jestem. Chciałbym móc powiedzieć, że wparowałem przez te drzwi do środka i powstrzymałem mojego ojca. Gdybym to zrobił – gdybym przynajmniej spróbował – może sprawy potoczyłyby się inaczej. Może bym nie żył, ponieważ konfrontacja z moim ojcem w chwilach wściekłości nie odbiegała od konfrontacji z dzikim zwierzęciem. Nigdy jednak nie otworzyłem tych drzwi, żeby ją obronić. Kryłem się w moim pokoju jak słabe i żałosne dziecko, którym byłem, i opuszczałem tę bezpieczną strefę dopiero po zakończeniu wszystkiego. Przynosiłem matce torebkę z lodem na oko albo ręcznik na pękniętą wargę. Czasami nawet pomagałem jej nałożyć makijaż, by zamaskować sińce. Nigdy

jednak nie wyszedłem z pokoju, żeby ją obronić. Opuszczenie go w trakcie trwania masakry mogłoby okazać się zabójcze, choć śmierć byłaby lepsza od tego, co się potem wydarzyło.

Usłyszałem krzyk matki i natychmiast wyskoczyłem z łóżka. Padłem na kolana, przycisnąłem oko do drzwi pokoju i wyjrzałem przez dziurkę od klucza. Do jadalni prowadził krótki korytarz. Zobaczyłem matkę, która przebiegła na drugi kraniec stołu, próbując znaleźć przeszkodę dzielącą ją od mojego ojca. Nic jednak nie było w stanie go zatrzymać, a już z pewnością nie stół w jadalni. W ciasnym świetle mojej dziurki od klucza pojawił się jakiś kształt. Ojciec stał tyłem do moich drzwi, zwrócony w stronę matki. Zastłaniał mi widok, więc jej nie widziałem. W sumie poczułem ulgę, nie mogąc patrzeć na jej spanikowaną twarz, jakby niemożność ujrzenia czegoś strasznego sprawiała, że to coś po prostu znika.

– Przestań – powiedziała matka. – Naprawię to.

Ojciec mocno zaciskał szczęki – słyszałem to dobrze w jego głosie.

– Kto. Ją. Zniszczył?

Od razu wiedziałem, o czym rozmawiają. Lampa przed domem. Stłukła się, kiedy bawiłem się piłką z dzieciakiem z sąsiedztwa. Wykonałem fatalny rzut i piłka trafiła prosto w szklany panel, rozbijając go na kawałki i rozsypując odłamki szkła po całym podjeździe. Matka zamaskowała uszkodzenia najlepiej, jak potrafiła, zamiatając szkło z nadzieją, że brakujący panel nie zostanie zauważony do momentu, w którym będzie mogła go wymienić. Taki mieliśmy plan. Teraz nie miałem już wątpliwości, że spalił na panewce.

– Nie wiem, kto ją rozbił, Raymond, ale jutro ją naprawię.

– Ty ją naprawisz?

– Zadzwońię po kogoś, kto to robi.

– I kto twoim zdaniem za to zapłaci?

Ojciec przesunął ręką po blacie, zrzucając na podłogę wszystko, co na nim stało. Dla mojego obłąkanego ojca sianie zniszczenia w domu i doprowadzanie do uszkodzeń kosztujących setki dolarów było właściwą reakcją na trud finansowy związany z wymianą rozbitej szybki.

Mogłem wtedy otworzyć te drzwi. Powinienem być wyjść na korytarz i wziąć odpowiedzialność za to, co się stało. Ale nie zrobiłem tego. Pozostałem na kolanach i patrzyłem przez dziurkę od klucza, jak ojciec sięga ponad stołem, chwytając moją matkę za włosy i wciąga ją na blat. Pobił ją tamtego wieczoru.

Obserwowałem go przez cały czas. Patrzyłem, jak mężczyzna, którego nienawidziłem, bił kobietę, którą kochałem.

Następnego dnia mój ojciec już nie żył.

Uniosłem zakładkę, ułożyłem ją starannie w zgięciu dziennika i zamknąłem go. Ręce mi lekko drżały. Kiedy w końcu spojrzałem na siedzącą naprzeciw kobietę, dostrzegłem w jej oczach współczucie. Tak przynajmniej zinterpretowałem jej spojrzenie. Ułożyłem dłonie na udach i nieco się odprężyłem. Sesje terapeutyczne zawsze przynosiły mi spokój, chociaż odsłaniałem na nich swoją duszę i ujawniałem najskrytsze tajemnice. A może właśnie to mi pomagało.

– Niechętnie o nim mówiłem. Wiem, że budzi ciekawość. Czy mogę teraz opowiedzieć o moim ojcu?

Kobieta zamrugowała kilkakrotnie. A może w tych oczach nie było współczucia, tylko krył się w nich zwykły żal? Albo coś bliższego przerażeniu. Tak czy inaczej, takie były reguły. Przychodziłem, żeby ujawnić swoje sekrety i wygonić demony. Ją wiązała tajemnica zawodowa, wieczne milczenie na temat moich grzechów. Jeśli ją wystraszyłem, to był to jedynie nieszczęśliwy efekt uboczny naszej relacji. Nie mogłem bowiem przestać się teraz spowiadać, nawet jeśli tego chciałem. I nie zrobiłem tego.

– Chcę opowiedzieć o tym, jak umarł. Policja uznała jego śmierć za samobójstwo, ale tak nie było. Mogę to wyjaśnić? Czy nie będzie tego zbyt wiele jak na jedną sesję?

– Absolutnie nie – odparła kobieta.

Skinałem głowę.

– Świetnie. Do zobaczenia za tydzień.

Wstałem, ściskając dziennik, i wróciłem do kampusu.

Rozdział 13

Wciśnięta w północno-wschodni narożnik stanu Indiana, nad brzegiem jeziora Michigan, w sennym miasteczku Peppermill, elitarna szkoła średnia Westmont cieszyła się dobrą reputacją ze względu na program przygotowujący uczniów do rygorów nauki w college'u. Stosowane tam praktyki były surowe, oczekiwania wysokie, a osiągnięcia niepodważalne. Sto procent uczniów uczęszczających do szkoły Westmont kończyło później czteroletni uniwersytet. Był to nie lada wyczyn, zważywszy na uczniów, którzy tworzyli tamtejsze środowisko. Oprócz snobów mających bogatych rodziców, uzdolnionych kujonów i nadgorliwców, surowa dyscyplina panująca za murami szkoły przyciągnęła również trudnych i buntowniczych nastolatków, którzy znaleźli się na życiowym rozdrożu. Byli też uczniowie, których rodzice na tyle szybko dostrzegli nadchodzące kłopoty, że w porę oddali ich do Westmont z myślą o oszlifowaniu charakterów, zanim będzie na to za późno. Znaleźć można było również takich, których rodzice zdecydowanie za późno uświadomili sobie powagę sytuacji, w której znajdowały się ich dzieci. Rodzice ci odkryli Westmont dopiero po serii kłopotliwych zdarzeń, które wymagały planowania, targowania się i ustępstw, aby zapobiec konsekwencjom ciągnącym się przez całe dalsze życie. Ci wypaleni rodzice wysłali swoje dzieci do Westmont, ponieważ obawiali się, że jeśli nie trafią one do szkoły z internatem, to alternatywą będzie wyłącznie więzienie. Jednak pomimo tego wymieszanego towarzystwa uczniowskiego praktyki i zasady obowiązujące w Westmont stawiały wszystkich w równym szeregu. Stosowano tam regułę izolacji i edukacji, sprawdzoną w wielu szkołach z internatem w całym kraju.

Architektura kampusu stanowiła odzwierciedlenie typowej elitarnej szkoły ze Wschodniego Wybrzeża, włącznie z budynkami z wapienia porośniętymi bluszczem, który piął się wokół okien i docierał aż do dachów, gdzie gzymsy niczym strażnicy przypatrywały się całej okolicy. Fronton biblioteki – pierwszego budynku widocznego po przekroczeniu bramy – tworzyła masywna,

trójkątna ściana szczytowa, wspierana przez grube, solidne kolumny. W kamieniu wyryte było motto szkoły: *Veniam solum, relinquatis et. Przybądź sam, odejdz wspólnie.*

Gavin Harms i Gwen Montgomery minęli budynek. Wieczne powietrze było ciężkie od wilgoci i choć dochodziła dwudziesta druga, długi, letni dzień wciąż pozostawiał po sobie ostatnie ślady słońca – miękką poświatę na horyzoncie, która nadała części nieba łososiową barwę. Ich przyjaciele, Theo i Danielle, szli tuż obok. Cała czwórka trzymała się razem już od Dnia Bramy, ceremonii, podczas której uczniowie zgłaszali się w kampusie na początku każdego roku szkolnego. Kiedy zjawiali się przed bramą wjazdową, to niezależnie od tego, czy byli świeżakami, czy też zaprawionymi w bojach szkolnymi weteranami, zostawali sami. Rodzicom nie wolno było wejść na teren kampusu podczas Dnia Bramy. Od momentu, kiedy uczeń przekraczał bramę z kutego żelaza, zdany był już wyłącznie na siebie. Najbardziej cenioną wartością w szkole Westmont była niezależność. Od uczniów wymagano tutaj odnalezienia swojej własnej drogi i opracowania własnego systemu wsparcia za murami. Przybądź sam, odejdz wspólnie.

Wielu lądowało w Westmont jako zbuntowani nastolatki marzący o oderwaniu się od swoich rodziców. Dla niektórych jednak ceremonialne zamknięcie wejścia w Dniu Bramy oznaczało wkroczenie w nową rzeczywistość. Część z nich płakała. Inni trzymali się kurczowo żelaznych prętów jak więźniowie w celi i błagali o możliwość powrotu do domu. Niektórzy śmiali się z tej dramatycznej symboliki, po czym kierowali swoje kroki do pokoi w domu studenckim. Ci bystrzy nawiązywali przyjaźnie i trzymali się razem. Gavin Harms, Gwen Montgomery, Theo Compton i Danielle Landry nie rozstawali się od samego początku, a teraz rozpoczynali kurs letni przed kolejnym rokiem.

Dotarli do Margery Hall i skręcili w prawo, żeby uniknąć głównego wejścia, gdzie woźna z pewnością zaczęłaby ich wypytywać, dlaczego wracali do domu studenckiego tuż przed ogłoszeniem ciszy nocnej. Z pewnością zainteresowałby ją również plecak Gavina, wypchany po brzegi puszkami budweisera. Aby tego uniknąć, zdecydowali się na tylne wejście. Zanim dotarli do drzwi, te otworzyły się gwałtownie, przygotowując ich o palpitację serca. W progu stanął Tanner Landing.

– Macie moje piweczka, sukinsyny?

W szkole Westmont wytworzyły się interesujące schematy przyjaźni. Niektóre opierały się na wspólnych interesach i naturalnym przyciąganiu. Inne pozostawały wymuszone, powstawały w ciasnych kątach kampusu i domu studenckiego.

Tanner Landing był częścią grupy już od zakończenia pierwszej klasy. Powstała ona, kiedy większość uczniów wróciła na lato do domów, z wyjątkiem garstki dzieciaków, których rodzice zmusili do pozostania na letnim kursie. W trakcie roku szkolnego Tannera dawało się uniknąć. Latem Gavin i jego przyjaciele byli na niego skazani.

– Wystraszyłeś mnie jak cholera – powiedziała Gwen, przepychając się obok Tannera na tylny korytarz domu studenckiego.

Dziewczyna Tannera, Bridget, przeprosiła za jego głupotę.

– To zwykły neandertalczyk – wyjaśniła.

Gavin i Theo dzielili wspólny pokój, weszli więc do środka i zamknęli za sobą drzwi. Po chwili zasłonili żaluzje. Gavin rozpiął plecak i zaczął rozstawiać piwa.

– Ja przeczytam – powiedział Tanner. Wypił trzy szybkie łyki i głośno beknął. Uniósł telefon i spojrzał na ekran.

Człowiek z lustra prosi o twoją obecność

13:3:5

Sobota, godzina 22:00

– To w tym starym domu dla nauczycieli, prawda? – zapytała Gwen.

– Tak – przyznał Gavin. – Niedaleko drogi numer siedemdziesiąt siedem. Będziemy musieli przejść przez las i okrążyć kampus. Kto jeszcze dostał zaproszenie?

– Tylko nasza szóstka – odparł Tanner.

Gwen się rozejrzała.

– Naprawdę chcemy to zrobić?

– Jesteśmy młodsi – rzucił Tanner, po czym dokończył piwo i znów beknął. – Jasne, że chcemy! To rytuał przejścia.

Rozdział 14

Marc McEvoy zszedł do swojej piwnicy. Klimatyzacja utrzymywała na parterze i piętrze znośną temperaturę, jednak w miesiącach letnich Marc preferował piwnicę. Zimna ziemia promieniowała przez fundamenty domu i utrzymywała tam temperaturę o kilka stopni niższą niż w pozostałej części domu. Jednak piwnica była jego ulubionym miejscem nie tylko z powodu chłodu. To tam ukrył swoją tajemnicę.

Rok wcześniej, po ukończeniu budowy piwnicy, zrobili tam nieduży bar, dzięki czemu teraz mógł wraz z żoną zapraszać do siebie przyjaciół na weekendowe spotkania, co obydwójce uwielbiali. Ubiegłej zimy wielokrotnie wchodził ze znajomymi na powleczonej epoksydem dąb, żeby oglądać rozgrywki Coltsów.

Podszedł do szafki za barem i otworzył drzwiczki. Wewnątrz znajdowała się jego kolekcja kart baseballowych. Gromadził ją od dzieciństwa, dokładając kolejne sztuki każdego roku. Obecnie obejmowała ona lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte, a tam takie perełki, jak Johnny Bench i Big Red Machine, jak również lata dziewięćdziesiąte i początek nowego stulecia, kiedy w grze zaczęły królować sterydy. Znajdowała się w niej również nowa generacja zawodników, których definiowały nieistniejące wcześniej statystyki. Kolekcja była imponująca. Niektóre karty pochodziły z serii Topps, które można było znaleźć w gumach do żucia, inne z serii Goudy Gum Company i Sporting News. Gdyby kiedykolwiek zdecydował się wystawić je na aukcji, z pewnością osiągnęłyby przyzwoitą cenę. Ale Marc nie planował sprzedawać swojego zbioru. Tego dnia, kiedy ściągnął z półki pierwsze pudełko, interesowało go coś zupełnie innego niż karty. To była jego druga obsesja wywodząca się jeszcze z czasów, kiedy chodził do szkoły Westmont.

Położył album na barze, rozpiął okładkę i otworzył dwie przegródki, żeby dostać się do swojej kolekcji. Znajdujące się wewnątrz karty baseballowe ułożone były w ciasnych rzędach. Na górze znajdowało się kilka arkusików plastikowego laminatu ze szczelinami na karty, które przechowywał

w doskonałym stanie. Na tych chronionych sztukach spoczywały jego notatki i badania. Zawsze ukrywał je w tym właśnie miejscu. Żona Marca nie interesowała się kolekcją jego kart, a on był pewny, że jego tajemnica jest tam zupełnie bezpieczna. Pierwszy artykuł pochodził z „Peppermill Gazette”, lokalnego dziennika, który nie cieszył się liczną grupą czytelników w czasach jego nauki w Westmont i którego redakcja po pewnym czasie zbankrutowała. Artykuł ten znalazł w bibliotece, kiedy był w pierwszej klasie. Opublikowano go w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim. Przeczytał jego treść.

Wewnątrz tajnego stowarzyszenia szkoły Westmont

Gdyby zapytać o tę sprawę dyrektora elitarniej szkoły średniej Westmont lub któregośkolwiek z pracujących tam nauczycieli i zadać pytanie, czy to prawda, że w szkole funkcjonuje tajne stowarzyszenie, odpowiedzią byłoby głośne i zdecydowane „nie”. Jeśli jednak zapytać uczniów, odpowiedzieliby oni, że nie dość, że takowe stowarzyszenie istnieje, to na dodatek ma się bardzo dobrze. Nie warto byłoby jednak liczyć na bardziej szczegółowe wyjaśnienia. W większości byłyby to domniemania i plotki dotyczące niepowodzeń tego sekretnego klubu, który otumania nowych członków i przygotowuje niewybredne żarty skierowane przeciwko niczego niespodziewającym się uczniom i nauczycielom. Nie sposób uzyskać konkretne informacje czy poznać fakty, ponieważ żaden z uczniów nie przyznaje się do aktywnego członkostwa. Dyrektor usprawiedliwia ten brak szczegółowej wiedzy na temat działalności klubu i tłumaczy, że idea jego istnienia funkcjonuje jedynie w głowach uczniów i stała się czymś w rodzaju szkolnego folkloru, legendy. Jak podkreśla dyrektor, jest to wymysł jego podopiecznych. A może na temat grupy słyszy się tak niewiele dlatego, że jej członkowie przysięgają dochować tajemnicy?

Marc odłożył artykuł na bok i spojrzał na dużo nowszy fragment opublikowany w „Indianapolis Star”. Jego autorką była zajmująca się sprawami kryminalnymi dziennikarka nazwiskiem Ryder Hillier. W długim tekście opowiedziano historię tajnych stowarzyszeń w amerykańskich szkołach średnich, dotknięto tematu najsłynniejszych bractw ze szkół z Ligi Bluszczowej na Wschodnim Wybrzeżu, a pod koniec skupiono się na organizacji działającej za murami najbardziej prestiżowej szkoły dla elit w całym stanie Indiana.

Szkoła Westmont słynęła z dyscypliny i surowych nauczycieli. Często gościła w rankingach najlepszych placówek z tej kategorii i cieszyła się stuprocentowym wskaźnikiem pomyślnych przyjęć na czteroletnie uniwersytety. Ryder Hillier zagłębiła się w temat tajnej grupy działającej

w Westmont bardziej niż którykolwiek inny dziennikarz, na którego natrafił Marc. W jakiś sposób dotarła nawet do jej nazwy – Człowiek z lustra – i miejsca spotkań, sekretnej lokalizacji oznaczonej trzema liczbami, trzynaście-trzy-pięć. Marc wiedział, że są one wskazówką dotyczącą położenia wejścia do lasu przy drodze numer siedemdziesiąt siedem i pozwalają trafić do starego domu nauczycielskiego.

W tym punkcie jednak fakty przytaczane przez Ryder Hillier zupełnie wysychały. Artykuł kończył się cytatem usłyszanym od dyrektora szkoły, doktor Gabrielli Hanover, która zaprzeczyła istnieniu takiego stowarzyszenia, utrzymując, że szkoła Westmont nie pozwala na formowanie elitarnych i tajemniczych klubów oraz że kadra nauczycielska nigdy nie dopuściłaby do funkcjonowania stowarzyszenia uczniowskiego, nad którym nie sprawowałaby pełnej kontroli.

Marc uczęszczał jednak do Westmont i jako absolwent wiedział doskonale, że takowy klub istnieje. Przeczekał pierwszą i drugą klasę, żeby skorzystać z szansy i zostać członkiem stowarzyszenia, miał bowiem świadomość, że jego członkowie to wyłącznie uczniowie starszych klas. Kiedy nadeszła jednak właściwa pora, został odrzucony, co przypłacił porządną depresją. Kilku spośród jego bliskich przyjaciół zostało przyjętych, a kiedy przeszli inicjację, zupełnie o nim zapomnieli. Przetrwał cały rok w samotności i izolacji, a kiedy w końcu padł ofiarą żartów ze strony grupy, Marc McEvoy uznał, że ma już dość Westmont, i przeniósł się do szkoły publicznej. Był to żalony koniec jego doświadczeń ze szkoły średniej, a w ostatniej klasie nie opuszczały go czarne myśli dotyczące samobójstwa. Ze szponów załamania wyrwał się dopiero po odkryciu nowego systemu wsparcia w college'u. Poznał swoją przyszłą żonę, ukończył szkołę, rozpoczął karierę zawodową i założył rodzinę. Nigdy jednak nie zapomniał o tajnym stowarzyszeniu z Westmont, którego częścią tak bardzo pragnął zostać. O stowarzyszeniu, które go skreśliło. Marc McEvoy nie tylko nie potrafił zapomnieć o Człowieku z lustra, lecz wpadł wręcz w pewną obsesję z tym związaną. Poświęcił wiele lat na to, by dowiedzieć się jak najwięcej na temat grupy i jej rytuałów.

Tego wieczoru, kiedy jego rodzina odpoczywała już w łózkach na piętrze, wyjął artykuły ukryte wśród kart baseballowych i rozłożył je na blacie. Otworzył laptopa i w wyszukiwarce wpisał „Człowiek z lustra”. Był czerwiec, a wiedział, że inicjacja nowych członków ma miejsce w trakcie letniego

przesilenia. Przewiął treść kilku stron internetowych. Większość z nich przeczytał już niezliczoną ilość razy, jednak co pewien czas napotykał coś nowego.

Nie był już nastolatkiem. Tego typu sprawy nie powinny go interesować, a odrzucenie sprzed tak wielu lat nie powinno już tak bardzo boleć. Jego umysłem wciąż jednak rządziła ciekawość, a ego nadal cierpiało po tamtej odmowie. W głowie zaświtało mu dziwne pytanie, jak na początku każdego lata: „co powstrzymało go przed pójściem do tego opuszczonego domu w lesie?”.

Kiedy uczęszczał do Westmont, łatwo ulegał wpływom i dawał się zastraszyć, więc blokował go przed tym strach. Ale tego wieczoru niczego się już nie bał. Teraz był po prostu ciekaw i chciał wiedzieć o tym micie wszystko. Kiedy przekładał swoje wycinki i przewijał strony w internecie opisujące legendę Człowieka z lustra, uświadomił sobie, że jego głód podsyca nie tylko ciekawość. Podczas tego ciepłego letniego wieczoru, w chłodzie swojej piwnicy, w końcu zdołał określić tę emocję.

Był to gniew.

Część 3

Sierpień 2020 roku

Rozdział 15

Klaustrofobia, niepokój społeczny i silna potrzeba zapewnienia sobie kontroli nad otoczeniem sprawiały, że Rory Moore za wszelką cenę unikała podróży samolotem i zgadzała się na nią wyłącznie wtedy, kiedy nie miała innego wyjścia. W ciągu ostatnich lat próbowała już różnych rozwiązań – od medytacji (która przyciągała uwagę współpasażerów zamiast przynieść odmienny, pożądany rezultat) po leki (Benadryl i Advil PM doprowadziły do tak silnych wymiotów, że jeden z lotów już na stałe utkwiał jej w pamięci) i podejście w rodzaju „siedź na środkowym fotelu, zamknij oczy i nie ruszaj się przez cały lot” (raz, tylko raz i nigdy więcej).

Klasa ekonomiczna – dwa razy po trzy siedzenia, pasażerowie ściśnięci jak sardynki i przepychający się z trudem, żeby pójść do toalety współużytkowanej przez dwieście innych osób – już od wielu lat nie wchodziła w rachubę. Pewnego razu, kiedy Rory i Lane okazali się niezbędni w Nowym Jorku przy sprawie prowadzonej przez Murder Accountability Project[1], zamożny klient zgodził się na wyczarterowanie samolotu po tym, jak Lane przekonał go, że to dla nich jedyny sposób, by przemieścić się na Wschodnie Wybrzeże. Lane mógł oczywiście polecieć sam, zarezerwować lot komercyjny i czytać przez dwie godziny książkę, jak wszyscy pozostali. Ale tego nie zrobił. Naciskał na prywatny czarter i dopiął swego.

Rory kochała go za coś więcej niż tylko wygląd i przenikliwy umysł. Ten człowiek ją akceptował pomimo wszystkich jej upierdliwych przypadłości. Kochał ją taką, jaka była, i nigdy nie próbował jej zmieniać, co usiłowało zrobić wielu innych mężczyzn w jej życiu – od psychologów, przez nauczycieli, po współlokatorów w akademiku na studiach prawniczych i profesorów.

Kiedy straszliwie drogi prywatny samolot nie wchodził w grę, kolejną dopuszczalną możliwością stawała się pierwsza klasa. Rory wybrała miejsce przy oknie i zanim pojawił się współpasażer z sąsiedniego fotela, zdążyła się odgrodzić dwiema poduszkami i kocem. Położyła sobie na kolanach pracę

doktorską Lane'a z czasów jego studiów, a wyróżniająca się okładka z tytułem *Niektórzy wybierają ciemność* kojarzyła się jej z wieszaniem plastikowej sowy przy domu, żeby odstraszyć dzięcioły. Rory założyła też maseczkę ochronną na twarz. Siedziała na miejscu 2A. Jeśli ktoś na nią spojrzał, mógł ją skojarzyć z seryjną morderczynią, która czyta właściwy temu zajęciu podręcznik, i albo próbuje uchronić się przed latającymi w powietrzu wirusami, albo sama jest na coś chora. Wyglądała, jakby myślała o dniu, w którym zabije kolejną ofiarę.

Rory wiedziała, że siedzenie obok niej w samolocie nie może być żadną przyjemnością, ale jej wysiłki się opłaciły. Mężczyzna na miejscu numer 2B usiadł bez słowa i przez cały trzygodzinny lot do Miami nie odezwał się nawet słowem.

[1] Organizacja non-profit rozpowszechniająca informacje o zabójstwach, zwłaszcza nierozwiązanych zabójstwach i seryjnych morderstwach popełnionych w Stanach Zjednoczonych (przyp. tłum.).

Rozdział 16

Fakt, że Lane zaprosił ją do wspólnej pracy w Indianie, Rory uznała za uroczy i im dłużej o tym myślała, jadąc na północ z międzynarodowego portu lotniczego w Miami, tym więcej jego słów wywoływało u niej emocje, które wolą uznać za uśpione. Nie miała już żadnej bliskiej rodziny, z którą mogłaby spędzać czas, więc kliniczna i analityczna część jej mózgu podpowiadała, że poczucie winy za utracone okazje do spędzenia z nią czasu było wyłącznie stratą energii. Mimo to emocjonalny obszar jej umysłu twierdził, że nie powinna powtarzać błędów z przeszłości i nie może zaniedbać jedyne go związku, który pozostał jej w życiu. Po wydarzeniach z ubiegłego roku Rory zastanawiała się, czy jej życie nie wymagało poważnego przeglądu. A może drobnego przewartościowania priorytetów i refleksji na temat tego, co dla niej ważne?

Jedź ze mną.

Wciąż słyszała słowa Lane'a i w żaden sposób nie potrafiła ich uciszyć. Próbowwała przekierować swoje uczucia w tę część mózgu, w której mogłaby je czymś przykryć, przechować i oddalić od siebie w podobny sposób, jak czyniła to z innymi kłopotliwymi myślami, niedającymi jej w ostatnim czasie spokoju i grozącymi pełnym wykojeniem. Każdy dzień przynosił prawdziwą burzę emocji. To wywoływało pożar w jej mózgu. Kiedy czymś nie martwiła, popadała w obsesję. A kiedy nie popadała w obsesję, zaczynała planować. Jej umysł nigdy się tak naprawdę nie uspokajał. W ciągu kilku lat nauczyła się zarządzać tą przypadłością poprzez segmentację swoich myśli. Obsesyjna potrzeba pchała ją do wykonywania przyziemnych i zbędnych czynności, na przykład kontrolowania prędkościomierza albo upewniania się, czy zapaliła reflektory. Układała je w głowie w taki sposób, by nie ignorować tej potrzeby, ale odkładać ją w czasie. Chowała te pragnienia w miejscu, w którym nie wchodziły one w interakcję z codziennym życiem. Później ściągała powłokę, kiedy mogła w końcu zrealizować je w elegancki i uporządkowany sposób. Przechodziły one

w miejsce, w którym mogły swobodnie istnieć, nie wpływając na jej życie. Ten proces pozwalał Rory kupić trochę czasu: umożliwiał życie z dala od zbytecznych żądań mózgu.

Jedną z czynności, które jej w tym pomagały, było czytanie akt spraw w roli sądowego rekonstruktora. Powtarzalność tekstów i kolejnych transkrypcji z przesłuchań, analizowanie raportów z autopsji aż do zapisania każdego obrazu w głębi umysłu, ślęczenie nad notatkami detektywów i spisami dowodów oraz przyglądanie się zdjęciom z miejsc przestępstwa tak długo, aż mogła zobaczyć je z zamkniętymi oczami, były doskonałym ćwiczeniem dla umysłu, który nigdy się nie wyłączał. W świecie rekonstrukcji sądowej jej przypadłość była swoistym błogosławieństwem.

Z dala od pracy istniała inna czynność stanowiąca remedium dla jej obsesyjnych potrzeb. Odkryła ją, kiedy była małą dziewczynką, jeszcze zanim zrozumiała, że jej umysł pracuje w sposób, który inni określali jako nietypowy. Zanim zrozumiała, że obrazy i wiedza bez końca przewijające się w jej myślach stanowią zaczątek pamięci fotograficznej. Zanim zrozumiała, że poziom jej inteligencji przebija wszystkich, których знаła. Zanim się zorientowała, że tak duże zaawansowanie w jednej dziedzinie powoduje zaniedbanie innych obszarów życia, na przykład relacji osobistych i interakcji społecznych. Zanim diagnostyka autyzmu stała się w medycynie popularna, do utrzymywania jej stanu pod kontrolą stosowano inną technikę. Opanowała tę umiejętność, kiedy jako dziecko spędzała czas na farmie swojej ciotki. Teraz, kiedy kluczyła ulicami Miami, planowała upolować przedmiot, który umożliwi jej wykorzystanie talentu odkrytego w dzieciństwie. Pozwoli jej to żyć przez dwa miesiące bez trosk, że jej dziwactwa i nawyki będą ją dręczyły.

Z trudem przychodziło jej jednak posegmentowanie uczuć, które wywołało zaproszenie ze strony Lane'a. Im bliżej celu się znajdowała, tym większe odczuwała zniecierpliwienie i tym bardziej zastanawiała się, czy uczucia wobec mężczyzny, którego kochała, nie powinny zostać ułożone tuż obok tych wszystkich nękających ją myśli powodowanych jej zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi.

Mimo to próbowała. W taki właśnie sposób funkcjonowała Rory Moore.

Rozdział 17

Dochodziła północ, kiedy zapłaciła czterdzieści pięć dolarów za parkowanie na trzypoziomowym parkingu w centrum Miami. Konstrukcja oświetlona była bladym światłem jarzeniowym, którego Rory nie zniosłaby w swoim domu, ale które tutaj, w nieznanym jej mieście, doceniała. Jej serce biło w alarmującym tempie, a pachy i plecy pokryły się potem. Opuściła garaż i przez dziesięć minut przechadzała się uliczkami w centrum. Trasy nauczyła się już poprzedniego dnia. Jej zegarek wydał z siebie dźwięk. Pozostało dziesięć minut do północy, więc przyspieszyła tempo. Ulice Miami pełne były spacerujących par i przechodniów, kiedy jednak zeszła z jednej z głównych ulic i znalazła się w bocznej alei, została zupełnie sama. Uliczne oświetlenie ograniczono tu do minimum, a stukanie jej wojskowych butów odbijało się echem od ceglanych budynków. Dostrzegła przed sobą neon i uświadomiła sobie, że dotarła na miejsce. Było tam dokładnie tak, jak sobie wyobrażała. Na stronie internetowej nie zamieszczono żadnych zdjęć, jedynie adres i szacunkową godzinę rozpoczęcia aukcji.

Oświetlony daszek z taniego materiału przedstawiał to miejsce czerwonymi literami układającymi się w napis „DOMEK DLA LALEK”. Wejście do środka wymagało od Rory pokonania czterech stopni w dół i przejścia przez drzwi frontowe. Kiedy znalazła się wewnątrz, mężczyzna o byczym karku i tępym spojrzeniu uniósł podbródek.

– Ja na aukcję – oznajmiła.

Tamten mruknął coś w odpowiedzi.

– Tylnymi drzwiami. Jest nieduże opóźnienie.

Przestronna tawerna była ciemna i posępna, ale dość zatłoczona. W powietrzu unosił się zapach przypalonych burgerów, a liczne śmiechy i głośne rozmowy sprawiały, że coś zaciskało się wokół piersi Rory. Zmusiła się do oddychania, rozglądając się dookoła, i zauważyła drzwi na tyłach. Najpierw

jednak podeszła do baru. Rząd kurków przedstawiał żałosny widok – same rozwodnione, jasne piwa.

– Co podać? – zapytał barman.

– Macie może piwa od Three Floyds?

– Three-co?

Rory potrząsnęła głową i przyjrzała się butelkom stojącym na półce za barem.

– Lagunitas PILS.

Barman sięgnął do chłodziarki, odkręcił kapsel i postawił piwo na ladzie przed Rory. Położyła pieniądze na blacie, zabrała butelkę i ruszyła w stronę pomieszczenia na tyłach. Północ już minęła. Na zewnątrz czekał jakiś facet i Rory machnęła wydrukowanym biletem, który tamten potraktował jako uprawnienie do wstępu. Kiedy przeszła do kolejnego pomieszczenia, domek dla lalek okazał się nieco bardziej imponujący. Oświetlenie było tutaj jaśniejsze, co mocno kontrastowało z wnętrzem tawerny za drzwiami. Na ścianach ciągnęły się szklane gabloty wypełnione zbiorami porcelanowych lalek. Inni kolekcjonerzy, którzy bez wątpienia siedzieli tutaj od paru godzin, wypełniali pomieszczenie. Wszyscy przyglądali się lalkom i poznawali ich historie. Rory odrobiła już zadanie domowe i znalezienie lalki, na której jej zależało – Armand Marseille Kiddiejoy German w kiepskim stanie – zabrało jej nie więcej niż dwie minuty. Patrzyła teraz na nią przez szybę.

Zanim jednak zdołała przyjrzeć się lepiej, okazało się, że musi wprowadzić swój numer identyfikacyjny do dziennika. Wpisała się na stronie i doliczyła się dwunastu innych wpisów, co oznaczało, że czekała ją licytacja. Nie miała planu awaryjnego, a Armand Marseille była jej jedyną opcją. Poznała historię tej lalki i pokonała dwa tysiące czterysta kilometrów, żeby ją kupić. Niczego więcej nie planowała.

Przyciągnęła uwagę jednego z licytatorów, który otworzył zamek szklanej gabloty. Rory zdjęła lalkę z półki. W jej mózgu trzaskały teraz prawdziwe błyskawice. Nie było to typowe doświadczenie pozacielesne, ale w tym właśnie momencie Rory nie trzymała po prostu lalki, lecz stała się jej częścią. Jej wzrok nie zatrzymał się na powierzchni porcelany, lecz wniknął do wnętrza. Porcelanowa twarzyczka pokryta była siatką pęknięć, a na lewym policzku i uchu brakowało dużych fragmentów. Po prawej stronie głowy lalki znajdowało się pozbawione włosów miejsce, w którym mało uzdolniony konserwator podjął próbę naprawy pęknięcia – z żałosnym skutkiem. Efekt tak bardzo zdradzał

amatorszczyznę, że Rory zastanawiała się, jak ktoś tak mało doświadczony mógł wejść w posiadanie takiej klasycznej lalki. Jednak nawet ta profanacja wywołała u Rory podniecenie. Jej wzrok przeniknął lalkę, by mogła zobaczyć ją od środka. Jej umysł był ślepy na uszkodzenia i wyobrażał sobie jedynie możliwości. Potencjał związany z lalką wręcz ją oszalał.

– Wszystko w porządku? – zapytał licytator.

Skinęła głową i oddała lalkę. Dziesięć minut później siedziała na tyłach salki aukcyjnej, sącząc Lagunitas i czekając. Tego dnia zaplanowano cztery aukcje. Ta była ostatnia. Nieskazitelne lalki zostały sprzedane kolekcjonerom, którzy pragnęli zabrać je do domu i ustawić na półkach obok innych doskonałych figurek. Rory nie interesowały nieuszkodzone lalki. One nie miały żadnej historii, nie kryły tajemnic. Ich sztuczne żywoty zostały już opowiedziane. Preferowała niedoskonałe egzemplarze, które utraciły połączenie ze swoimi poprzednimi właścicielami i pilnie wymagały czułości oraz uwagi.

Dokończyła piwo i zamówiła następne, podczas gdy licytujący kupowali kolejne idealne lalki. Po zakończeniu wszystkich licytacji, tłumek w podziemnym pomieszczeniu się przerzedzał. Kiedy wystawiono postrzępione i popękane lalki, zostało w nim nie więcej niż dwadzieścioro kolekcjonerów. Dochodziła pierwsza w nocy.

– Następna – ogłosił licytator. – Armand Marseille. Ma pewne uszkodzenia na twarzy i uchu, ale w pełnym rozkwicie...

– Trzy tysiące – zawołała Rory.

Mężczyzna uniósł wzrok znad lalki.

– Kwota otwarcia wynosi siedemset pięćdziesiąt.

Rory wstała i podeszła w stronę podium, stukając wojskowymi butami.

– W takim razie trzy tysiące powinny załatwić sprawę?

Licytator popatrzył na kolekcjonerów zgromadzonych w pomieszczeniu.

– Po raz pierwszy? Po raz drugi? Sprzedana za trzy tysiące dolarów pani ubranej na szaro.

Rozdział 18

Lane spędził dwa dni na dogłębnej analizie zabójstw w szkole Westmont, próbując dowiedzieć się wszystkiego, co możliwe na temat tej sprawy. NBC przygotowało dla niego teczkę z dokumentami, ale on miał własne źródła i przez ten czas zagłębiał się w temat z niebywałą zaciętością. Teraz jechał na południe od miasta, a jego samochód był cały zapakowany. Dwie godziny po opuszczeniu Chicago, tuż przed nadejściem południa, minął tablicę „WITAMY W PEPPERMILL, INDIANA”. Nawigacja pokierowała go w stronę Winston Lane, gdzie mieścił się jego domek. Budynek stał na końcu długiej drogi, która dobiegała do samego jeziora. Lane wjechał na podjazd i wyłączył silnik. Na drzwiach frontowych zauważył skrytkę zawieszoną na klamce. Obrócił kółka zamka szyfrowego i pudełko się otworzyło. W środku znalazł klucz. Zabrał swoją torbę podróżną do domku, który okazał się dokładnie taki, jakim go reklamowano – nieduży, wygodny i położony na uboczu. Uznał, że doskonale sprawdzi się do wszystkiego, co sobie zaplanował.

Na parterze zlokalizował kuchnię, salon z kominkiem i biuro. Na piętrze znajdowała się mała sypialnia i loft z biurkiem. Zostawił torbę na łóżku i wrócił do samochodu. Z bagażnika wyjął skrzynkę, którą zdołał pozyskać po trudnych negocjacjach i w znacznie przesadzonej cenie. Jednak aby jego plan mógł się powieść, zakup ten był niezbędny. Zaniósł skrzynkę do kuchni, otworzył lodówkę i wypełnił ją butelkami piwa, uważając przy tym, by wszystkie etykiety skierowane były w jego stronę.

Kiedy skończył, przytaszczył walizkę i zabrał ją do przeszklonego pomieszczenia na tyłach domku. Ciągące się od podłogi po sufit okna wychodziły na nieduże jezioro w oddali, a Lane uznał, że jest tu wprost idealnie. Opróżnił zawartość walizki na biurko w narożniku, ponownie układając wszystko w starannych rzędach. Następnie wziął owinięty folią pakunek, odwinął go i ułożył go na środku biurka. W końcu wyjął dużą,

korkową tablicę, którą zdołał upchnąć na tylnym siedzeniu. Postawił ją na statywie i poprzypinał do niej zdjęcia.

Trzydzieści minut po jego przyjeździe do Peppermill dom był gotów.

Rozdział 19

Rory siedziała w kabinie pierwszej klasy samolotu linii American Airlines, rejs numer 2182, lecącego do Chicago. Znów miała na sobie maseczkę i czytała swój podręcznik. Lalka była bezpiecznie schowana pod fotelem. Prawa noga Rory drżała i sprawiała, że klamry wojskowego buta pobrzękiwały. Odruch ten wynikał zazwyczaj z niepokoju, jednak tym razem było to coś zupełnie innego. Po zamknięciu następnej nierozwiązanej wcześniej sprawy, długo odkładanym zakupie nowych butów i wylicytowaniu porcelanowej lalki Kiddiejoy Rory Moore czuła się odprężona i spokojna pierwszy raz od miesiący. Ostatnim razem było jej tak dobrze, kiedy pojechała do domku w Starved Rock w stanie Illinois, żeby poszukać dla siebie i wielu innych odosobnienia.

Zamknęła oczy i czekała.

O dziewiętnastej Rory w końcu usiadła przy swoim biurku. Cienie już się wydłużyły, a wieczorne słońce przegrywało walkę o utrzymanie miejsca na niebie. W jej biurze panował przyjemny półmrok, a lampka na pałaku oświetlała przestrzeń do pracy. Rozpakowując nowy zakup, Rory poczuła na sobie wzrok dwudziestu czterech par oczu, jakby odrestaurowane lalki na półkach wykazywały nim równe zainteresowanie. Ostrożnie ułożyła Armand Marseille Kiddiejoy German na biurku i rozpoczęła proces badania w taki sam sposób, w jaki patolog przeprowadza sekcję zwłok. Jednak Rory nie planowała rozczłonkować swojej lalki – zamierzała złożyć ją w całość, kroku po kroku i wkładając w to ogromny wysiłek. Wiedziała, że w ten sposób znajdzie sobie zajęcie na całe tygodnie, co pozwoli na uwolnienie z głowy dręczących ją myśli. Zapakowała je wszystkie i zmagazynowała w ciągu minionych kilku tygodni i zrobiła to z tego właśnie powodu. Odrestaurowywanie starych lalek miało zbawczy potencjał, zapewniało jej radość i spokój, którego Rory wielokrotnie już w podobnych okolicznościach doświadczała. Ale ta rozrywka zapewniała jej coś jeszcze, a mianowicie portal do świata wolnego od trosk, w którym jej

przywary zmieniały się w mocne strony i w którym mogła korzystać z dziwactw normalnie zagrażających jej codziennemu życiu.

W miejscu swojej pracy nie musiała opierać się irracjonalnym żądaniom umysłu. Nie walczyła z dręczącą potrzebą powtarzania czynności aż do osiągnięcia doskonałości. W tym bezpiecznym sanktuarium wszystkie jej nawyki były nie tyle dozwolone, ile wręcz pożądane. Powtarzające się ruchy, które wykonywała w trakcie odrestaurowywania starych porcelanowych lalek, stanowiły ujście dla zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych, które niegdyś rządziły jej życiem. Dopóki Rory mogła egzorcyzmować demony podczas kontrolowanych praktyk odbywających się w zaciszu jej pracowni, nieznośne żądania jej umysłu cichły podczas innych czynności, które wykonywała w życiu. W taki właśnie sposób funkcjonowała. Lalki były jej sposobem na przetrwanie.

Wieczorne badanie miało posłużyć wyłącznie gromadzeniu informacji. Nie planowała żadnych prac naprawczych. Rory musiała najpierw zrozumieć lalkę i jej uszkodzenia, a następnie opracować cały plan przywracania jej świetności. Przesunęła dłonią po twarzy lalki, czując pod opuszkami pajęczynę pęknięć. Wcieranie alkoholu, często stosowane przez innych konserwatorów, uważała za zbyt brutalne. Pastele nigdy nie wchłaniały się dobrze w porcelanę, która została wcześniej potraktowana alkoholem, a to wyjaśniało blade kolory lalek innych osób, prezentowane na aukcjach. Jej babka stryjeczna opracowała własną formułę, obejmującą płyn do naczyń i wódkę, której Rory używała od dzieciństwa i która miała się również sprawdzić w przypadku jej nowego zakupu.

Przez ponad godzinę robiła zdjęcia i sporządzała notatki, kiedy w końcu uznała, że coś jest nie tak. Zrozumiała, że jakaś kwestia uniemożliwia jej pełne skoncentrowanie się na leżącej przed nią lalce.

– Cholera – mruknęła pod nosem.

Dla niemal wszystkich osób, które miały z nią styczność, Rory Moore stanowiła chodzącą zagadkę. Dotyczyło to lekarzy, którzy próbowali ją leczyć w dzieciństwie i dorosłości, szefa w Departamencie Policji Chicago i detektywów, którzy patrzyli na nią z mieszanką onieśmienia, podziwu i awersji, kiedy to Rory rozwiązywała sprawy, z którymi oni nie dali sobie rady. Po śmierci ojca i babki stryjecznej rok wcześniej tylko jedna osoba w życiu Rory rozumiała mechanizmy jej funkcjonowania. Znów przypomniła sobie słowa Lane'a.

Jedź ze mną.

Stojąc przed biurkiem, podniosła Armand Marseille i ułożyła ją z powrotem w pudełku. Weszła na piętro i spakowała walizkę. Wychodząc z domu, zatrzymała się w kuchni i zdjęła z lodówki żółtą karteczkę, którą umieścił tam Lane. Zapisany był na niej adres domku w Peppermill.

Rozdział 20

Na mahoniowym barze przed nim stało jasne piwo na tekturowej podkładce i teczka z rozsypanymi w nieładzie kartkami. Peppermill było niewielkim miasteczkiem, w którym znajdowało się zadziwiająco wiele tawern. Pierwsze spotkanie Lane'a z Mackiem Carterem zostało umówione na dziewiętnastą w pubie o nazwie Tokens, którego wnętrzu charakteryzowało się długim barem z rzędem wysokich krzesełek oraz kilkunastoma sięgającymi piersi stołami koktajlowymi oddzielającymi ladę od boksów przy przeciwległej ścianie. Piwo było zimne, jedzenie tłuste, a oświetlenie na tyle słabe, że nikt nie rozpoznał Macka Cartera.

Lane był w połowie swojego kufła, kiedy Mack wszedł do pubu. Miał na sobie koszulkę i czapkę z daszkiem, przez co w ogóle nie przypominał osobistości z telewizji. Kiedy podszedł bliżej, uścisnęli sobie dłonie. Lane ocenił Macka na trzydzieści kilka lat. Mężczyzna uśmiechał się szeroko, co znów kontrastowało z osobą, którą Lane zapamiętał z programu.

– Lane Phillips.

– Mack Carter. Miło pana poznać. Bardzo się ucieszyłem, kiedy usłyszałem, że sieć zdecydowała się nawiązać z panem współpracę. Pańskie nazwisko znacząco podniesie wiarygodność podcastu, ale muszę przyznać – Mack rozejrzał się dookoła, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie podsłuchuje – że chyba będę potrzebował psychologa, kiedy to wszystko się skończy.

– Słyszałem, że ma pan za sobą kilka interesujących tygodni.

– Czy ja wiem. Ja określiłbym je raczej jako totalnie powalone. Proszę wybaczyć, chyba nie powinienem używać takich określeń przed psychologiem.

– Nie jestem typowym psychologiem.

– Tak też słyszałem. – Mack wskazał piwo Lane'a i przywołał barmana, żeby zamówić własne. – Porozmawiajmy.

Usiedli na sąsiednich miejscach. Piwo Macka zostało podane w firmowej szklance z pianką ściekającą po jednej stronie, jak w reklamie.

– W tej sprawie dostrzegam tak wiele aspektów psychologicznych, że z pewnością nie pozostanie pan bez zajęcia. Planujemy wprowadzenie pana w odcinku piątym. Przeprowadzimy formalny wywiad, żeby słuchacze mogli pana bliżej poznać. Potem przyjrzymy się sprawie, a pan zaoferuje ekspertyzę psychologiczną po stronie zarówno mordercy, jak i ocalałych, z naciskiem na to, przez co przeszli tamtej nocy i co przeżywają od tamtej pory. To wszystko możemy zrealizować w studiu znajdującym się w moim wynajętym domu.

Lane wskazał leżące przed nim dokumenty.

– Odrobiłem zadanie domowe i rozpocząłem proces profilowania mordercy.

– Profil Charlesa Gormana?

– No cóż, możliwe, aczkolwiek nie tak działa profilowanie. Nie rozpoczyna się od podejrzanego i nie pracuje wstecz. To byłoby zupełnie sprzeczne z koncepcją profilowania. Zaczynam od przestępstwa – ofiar, metod, którymi posłużono się przy zabójstwie, miejsca zbrodni – i tworzę listę cech, które powinien wykazywać zabójca, aby móc popełnić tego typu czyn. W tym konkretnym przypadku rozpocząłem od mapowania sposobu myślenia niezbędnego, by posunąć się do tego rodzaju przemocy. Ale to dopiero początek. Będę ten profil rozbudowywał w miarę zapoznawania się z kolejnymi faktami. Rozpocząłem również przygotowywanie drugiego, oddzielnego profilu Charlesa Gormana. Kiedy skończę z jednym i drugim, przekonamy się, w którym miejscu się nakładają, o ile w ogóle się nakładają, albo czy nie są dokładnie takie same.

– Fascynujące – przyznał Mack. – Ile udało się panu zrobić do tej pory?

– Wczesne notatki na temat Gormana pochodzące z danych dostępnych publicznie podają, że był nauczycielem chemii w szkole Westmont. Samotnik, zwykle zamknięty w sobie i nieco dziwaczny. Świetny umysł w dziedzinie chemii, ale brakuje mu prostych umiejętności społecznych. Przez osiem lat, które przepracował, był prosty jak strzała.

– To dlaczego pękł? – zapytał Mack.

– Muszę dowiedzieć się znacznie więcej, żeby móc odpowiedzieć na to pytanie, o ile w ogóle zdołam na nie odpowiedzieć. Będziemy musieli porozmawiać z uczniami i nauczycielami, którzy go znali. Ze znajomymi i rodziną, szczególnie z rodzicami, żeby się przekonać, w jakim domu się wychowywał. Z tego, co udało mi się znaleźć, miał całkiem normalne dzieciństwo. Jeśli jednak pogrzebię w jego życiorysie, dowiem się, co działo się z nim w okresie aż do osiągnięcia pełnoletności i w dorosłości aż do dnia, w którym doszło do tej

masakry. Słyszałem niestety, że bezpośrednia rozmowa z Gormanem nie wchodzi w rachubę.

– Też tak słyszałem – powiedział Mack. – Facet nie wie nawet, który jest dzień tygodnia, nie mówiąc o tym, co się wydarzyło w lesie rok temu. Wygląda na to, że jeśli planuje się rzucić pod pociąg, warto zrobić to porządnie.

– Mam pewne znajomości w Grantville, w szpitalu psychiatrycznym, w którym Gorman przebywa. Wykonam kilka telefonów i spróbuję się dowiedzieć czegoś więcej na temat jego stanu zdrowia. – Lane napił się piwa. – Proszę mi opowiedzieć o tych samobójstwach.

Mack opróżnił swoją szklankę i zamówił kolejną.

– To moment, w którym dziwna historia staje się jeszcze dziwniejsza. W nocy, kiedy doszło do tamtych morderstw, zabito dwójkę dzieciaków. Pozostali uczniowie uciekli z tego domu przez las, ale dopiero po tym, jak ujrzeli rzeź jednego ze swoich kolegów, nabitego na żelazną furtkę. Z pewnością przeżyli poważną traumę. Kilka miesięcy później, kiedy jesienią ruszał nowy rok szkolny, jedno z nich wróciło do lasu i skoczyło pod pociąg towarowy, który przejeżdża nieopodal tego starego domu nauczycielskiego. Ta dziewczyna była pierwsza. Po następnych kilku miesiącach znów się to powtórzyło.

– Kolejne samobójstwo?

– Tak – odparł Mack. – Popełnione w taki sam sposób. Człowiek kontra pociąg. Dziewczyna kontra pociąg, dokładniej rzecz ujmując, bo znów była to uczennica. No i zaledwie kilka tygodni temu, ostatnia ofiara, czyli Theo Compton. Z pewnością widział pan to nagranie, podobnie jak dwadzieścia kilka milionów innych osób.

– To dziwne. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby porozmawiać z uczniami i spróbować zrozumieć, co ciągnie ich do tego domu. Uzyskać jakieś informacje od ich rodziców i rodzeństwa. Pogadać z nauczycielami i innymi pracownikami szkoły.

– Personel szkolny okazał się dość otwarty na moje zapytania. Nie potrafię stwierdzić, czy faktycznie nie mają nic do ukrycia, czy po prostu próbują mnie udobruchać, bo uważają to za pójście po linii najmniejszego oporu. Tak czy inaczej, oprowadzono mnie po kampusie, rozmawiałem też z dyrektorką, doktor Gabriellą Hanover.

– Od Theo Comptona dowiedział się pan czegoś na temat Charlesa Gormana. Jego zdaniem Gorman nie zabił tych uczniów. Udało się panu dowiedzieć

czegoś więcej?

– Nie, ale wciąż nad tym pracuję – odparł Mack. – I wciąż nie wiem, co o tym myśleć. Theo zdecydował się odebrać sobie życie, zanim zdążyłem ponownie z nim porozmawiać.

– Wygląda na to, że tego młodego człowieka dręczyły tajemnice, na których temat milczał. Chciałbym wysłuchać całego nagrania z waszej rozmowy. A także z nocy, kiedy poszedł pan do tego domu i go znalazł. Może wychwyć jakiś szczegół w tej rozmowie.

Mack pokiwał głową.

– To, co znalazło się w podcaście, zostało mocno przeredagowane, bo już sama rozmowa trochę trwała. Surowy materiał mam zapisany w laptopie w domu. Ale żeby znów go wysłuchać, będę potrzebował czegoś mocniejszego niż piwo.

– Kupię coś po drodze. Bourbon? – zapytał Lane.

– Idealnie – rzucił Mack i położył pieniądze obok opróżnionej do połowy szklanki.

Rozdział 21

Rory zjechała z I-94 i znalazła się na zjeździe prowadzącym do Peppermill. Dojechała do miasteczka, kiedy zapadał już zmierzch i latarnie z migotaniem budziły się do życia. GPS doprowadził ją prosto na Champion Boulevard, skąd dotarła do dwóch kolumn z cegieł połączonych wysoką bramą z kutego żelaza. Na betonowym łuku w górze znajdował się napis „ELITARNA SZKOŁA ŚREDNIA WESTMONT”. Za bramą w stronę kampusu ciągnęła się porośnięta z obu stron drzewami droga. W oddali, na tle ciemniejącego nieba widać było zarysy szkolnych budynków. Dla Rory całe to dostojenie kampusu i szkoły, historycznych zabudowań i zamkniętej bramy, było jednym wielkim udawaniem. Wszystko to miało demonstrować bezpieczeństwo i świętość. Wewnątrz takiej fortecy uczniowie mieli być chronieni przed wszelkimi zagrożeniami zewnętrznego świata. Rodzice wysyłali tu swoje dzieci, wierząc w ten mit. Zapisywali je do tej szkoły, chcąc je naprostować, nauczyć dyscypliny lub po prostu ufając, że ta instytucja jest najlepszym miejscem, w którym ich dzieci mogą się przygotować do trudów dorosłego życia. Co za ściema. Gdyby Rory nie znalazła się pod czujnym okiem swojej babki ciotecznej Grety, całkiem możliwe, że sama wylądowałaby w podobnym miejscu.

Rory uniosła karteczkę, którą odkleiła z lodówki, i odczytała adres domku Lane'a. Odjechała spod szkoły Westmont i skierowała auto ku północnej części miasteczka. Dopiero po dziesięciu minutach udało się jej znaleźć rząd domów do wynajęcia. Znajdowały się w pewnej odległości od siebie i ciągnęły się aż do końca długiej drogi bez dalszego przejazdu. Domy leżały w pobliżu niedużego jeziora. Zwolniła, mijając jeden domek za drugim i odczytywała każdy adres. Kiedy znalazła ten należący do Lane'a, wjechała na podjazd, ale zauważyła, że w środku nie świeci się światło.

Wysiadła z samochodu i rozejrzała po okolicy. Od wyjazdu z Chicago Rory była ubrana w dżinsowe szorty i koszulkę na ramiączkach. Jej nowe buty Madden Girl sprawdzały się doskonale, a kiedy spojrzała wzdłuż szeregu

domków, poprawiła na nosie plastikowe okulary w grubych oprawkach. Niespodzianki i ostentacyjne okazywanie emocji nie leżały w jej naturze, a kiedy tak stała przed pustym domem Lane'a, pożałowała nagle, że wcześniej nie zatelefonowała.

Rory pozostawiła włączony silnik i otwarte drzwi po stronie kierowcy. Podeszła do domku i zapukała. Kiedy nie usłyszała żadnej reakcji ze środka, wyjęła z kieszeni telefon i wybrała numer Lane'a. Pomysł spalił na panewce. Niespodzianka się nie udała. Właśnie skończyła dwugodzinną podróż i była gotowa na piwo. Kiedy odezwała się poczta głosowa Lane'a, Rory wcisnęła telefon do tylnej kieszeni szortów i rozejrzała się dookoła.

Gdzie ty się podziewasz, Lane?

Rozdział 22

Dochodziła dwudziesta pierwsza, kiedy Lane zaparkował pod wynajętym domem Macka Cartera. Znajdował się on na drugim końcu miasteczka względem jego domku. Słońce kryło się już za horyzontem, zachowując jednak tyle energii, by rzucić cienie klonów na placyk przed domem. W zaroślach cykady rozpoczynały już swój koncert, a ich odgłos ulatywał w wilgotne, wieczorne powietrze.

Mack otworzył drzwi wejściowe i Lane wszedł za nim do środka.

– Nieźle mnie tutaj urządzili – powiedział, przechodząc od razu do kuchni. – Mam tu studio pierwsza klasa, dzięki czemu mogę realizować wszystkie nagrania.

Wychodzące z kuchni francuskie drzwi prowadziły do studia nagraniowego. Lane ujrzał na stole rząd komputerów z podłączonymi mikrofonami i słuchawkami.

– Wszystko, co nagrywam w terenie, tutaj podlega obróbce. Mam też zespół w Nowym Jorku, który zajmuje się wszystkim, z czym sam nie dam sobie rady. W związku z tym, że nagrywam podcast w czasie rzeczywistym, nowojorska ekipa miota się jak w amoku, kiedy jesteśmy spóźnieni.

Mack wyjął kieliszki z szafki i do każdego z nich nalał na dwa palce zakupionego przez Lane'a bourbona. Weszli głębiej do studia Macka, założyli słuchawki i usiedli przy stole. Mack przygotował zapis nagrania. Po kilku sekundach Lane sącył alkohol i słuchał z podnieceniem rozmowy z Theo Comptonem. Później usłyszał drżący głos Macka relacjonującego swoją podróż drogą numer siedemdziesiąt siedem, za znacznik numer trzynaście, opisywał odkryty na poboczu samochód, drogę przez las do opuszczonego domu nauczycielskiego i w końcu odkrycie zwłok Theo Comptona tuż obok torów kolejowych.

Słuchając niezredagowanego nagrania, Lane sporządzał notatki. Na kuchennym stole w pomieszczeniu obok rozświetlił się ekran jego telefonu, na

którym pojawiła się twarz Rory. Głośność ustawiona była na wysoką, a sygnał rozbrzmiewał po całej kuchni. Jednak pomimo tego, że drzwi prowadzące do studia pozostały otwarte, ani Lane, ani Mack nie usłyszeli dzwoniącego telefonu. Ich tłumiące wszelkie hałasy słuchawki uniemożliwiały usłyszenie czegokolwiek poza nagrany głos Macka. Okazały się one na tyle skuteczne, że dopiero inne zmysły powiadomiły Lane'a, że dzieje się coś złego. Zapach gazu w końcu odwrócił jego uwagę od nagrania. Po nim wyczuł wibracje wybuchu. Nie usłyszał jednak niczego.

Rozdział 23

Siedząc w samochodzie, który wciąż stał zaparkowany na podjeździe przed pustym domkiem, Rory ponownie spróbowała skontaktować się z Lane'em, ale po kilku sygnałach znów włączyła się poczta głosowa. W końcu przeciągnęła palcem po ekranie i znalazła aplikację, którą oboje zainstalowali, a która umożliwiała im lokalizowanie swoich telefonów w razie ich zagubienia. Przewinęła treść i dotknęła nazwiska Lane'a. Wyświetliła się mapa z zaznaczoną migającą ikoną przedstawiającą jego lokalizację. Był w Peppermill, mniej więcej pięć kilometrów od niej, po drugiej stronie miasteczka. Dotknęła migającej ikony, zjechała z podjazdu i podążyła za wskazaniem GPS-a.

W trakcie jazdy uświadomiła sobie, że zaczynają ją po kolei przytłaczać wszystkie problemy związane z jej planem. Po pierwsze zjawienie się bez zapowiedzi okazało się zupełnie nietrafionym pomysłem. Niespodziewanie ów romantyczny gest, który zaskoczyłby Lane'a, sprawił, że na myśl o sytuacji, w której się znalazła, spocily jej się dłonie na kierownicy. Po drugie uznała się za uzdolnioną w wielu obszarach, ale stalking do nich nie należał. Zauważyła, że aplikacja nie podaje dokładnego adresu, lecz jedynie lokalizację, a Rory nie miała ochoty chodzić od drzwi do drzwi w dzielnicy mieszkalnej, szukając Lane'a. Na koniec najbardziej ściskającą jej gardło myślą okazało się pytanie o to, co zrobi, kiedy w końcu zdoła go odnaleźć. Rozłoży szeroko ręce i zawoła: „Znalazłam cię!”?

Rory wytarła obie dłonie o szorty, nieustannie przenosząc spojrzenie z drogi na telefon i z powrotem. Skręciła w długą ulicę i zwolniła, aż dwie migające ikony, które przedstawiały ich dwoje, złączyły się ze sobą. Coś innego jednak przyciągnęło jej uwagę i sprawiło, że oderwała wzrok od ekranu.

Zobaczyła przed sobą samotny dom na końcu kończącej się ślepo drogi. Z dachu unosiła się smuga dymu, a płomienie tańczyły w oknach, docierając do bocznej ściany domu i rozświetlając niebo jasną łuną.

Rozdział 24

Rory zatrzymała się gwałtownie przy krawężniku. Na podjeździe stały dwa samochody, z których jeden należał do Lane'a. Wyskoczyła z samochodu i pobiegła w stronę podjazdu, pobrzękując wojskowymi butami. Drzwi wejściowe były zamknięte na klucz. Przyłożyła dłonie do twarzy i zajrzała przez okno do środka. Zobaczyła dym i ogień, który rozprzestrzeniał się w tylnej części budynku. Kopnęła z całej siły w drzwi, ale te nawet nie drgnęły, a biorąc pod uwagę, że waży pięćdziesiąt kilogramów, nie wierzyła, że druga próba przyniesie jakikolwiek skutek. Zdecydowała się za to pobiec na tyły domu.

Z okien na parterze buchały żółte płomienie wymieszane z czarnymi kłębam dymu. Rory sięgnęła do klamki tylnych drzwi i ją nacisnęła. Kiedy drzwi się otworzyły, wielki obłok dymu niemal ją pochłonął. Przykucnęła za jesionem, który wił się obok niczym jakiś potwór kryjący się w mroku. Spojrzała w głąb domu. Drzwi prowadziły do kuchni.

– Lane!

Zaczekała na odpowiedź, ale usłyszała tylko dziwne odgłosy pożaru – trzaski, syczenie i bulgotanie. Odwróciła głowę w stronę świeżego powietrza, zaczerpnęła je do płuc i wbiegła do płonącego domu. Kiedy minęła pierwszą chmurę dymu wypełniającą próg, uświadomiła sobie, że większość płomieni i dymu unosi się tuż przy suficie i jeśli przykucnie, to widoczność będzie całkiem przyzwoita. Klucie w gardle i płucach podpowiadało jej, że może spędzić wewnątrz nie więcej niż minutę. Przeszła szybkim krokiem przez kuchnię na front domu i tam się rozejrzała. Otwarte tylne drzwi i wolność, którą obiecywały, były szalupą ratunkową, od której wołała się zbytnio nie oddalać.

Kiedy wróciła do kuchni, zauważyła drzwi francuskie po prawej stronie. Wśród kłębow dymu zobaczyła na podłodze jakiś kształt. Płuca ją paliły, a oczy zaszyły łzami. Uniosła koszulkę i przycisnęła materiał do ust. Dym gęstniał, opadła więc na kolana i ręce, kontynuując poszukiwania. Natychmiast

rozpoznała leżącego na podłodze, nieprzytomnego Lane'a. Szybko przyłożyła mu do szyi palce w poszukiwaniu pulsu, ale jej własne serce łomotało tak, że przeszkadzało jej w zidentyfikowaniu impulsów odbieranych przez opuszki. Chwyła mężczyznę pod pachy i pociągnęła po drewnianej podłodze przez pomieszczenie i kuchnię. W końcu pokonała próg tylnego wyjścia i wy dostała go w ciepłą, letnią noc z taką zawziętością, jakby się obawiała, że kłęby dymu zaczną ją ścigać. Pomimo sierpniowych upałów i wilgotności powietrze na zewnątrz było przyjemnie chłodne. Rory wciągnęła je do płuc, jakby piła łąpczywie wodę z fontanny.

Kontynuowała swój chód tyłem, czuła zmęczenie nóg i palenie mięśni, ale przerwała dopiero, gdy Lane znalazł się na trawniku, w bezpiecznej odległości od domu. Uklękła przy nim i dotknęła jego twarzy, czując kleistość zasychającej krwi. Pożar domu zapewniał jej dość światła, żeby mogła się przekonać, że rana znajduje się gdzieś za linią włosów.

W końcu uznała, że Lane oddycha i spojrzała ponownie w stronę domu. Był tam ktoś jeszcze i przebiegło jej przez myśl, żeby wrócić do środka, ale płomienie były już naprawdę wielkie. Tylne drzwi przypominały paszczę smoka, z której ogień i dym ulatywały w niebo.

Rozdział 25

Zbliżał się świt, kiedy Rory wstała z krzesła i rozciągnęła ścierpnięte mięśnie. Spojrzała na Lane'a. Maską zakrywała jego nos i usta, do płuc pompowano mu krew. Lekarze poinformowali ją, że gdyby ratunek nadszedł kilka minut później, Lane zacząłby wdychać dym. Jak się okazało, przez czas spędzony na podłodze wciągnął trochę sadzy do płuc i lekko poparzył tchawicę – nic groźnego w porównaniu z raną na głowie. Odłamek z wybuchu, do którego doszło w domu, doprowadził do pęknięcia czaszki i krwotoku mózgu, który wymagał bacznej obserwacji. Lekarze musieli się upewnić, że opuchlizna ustąpi i krwiak się wchłonie, zanim ostatecznie uznają swoje działania za zakończone sukcesem. Przypuszczali, że sprawa powinna się wyjaśnić w ciągu kilku dni, maksymalnie tygodnia, w zależności od tego, jak jego organizm zareaguje na sterydy i środki moczopędne.

Rory zastanawiała się przez całą noc, do czego mogłoby dojść, gdyby nie zdecydowała się przyjechać do Lane'a z Chicago. Poczowała nieprzyjemną falę samolubności, pozostawiającą po sobie niedobre myśli, które dręczyły ją, kiedy siedziała długimi godzinami i rozważała, jak by to było, gdyby śmierć Lane'a pozostawiła ją naprawdę samą na tym świecie. Z zamyślenia wyrwało ją delikatne pukanie do drzwi. Uniosła głowę i zobaczyła stojącą w progu kobietę.

– Dzień dobry, nie chciałam pani przeszkodzić. – Rory sięgnęła po okulary, ale uświadomiła sobie, że zdjęła je w nocy, kiedy siedziała przy łóżku Lane'a. Przeczesała tylko dłonią włosy, żałując, że nie zabrała swojej czapki. – Jestem Ryder Hillier. Znałam Macka Cartera.

Kiedy Lane'a przywieziono do szpitala i jego stan uznano za ciężki, ale stabilny, funkcjonariusz w mundurze wypytał Rory o ostatnie wydarzenia. Policjant był młody i niedoświadczony, ale odhaczył wszystkie pola formularza w trakcie formalnego przesłuchania. Precyzyjnie, podręcznikowo i zupełnie bezużytecznie, jeśli chodzi o gromadzenie istotnych informacji. Rory dowiedziała się jednak, że drugi samochód na podjeździe przed płonącym

domem należał do Macka Cartera i że to jego ciało Rory widziała w domu, tuż obok Lane'a. Niestety w przypadku Macka stwierdzono zgon. Rory przypominała sobie swoją decyzję o niewchodzeniu po raz drugi do domu z powodu płomieni i dymu, które buchały z tylnego wyjścia. Funkcjonariusz zapewnił ją, że postąpiła słusznie, choć Rory nie czuła się przekonana.

– Przykro mi z powodu pana Cartera – powiedziała.

– Nie znaliśmy się zbyt dobrze. Współpracowaliśmy w pośredni sposób nad jego podcastem. Jestem dziennikarką.

Ryder Hillier.

Rory nagle przypominała sobie to nazwisko. To była ta dziennikarka zajmująca się sprawami kryminalnymi, która opublikowała w internecie nagranie przedstawiające martwego ucznia z Westmont kilka godzin po tym, jak chłopak odebrał sobie życie, rzucając się pod pociąg.

Rory zauważyła, że kobieta spogląda na Lane'a.

– Wyjdzie z tego?

Skinęła głową.

– Tak mi powiedzieli.

– Słyszałam, że doktor Phillips zgodził się pomóc przy podcaście i zaoferował swoje doświadczenie.

Rory utkwiała wzrok w punkcie położonym gdzieś nad głową Ryder. Nie odpowiedziała.

– Nie jestem pewna, ile pani wie na temat podcastu, nad którym pracował Mack Carter – powiedziała w końcu. – Ale ten wybuch... jego śmierć... to wszystko jest bardzo podejrzane.

Za plecami Ryder Hillier zmaterializowali się dwaj mężczyźni. Po ubraniu i minach Rory się zorientowała, że to detektywi.

– Proszę wybaczyć – zaczął jeden z nich – ale chcielibyśmy porozmawiać z doktorem Phillipsem.

– Zostawię was samych – powiedziała Ryder. Wydawała się świadoma tego, że nowo przybyli również są policjantami, i Rory wychwyciła w jej spojrzeniu nagłą chęć ulotnienia się z pokoju. Podała Rory wizytówkę niczym prawniczka. – Proszę przekazać doktorowi Phillipsovi, żeby do mnie zadzwonił, jeśli zechce porozmawiać.

Rory zabrała wizytówkę, a Ryder zniknęła za plecami detektywów. Sięgnęła do plecaka, wsunęła kartonik w przednią kieszonkę i wyjęła okulary. Założyła

je, dopchnęła do grzbietu nosa i dzięki temu poczuła się nieco bardziej niewidzialna.

– Jestem detektyw Ott – przedstawił się starszy mężczyzna. – A to mój partner, detektyw Morris.

Rory popatrzyła na nich i dokonała błyskawicznej analizy, a jej mózg zaczął podrzucać wszystkie możliwości. W końcu zatrzymała się na jednej z nich, najbardziej prawdopodobnej. Ott prawdopodobnie dobiegał sześćdziesiątki. Skóra pod jego oczami była nieco obwisła na skutek upływu lat i wielu doświadczeń, zapewne również z powodu nadmiernego spożywania alkoholu. Zbliżał się do emerytury i pewnie czekało go kilka lat spokoju. Morris był młodszy, w okolicach trzydziestki. Twarz miał niemalże pozbawioną zmarszczek, a jego nachmurzona mina pozwalała Rory myśleć, że był protegowanym, który bardzo chciał się pokazać od dobrej strony.

– Rory Moore – przedstawiła się.

– Jak się czuje doktor Phillips?

– Jego stan jest stabilny. Nawdychał się trochę dymu i ma paskudną ranę na głowie.

– Czy już cokolwiek powiedział? – zapytał młody detektyw głosem niemal pozbawionym emocji.

– Jeszcze nie. Jest pod wpływem środków uspokajających. Zanim lekarze zdecydują się go wybudzić, chcą się upewnić, że opuchlizna w jego mózgu ustąpiła, a krwotok nie stanowi już zagrożenia.

– Z pewnością znajduje się w dobrych rękach. Tutejsi lekarze są znakomici – powiedział Ott.

Rory skinęła głową w geście podziękowania. Nie wiedziała nic na temat miejscowej opieki zdrowotnej i nie chciała porównywać poziomu aktualnej opieki nad Lane'em z tą, jaką mógł mieć zapewnioną w Chicago. Lekarze uznali jednak jego stan za stabilny i oznajmili Rory, że kluczowe będzie pierwsze czterdzieści osiem godzin. Zapewnili ją przy okazji, że w razie konieczności, jeśli postępy w leczeniu nie będą zadowalające, mają możliwość przetransportowania go śmigłowcem do specjalistycznego szpitala.

Detektyw Ott również wyjął z kieszeni wizytówkę.

– Czy zechciałaby pani do nas zadzwonić, kiedy doktor Phillips będzie już w stanie umożliwiającym rozmowę?

– Przekażę tę prośbę lekarzom.

Ott wyjął z kieszeni na piersi mały notatnik.

– Czy ma pani chwilę, żeby porozmawiać o tym, co się wydarzyło? – Rory wiedziała, że to pytanie czysto retoryczne, więc nie odpowiedziała. – Zjawiała się pani na miejscu pierwsza. Może nam pani o tym opowiedzieć?

– Jasne – odparła i opisała krótko swoją podróż z Chicago, opowiedziała, jak natrafiła na ślad Lane’a w wynajętym domu Macka Cartera, jak weszła do środka przez tylne drzwi i jak znalazła Lane’a leżącego na podłodze w pomieszczeniu przy kuchni.

– Czy może nam pani powiedzieć, co robiliście z doktorem Phillipsem w Peppermill?

– Lane pracował nad podcastem Macka Cartera poświęconym szkole Westmont. Ja przyjechałam, żeby dotrzymać mu towarzystwa.

Detektyw bazgrał przez chwilę w swoim notatniku.

– Jeden ze strażaków powiedział, że do wybuchu doszło z powodu ulatniania się gazu. Zważywszy na zniszczenia, do których doszło w domu, doktor ma naprawdę ogromne szczęście, że przeżył. Staramy się teraz zbadać, w jaki sposób doszło do nieszczelności. Myślę, że niebawem dowiemy się czegoś więcej.

– Będziemy potrzebowali od pani odcisków palców – oznajmił Morris tonem, który miał świadczyć o kompetencjach i władzy, jednak Rory uznała, że w ten sposób jedynie rekompensował sobie ich brak.

– Możemy to zorganizować w dogodnym dla pani czasie – dodał Ott i zerknął w notatki. – Czy po przyjeździe pod ten dom widziała pani w okolicy jakieś samochody? Albo kogokolwiek?

– Nie – odparła Rory. – Zobaczyłam płomień i pobiegłam do środka. Drzwi frontowe były zamknięte na klucz. Próbowałam je kopnąć, ale w końcu zdecydowałam się spróbować od tyłu. – Spojrzała na Morrisa. – Znajdzie pan zapewne na drzwiach odcisk mojego buta. Rozmiar siedem, but wojskowy Madden Girl Eloisee. Nie ma potrzeby ściągać do tego techników.

Jej komentarz sprawił, że Ott lekko się uśmiechnął.

Rory jeszcze przez dziesięć minut odpowiadała na ich pytania. Choć mówiła prawdę, w obu mięśniach naramiennych, tuż pod barkiem, czuła dziwne swędzenie, które błagało o podrapanie. Nie zrobiła tego. Nie miała niczego do ukrycia, ale jej mózg działał niekonwencjonalnie. Z natury była podejrzliwa i kiedy to ją przesłuchiowano, niepokoiła się, że detektywi mogą źle

zinterpretować mowę jej ciała i unikanie kontaktu wzrokowego uznać za reakcje zdradzające kłamstwo.

– Gdzie się pani zatrzyma, pani Moore? – zapytał Ott, kiedy skończyli ją przesłuchiwać.

To było dobre pytanie. W ogóle nie zdążyła się jeszcze nad tym zastanowić.

– Myślę, że w wynajętym domku Lane'a.

Podawała im adres i numer swojej komórki. Kiedy detektywi wyszli, stanęła obok szpitalnego łóżka. Nie licząc niewygodnej drzemki na krześle obok, nie spała już od niemal dwudziestu czterech godzin, czyli od chwili, kiedy obudziła się po aukcji w Miami. Choć był wczesny ranek, uznała, że rozpaczliwie potrzebuje swojego portera i prysznic. Chwyła dłoń Lane'a i lekko ją ścisnęła. Nie wywołało to niestety żadnej reakcji z jego strony.

Rozdział 26

Matowe światło poranka wylało się na ulice Peppermill, kiedy Rory przejeżdżała obok sklepów i restauracji. Minęła główny bulwar i wjechała na Winston Lane, zacienioną drogę, na której jej noc rozpoczęła się niemal dwanaście godzin wcześniej. Minęła szereg domków i zatrzymała się na końcu zaułka. Wyłowiła klucze z kieszeni Lane'a po tym, jak pielęgniarki dały jej worek z jego ubraniami. Zaparkowała na podjeździe, podeszła do drzwi, otworzyła zamek i weszła do środka.

Rory zapaliła jedynie małą lampkę na stole w salonie, przez co cały domek spowijał półmrok. Poświęciła chwilę na obejrzenie wnętrza i skierowała kroki do kuchni. Z głodu burczało jej w brzuchu, więc otworzyła lodówkę. Nie znalazła żadnego jedzenia, ale na górnej półce zauważyła sześć butelek portera Dark Lord, ułożonych w eleganckim rzędzie z etykietami skierowanymi do przodu, zupełnie jakby ustawiła je tam sama. Uśmiechnęła się. Wiedział, że do niego dołączy.

Zabrała butelkę z półki i wyjęła szklanekę z szafki. Nalała piwa, zachowując warstwę pianki, odczekała chwilę, wzięła szklanekę i kontynuowała spacer po domu. Kiedy znalazła się w przeszklonym pomieszczeniu na tyłach, zatrzymała się i spojrzała na biurko. Na jego blacie zauważyła pastele używane przez nią do naprawy lalek. Obok leżały pędzle i waciki. Stanowiło to zaledwie część przedmiotów, które wykorzystywała przy swojej pracy, ale doceniła starania Lane'a. Pozostałe jej wyposażenie znajdowało się w samochodzie, włącznie z nową lalką Kiddiejoy. Improwizowana pracownia z wysokimi oknami z widokiem na jezioro, do tego odizolowana od sąsiadów, była niemal tak samo zachęcająca jak jej własne miejsce pracy w domu.

Kiedy weszła do pomieszczenia, zauważyła zapakowany prezent, który leżał na biurku. Obróciła go i zobaczyła na opakowaniu jej imię wypisane kursywą autorstwa Lane'a. Zerwała papier i znalazła pudełko z sosnowego drewna wielkości książki. Uniosła wieczko i ujrzała zestaw pędzli Foldger-Gruden.

Kolekcję tę wycofano ze sprzedaży już przed wieloma laty, a zestaw, który do tej pory miała Rory, należał niegdyś do jej babki ciotecznej. Pędzle te miały wartość przede wszystkim sentymentalną, a nie praktyczną, ponieważ większość była już bezużyteczna po tak licznych naprawach. Widok nowego zestawu przyspieszył bicie jej serca w takim stopniu, że aż zapragnęła pójść do samochodu, wyjąć swoją nową lalkę i zabrać się do pracy. Wyjęła jeden z pędzli z piankowego wgłębienia. Uchwyt, podobnie jak pudełko, wykonany był z sosnowego drewna, a końcówka do malowania została zrobiona z sobolego włosia. Pogładziła je delikatnie, żeby poczuć ich miękkość. Drugą końcówkę zakończono ostrym szpicem, który był przeznaczony do rzeźbienia. Rory podziwiała przez chwilę swoją nową kolekcję pędzli, od cienkiego po szeroki, i myślała o tym, jak doskonale się sprawdzą przy rekonstrukcji jej nowej lalki Kiddiejoy.

Choć przyłgnęła do miejsca pracy, które przygotował dla niej Lane, coś innego zwróciło jej uwagę w pomieszczeniu. Przy przeciwległej ścianie zobaczyła dużą, korkową tablicę wspartą na statywie. Wyglądała zaskakująco podobnie do tej, którą Rory miała u siebie w biurze. Na niesławnej tablicy znajdującej się w jej bungalowie w Chicago znaleźć można było setki dziurek po wielu latach wciskania szpilek, którymi przymocowywała zdjęcia ofiar z nierozwiązanych spraw. Kiedy przypinała fotografię do tablicy, zapamiętywała portret ofiary w sposób, który uniemożliwiał jej zapomnienie twarzy, dopóki nie rozwiązała zagadki jej śmierci. Nawiazywała się wtedy pewna relacja – intymna więź między Rory a zmarłą osobą, czego nigdy nie potrafiła komukolwiek wyjaśnić. Tak właśnie pracował jej umysł. W taki sposób doprowadzała do końca sprawy, których nikt inny nie potrafił rozwiązać. Ofiary, których morderstwa badała, były jej bliższe niż ludzie na co dzień obecni w jej życiu.

Rory zabrała szklanekę ze swoim porterem do pokoju i przyjrzała się tablicy. Przypięto do niej zdjęcie przedstawiające Theo Comptona, ostatniego z uczniów z Westmont, którzy wrócili do domu nauczycielskiego, by odebrać sobie życie. Pozostałe zdjęcia znajdowały się poniżej. Kiedy Rory się do nich zbliżyła, rozpoznała pięć wpatrujących się w nią twarzy. Zakończyła już swoje badania. Gdy Lane opowiedział jej po raz pierwszy o tej sprawie, poświęciła cały wieczór na poznanie wszelkich szczegółów dotyczących tragedii z Westmont. W ten sposób oderwała się od niepokojących myśli związanych z lotem następnego dnia.

Dwie z twarzy należały do uczniów zamordowanych owej feralnej nocy. Pozostałe dopasowała do tych, którzy przeżyli i którzy później wrócili na miejsce, żeby popełnić samobójstwo. Rory stała przed tablicą i przyglądała się każdemu zdjęciu z osobna, zahipnotyzowana ich spojrzeniami. W końcu przeniosła wzrok na stół obok tablicy. Na jego blacie leżało zdjęcie w formacie trzynastacie na osiemnaście centymetrów, wywołane na błyszczącym papierze. Zobaczyła na nim kolejną twarz o równie hipnotyzującym spojrzeniu. Podniosła je i wpatrywała się w nie przez chwilę. W końcu przypięła je do tablicy nad pozostałymi. Fotografia przedstawiała Charlesa Gormana, nauczyciela chemii, który zabił dwóch uczniów i jednego z nich powiesił na ogrodzeniu.

Rory cofnęła się o krok, żeby objąć wzrokiem całą tablicę. Wstawało słońce i w pomieszczeniu robiło się coraz jaśniej. Kiedy usiadła na krześle przed korkową tablicą i zaczęła analizować twarze, w których kryła się tajemnica tragedii z Westmont, dochodziła szósta nad ranem. Uniosła szklanekę i napiła się piwa. W tym starym domu nauczycielskim kryło się coś złowrogiego i tajemniczego. Cokolwiek to było, Mack Carter zaczął kopać we właściwym miejscu. A jeśli nawet nie było to właściwe miejsce, to znalazł się wystarczająco blisko, żeby przestraszyć kogoś, komu zależało, by tajemnica nigdy nie została odkryta.

Rory zajmowała się rekonstrukcją przestępstw w celu odnalezienia prawdy z nimi związanej – jednak nie szukała odpowiedzi na pytanie, jak doszło do danego zdarzenia, ale dlaczego. Kiedy siedziała w małym domku w Peppermill w stanie Indiana, uznała, że trudno byłoby jej znaleźć sprawę bardziej pasującą do jej talentów niż zbrodnia w Westmont. Poprawiła się na krześle i ponownie przyjrzała twarzom. Twarzom uczniów, którzy niegdyś chodzili po kampusie, a teraz byli tylko duchami w lesie. A także twarzy nauczyciela, który doprowadził do tragedii.

Rory sączyła piwo i zastanawiała się, jakie makabryczne wydarzenia mające miejsce w tej szkole doprowadziły do śmierci tylu osób.

Szkoła Westmont

Lato 2019 roku

Sesja 3

Wpis w dzienniku: NIECHĘTNY WSPÓŁSPRAWCA

Popatrzyłem przez dziurkę od klucza. Kiedy ojciec zakończył proces swojego oczyszczenia, w domu zapadła długa cisza i zapanował spokój. Przez drzwi widziałem jedynie opuszczoną jadalnię i pusty blat stołu, z którego zrzucił wszystko na podłogę. Zacząłem rozważać wyjście z pokoju. Chciałem pobiec do matki i się upewnić, że nic jej nie jest. Podać lód na pękniętą wargę. Robiłem już tak wcześniej, a ona zawsze powtarzała, jak bardzo mnie za to kocha. Ale dzisiejsze pobicie było inne. Mój ojciec został opętany w sposób, jakiego nigdy dotąd nie widziałem. Zbita lampa okazała się jedynie katalizatorem dla dużo poważniejszej sprawy, którą chciał wyrzucić ze swojego systemu.

Bałem się wyjść z pokoju. Nie z obawy przed tym, że mógłby zrobić mi jakąś krzywdę, ale przed tym, że w takiej sytuacji mogłaby wkroczyć moja matka i spróbować temu zapobiec. Robiła tak wcześniej i ojciec zawsze wyładowywał na niej resztki swojego gniewu. Choć trudno było patrzeć przez dziurkę od klucza, kiedy obserwowałem, jak ojciec bije matkę, zawsze przychodziło dodatkowe poczucie mojej nieudolności. Za tymi drzwiami byłem anonimowy. Po drugiej stronie już nie. Tam spojrzenie matki co pewien czas krzyżowało się z moim. Kiedy stałem w takich chwilach w cieniu, czułem się czymś gorszym od człowieka. Lepiej było zostać za drzwiami mojego pokoju, obserwować przez mój mały portal i czekać.

W końcu po godzinie gapienia się przez dziurkę zobaczyłem ojca wchodzącego do jadalni. Wydawał się spieszyć, kiedy ustawiał na stole leżące na podłodze przedmioty. W jego zachowaniu było coś, czego nie potrafiłem określić. Czegoś w nim nie rozpoznawałem. Kiedy skończył sprzątać bałagan, zaczął krążyć po jadalni. Kiedy go obserwowałem, w końcu coś sobie uświadomiłem. Zrozumiałem, co wydawało mi się takie dziwne. On był zdenerwowany. Na

twary mojego ojca gościł w tej chwili ten sam wyraz, który doskonale znałem z twarzy matki, kiedy czekała na jego powrót z pracy do domu.

Zanim zdążyłem przeanalizować to zaskakujące zjawisko, usłyszałem dźwięk syren. Wkrótce na ścianach mojej sypialni zaczęły tańczyć czerwone i niebieskie plamy. Usłyszałem trzaskające drzwi i głosy i wtedy zrozumiałem, dlaczego ojciec jest zdenerwowany, dlaczego znikł grymas wściekłości i arogancji. Tego wieczoru skrzywdził moją matkę bardziej niż kiedykolwiek wcześniej i zadzwonił na pogotowie.

Zerwałem się na równe nogi i otworzyłem drzwi pokoju. Pobiegłem korytarzem i wpadłem do jadalni w momencie, kiedy ojciec otwierał drzwi wejściowe. W progu zauważyłem dwóch sanitariuszy z noszami.

– Tutaj – powiedział ojciec. – Przy schodach. Musiała z nich spaść.

Sanitariusze weszli do środka i się rozejrzeli. Ruszyłem w stronę schodów, dużo wolniejszym krokiem niż po wyjściu z pokoju. Stawiałem jeden niepewny krok za drugim, aż skończyła się ściana korytarza i mogłem zobaczyć przedpokój. Matka leżała bezwładnie u dołu schodów. Miała zamknięte oczy, jakby spała w bardzo nietypowej pozycji. Jedną rękę miała ułożoną na czole, druga w dziwny sposób kryła się pod jej ciałem. Jedna noga była wyprostowana, druga zgięta w kolanie.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział ojciec. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy odezwał się do mnie po raz ostatni. – Twoja matka miała wypadek. Wróciłem do domu i tak ją zastałem. Widziałeś, jak upadła?

Patrzyłem na ojca pozbawionym wyrazu spojrzeniem. Nie odpowiedziałem. Sanitariusze zajmowali się teraz matką, a jeden z nich popatrzył mi w oczy.

– Słyszalesz cokolwiek? Jakiś hałas, kiedy spadała?

Z niewyjaśnionego powodu skinąłem głową.

– Tak – powiedziałem. – Nie wiedziałem, co to za hałas. Byłem w pokoju i odrabiałem lekcje.

– W porządku – powiedział ojciec. – Ci panowie się nią zajmą w odpowiedni sposób.

Mężczyźni skupili się ponownie na badaniu obrażeń mojej matki. Umieścili jej bezwładne ciało na noszach i zabrali ją do ambulansu. W blasku czerwonych i niebieskich świateł zobaczyłem kilkoro sąsiadów. Patrzyli, jak moja matka jest umieszczana w tylnej części ambulansu. Nie widziałem, żeby się poruszyła, nie otworzyła też oczu.

Potem dostrzegłem spojrzenie innej pary oczu, należącej do mojego ojca. Patrzył na mnie. Choć nie powiedział ani słowa, jego spojrzenie mówiło wszystko, co chciał mi przekazać. W końcu wyszedł, żeby pojechać za matką do szpitala. Pani Peterson z sąsiedniego domu zamieniła z nim kilka słów, po czym podeszła do naszych otwartych drzwi frontowych. Miała zostać ze mną na noc.

Zanim drzwi się za nim zamknęły, ojciec skinął do mnie głową, jakbyśmy byli konspiratorami, jakbym planował zachować wszystko w tajemnicy. Jakbyśmy tylko my dwaj znali prawdę o tym, w jaki sposób straciłem matkę. Mój ojciec był przekonany, że kiwa głową do słabego, wystraszonego dzieciaka, który podglądał przez dziurkę od klucza, zbyt przerażonego, żeby opuścić swój pokój. Ale się mylił. Tamto dziecko już odeszło, umarło razem z moją matką, którą załadowano do ambulansu i która nigdy już nie wróciła do domu.

Mój ojciec nie mylił się w jednej kwestii. Nigdy nie powiedziałem nikomu o tym, co zrobił. Zabiłem go następnego dnia, żeby nie było potrzeby nikomu o tym mówić.

Ułożyłem zakładkę między stronami i zamknąłem dziennik. Uniosłem wzrok i nasze spojrzenia się spotkały. Nie powiedziała ani słowa. Zwykle oczekiwałem jakiegoś komentarza po zakończeniu lektury dziennika, jednak dzisiaj nic takiego komentarza nie wymagało. Nasza relacja była niekonwencjonalna, ktoś mógłby powiedzieć, że wręcz niestosowna. Ale w naszej relacji to działało. No, przynajmniej z mojej strony tak było. Bez niej nie dałbym sobie rady.

Patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę. Dzisiaj to całkowicie wystarczało.

Rozdział 27

W sobotnie popołudnie, dzień po tym, kiedy cała szóstka zebrała się, żeby wypić ciepłego budweisera i porozmawiać o tajemniczym zaproszeniu, które otrzymali, Gwen siedziała w pokoju Gavina. Przeglądała stosik kopert i zatrzymała wzrok na jednej z nich.

– Tu jest list od twojej mamy.

Gavin przewrócił oczami.

– To nie jest moja mama.

– Sorry, zapomniałam.

Choć chodzili ze sobą już od pierwszej klasy, Gwen nigdy nie wysłuchała do końca całej opowieści o życiu Gavina ani o tym, dlaczego był wychowywany przez ciotkę i wuja. Wiedziała, że jego brat zginął w wypadku przed kilkoma laty i że jego rodzina nigdy nie doszła do siebie po tej tragedii. Próbowала kilkakrotnie dowiedzieć się czegoś więcej o jego życiu poza szkołą, ale Gavin Harms nigdy nie mówił o swoim bracie czy rodzicach. Nigdy nie opowiedział jej też niczego o swojej ciotce i wuju. Tak już po prostu miał. Można było to zaakceptować albo nie.

Nieumiejętność przebicia się Gwen przez mur, którym obudował się Gavin, była częstym tematem rozmów, również w trakcie jej sesji z doktorem Casperem.

– Ona nie chce ze mną rozmawiać w żaden inny sposób – wyjaśnił Gavin. – Ręcznie pisane listy wysyłane pocztą. Nic więcej.

– Tradycyjna poczta jest zabawna. Ja nigdy nie dostałam prawdziwego listu. Mogę przeczytać?

– Jak chcesz. Wiem, co tam napisała. To samo, co ubiegłego lata, dlatego właśnie nie otworzyłem tego listu w tym roku.

Gwen rozerwała kopertę i wyjęła z niej kartkę złożoną na trzy części. Odchrząknęła i zaczęła czytać pretensjonalnym głosem matki przekazującej dziecku złe wieści.

– Drogi Gavinie, mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. – Gwen spojrzała znad listu okrągłymi ze zdziwienia oczami. – O mój Boże.

– Ona jest jak robot. Tak zaczyna każdy list do mnie.

Gwen wróciła do czytania.

– Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku i że nie narzekasz na brak zajęć. Jestem z ciebie bardzo dumna i chciałam cię poinformować, że dołożyłam wszelkich starań, abys mógł spędzić lato w Westmont w ramach ich programu nauki na poziomie zaawansowanym. Była to dla nas bardzo trudna decyzja, ale wierzymy, że dzięki temu będziesz mógł osiągnąć swoje cele. Ten program bardzo dużo nas kosztuje, zarówno na płaszczyźnie finansowej, jak i emocjonalnie. Wiesz z pewnością, jakim jest to dla nas wyzwaniem, ufamy jednak, że są to dobrze zainwestowane pieniądze. Choć chcielibyśmy spędzić z tobą lato, ta okazja zapewni ci więcej możliwości w przyszłości i będzie lepszym rozwiązaniem niż spędzenie tego czasu w domu. Życzymy ci powodzenia. Jestem pewna, że niedługo będziemy mieli okazję porozmawiać. Ściskam mocno. – Gwen znów uniosła wzrok i wzruszyła ramionami. – No cóż, nie licząc drętowego powitania, to było całkiem miłe.

– Jak tam sobie uważasz.

– Och, zostaw swoje marudzenie dla doktor Hanover. Sam wiesz, że nie chciałeś wracać tego lata do domu. – Gwen urwała na moment. Obawiała się zadać następne pytanie. – Jak tam u Hanover?

Wzruszył ramionami.

– Ujdzie.

Gwen przywykła już do tego, że Gavin niewiele mówił na temat swoich sesji terapeutycznych, i uznała, że nie będzie naciskać. Zamiast tego wdrapała się na łóżko i ułożyła obok Gavina. Pocałowała go w szyję.

– Nie jest tak źle. Spędzisz tu całe lato ze mną. Czy to nie przyjemna perspektywa?

– Tak – rzucił, nieco rozkojarzony. – To dobrze.

Odwróciła się na plecy, ułożyła głowę na ramieniu Gavina i wbiła wzrok w komórkę.

– Jakie mamy plany na wieczór? – spytała.

– Zaczekamy do zmroku i wyruszamy.

– Byłeś już kiedykolwiek w tym opuszczonym domu nauczycielskim?

Gavin pokręcił głową.

- Nigdy.
- Boisz się?
- A ty?

Gwen wykręciła szyję i spojrzała na niego.

- Tak.

Rozdział 28

– Jeśli ktokolwiek spróbuje mnie dotknąć albo popchnąć, będę walczył – powiedział Gavin, kiedy szli przez zaciemniony kampus.

Minęli gotycki budynek biblioteki, wyniosłe logo szkoły i miejsce, w którym każdego roku stawali w Dniu Bramy.

– Daj spokój – odparła Gwen. – Nikt nas nie będzie popychał. Są zasady, które tego zabraniają.

– Mówimy o Andrew Grossie i bandzie jego przydupasów. Trudno stwierdzić, co na nas czeka.

– Zignorujcie go – powiedziała Gwen do Theo i Danielle. – Ma kiepski nastrój, od kiedy zaczął się spotykać z doktor *Hangover*^[2], która słynie z tego, że...

– Zapewnia wściekły ból głowy – wtrąciła Danielle, chwytając żart Gwen. – Dlaczego cię przepisali? Nie powinieneś mieć sesji z Hanover do końca wakacji.

– Poprosiła, żeby zjawił się u niej wcześniej – wyjaśniła Gwen.

– Ha! Musi cię uważać za wyjątkowego popaprańca.

– Jestem zapewne utalentowany – odparł Gavin.

– Nie wiem, co zrobię, jak mnie też przepiszą – mruknęła Gwen. – Doktor Casper zna całą historię mojego życia. Nie ma mowy, żebym powiedziała doktor Hanover choćby połowę tego, co jemu.

– Nie chodzi o to, żebyś cokolwiek mówiła swojej terapeutce – powiedział Gavin. – Masz tam po prostu czytać swój dziennik.

Pozostali roześmiali się w reakcji na jego słowa. Prowadzenie dziennika było w Westmont obowiązkowe, a każda sesja obejmowała segment, w którym uczniowie musieli przeczytać jakiś jego fragment.

– Ustalmy, że żadne z nas nie umieści w swoim dzienniku tego, co zamierzamy zrobić – powiedział Theo i wskazał jakieś miejsce na ścieżce przed nimi. – To tam.

Kiedy dotarli do ścieżki prowadzącej w głąb lasu, zatrzymali się. Całą czwórką rozejrzeli się w milczeniu po cichym kampusie i popatrzyli na ciemne budynki, które stały opuszczone i czekały na rozpoczęcie od poniedziałku kursu letniego. Światła na poziomie parteru podświetlały mury i podkreślały kształty porośniętych bluszczem cegieł. Gasnący blask zachodzącego słońca rozjaśniał gzymsy i nadawał im wygląd kolców na koronie ułożonej na dachach. Wieczór wypełniała nieustająca melodia wygrywana przez świerszcze. Żadne z nich nie odzywało się przez dłuższy czas.

W końcu przemówił Theo.

– Czekamy na Tannera i Bridget?

– Tanner powiedział, że idą w kierunku drogi numer siedemdziesiąt siedem, więc spotkamy się z nimi na miejscu – odparł Gavin.

Nie mając sobie nic więcej do powiedzenia, pokiwali głowami. Wszyscy czworo wydawali się wahać, co zrobić dalej, i każde z nich podświadomie liczyło, że ktoś spośród nich skutecznie wybije im ten pomysł z głów. Nikt się jednak nie odezwał i w końcu weszli do lasu. Ścieżka była szeroka i dobrze udeptana. Ciężkie korony drzew przesłoniły resztki światła, więc włączyli latarki w telefonach, by nieopatrzenie nie zejść ze ścieżki. W tym momencie nie byli już nowicjuszami i znaleźli się niemal u szczytu łańcucha pokarmowego. Zostali zaproszeni do opuszczonego domu. Choć wielu uczniów wiedziało o tym budynku, niewielu dysponowało jakimikolwiek szczegółowymi informacjami na jego temat. I choć niemal każdy słyszał o Człowieku z lustra, to nikt tak naprawdę nie potrafił udzielić na jego temat konkretnych informacji – plotki były często mocno przesadzone i owa postać obrosła legendą. Wynikało to z faktu, że członkostwo w grupie było dostępne dla wybranych, wymagania stawiano bardzo wysokie, a przysięga zachowania tajemnicy pozostawała absolutnie zobowiązująca.

Kiedy szli przez las, z każdym krokiem drżeli coraz bardziej i przepełniała ich jeszcze większa ciekawość. Musieli już tylko stawić czoła najstarszym uczniom, przetrwać lato i przejść inicjację.

[2] Hangover (ang.) – kac (przyp. tłum.).

Rozdział 29

Szli ścieżką tak długo, aż dotarli do polany, z której widać było dwupasmową szosę znaną jako droga numer siedemdziesiąt siedem. Skręcili w prawo i ruszyli wzdłuż ciemnego pobocza, a żwir chrząścił im pod stopami.

– To tam – powiedziała Gwen, wskazując palcem.

Zobaczyli przed sobą znacznik trzynastej mili, który zniknął w mroku, jednak cyfry jeden i trzy pozostawały widoczne w blasku księżyca.

– Trzy-naście-trzy-pięć – wyrecytował Theo, kiedy podeszli do znacznika. – Mamy do pokonania jeszcze jedną trzecią mili.

– Zaczyna mnie to przerażać – wyznała Danielle.

Gavin machnął tylko ręką.

– Pospieszcie się. Jeśli będzie przejeżdżał jakiś samochód, nie będziemy mieli gdzie się schować, a jest już po porze gaszenia świateł.

Ruszyli gęsiego wzdłuż wąskiego pobocza, aż w odległości mniej więcej jednej trzeciej mili za znacznikiem odległości zobaczyli dróżkę prowadzącą z powrotem do lasu. Krzewy utworzyły tam przejście, czarną dziurę ziejącą na linii drzew. Zeszli z nasypu i ruszyli w tamtym kierunku.

– Buu!

Głos był głośny i nieprzyjemny. Wszyscy podskoczyli, a dziewczyny zaczęły piszczeć.

Po chwili usłyszeli śmiech Tannera Landinga, który wyłonił się zza drzew.

– Tanner, jesteś pojebany! – zawołała Gwen.

Chłopak zgiął się wpół ze śmiechu, zupełnie jak poprzedniego wieczoru, wskazując ich palcem.

– Szkoda, że nie widzieliście swoich min. Gdybym to nagrał, mielibyśmy hit internetu.

– Wybaczcie – powiedziała Bridget, wychodząc za Tannerem z lasu. – Uznał, że będzie śmiesznie, jeśli tutaj na was zaczekamy.

– Boki zrywać – mruknął Gavin. – Cieszę się, że na nas zaczekaliście. Super, że tutaj jesteście. Nie wiem, co byśmy bez was poczęli.

Tanner się wyprostował i powoli przestał zanosić się od śmiechu.

– Jak twoja dziewczyna znosi to twoje marudzenie?

– A jak twoja znosi twoje pieprzenie bez sensu?

Pozostali zaczęli chichotać.

– Wybacz – rzucił Gavin w stronę Bridget.

– Nie szkodzi – odparła. – To dupek, tyle że nic sobie z tego nie robi.

W końcu weszli do lasu, żeby pokonać pozostałe pół mili dzielące ich od celu. Szli pod koronami drzew leśną ścieżką, próbując oceniać pokonywaną odległość. Kiedy dotarli na skraj lasu, zobaczyli rozwieszony między dwoma słupkami łańcuch z tabliczką „WŁASNOŚĆ PRYWATNA”. Za nią, w niewielkiej odległości, majaczył kształt mitycznego domu nauczycielskiego. Krył się w cieniu, jednak przez okna widać było słabą poświatę, która lekko rozświetlała grunt pod nimi. Kiedy jednak lepiej przyjrzel się szybom, zauważyli, że światło wewnątrz domu przytłumione jest przez ciemną farbę, którą pokryto okna.

Z zewnątrz budynek kojarzył się z pozostałymi gmachami w kampusie Westmont – został wzniesiony z piaskowca i porastał go bluszcz. Różnica polegała na tym, że ten był bardzo zaniedbany. Bluszcz porastał bujnie okna i opadał pod własnym ciężarem pod rynną. Opadające przez wiele sezonów liście nagromadziły się pod ścianami i wokół pni drzew okalających dom. Od frontu rósł masywny dąb z grubymi, poziomymi gałęziami nadającymi mu wygląd krucyfiks.

– Co teraz? – zapytała Gwen.

Danielle wyjęła telefon i przewinęła tekst wiadomości, aż dotarła do tej, która zawierała przysłane im zaproszenie.

– Człowiek z lustra prosi o waszą obecność w trzynaście-trzy-pięć – odczytała z ekranu. – Po przybyciu stańcie przed domem i czekajcie na dalsze instrukcje.

– Nie jestem pewna, czy chcę to robić – powiedziała Gwen.

Tanner się uśmiechnął.

– Och, z pewnością chcesz. Przekonajmy się, o co chodzi z tą całą sensacją.

Rozdział 30

Wyszli z lasu i stanęli na polanie przed domem. Następnie razem przeszli przez otwartą furtkę z kutego żelaza, mijając w ten sposób ogrodzenie domu. Kiedy znaleźli się przed drzwiami, z mroku wyłoniły się jakieś postacie i ruszyły w ich stronę. Ubrane w czarne płaszcze z kapturami zjawy wyszły z cienia rzuconego przez bluszcz, z domu, przez drzwi frontowe, i z lasu otaczającego dom. Podeszły szybkim krokiem, a Gwen nagle przestała cokolwiek widzieć, bo na jej twarzy zacisnęła się opaska z miękkiego nylonu. Zawiązano jej węzeł z tyłu głowy.

– Ten opuszczony dom... – powiedział ktoś za jej plecami.

Gwen rozpoznała głos Andrew Grossa. Był on uczniem ostatniej klasy w Westmont i wszyscy uważali, że to on rozesłał zaproszenia. Od dawna wierzono, że Gross stoi za wyzwaniem z Człowiekiem z lustra, o których plotkowało tylu uczniów.

– To nie dla każdego, kto decyduje się tu przybyć. To jest wyłącznie dla wybranych. Wszyscy zostaliście zaproszeni, aby dołączyć do Człowieka z lustra, małej i ekskluzywnej grupy w szkole Westmont. Decyzja, czy będziecie mogli przyjąć to zaproszenie, zostanie dopiero podjęta.

Gwen poczuła czyjaś dłoń na łokciu i została poprowadzona przez trawnik na żwirową ścieżkę. Już po kilku chwilach, pozbawiona zmysłu wzroku, zupełnie się pogubiła. Potknęła się, ale ktoś ją przytrzymał, żeby nie upadła. W końcu dłoń przesunęła się z jej łokcia na ramię i popchnęła ją na twarde, drewniane krzesło.

– Wszyscy słyszeliście o Człowieku z lustra i wyzwaniach, które są jego pomysłem. Tego lata stawicie czoła wielu z nich, a dziś wieczorem pierwszemu. Sprawa jest prosta. Po prostu siedźcie na swoich miejscach. To wszystko. Pierwsza osoba, która wstanie, przegrywa, a uwierzcie mi, nie chcecie tego przegrać.

Gwen usłyszała chrzęst kroków na żwirze i liściach, kiedy Andrew i pozostali się oddalili. W końcu wszelkie szelesty ucichły i słychać było tylko koncertujące cykady. W końcu Gwen się odezwała:

– Gavin?

Nie była pewna, czy mówi szeptem.

– Jestem tutaj – powiedział Gavin. – Chyba siedzę obok ciebie.

Gwen poczuła, jak wyciągnięta dłoń Gavina dotyka jej ramienia. Przestraszyła się, ale zaraz ją chwyciła i uścisnęła.

– To jest naprawdę popieprzone – rzucił Theo. – Mamy tak siedzieć przez całą noc?

– Zgadza się – odparł Tanner. – Zostanę tu nawet tydzień, jeśli będzie trzeba. Ale wy się nie krępujcie, możecie odejść. – Nikt się nie odezwał. – Halo?

Gwen wiedziała, że już od pierwszej klasy i Dnia Bramy Tanner rozpaczliwie próbował się dopasować do innych. Chciał podnieść swój status społeczny, przeskakując z grupy do grupy, szukając akceptacji i aprobaty ze strony każdego, kto mógł mu to zaoferować. Sam fakt, że został przyjęty do małej szkolnej paczki, która otrzymała zaproszenie do słynnej tajnej sekty działającej w murach Westmont, był jego biletem do przyjaźni i popularności. Gwen wiedziała, że Tanner nie blefuje. Naprawdę byłby gotów siedzieć tu przez całą noc, żeby tylko starsi uczniowie przyjęli go do swojego kręgu.

– Halo? – powtórzył Tanner.

– Zamknij się, Tanner – warknął Gavin. – Naprawdę uważasz, że jesteś do tego zdolny?

Ledwie Gavin wypowiedział te słowa, kiedy gdzieś z oddali dobiegł ich jakiś dźwięk. Stłumiony sygnał, który przerwał wibracje świerszczy.

– Co to było? – zapytała Gwen i mocniej ścisnęła dłoń Gavina. Dźwięk się powtórzył, tym razem bliżej. – Myślicie, że powinniśmy stąd pójść?

– Nie wiem – odparł Gavin.

Kolejny gwizd, jeszcze głośniejszy, a po nim łoskot. Krzesła zadrżały pod ich pośladkami. W końcu usłyszeli dudnienie zbliżającego się pociągu. Przez opaski na oczach nie widzieli zupełnie nic i z powodu tej ciemności wydawało im się, że pociąg nadjeżdża z każdej możliwej strony.

– Gavin? – rzuciła Gwen.

– Pieprzę to – odpowiedział. – Idziemy!

Gwen zerwała opaskę z twarzy. Wtedy zobaczyła, że cała szóstka została ustawiona w pobliżu torów, plecami do szyn, w bardzo niebezpiecznej odległości. Kiedy spojrzała w lewo, ujrzała reflektor zbliżającej się do nich lokomotywy. Wrzasnęła, co sprawiło, że wszyscy zerwali swoje opaski. Rzucili się do ucieczki, zbiegając po nasypie, a pociąg przemknął za ich plecami. Wstając, Tanner potrącił swoje krzesło, które przewróciło się na tory. Kiedy najechały na nie koła lokomotywy, zamieniło się w pył.

Zatrzymali się w płaskim rowie, ogłuszeni przez skład, a strach i adrenalina zabierały im oddech. Ich uszy wypełniał jedynie huk metalu trącego o metal. Kawałek krzesła Tannera odbił się od pociągu i wylądował pod ich stopami. Wszyscy wbili w niego wzrok.

Był ósmy czerwca. Trzydzieści dni później w opuszczonym domu nauczycielskim stojącym tuż obok doszło do masakry.

Rozdział 31

Marc McEvoy miał plan. Postanowił pojechać do Peppermill dwudziestego pierwszego czerwca i pójść wzdłuż drogi numer siedemdziesiąt siedem. Zamierzał skorzystać z trasy, o której rozmawiali jego koledzy – trzynaście-trzy-pięć – i znaleźć opuszczony dom. Planował zrobić to tego lata, dokładnie tak, jak powinno mieć to miejsce podczas jego pierwszego roku w szkole Westmont. Powinien był to wtedy zrobić, by udowodnić, że uczniowie, którzy wybierali zaledwie kilka osób do swojej klikki, nie mieli więcej władzy nad innymi niż ci, którzy zostali odrzuceni. Gdyby Marc w pierwszej klasie miał w sobie tyle odwagi, co teraz, większość jego złości i ciekawości znalazłoby ujście. Zamiast tego stał się dwudziestopięcioletkiem, który wciąż cierpiał z powodu odrzucenia i nadal marzył o akceptacji ze strony innych. Bezustannie pragnął być częścią grupy, która skreśliła go wiele lat wcześniej.

Wyjazd do Peppermill musiał zachować w tajemnicy. Jego żona nie mogła się o tym dowiedzieć. Postanowił, że usprawiedliwi to koniecznością odbycia podróży służbowej. Powie jej, że nie będzie go tylko przez jedną noc. Pojedzie na lotnisko i zostawi samochód na oddalonym parkingu, pamiętając o odebraniu kwitu. Tam wsiądzie w South Shore Metra Line. Od South Bend będą dzieliły go jedynie dwie stacje – Hudson Lake i Carroll Avenue – wtedy pociąg znajdzie się nieopodal brzegu jeziora Michigan i miasteczka Peppermill. Ich rachunki opłacała jego żona, więc planował, że zapłaci gotówką, żeby nie zostawić żadnych śladów. Kiedy już dotrze do Peppermill, wypije drinka w miejscowym barze, zaczeka na właściwą porę, po czym ruszy wzdłuż drogi numer siedemdziesiąt siedem i rozpocznie wyprawę, którą powinien był odbyć wiele lat wcześniej. W końcu się przekona, które pogłoski były prawdziwe. Będzie trzymał się ciemności, nikt go nie zauważy. Pozostanie niewidzialny.

Był oczywiście świadom, że może się rozczarować, kiedy się okaże, że w trakcie swojej nauki w Westmont stworzył sobie przesadnie wielki obraz Człowieka z lustra. Teraz, niemal dziesięć lat później, istniała możliwość, że to,

co zostanie w opuszczonym domu, zupełnie nie spełni jego oczekiwań związanych z kryjącymi się w ciemnym lesie niebezpieczeństwami. Cała ta wyprawa mogła zakończyć się porażką. Ale jednocześnie możliwe było, że jego fantazje się spełnią. Nie był już wystraszonym nastolatkiem i nie obowiązywały go żadne reguły. Uznał, że kiedy dotrze do tego domu, będzie mógł zrobić, cokolwiek zechce.

Był ósmy czerwca. Pozostało mu trzynaście dni na dopracowanie planu.

Część 4

Sierpień 2020 roku

Rozdział 32

Krzesło szpitalne stojące przy łóżku sprawiało wrażenie wykonanego z granitu, więc Rory postanowiła usiąść na parapecie w okiennej wnęce, gdzie przynajmniej była jakaś poduszka. Oparła się plecami o mur i wyprostowała nogi, krzyżując prawy but nad lewym. Zawsze prawy nad lewym, nigdy na odwrót. Umysł nigdy by jej na to nie pozwolił. Okno miała po lewej stronie. Widziała przez nie staw i fontannę cztery kondygnacje niżej, ale zignorowała ten widok, skupiwszy się na lekturze. Na udach rozłożyła sobie notatnik Lane'a, zawierający pierwotne informacje na temat morderstw w szkole Westmont. Znajdował się tam również wstępny profil Charlesa Gormana oraz jeszcze inny, zawierający prawdopodobną charakterystykę osoby, która zabiła uczniów.

Profil Gormana przedstawiał zamkniętego w sobie nauczyciela chemii, który był prawdziwym geniuszem w swojej dziedzinie. Introwertyka z tendencją do okazywania zawstydzienia w sytuacjach publicznych poza salą klasową, osobę, która zawsze trzymała się reguł i nigdy nie była negatywnie oceniana przez przełożonych – nie zdarzyło się to ani w Westmont, ani w publicznych szkołach, w których uczył przez ponad dekadę, zanim wylądował w Peppermill. Gorman wywodził się z tradycyjnej rodziny, która nadal pozostawała bez skazy. Jego rodzice byli małżeństwem emerytowanych nauczycieli, żyli z emerytur i mieszkali w tym samym domu w Ohio, w którym wychowali trójkę swoich dzieci. Gorman był drugim dzieckiem i wszystko wskazywało na to – tak przynajmniej mówiły zapiski Lane'a – że miał zupełnie normalne dzieciństwo. Żadnych incydentów związanych z przemocą w podstawówce, liceum czy college'u. Żadnych wpisów w aktach mówiących o tym, że człowiek ten balansuje na skraju załamania psychicznego, które mogłoby pchnąć go do przeprowadzenia straszliwej masakry.

Charles Gorman był kawalerem, a dochodzenie Lane'a pozwoliło odkryć tylko jeden interesujący punkt w przeszłości tego człowieka. Zaznaczył je

w notatkach trzema czerwonymi gwiazdkami i dwiema kreskami, które podkreślały nagłówek *Związki*. Była dziewczyna Gormana w poprzednim miejscu jego zatrudnienia zgłosiła go do szkolnego działu kadr po tym, jak zakończyli swój ośmiomiesięczny związek. Raport podawał, że jego koleżanka po fachu, nauczycielka WOS-u, poczuła „dyskomfort” w związku z nasilającym się zainteresowaniem ze strony Gormana i jego naciskami, żeby pójść o krok dalej. Po spotkaniu z pracownikiem działu kadr i przedstawicielem nauczycielskiego związku zawodowego sprawę rozwiązano i nic więcej nie wydarzyło się między tymi dwiema osobami.

Gorman odszedł po zakończeniu roku szkolnego i podpisał umowę o pracę w Westmont. Tamta nauczycielka nazywała się Adrian Fang. Lane podkreślił dwukrotnie także jej dane, co oznaczało, że zamierzał porozmawiać z nią w sprawie profilu Charlesa Gormana. Zapisał również imiona i nazwiska obojga rodzeństwa i jego rodziców jako kolejnego potencjalnego źródła informacji.

U dołu strony Lane wymienił swoje kontakty w szpitalu psychiatrycznym Grantville, w którym obecnie przebywał Gorman. Rory zagięła róg kartki i przeszła do następnej strony.

U góry wielkimi literami zapisano: „MASAKRA W DOMU NAUCZYCIELSKIM”. Poniżej znajdował się profil, który zawierał cechy domniemanego sprawcy morderstw dwóch uczniów z Westmont. Szkic charakteryzował zorganizowanego, konsekwentnego zabójcę na podstawie nielicznych dowodów, które znaleziono na miejscu zbrodni. Poza ciałami ofiar morderca nie pozostawił żadnych odcisków palców, włókien czy śladów podeszw. Dla porównania, przykładowy zdeorganizowany zabójca, który wpadał w szal i zabijał raczej pod wpływem impulsu niż chłodnej kalkulacji, zostawiał po sobie mnóstwo dowodów i często nieumiejętnie próbował usuwać po sobie ślady. Lane uznał, że rzeź w opuszczonym domu została wcześniej zaplanowana i starannie przeprowadzona przez zręcznego sprawcę.

Jedynym niechlujstwem odkrytym na miejscu zbrodni były ślady krwi nienależące do żadnej z dwóch ofiar. Od wszystkich uczniów i pracowników szkoły, włącznie z Gormanem, pobrano próbki DNA. Niezidentyfikowana krew nie należała do żadnej z badanych osób.

„CZYJA KREW ZNAJDOWAŁA SIĘ NA MIEJSCU ZDARZENIA?”, dopisał Lane wielkimi literami.

Do teorii mówiącej o skrupulatnym mordercy, który starannie zaaranżował swoje czyny, dołożyć można było sposób, w jaki zamordowano obu uczniów – jednego poprzez cięcie, które rozerwało żyłę szyjną, drugiego przez zadanie obrażeń na szyi, przerwanie tchawicy i spowodowanie uduszenia. Brak obrażeń na dłoniach i rękach ofiar, mówiących o próbie obrony, sugerował zastosowanie elementu zaskoczenia. Do pierwotnego ataku doszło w jednym z pomieszczeń domu, następnie jeden z uczniów został wywleczony na zewnątrz i nabity na furtkę z kutego żelaza. Lane uznał, że był to symboliczny akt zemsty.

Rory przeczytała, że osoba ta miała najprawdopodobniej burzliwą przeszłość, trudne dzieciństwo lub przeżyła jakąś tragedię rodzinną. Fakt, że nie została zabita żadna uczennica podpowiadał, że zabójca miał złe nastawienie do mężczyzn, może do własnego ojca. Pozostawiona na miejscu zbrodni dziewczyna bez żadnych obrażeń pozwalała myśleć, że zabójca był związany ze swoją matką lub przynajmniej silnie wpłynęła ona na jego życie. Lane dokonał tutaj dwóch obserwacji: morderca albo mieszkał z matką w dorosłym życiu, miał z nią nienaturalnie intymną relację i nie nawiązał żadnego związku z inną kobietą, albo stracił matkę we wczesnym wieku, zapewne na skutek traumatycznego wydarzenia, które doprowadziło do wytworzenia nienaturalnego i silnego wspomnienia matki jako kogoś bliskiego bóstwu, któremu nie mogła dorównać żadna inna kobieta.

Przemoc stanowiła zapewne nieodzowną część życia tego człowieka i skierowana była albo przeciwko niemu samemu, albo przeciwko komuś, kogo kochał. Trauma związana z przemocą została przyswojona, a następnie przeniesiona na innych. Uczniowie z Westmont wcale nie musieli być pierwszymi ofiarami tego człowieka. Całkiem prawdopodobne było, że zabijał już wcześniej. Zabójca musiał być silny fizycznie – zawieszenie ważącego siedemdziesiąt dwa kilogramy chłopaka na ogrodzeniu to wyzwanie dla kogoś pozbawionego krzepy. Prawdopodobieństwo, że ta osoba była płci męskiej, graniczyło zatem z pewnością.

Rory przerzuciła stronę i zobaczyła, że Lane narysował diagram Venna, który zawierał wszystkie cechy z każdego profilu – zarówno Charlesa Gormana, jak i zabójcy. Okręgi nakładały się na środku, gdzie zapisano elementy wspólne dla obu profili. W polu tym znajdowało się niewiele cech, jedynie to, że sprawca wiedział o opuszczonym domu nauczycielskim i o tym, że uczniowie będą tam przebywać w nocy, podczas której dokonano zbrodni. Sprawca prawdopodobnie

znał ofiary i cechowały go raczej niskie poczucie własnej wartości oraz ponadprzeciętna inteligencja. Ponadto był wystarczająco silny, żeby poradzić sobie z dwoma zdrowymi nastolatkami.

Rory uniosła wzrok znad notatnika i wyrzała przez okno. Myśli kotłowały się jej w głowie i poczuła narastającą chęć, by rozpocząć swoje kalkulacje niezbędne do odszyfrowania fragmentów układających się w obraz przestępstwa. Charles Gorman pasował do profilu zabójcy sporządzonego przez Lane'a tak samo, jak każdy inny nauczyciel z Westmont. Wiedziała, że brakuje im jeszcze wielu informacji. Krew w jej żyłach przyspieszyła, kiedy poczuła w sobie niespokojną energię.

Zeszła z parapetu i zbliżyła się do łóżka. Położyła dłoń na czole Lane'a i pochyliła się, by jej usta znalazły się blisko jego ucha.

– Potrzebuję cię, więc lepiej już się obudź.

Rozdział 33

Rzadko się zdarzało, by Ryder Hillier przychodziła do siedziby redakcji „Indianapolis Star”. Większość zleceń przyjmowała e-mailem i w ten sam sposób odsyłała swoje artykuły. Zebrania personelu wymagały jej stawiennictwa dwa razy w miesiącu, a przez pozostałą część czasu była dziennikarką śledczą, która samodzielnie tropiła zbrodnie i czekała na zgodę redaktora naczelnego po znalezieniu czegoś interesującego. Jej wysiłki spotykały się zazwyczaj ze sporą dozą entuzjazmu – dzięki wcześniejszym osiągnięciom zdołała wyrobić sobie renome. Jednak tego dnia naczelny okazał się wyjątkowo oporny. Nie przyszła do redakcji, bo chciała być na zebraniu, ani nie przekroczyła żadnego terminu, o którego przedłużenie musiałyby zabiegać. Znalazła się tam, bo wylądowała po uszy w gównie.

Decyzja o opublikowaniu nagrania z Theo Comptonem okazała się całkowicie nietrafiona, a Ryder przyznała się, że opanowała ją chęć pokonania Macka Cartera. Publikacja wideo była metodą na ogłoszenie światu jej zwycięstwa, ale ostatecznie wszystko spieprzyło się w wyjątkowo spektakularny sposób. Zaprosiła tamtej nocy Macka do współpracy, bowiem uznała, że jeśli cokolwiek się wydarzy w opuszczonym domu nauczycielskim, ten nie będzie miał wyboru i zostanie zmuszony do umieszczenia Ryder w swoim podcaście. Przez myśl jej nawet nie przeszło, że zostanie martwego chłopaka, ale kiedy tak się stało, uzmysłowiła sobie, że tajemnica ze szkoły Westmont jest dużo głębsza, niż się wszystkim wydawało. Dzieciaki zabijały się z jakiegoś powodu, a ona była zdeterminowana, by ten powód odkryć.

Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, opublikowała nagranie na swoim kanale na YouTube o drugiej dwadzieścia pięć nad ranem, zaraz po złożeniu zeznań na policji. Uznała, że uderzając jako pierwsza, wyprzedzi podcast Macka. Niezależnie od dalszych reperkusji, jej wyczyn okazał się całkiem skuteczny. Do szóstej nad ranem wideo zostało odtworzone ponad sto tysięcy razy. Kiedy zostało dalej udostępnione przez jej fanów, na liczniku pojawiły się

kolejne tysiące odsłon, a po nich miliony. Wtedy film usunięto wraz z całym jej kanałem.

Gdyby Ryder była tak dobrze chroniona jak Mack Carter, znajdowałaby się teraz w dużo lepszym położeniu. Carter miał wpływowych prawników i cały zespół, który bronił jego tyłka. Odpowiednie osoby na górze doradziły mu zapewne, by trzymał się z dala od nagrania z Theo Comptonem, ale oczekiwali, że zaatakuje w odpowiedni sposób. I tak też zrobił, odnosząc ogromny sukces. Podcast nigdy nie wiązał się bezpośrednio z nagraniem przedstawiającym ciało Theo, jednak mocno podkreślał wyprawę Macka do opuszczonego domu po odebraniu „niezidentyfikowanego cynku”. Oczywiście przeredagowano telefon od Ryder, montując wszystko w sposób, z którego wynikało, że to Mack zobaczył informację od Theo i postanowił wyruszyć do trzynaście-trzy-pięć, że tamtej nocy na miejscu zastał przypadkowo inną dziennikarkę, opisaną w podcaście jako ktoś, kto prowadzi „amatorskie śledztwo”. Podano, że owa amatorka podjęła fatalną w skutkach decyzję o nagraniu tego, co zastała przy torach, i że ponosi ona pełną odpowiedzialność za swoje postępowanie. Mack wyszedł z tego bez skazy, a nawet lepiej, bo zyskał jeszcze większą popularność. Czwarty odcinek podcastu został pobrany miliony razy. Jednak nie tu objawił się największy geniusz Cartera. Aby zdystansować się od tego nagrania, musiał on przyznać, że takowe faktycznie istnieje. A zrobił to niejedną raz.

Mack Carter wiedział, że kiedy beszta „niedoświadczoną dziennikarkę” za opublikowanie takiego odrażającego nagrania, za każdym razem zachęca w ten sposób swoich odbiorców do poszukiwania tego filmu w internecie. Nawet bez bezpośrednich łączy do bloga Ryder na kanale na YouTube, ta dostrzegła wyraźny wzrost zainteresowania i zorientowała się, że słuchacze podcastu szukają wideo w sieci. Mack skierował w ten sposób uwagę swoich fanów na nagranie, nie ponosząc żadnych prawnych konsekwencji swojego czynu. Ryder musiała przyznać, że z punktu widzenia marketingu posunięcie to było naprawdę fantastyczne.

- Zamknij to – polecił jej naczelny, kiedy usiadła przed jego biurkiem.
- Już zamknęłam. YouTube zabroniło publikacji tego nagrania i dołożyło starań, żeby zatrzeć wszelkie ślady. Zamknęli cały mój kanał, a kiedy otworzą go ponownie, zabiorą mi zapewne wiele przywilejów.

– Nie tylko wideo – mruknął redaktor naczelny. – Zamknij całą sprawę. Wszystko. Koniec doniesień na temat szkoły Westmont.

– Nigdy nie opublikowałam na papierze niczego związanego z tą szkołą – zaoponowała Ryder.

Mówiła prawdę. Fascynacja sprawą z Westmont była wyłącznie jej własnym przedsięwzięciem, a blog i kanał na YouTube to oddzielne projekty, które w żaden sposób nie wiązały się z gazetą i nigdy nie naruszyły żadnych terminów, bo należały tylko do niej.

– I nigdy nie opublikujesz – powiedział. – To dotyczy również wszelkich informacji na temat śmierci Macka Cartera.

– To ja powinnam napisać o Macku. Przecież to ja spotkałam się z nim kilka dni przed jego śmiercią, a to musi być jakoś powiązane ze sprawą z Westmont.

– Trzymaj się od tego z daleka, Ryder. Przydzieliłem to już komuś innemu. Jeśli nadal chcesz publikować artykuły w tej gazecie, zamkniesz tę sprawę na dobre. Poza tym zabraniam ci robienia czegokolwiek na boku, dopóki nie poznamy zakresu i ciężaru konsekwencji prawnych związanych z twoim wyskokiem. A jeśli zostaniesz formalnie oskarżona i skazana, twoja praca tutaj oczywiście dobiegnie końca. Na razie zajmij się robotą i pozostań niewidoczna. I żadnych artykułów opatrzonych twoim nazwiskiem, dopóki nie opadnie kurz.

– Żadnych artykułów? Odbierasz mi moją rubrykę?

– Zawieszam.

– Posłuchaj – powiedziała Ryder, próbując uratować sytuację. – Mack Carter przyjeżdża do Peppermill i zaczyna grzebać w starej sprawie. Niedługo potem ginie. Okoliczności związane z jego śmiercią są cholernie podejrzane. Jestem zaznajomiona ze sprawą, nad którą pracował, a teraz chcesz mi powiedzieć, że mam to porzucić? Mogłabym napisać artykuł, który wywołałby prawdziwą burzę. Ale skoro „Star” mi nie ufa, to może zrobi to ktoś inny. Od kiedy to masz w zwyczaju uciekać od gorących tematów?

– Od kiedy zamartwiam się, że gazeta zostanie pozwana. Nasi prawnicy uważają, że jedynym powodem, że tak się jeszcze nie stało, jest brak bezpośrednich powiązań między nami i sprawą z Westmont. Jesteś teraz między młotem a kowadłem, a hieny już czekają na to, żeby zaatakować gazetę. Nie zamierzam im na to pozwolić. Jesteś oficjalnie odsunięta i to jest koniec dyskusji na ten temat.

Spojrzał na ekran komputera, zapisał coś na kawałku kartki i przesunął go w jej stronę. Ryder zauważyła na nim kilka nazwisk i adresów.

– Tu masz kilka nowych spraw. Zaginiona dziewczyna z Evansville. Napad na sklep spożywczy w Caramel. Starcie podczas przedsezonowego meczu futbolowego na uniwersytecie Indiany. Oskarżenie o gwałt w Notre Dame. – Znów popatrzył na ekran. – Ach, i jeszcze facet, który został postrzelony w dupsko podczas próby włamania do domu osiemdziesięcioletniej kobiety. Porozmawiaj z nią. Chcę, żeby znalazła się na pierwszej stronie dodatku lokalnego.

Ryder spojrzała na jego bazgroły na kartce. U dołu widniało nazwisko zaginionego faceta z South Bend, który przepadł bez wieści rok wcześniej. Postukała w nie palcem.

– Już zajmowałam się tym gościem z South Bend. Nikt nie wie, co się z nim stało. Sprawa jest zimna i cholernie nudna.

– Więc ją podgrzej. – Redaktor naczelny machnął ręką. – Zaproponuj mi coś interesującego, co dotyczy tych spraw. Będziesz miała zajęcie na wiele dni.

– A dalej? Mam się zająć tymi historiami, i potem co? Powiedziałeś, że niczego nie opublikujesz.

– Zgadza się. Przez jakiś czas nie będziesz niczego pisała. Przyniesiesz tu swój notatnik pełen informacji i przekażesz go innemu dziennikarzowi, aby mógł napisać artykuły.

– Naprawdę chcesz mi to zrobić?

– Sama to sobie zrobiłaś, Ryder. Jeśli chcesz jeszcze cokolwiek napisać w tej gazecie, wskakuj do okopów i siedź tam, póki groźba pozwania się nie oddali. Uznaj się za szczęściarę, że wciąż masz tę robotę. Żadna inna gazeta by cię teraz nie zaangażowała.

Ryder zabrała kartkę, zmięła ją w dłoni, po czym wstała, odwróciła się na pięcie i wyszła.

Rozdział 34

Rory już od dawna zastanawiała się nad swoją fascynacją związaną z naprawą porcelanowych lalek. Korzystała z tej obsesji jak z ujścia dla swoich stłumionych myśli o sprawach przyziemnych i zbędnych, które ją niepokoiły. Dzięki tej pasji była w stanie pokonać swoje przypadłości w dzieciństwie. Natomiast w dorosłym życiu pozwoliła jej ona nawiązać więź z babką stryjeczną Gretą, która jako pierwsza wprowadziła Rory w świat majsterkowania przy lalkach z chińskiej porcelany. W ten sposób kobieta uratowała Rory przed autodestrukcją. Niezależnie od tych sprawdzonych i cennych zastosowań Rory zastanawiała się również, czy doznawała spokoju przy naprawie starych lalek dlatego, że pozwalało jej to reperować w nich takie elementy, których nie naprawiłaby nigdy w samej sobie. Uznała za ironię losu, że jej własne wady i niedoskonałości stały się narzędziami służącymi do naprawy wad i niedoskonałości w lalkach. Gdyby je odpowiednio ukierunkować, jej zaburzenia obsesyjno-kompulsywne i spektrum autyzmu mogłyby posłużyć do przywracania lalkom stanu bliskiego doskonałości. Choć Rory zawsze była na swój sposób uszkodzona i nie nadawała się do pełnej naprawy, lalki czyniły ją tak pełną, jak tylko było to w jej przypadku możliwe.

Siedziała w pracowni urządzonej w domku i mieszała masę papierową z klejem. Zapach mikstury przywiódł wspomnienia z dzieciństwa w domu na farmie jej babki stryjecznej Grety, gdzie spędzała lata młodości. Tam poznała tajemne techniki starszej kobiety, dzięki którym wrak starej niemieckiej lalki można było zamienić w prawdziwe dzieło sztuki.

Kiedy masa papierowa uzyskała odpowiednią konsystencję, Rory wzięła niewielką jej ilość i zabrała się za rekonstrukcję ucha lalki w miejscu, gdzie porcelana pękła i spora jej część odpadła, pozostawiając po sobie ziejącą dziurę. Po stworzeniu solidnej podstawy osuszyła masę elektryczną opalarką. Następnie wyjęła porcję zimnej gliny porcelanowej ze szczelnego pudełka, umieściła spory kawałek w samym środku utwardzonej masy papierowej

i nadała mu pożądany kształt. Użyła narzędzi do wyrzeźbienia nowego ucha i policzka, po czym podgrzała porcelanę, żeby ją utwardzić. Otworzyła swój nowy zestaw pędzli Foldger-Gruden podarowany jej przez Lane'a, wyjęła jeden z nich i dotknęła końcówki opuszką palca. Uchwyt każdego pędzla wykonany był z drewna sosnowego, a druga końcówka miała kształt ułatwiający rzeźbienie. Uchwyty się różniły, jedne były tępe, inne bardzo ostre. Rory wybrała tępą końcówkę do pracy, której wymagało początkowe rzeźbienie w glince porcelanowej. Później zamierzała skorzystać z ostrzejszych, bardziej spiczastych końcówek do precyzyjnego nadawania kształtów uchu, policzkowi i kąтови ocznemu z lewej strony twarzyczki lalki.

Pracowała niestrudzenie przez dwie godziny, wyzbywając się nagromadzonych niepokojów, wyrzucając stłumione myśli o tym, że jest nikomu niepotrzebna, i eliminując ciągle pragnienie powtarzania czynności, które niedawno zakończyła. Kiedy jej praca dobiegła końca, odłożyła lalkę Kiddiejoy z powrotem do pudełka, uważając, by przypadkowo nie zepsuć tego, co właśnie naprawiła. W końcu wyszła, zamknęła domek na klucz i pojechała do szpitala, czując się znacznie lżejsza niż przed kilkoma godzinami.

Kiedy weszła do sali szpitalnej, Lane leżał z otwartymi oczami. Były wilgotne i nabiegły krwią od leku, który skapywał z zawieszzonego worka z kroplówką.

– Hej – powiedziała.

– Nie w taki sposób planowałem cię tutaj ściągnąć.

Rory się uśmiechnęła i położyła mu dłoń na policzku.

– Wystraszyłeś mnie jak diabli.

– Za pomocą głównianego przedstawienia – odparł i się skrzywił. Rory zauważyła jednorazowy kubek stojący na stoliczku obok łóżka i podała go Lane'owi, który pociągnął łyk przez słomkę. – Odnoszę wrażenie, że moje gardło wypełnione jest żuzłem.

– Co powiedzieli lekarze?

– Jeszcze się z nimi nie widziałem, ale kiedy się ocknąłem, byli tu dwaj detektywi.

– Tak, już z nimi rozmawiałam.

– Moje gardło nie chciało współpracować, więc niewiele im przekazałem. Nie mogłem też zadać żadnych pytań. Chryste, Rory, co się stało?

– Wygląda na to, że przebudzenie się w szpitalu pozostawia wiele luk we wspomnieniach.

Rory usiadła obok łóżka i opowiedziała Lane'owi wszystko od jej wyprawy na aukcję do Miami przez decyzję o przyjeździe do Peppermill aż po odnalezienie go w wynajętym domu Macka Cartera i pożar. Wspomniała, że Mack Carter zginął podczas wybuchu i dalszego pożaru, którego okoliczności detektywi Ott i Morris uznali za co najmniej podejrzane.

– Przez całą noc myślałam o tym, w jaki wpadłabym szal, gdybyś zginął.

– Oto ciepła i troskliwa kobieta, którą kocham – rzucił Lane i pociągnął zimną wodę przez słomkę.

– Jak twoja głowa?

– Boli.

– Możesz jej używać?

Lane przytaknął.

– To dobrze. Czytałam twój profil mordercy z Westmont. Musimy porozmawiać.

Rozdział 35

Dzień po przebudzeniu się Lane'a, w słoneczne, niedzielne popołudnie wypisano go ze szpitala. Krwawienie podtwardówkowe ustępowało, a płuca funkcjonowały z osiemdziesięcioprocentową wydajnością. Przekazano mu listę ograniczeń związanych głównie ze wstrząsem, które obejmowały prowadzenie samochodu, jazdę nim w roli pasażera na odległość przekraczającą trzy kilometry, korzystanie z komputera i czytanie. Ze szpitala wyszedł z zaleceniem przebywania w ciemnym pomieszczeniu bez żadnych bodźców aż do ustąpienia bólu głowy. Lane zgodził się na wszystko i podpisał papiery. Prawdę mówiąc, gotów był podpisać cokolwiek, byleby opuścić szpitalne łóżko. Rory pomogła mu wyjść na podjazd przed domkiem na Winston Lane. Spojrzał na swoje odbicie w samochodowej szybie. Jego głowę spowijała biała gaza.

– Dobry Boże, wyglądam jak Phineas Gage[3].

Rory chwyciła go pod rękę.

– Bandaże zostają na swoim miejscu, dopóki nie wyjdą szwy. Chyba nawet lepiej, że utknęliśmy w Peppermill. Łatwiej będzie cię kontrolować.

Podeszli do stopni przed frontowymi drzwiami.

– Co sądzisz o tym miejscu? – zapytał Lane. – Mówiłem ci, że całkiem tu słodko.

– Podoba mi się piwo w lodówce. Jak to wykombinowałeś?

– Zatrzymałem się w Munster i pogadałem z Kipem. Powiedziałem mu, do czego jej potrzebuję i że jestem gotów zapłacić fortunę, by zabezpieczyć kilka butelek. Zaczyna mi dudnić w głowie. Chyba wezmę jedną, żeby to uspokoić.

– Mowy nie ma – rzuciła Rory.

Pomogła mu usiąść na sofie. Pędzel Foldger-Gruden, którego użyła wcześniej przy naprawie lalki, sterczał z przedniej kieszeni jej koszuli.

– Widzę, że znalazłaś pędzle – powiedział Lane, kiedy się ułożył.

– Tak. Jestem pewna, że one też kosztowały fortunę. Nie sprzedają ich już od dwudziestu lat.

– W internecie znajdziesz dziś praktycznie wszystko. Wszystko zależy od tego, jak dużo jesteś gotowa wydać. – Lane poprawił się na sofie. – To były dobrze wydane pieniądze, a wyłącznym celem tego zakupu było przekupienie cię, byś została na parę dni.

– Masz mnie na znacznie więcej niż dwa dni, doktorze Phillips. Utknęliśmy w Peppermill, przynajmniej dopóki nie będziesz mógł prowadzić samochodu albo dłużej w nim siedzieć, wszystko jedno. Lekarze mówią o co najmniej dwóch tygodniach.

Lane oparł głowę na poduszce sofy i zamknął oczy.

– Gdybyś bardzo chciała wyjechać, załadowałabyś mnie do samochodu i pomknęła do Chicago po wszelkich możliwych wybojach. Trzymamy się zasad i zostajemy w tym miasteczku jedynie dlatego, że zainteresowała cię sprawa z Westmont.

Rory usiadła obok niego.

– Tablica korkowa w tamtym pokoju zdecydowanie przyciągnęła moją uwagę.

– No tak. Kiedy ja spałem spokojnie w szpitalu, ty czytałaś mój profil mordercy z Westmont. Co z niego do tej pory wywnioskowałaś?

Rory pokręciła głową.

– Coś mi się w tej całej sprawie nie podoba.

Lane otworzył oczy i uniósł głowę.

– Mów dalej.

– Najpierw pomyślałam sobie, że Charles Gorman nie pasuje do twojego profilu zabójcy. Nie licząc zgodności w postaci lokalizacji i podstawowej wiedzy na temat studentów, co tak naprawdę pasowałyby do każdego nauczyciela, Gorman nie wygląda mi na kogoś mającego wiele cech, które przypisałeś mordercy.

– Przypomnijmy sobie, co wiemy. – Lane wskazał swoją obandażowaną głowę.

– Jestem jeszcze trochę zamroczony.

– Miejsce zbrodni – powiedziała Rory.

– Oddalone. Ciemne. Coś, co ktoś mógł łatwo kontrolować, szczególnie jeśli znał rozkład domu.

– Nie ma mowy o kimś, kto przypałał się przypadkiem – uznała Rory.

W taki właśnie sposób współpracowała z Lane'em – swobodnie i płynnie. Wzajemnie analizowali swoje przemyślenia i często jedno kończyło zdanie za drugie.

– Nie licząc uczniów, którzy znaleźli się w lesie, należy wykluczyć postronnych obserwatorów, którzy cokolwiek widzieli – dodała.

– Zgadza się. Nie ma również możliwości, żebyśmy zdobyli jakieś pomocne nagranie z monitoringu. Zmowa milczenia – powiedział Lane. – A więc miejsce, w którym mógł się przyczaić i czekać. Brak obrażeń wskazujących na obronę u ofiar wskazuje, że ich zaskoczył. Kiedy przyszły te dzieciaki, musiał być już w domu.

– Zorganizowany. Przygotowany. Wybrał miejsce, wybrał metodę, wybrał też broń.

Oboje umilkli na chwilę.

– Opowiedz mi o mordercy – powiedziała Rory. – Opisz mi jego sposób myślenia i wytłumacz, skąd wywodzi się tego rodzaju przemoc.

– No cóż, zacznijmy od tego, co wiemy na temat ofiar. Uczniowie płci męskiej. Jeden zaczynał szkołę, drugi ją kończył. W ich krwi nie znaleziono żadnych śladów narkotyków. Sprawca chciał ich śmierci z jakiegoś powodu. Zabójstwa nie były przypadkowe, a zaplanowane. Kto zamordowałby dwóch nastolatków? Ktoś z burzliwą przeszłością, ktoś odczuwający niechęć do mężczyzn. Dziewczyna w miejscu zbrodni pozostała nietknięta. Zakładając, że spotkała się ze sprawcą i ten pozwolił jej żyć, można uznać, że musiał być w bardzo bliskich relacjach ze swoją matką.

– Twój profil sugerował silny matczyzny związek – przypomniała Rory.

Lane pokiwał głową.

– Silny, ale jednocześnie w jakiś sposób przerwany. Więź łącząca go z matką musiała być nienaturalna. Może zakorzeniona w miłości, ale takiej, która przekształciła się w coś nienormalnego i niezdrowego. Do tego nieistniejąca lub toksyczna relacja z ojcem. Ojciec w jego życiu był albo nieobecny, co bolało sprawcę, albo łączyło ich coś związanego z przemocą, przez co sprawca czuł się urażony i odrzucony. Musimy dowiedzieć się więcej na temat ofiar. Czy to były dobre dzieciaki? A może szkolni tyrani? Czy wpłynęli na życie sprawcy w stopniu, który wywołał u niego skojarzenia związane z ojcem?

W pokoju znów zapadła cisza, kiedy oboje analizowali różne scenariusze.

– Okej – powiedział w końcu Lane. – Wiemy zatem, co się stało: w opuszczonym domu nauczycielskim zamordowano dwójkę dzieciaków. Wiemy, jak do tego doszło: zostali zaatakowani i poderżnięto im gardła.

– Żeby jednak dowiedzieć się, dlaczego i kto za to odpowiada – dorzuciła Rory – musimy jeszcze sporo w tym pogrzebać.

Jej spojrzenie powędrowało w stronę pracowni, gdzie na korkowej tablicy widniały zdjęcia ofiar. Dwóch zabitych uczniów i trzech, którzy odebrali sobie życie. Poczwała nagłą chęć, by podejść do tablicy i popatrzeć na fotografie. Brakowało jej tego poczucia intymności z zagubionymi duszami, które odczuwała za każdy razem przy rekonstrukcji zabójstwa.

– Ci samobójcy – powiedziała po chwili. – Może robią to dlatego, by uciec przed uczuciem nieszczęścia. Może poczucie winy prowadzi ich z powrotem na miejsce zbrodni, a śmierć wydaje się jedyną możliwą opcją.

– Ale co wzbudza w nich poczucie winy?

Rory nadal patrzyła w stronę pracowni.

– Tajemnica? – podsunęła w końcu. – Tajemnice często pożerają ludzi żywcem.

– Ten Compton z pewnością pragnął wyrzucić z siebie jakiś sekret, kiedy rozmawiał z Mackiem Carterem.

– Jeśli zgodzimy się zatem, że portret zabójcy nie przypomina Charlesa Gormana i odrzucimy założenie, że istnieje grupa uczniów, która wie na temat tej nocy znacznie więcej niż przekazała policji, to mamy logiczny wniosek, że poczucie winy u tych uczniów wynika z faktycznych wydarzeń, które miały miejsce w tym domu. Do tego owo poczucie winy jest tak silne, że ściąga ich tam z powrotem i kieruje na tory, gdzie odbierają sobie życie.

[3] Phineas P. Gage – amerykański kierownik budowy kolei, który doznał poważnego wypadku i uszkodzenia mózgu, kiedy stalowy pręt przebił na wylot jego czaszkę, niszcząc znaczną część płatów czołowych (przyp. tłum.).

Rozdział 36

Gavin Harms przechadzał się bulwarem, który ciągnął się wzdłuż głównej bramy prowadzącej do szkoły. Letnie wakacje dobiegały końca i wkrótce oficjalnie miał się rozpocząć jego ostatni rok szkolny. Kampus świecił pustkami. Uczniowie, którzy pozostali na okres letni na terenie Westmont, pozamykali się w swoich pokojach lub w bibliotece, gdzie uczyli się do egzaminów końcowych. W kampusie było znacznie ciszej niż zwykle, nawet latem. Nabór skurczył się znacząco po morderstwach w domu nauczycielskim, co było pierwszą poważną rysą w historii szkoły. W Westmont zawsze panował tłok, a proces rekrutacji wymagał ścisłego nadzoru, przez co wiele osób lądowało na długiej liście rezerwowej. Jednak od tamtej tragedii poprzedniego lata wielu uczniów najzwyczajniej na świecie nie wróciło na semestr jesienny. Ci, którzy zdecydowali się wrócić, opuścili kampus po zakończeniu roku szkolnego, co poważnie wpłynęło na wyniki letniego naboru. W czerwcu minęła pierwsza rocznica rzezi, a Gavin należał do garstki uczniów, którzy uczyli się w porze letniej. Nie było przecież mowy o tym, żeby ciotka i wuj pozwolili mu wrócić na lato do domu.

Solidne kolumny prestiżowej biblioteki w Westmont pięły się ku dachowi i łączyły z nim w miejscu, gdzie znajdowało się motto szkoły: „Przybądź sam, odejdz wspólnie”. Gavin nigdy nie kupił tego sloganu, ani kiedy był pierwszoklasistą o szeroko otwartych z przerażenia oczach, ani teraz, kiedy od ukończenia szkoły dzieliło go dziewięć miesięcy. Teraz czuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek wcześniej. Uczucie to wynikało jednak w dużej mierze z decyzji podjętych w ciągu minionego roku, a te z kolei wiązały się ze skrywaną przez niego tajemnicą. Tajemnicą, która – czego mocno się obawiał – nie pozostanie już długo ukryta. Zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby do tego nie dopuścić. Dokonał czynów, których żałował i które pragnął cofnąć.

Przybądź sam, odejdz wspólnie.

Zastanawiał się, czy będzie mógł opuścić to miejsce razem z Gwen, czy też każde z nich pójdzie w swoją stronę. Ścisnął mocniej plecak, mijając bibliotekę i idąc w stronę akademika i swojego pokoju. Kiedy znalazł się w środku, zamknął drzwi na klucz, włączył laptopa i otworzył blog Ryder Hillier. Od kiedy podcast Macka Cartera został zawieszony na nieokreślony czas, strona Ryder była jedynym źródłem informacji. Słyszał, że dziennikarka znalazła się w tarapatach po opublikowaniu nagrania ukazującego leżące przy torach zwłoki Theo. Jego rodzice postanowili ją pozwać, co oznaczało, że również stronie grozi zamknięcie w najbliższym czasie. Szkoła Westmont zostanie wtedy odcięta od świata i przy odrobinie szczęścia cała ta historia szybko odejdzie w zapomnienie. Im mniej uwagi reszta kraju poświęcała Peppermill w stanie Indiana, tym lepiej. Gavin pragnął jedynie przetrwać tę burzę, zaliczyć ostatnią klasę i opuścić to miejsce. Potem wszystko wróci do normy.

Dopóki jednak blog Ryder pozostawał aktywny, zamierzał czerpać z niego kolejne informacje. Tego dnia nie opublikowano jednak niczego nowego. Na forum dyskusyjnym było mnóstwo teorii spiskowych dotyczących domu nauczycielskiego, przejeżdżającego w pobliżu pociągu, Człowieka z lustra i przyczyn samobójstw uczniów. Ostatnia teoria mówiła o tym, że dwaj uczniowie z Westmont zginęli w wyniku połączonego zabójstwa i samobójstwa, kiedy to jeden zamordował drugiego, zawiesił go na ogrodzeniu, a potem wrócił do środka i poderznął sobie gardło. Pozostali uczniowie, którzy powrócili w to miejsce, by odebrać sobie życie, postępowali zgodnie z tym samym zakodowanym przekazem, który im pozostawiono. Sens tej teorii burzył jednak raport medyczny, który podawał, że żadna z ran na szyi nie została zadana samodzielnie. Nie przeszkadzało to co poniektórym wariatom trzymać się jej łąpczywie i wrzeszczeć o spisku w kręgach policji.

Wszystkie sensacyjne i przesadzone teorie dotyczące Westmont opierały się na szybkim zamknięciu całej sprawy. Kiedy policja znalazła dowody obciążające pana Gormana kilka dni po rzezi, do wiadomości publicznej przekazano jedynie kilka szczegółów dotyczących tamtej nocy w lesie. Poinformowano tylko, że nauczyciel doświadczył epizodu psychotycznego i zamordował dwóch uczniów po tym, jak napisał list o swoich sadystycznych fantazjach. Osaczony przez policję, pan Gorman wrócił na miejsce zbrodni i usiłował popełnić samobójstwo. Nieopowiedziana historia była na tyle obszerna, że amatorzy kryminałów oszaleli.

Nie mając już dostępu do podcastu Macka Cartera, Gavin często zaglądał na blog Ryder w poszukiwaniu pozostawionego przez kogoś fragmentu prawdy. Jak dotąd nikt niczego takiego nie opublikował. Gavin nie wiedział oczywiście praktycznie nic o trwającym dochodzeniu policyjnym, nie miał również pojęcia, ile prawdy faktycznie wyszło na jaw. Na razie władze wydawały się zadowolone z możliwości trzymania się pierwotnego wniosku mówiącego o panu Gormanie i jego motywach, jednak samobójstwo Theo sprawiło, że ponownie zaczęto się zastanawiać nad tym, co mogło zostać przeoczone. Gavin niepokoił się, że w końcu do tego dojdą.

Rozległo się pukanie do drzwi. Szybko zamknął laptopa z włączoną witryną Ryder. Wstał, otworzył je i zobaczył stojącą w korytarzu Gwen. Wciąż nie potrafił się przyzwyczaić do jej wyglądu. Od ubiegłego roku i tamtej tragicznej nocy Gwen uszczupliła swoją niewielką masę ciała o kolejnych siedem kilogramów. W rezultacie zapadły się jej policzki, a na plecach sterczały łopatki. Od rozpoczęcia szkoły była doskonałą uczennicą, ale obecnie jej oceny pikowały w dół. Jednak bardziej niepokojący od utraty masy ciała czy słabych wyników w nauce okazywał się jej brak uwagi. Gwen nie tylko straciła zainteresowanie szkołą, ale wycofała się praktycznie z każdej dziedziny życia, włączając w to związek z Gavinem. To było najniebezpieczniejsze. Im bardziej się od niego oddalała, tym mniej wiedział o jej poczynaniach. A przecież teraz tym bardziej musieli trzymać się razem. Koniecznie w milczeniu. Jeszcze przez ten jeden rok, zanim ukończą Westmont i pójdą do college'u. Wtedy wszystko się ułoży, a obrazy z tamtej nocy spłowieją. Ich sumienia się zagoją, a oni o wszystkim zapomną. Tajemnica pozostanie nieujawniona, a w ich życiu zapanuje spokój.

Przez pierwsze sześć miesięcy po rzezi Gavin próbował ratować swój związek z Gwen, sprawy jednak wymykały mu się z rąk. Po samobójstwie Danielle wszystko sięgnęło dna, a teraz Gavin rozmawiał z Gwen tylko wtedy, kiedy było to absolutnie niezbędne. Obejmowało to takie sytuacje jak dzisiejszy wieczór, kiedy musiał ją uspokoić i opanować jej stres.

Zachęcił ją gestem dłoni do wejścia, po czym wyjrzał na korytarz, żeby się upewnić, że nikt za nią nie szedł.

- Jak się czujesz? – zapytał, zamykając drzwi.
- Strasznie.
- Musisz coś zjeść, Gwen. Mówię poważnie.

– Napisała do mnie mama Theo.

– Czego chciała?

– Powiedziała, że nie może się z tobą skontaktować i że chce z nami porozmawiać.

– Nie oddzwaniaj do niej – rzucił szybko Gavin.

– Gavin, jej syn nie żyje. Ona chce poznać prawdę i w naturalny sposób założyła, że my będziemy mogli jej w tym pomóc.

– I co niby mamy jej powiedzieć? Będzie chciała się o wszystkim dowiedzieć. Nie tylko o ostatnim czasie, ale też o ubiegłym roku. Jeśli zaczniemy rozpowiadać ludziom, co wiemy, prędzej czy później któreś z nas powie o jedno słowo za dużo. Tego chcesz? Żeby policja znów zaczęła nas wypytywać o tamtą noc? Pamiętasz każdy, najdrobniejszy szczegół, który im przekazałaś? Bo oni pamiętają. Z pewnością zechcą sprawdzić, czy teraz pamiętasz tamte wydarzenia w taki sam sposób, jak rok temu. A kiedy coś w tej opowieści spieprzymy, znów będą szukać. Naprawdę chcesz, żeby policja zaczęła badać tę sprawę od początku?

Gwen pokręciła głową.

– W takim razie nikomu nic nie mów, okej?

– Okej – mruknęła. – Sprawdzałeś bloga Ryder Hillier?

– Tak, nic nowego.

W kącikach oczu Gwen zamigotały łzy.

– Nie wiem, jak długo dam radę to znosić.

Gavin przecesał dłonią włosy. Popatrzył na Gwen i pomyślał, że dziewczyna może nie dać rady i nie dotrzeć do końca roku szkolnego.

– Uspokój się – powiedział. – Postaram się coś wymyślić.

Szkoła Westmont

Lato 2019 roku

Sesja 4

Wpis w dzienniku: WSPOMAGANE SAMOBÓJSTWO

Kiedy pogotowie zabrało moją matkę, zamknąłem się w pokoju. Pani Peterson zapukała kilka razy, żeby zapytać, jak się czuję. Milczałem, siedząc na podłodze z plecami przyciśniętymi do drzwi, aż w końcu się poddała. Ojciec wrócił do domu w środku nocy, a ja próbowałem podsłuchać krótką rozmowę, którą przeprowadził z sąsiadką. Niewiele udało mi się usłyszeć. Kiedy stuknęły frontowe drzwi i pani Peterson wyszła, wskoczyłem pod kołdrę, przekonany, że ojciec wejdzie do mojego pokoju, żeby ze mną pogadać. Nie zrobił tego. Wszedł na piętro po schodach i położył się do łóżka.

W końcu podszedłem do drzwi i spojrzałem przez dziurkę od klucza, żeby się upewnić, że na pewno śpi. Tego wieczoru, kiedy ojciec mnie zignorował i nawet nie raczył poinformować o stanie zdrowia matki, coś we mnie pękło. Lekceważące zachowanie ojca podsycało ogień czegoś, co do tej pory jedynie tliło się w środku, a kiedy uzmysłowiłem sobie w ciągu kilku najbliższych dni, że moja ukochana matka odeszła na zawsze, płomienie te przypominały już pożar i nie dały się zgasić.

Drzwi mojej sypialni zaskrzypiały cicho, kiedy je otworzyłem. Wiedziałem, czego potrzebuję i gdzie dokładnie powinienem tego szukać. Planowałem to już wielokrotnie, jednak nigdy dotąd nie miałem odwagi, żeby zrealizować ten zamysł. Na etapie wcześniejszego planowania obiecałem sobie, że wprowadzę ten scenariusz w życie, jeśli matka kiedykolwiek będzie tego potrzebowała. Ale to była jedynie fantazja. Wierutne kłamstwo, które stale sobie powtarzałem. Wyobrażałem sobie, że zakończę terror ojca wobec matki, starając się w ten sposób zamaskować tchórzostwo, które rządziło moim życiem. Pozwalało mi to zapomnieć o mojej słabości i strachu, które odczuwałem za każdym razem, kiedy obserwowałem przez dziurkę od klucza, jak ją bije. To działało przez jakiś czas. Zbyt długi, bo przez to pozwoliłem mu zrobić jej krzywdę po raz ostatni.

W końcu wyszedłem z sypialni, zakradłem się schodami do piwnicy i skierowałem na tyły, gdzie znajdowały się niezbędne narzędzia. Pierwotnie zakładałem, że będę musiał to zrobić, kiedy moja matka będzie przebywała w domu, jednak teraz, kiedy odeszła, było to jeszcze łatwiejsze. Wróciłem na górę i zatrzymałem się w korytarzu. Po lewej stronie znajdowały się otwarte drzwi mojego pokoju, po prawej miejsce, w którym wcześniej ojciec przeciągnął matkę po jadalnianym stole. Minąłem stół i znalazłem się u stóp schodów, w miejscu, gdzie po przyjeździe ambulansu leżała moja matka. Wchodziłem po jednym stopniu, zatrzymując się na każdym. Schody skrzypiały lekko pod naciskiem mojego czternastoletniego ciała, ale w ogóle nie odczuwałem niepokoju. Kiedy trzymałem w rękach grubą linę, przepełniało mnie poczucie celu. Postanowiłem, że nawet jeśli ojciec się obudzi, doprowadzę swój plan do końca. W tej chwili nic nie mogło mnie powstrzymać.

Kiedy pchnąłem drzwi sypialni, światło z korytarza padło na jego śpiącą sylwetkę. Chrapał tak, jak zawsze to robił po alkoholu. Leżał na plecach. Nie zamierzałem marnować czasu. Ostrożnie założyłem mu sznur na szyję. Przełknął ślinę i chrapanie natychmiast ustało. Stałem w bezruchu, dopóki znów nie zaczął chrapać, po czym wśliznąłem się pod łóżko. Brak światła z korytarza pogrzyżył moją kryjówkę w ciemnościach. Wymacałem końcówki sznura i pociągnąłem je w dół, żeby zwisały przy moich uszach. Następnie starannie owinąłem każdą z nich wokół rąk. Aby zapobiec otarciom, założyłem wcześniej rękawice ogrodowe. Podciągnąłem kolana do piersi. Było dość ciasno i żeby zyskać odpowiednią dźwignię, musiałem nieco unieść materac. Kiedy to zrobiłem, ojciec zaczął się poruszać. Obawiałem się, że zaraz się przebudzi. Nie miałem już czasu na dłuższe układanie się.

Pociągnąłem za oba końce sznura i jednocześnie przyłgnąłem plecami do podłogi z kolanami przyciśniętymi mocno do materaca nade mną. Zamknąłem oczy, kiedy usłyszałem, jak kaszle, i poczułem, jak się szamocze. Chciałem zakryć uszy, ale wiedziałem, że musi umrzeć. Musiałem mieć pewność. Materac podskakiwał nade mną, kiedy ojciec szarpał się na łóżku. Ciągnąłem sznur z całej siły przez pełnych pięć minut, aż poczułem skurcze w ramionach i ból w plecach. Czekałem jednak, aż zdrętwieją mi nogi i ojciec w końcu przestanie się ruszać. Zmusiłem się, żeby trzymać sznur jeszcze przez następnych pięć minut.

Kiedy w końcu zwolniłem uścisk, moje mięśnie odmówiły odpoczynku. Pozostały naprężone i sztywne, a kiedy wyprostowałem nogi, poczułem przenikliwy ból w kolanach. Odczekałem jeszcze kilka minut, ale jedynym odgłosem, który słyszałem, był mój własny oddech. Wyszedłem spod łóżka i spojrzałem przelotnie na ojca. Wiedziałem, że nie żyje, nie musiałem tego sprawdzać. Zamiast tego przywiązałem końcówki sznura do zagłówka i zepchnąłem jego ciało, aż zawisło na skraju łóżka. Upewniłem się, że w sypialni nie pozostawiłem niczego, co zdradziłoby moją obecność. W końcu zszedłem z powrotem do piwnicy, odłożyłem ogrodowe rękawice na swoje miejsce, wróciłem do pokoju i zamknąłem za sobą drzwi. Przez całą noc patrzyłem przez dziurkę od klucza, aż mroczne cienie ustąpiły miejsca świtowi. Mój ojciec już nigdy nie pojawił się w polu widzenia dziurki od klucza. Nadszedł nowy dzień.

Jak zwykle starannie ułożyłem zakładkę między stronami i zamknąłem dziennik.

– Byłem wtedy za młody, żeby zrozumieć, co czuję do samego siebie, ale nasze sesje pozwoliły mi to wszystko sobie poukładać. Tym uczuciem była odraza. Od tamtego dnia uświadamiałem sobie, że słabi nie mają na tym świecie prawa istnienia i że ci, którzy na nich żerują, są tak samo warci śmierci.

Patrzyliśmy na siebie jak zawsze, kiedy kończyłem czytać fragment dziennika.

– Czy to jest błędny sposób myślenia? – zapytałem w końcu.

Pokręciła głową.

– Absolutnie nie.

– To dobrze. W takim razie chciałbym opowiedzieć, o tym, co zaplanowałem tutaj, w kampusie. Będzie to dotyczyło zarówno osób załóżnie słabych, jak i tyranów, którzy ich dręczą. Tylko pani będzie w stanie to zrozumieć, a skoro nie może pani powiedzieć nikomu o tym, co tutaj omawiamy, wiem, że pozostanie to w tajemnicy.

Rozdział 37

W trakcie wieloletniej historii elitarnej szkoły Westmont jeszcze nigdy nie doszło do wydalenia żadnego uczniów. Kiedy przyjmowano daną osobę, instytucja brała na siebie obowiązek jej wychowania, ukształtowania charakteru i przygotowania do dalszego życia. Robiono to z zachowaniem dyscypliny, reguł i doradztwa. Bardzo intensywnego doradztwa.

Christian Casper uzyskał tytuł z dziedziny psychiatrii i ukończył szkolenia w zakresie psychoterapii dzieci i dorosłych. Wraz z doktor Gabriellą Hanover kierował zespołem do spraw doradztwa osobistego w szkole. Doktorzy Casper i Hanover nadzorowali pracowników, którzy dokładali starań, by prowadzić nastolatków spędzających swoje młodzińcze lata w Westmont. Większość z tych, którzy przekraczali bramę, opuszczała tę szkołę jako lepsi ludzie, dużo lepiej przygotowani do stawiania czoła wyzwaniom w życiu.

Podobnie jak większość nauczycieli i pracowników Westmont, doktor Casper mieszkał na terenie kampusu. Oprócz prowadzenia sesji terapeutycznych, uczył historii, czym zajmował się z powodzeniem przez ostatnich dziesięć lat. Mieszkał w domku numer osiemnaście w części dla nauczycieli, który pełnił również funkcję jego biura. W tej chwili siedziała naprzeciw niego Gwen Montgomery, a ich spotkanie dobiegało powoli końca.

– Nie przynosisz ostatnio dziennika na nasze sesje – powiedział. – Prowadzisz go w ogóle?

– Nie tak systematycznie jak kiedyś.

Doktor Casper nie odpowiedział, a Gwen zdążyła już wywnioskować z poprzednich sesji, że w ten sposób wyrażał swoje niezadowolenie. – Nie myślałam o tym w ogóle w ostatnim czasie. Nie myślałam o sobie. Przez większą część tygodnia byłam zdekoncentrowana.

– Czym?

Gwen wzruszyła ramionami.

– Przyzwyczajam się na nowo do szkolnej rzeczywistości i wszystkiego, co się z tym wiąże.

– A co jest takiego szczególnego w tej rzeczywistości?

– Relacje ze starszymi uczniami.

– Niech zgadnę, zaczęliście chadzać do tego opuszczonego domu nauczycielskiego.

Gwen odwróciła wzrok, a doktor Casper się roześmiał.

– To najgorzej zachowywana tajemnica w Westmont. Stary dom w lesie, gdzie starsi uczniowie piją piwo i robią różne głupie rzeczy? To istniało już dawno przed twoim przyjściem do szkoły i będzie istniało długo po tym, jak ją ukończysz. A przynajmniej do czasu, kiedy w końcu zburzą ten paskudny budynek. W przyszłym roku tak samo będziesz traktować niczego niespodziewających się świeżaków.

– Jak traktować? – zapytała Gwen.

Doktor Casper przysunął sobie laptopa.

– Utrudniać im życie. Dokuczanie młodszym to tradycja, która jest pielęgnowana wszędzie.

Gwen zastanawiała się, czy według definicji doktora Caspera „dokuczanie” obejmowało zawiązywanie oczu przy samych torach kolejowych. I nawet jeśli doktor Casper wiedział o spotkaniach w opuszczonym domu, z pewnością nie miał pojęcia o tym, co się tam naprawdę wyprawia. Ona sama dopiero się tego dowiadywała.

– Zapisz to w dzienniku – polecił doktor Casper. – Opisz swoje doświadczenia i co cię w związku z nimi niepokoi. Porozmawiamy o tym następnym razem, zgoda?

Gwen pokiwała głową.

Doktor Casper postukał w klawiaturę.

– Potrzebujesz odnowienia recepty?

Gwen nie odpowiedziała.

Doktor Casper popatrzył jej w oczy i w końcu skinęła głową.

– Tak. Kończą mi się.

– Zaraz wystawię i jutro będziesz mogła ją sobie odebrać u pielęgniarki.

Gwen milczała, dopóki nie przestał stukać w klawiaturę komputera i nie przeniósł na nią spojrzenia.

– Mamy porę letnią – powiedział. – Spodziewam się, że złamiesz kilka zasad. Prawdę mówiąc, zmartwiłbym się, gdybyś tego nie zrobiła. Tylko pamiętaj, nie daj się ponieść.

Rozdział 38

Trwał pierwszy tydzień kursu letniego i już po pierwszym dniu zajęć okazał się on tak fatalny, jak przewidywano. Uczniowie gapili się przez okna, marząc o znalezieniu się w zupełnie innym miejscu, myśląc o uciekającym lecie i wyobrażając sobie, jak ich wolni koledzy i koleżanki opalają się podczas imprez na plażach i śmieją przy ogniskach wieczorami. Jediną dobrą stroną było to, że program nauki nie zawierał zbyt wielu zajęć i każdy uczeń musiał wziąć udział w tylko dwóch kursach. Gavin i Gwen w strategiczny sposób zaplanowali ten sam harmonogram – lekcje chemii z panem Gormanem i historii z doktorem Casperem.

Klasa pana Gormana musiała niestety borykać się z dodatkowymi trzygodzinnymi zajęciami w laboratorium we wtorki i czwartki oraz normalnymi lekcjami w poniedziałki, środy i piątki. Udział w tych zajęciach i dodatkowo w lekcjach historii był załosnym usprawiedliwieniem dla uwięzienia w Westmont latem, o czym wspomniała ciotka Gavina w liście przeczytanym przez Gwen.

Gwen i Gavin stali obok siebie w laboratorium z goglami ochronnymi na twarzach. Przed sobą mieli cały zestaw probówek i zlewek. Po drugiej stronie stołu widzieli Theo i Danielle, a przy sąsiednim pracowali Tanner Landing i Bridget Matthews, którym przydzielono parę w postaci Andrew Grossa i jeszcze jednego ucznia ze starszej klasy. Pan Gorman opowiadał pozbawionym emocji głosem o reakcji chemicznej, która właśnie miała zajść.

– Macie ochotę na wypad w jeden weekend do Chicago, żeby obejrzeć mecz Cubsów? – zapytał Andrew.

Tanner niemal się nie poślinił z radości. Pokiwał energicznie głową.

– Jasne!

– Super – powiedział Andrew, a na jego twarzy zagościł uśmiech. – Słyszałem o pociągu, który jeździ bezpośrednio do Wrigley Field. Zobaczę, czy uda mi się kupić bilety. – Inni uczniowie z sąsiedniego stołu roześmiali się w reakcji na te

słowa. – Tym razem jednak załatwię ci siedzenie, które nie rozpadnie się w drzazgi.

Tanner się uśmiechnął, bo tak naprawdę nie wiedział, co ma zrobić. Poczuł, że pąsowieją mu policzki.

Pan Gorman podszedł do stołu laboratoryjnego Gwen.

– Panna Montgomery zademonstruje nam reakcję chemiczną jako pierwsza, a następnie powtórzycie ten proces przy swoich stanowiskach. Podejdźcie bliżej.

W laboratorium przebywało dwanaścioro uczniów, trzy czteroosobowe grupy. Wszyscy zgromadzili się wokół stołu Gwen, a ona przelała różową ciecz ze zlewki do kolby florenckiej, którą Gavin przytrzymał za szyjkę za pomocą zacisku. Dolna część znalazła się nad płomieniem z palnika Bunsena. Kiedy ciecz zawrzała od gorąca, znajdujące się w środku kryształki zaczęły wirować. Gwen trzymała nad kolbą pipetę. Kiedy podała pojedynczą kroplę do różowej, wrzącej cieczy, rozległo się głośne pyknięcie i wewnątrz pojawiła się biała mgła, która gęstniała w takim tempie, że gaz opuścił krawędź i zsunął się po bocznej części kolby.

– Panie Landing, czy może pan wyjaśnić, dlaczego opar zsuwa się po zewnętrznej stronie kolby, a nie unosi w powietrze?

– Bo w środku jest to różowe coś?

Pan Gorman rozejrzył się po laboratorium.

– Panno Montgomery?

– Bo opar jodu ma większą gęstość niż powietrze. Jest po prostu cięższy i opada.

– Doskonale. Panie Landing, spróbujmy jeszcze raz. Proszę mi opowiedzieć o reakcji, która zaszła między amoniakiem i jodem. Skąd się wziął ten odgłos, który słyszeliśmy?

Tanner popatrzył na bulgoczącą, różową ciecz, która wciąż wyrzucała z siebie opary.

– Hm, to jest wybuchowe?

– Ślicznie. Możesz nam wytłumaczyć to zjawisko w ujęciu chemicznym?

– No, jakaś niesamowita reakcja.

– Panno Montgomery?

– Trójjodek azotu jest niestabilny – odparła Gwen – ponieważ atomy azotu i jodu mają różne wielkości. Wiązania łączące jądra się zrywają, stąd ten

odgłos. Kiedy wiązania jonowe pękają, wydzielają mgłę lub opar.

– Doskonale, panno Montgomery. Może powinna pani pokazać panu Landingowi, gdzie w książce można znaleźć tę informację, bo do tego miejsca z pewnością jeszcze nie doczytał. A teraz dodajmy następną substancję.

Gwen dołała do kolby trzymanej przez Gavina kilka kropli z drugiej pipety. Kiedy substancja zetknęła się z cieczą w środku, mgiełka natychmiast się rozwiązała.

– Nuda – mruknął Tanner i uśmiechnął się głupkowato. – Ciekawe, co by się stało, gdyby to wypić.

Kilkoro uczniów się roześmiało.

– Utraciliby pan więcej komórek mózgu, niż pozostało panu do zaoferowania, panie Landing.

Riposta pana Gormana wywołała salwę śmiechu wśród zgromadzonych w sali uczniów. Gavin chichotał tak mocno, że musiał przytrzymać kolbę oburącz, by zapobiec rozlaniu się cieczy.

– Cisza – powiedział pan Gorman. – Wracajcie do swoich grup i przeprowadźcie ten eksperyment samodzielnie. Potem wlejcie wszystko do zlewów pod blatami. Na koniec semestru będę oczekiwał pisemnego sprawozdania.

Pan Gorman przeszedł do przedniej części laboratorium, usiadł za swoim biurkiem i zaczął przekładać papiery.

– Dziś wieczorem – powiedział Andrew, który stał przy stole z Gwen. – Trzydzieści-trzy-pięć. Dwudziesta trzecia.

Gwen i Gavin wymienili spojrzenia, a potem popatrzyli na innych.

– To zwykły dzień – powiedziała Gwen. – Cisza nocna jest o dwudziestej pierwszej.

Andrew się uśmiechnął.

– W takim razie nie dajcie się złapać.

Rozdział 39

Podróż samochodem z South Bend do Peppermill nie trwała dłużej niż godzinę. Marc McEvoy pojechał tam zaraz po pracowitym poranku w biurze. Wyszedł pod pozorem spotkania lunchowego z klientem, choć tak naprawdę nastawił się na przeprowadzenie rekonesansu. Pojechał drogą numer dwa przez Indianę na zachód od South Bend. Droga biegła prosto do Peppermill i po upływie godziny zatrzymał auto na parkingu stacji Metra. Zaczekał pięć minut w środku na przyjazd pociągu, po czym obserwował, jak dojeżdżający do pracy wysiadają i rozchodzą się we wszystkich kierunkach.

Następnie pojechał do Motelu 6 na Grand Avenue, odmierzając na liczniku odległość jednego kilometra od dworca. Krótka przechadzka. W dalszej kolejności skierował się na północ, aż dotarł do drogi numer siedemdziesiąt siedem. Kolejne niecałe dwa kilometry, łatwe do pokonania w razie potrzeby. W końcu pojechał drogą siedemdziesiąt siedem, aż znalazł znacznik numer trzynaście, po minięciu którego zwolnił do trzydziestu kilometrów na godzinę i zaczął przyglądać się roślinności po prawej stronie. Zlokalizował miejsce w lesie, w którym należało do niego wejść. Stamtąd było już tylko pół mili do celu.

Policzył, że łącznie ze stacji kolejowej musiałyby przejść w noc Człowieka z lustra mniej więcej cztery kilometry piechotą. Żaden problem.

Upewniwszy się, że dobrze poznał całą trasę, Marc zawrócił i pojechał do Motelu 6, by jeszcze raz przećwiczyć ją od początku. Nie chciał żadnych niespodzianek, kiedy nadejdzie noc.

Rozdział 40

Grupa dotarła na skraj lasu o dwudziestej drugiej we wtorkowy wieczór, pokonawszy tę samą trasę, trzynaście-trzy-pięć, którą przeszli w sobotę. Znów zobaczyli po drodze wiszący smętnie znak „WŁASNOŚĆ PRYWATNA” a po chwili dom nauczycielski. Światło wewnątrz próbowało przedostać się przez zamalowane szyby, zmieniając się w tępą poświatę, która zniknęła w atramentowoczarnym mroku.

Andrew Gross wyszedł przez frontowe drzwi i stanął na podeście.

– Wróciła cała wasza szóstka. – Wzruszył ramionami. – Jestem zaskoczony, że żadne z was nie zrezygnowało po tej akcji z pociągiem. Nie przejmujcie się. Mamy przed sobą całe lato.

Andrew ponownie zniknął we wnętrzu domu. Gwen i jej przyjaciele czekali przez chwilę w niepewności, po czym ruszyli w stronę budynku. Już samo wejście po schodkach wydawało się im czymś wręcz magicznym. Słyszeli o tym miejscu tak wiele, że znalezienie się w środku przypominało spełnienie marzenia. Choć w środku była elektryczność, żarówki na suficie już dawno się przepaliły, a zawieszona była za wysoko, żeby je bezpiecznie wymienić. Brak światła spowijał schody i wysoki sufit holu zupełnym mrokiem. Duży salon sąsiadujący z holem oświetlały pomarańczowe reflektory na trójnogach z rodzaju tych, które stosuje się na budowach. W kątach pokoju walały się puste butelki po piwie, wódce Tito's i zgniecione puszki po orzeszkach.

Andrew stał na czele starszych uczniów, którzy tam na nich czekali. Dwie grupy – starsza i młodsza – patrzyły na siebie z odległości.

– W murach szkoły Westmont działa sekretny klub. Wielu słyszało różne rzeczy na jego temat, jednak niewielu zna prawdę. Nauczyciele twierdzą, że nie istnieje, a ludzie z zewnątrz od wielu lat próbują poznać jego tajemnice. Patrzcie w tej chwili na jego starszych członków. Uczniowie pierwszych i drugich klas nie zasługują na wstąpienie do niego i rozważa się jedynie starannie wybrane osoby. Wasza szóstka zasłużyła sobie na takie zaproszenie.

Przyjęcie do tej elitarnej społeczności wymaga jednak stawienia czoła szeregowi wyzwań. Niezaliczenie wyzwania oznacza wydalenie z grupy. Wyzwania te mają miejsce w nocy, o której z pewnością już słyszeliście – w nocy, kiedy nowi adepci stawiają czoła Człowiekowi z lustra. Dzieje się to podczas przesilenia letniego, dwudziestego pierwszego czerwca. Tradycja ta sięga roku inauguracyjnego, kiedy w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym otwarto szkołę Westmont. O wydarzeniach, które mają miejsce w tym opuszczonym domu nauczycielskim, mogą rozmawiać między sobą tylko członkowie klubu i nie wolno o nich wspominać nikomu spoza kręgu. Zachowanie tajemnicy to jedna z naszych najważniejszych przysięg.

Każdego roku społeczność wybiera nauczyciela, który będzie celem dla nowych adeptów. W ubiegłym roku była to pani Rasmussen. To nam przydzielono zadania, które wiązały się z jej osobą. Pamiętacie zapewne bombę dymną, która wybuchła podczas jej przemowy? Martwego szopa w jej szufladzie? Dzień, w którym została zamknięta w łazience tak skutecznie, że musiała przyjechać straż pożarna? Moment, w którym doszło do włamania do jej domku w części nauczycielskiej? Wezwano wtedy policję, która przesłuchiwała uczniów. – Andrew rozpostarł ręce, żeby wskazać całą grupę swoich kolegów. – Żaden z nas nie był oficjalnie zamieszany w którykolwiek z tych incydentów, a to wszystko w związku z naszą przysięgą zachowania tajemnicy. Tego lata również przed wami staną podobne wyzwania. Wasz cel nigdy się nie zorientuje, co się wydarzy. Nigdy nie powinien się domyślić, czyja to sprawka. Działamy w cieniu i choć większość nauczycieli domyśli się, że za danym żartem stoi nasza społeczność, nikt nie powinien być w stanie zidentyfikować żadnego z jej członków. Jeśli zostaniecie przyłapani podczas jednego z wyzwań, nasze reguły wymagają, żebyście wzięli całą winę na siebie. – Andrew zrobił kilka kroków w ich stronę. – Czy wszystko jest zrozumiałe?

Gwen i jej przyjaciele pokiwali głowami, nie rozumiejąc do końca, na co się tak właściwie godzą. Wciąż nie dowierzali, że znajdują się w legendarnym domu nauczycielskim.

– Dobrze. Waszym celem w tym roku będzie pan Gorman. Mówiąc krótko, musicie poważnie uprzykrzyć mu to lato. Tanner, czy masz dość komórek w mózgu, żeby to pojąć? – Kilku uczniów stojących za plecami Andrew zachichotało. – Kiedy już pomyślnie zrealizujecie wszystkie zadania, będziecie mieli okazję zostać pełnoprawnymi członkami. Taka okazja otworzy się przed

wami dwudziestego pierwszego czerwca, kiedy wszyscy zgromadzicie się w lesie za domem w noc Człowieka z lustra. Słyszeliście zapewne plotki na temat tego, co dzieje się podczas letniego przesilenia, ale uwierzcie mi, że owe pogłoski są niczym w porównaniu z tym, co dzieje się tutaj naprawdę. Ci, którzy przejdą inicjację, zostaną członkami klubu do końca życia. – Andrew popatrzył uczniom w oczy. – Czy są jakieś pytania?

Nawet gdyby były, żadne z nich nie miałyby okazji ich zadać. Kiedy tylko Andrew skończył mówić, w oddali rozległ się odgłos syreny pociągu.

– Pociąg! – zawołał jeden z członków grupy.

Andrew się uśmiechnął.

– Czas ruszać.

Od dudnienia zadrżały mury domu, po czym rozległo się wycie zbliżającego się składu.

– Otwórzcie okna! – zawołał Andrew, patrząc na młodszych uczniów. – Otwórzcie wszystkie!

Starsi uczniowie zabrali się do roboty, ciągnąc od frontu za pomalowane farbą okna. Pozostali rozbiegli się po wnętrzu. Otwarto na oścież drzwi prowadzące do każdego z pomieszczeń. W kuchni pootwierano nawet szafki i kredensy.

Gwen wiedziała, o co chodzi w tej tradycji. Pociąg przejeżdżający obok opuszczonego domu nauczycielskiego przewoził duchy tych, których zabrał Człowiek z lustra. Wchodziły one do domu, ale mogły zatrzymać się jedynie w tych pomieszczeniach, których drzwi i okna pozostawały zamknięte. Szafy, komody i inne meble wyposażone w drzwiczki. Duchy mogły zagnieździć się w każdej zamkniętej przestrzeni.

Gwen zerwała się do biegu. Nie wiedziała, czy to, co czuje, było strachem, czy głupim podnieceniem związanym z byciem częścią mitu, o którym tak wiele słyszała podczas dwóch lat spędzonych w Westmont. Wbiegła na piętro z Danielle. Wparowały do pierwszej sypialni i pootwierały okna. Kiedy to zrobiły, łoskot przejeżdżającego pociągu stał się jeszcze głośniejszy. Otworzyły drzwi szaf, szafek łazienkowych, nawet stary kufer stojący w narożniku. Biegały od pokoju do pokoju i powtarzały te czynności dopóki się nie upewniły, że wszystko zostało otwarte.

Kiedy zeszły na parter, pozostali wracali z różnych części domu. W salonie Andrew zaczął naciągać brezent na wysokie lustro stojące w kącie. Gwen

wiedziała, że duchy mogły zamieszkać również w odsłoniętych lustrach, a dopóki pociąg się nie oddali, nikt nie powinien patrzeć na swoje odbicie.

Gwizd pociągu rozległ się w tym samym momencie, w którym Andrew zakrył lustro. Zanim to zrobił, Gwen zdążyła na sekundę spojrzeć na jego powierzchnię. Stała pod takim kątem, że nie widziała swojego odbicia, ale zobaczyła wyraźne odbicie Tannera, który patrzył w ten sam punkt na lustrze. Gwen zamknęła oczy i mocno zacisnęła powieki.

Był jedenasty czerwca. Dziesięć dni później Andrew Gross miał leżeć martwy w tym pokoju, a Tanner Landing miał zostać nabity na furtkę z kutego żelaza na zewnątrz.

Część 5

Sierpień 2020 roku

Rozdział 41

Był już wieczór, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Rory i Lane przez całe popołudnie wymieniali się pomysłami, aż w końcu odczuli zmęczenie. Lane położył się na sofie i oparł głowę na poduszkach.

Przez frontowe okno Rory dostrzegła nieoznakowany wóz patrolowy, który zatrzymał się na podjeździe, tuż za jej samochodem.

– Detektywi przyjechali – oznajmiła, instynktownie poprawiając okulary. – Wystarczy ci sił, żeby z nimi pogadać?

– Skoro wybrali się tutaj w niedzielę, to chyba nie mam wyboru.

Rory wstała i podeszła do drzwi. Zanim je otworzyła, naciągnęła sobie na czoło czapkę.

– Dobry wieczór, pani Moore – przywitał się detektyw Ott.

– Dobry wieczór, detektywie. Proszę wejść.

Rory się cofnęła, żeby ustąpić gościowi miejsca. Lane wstał niepewnie i wymienił z Ottem uścisk dłoni.

– Doktorze Phillips, jestem Henry Ott.

– Miło pana poznać, detektywie.

– Spotkaliśmy się już w szpitalu, ale pan dopiero co zaczynał dochodzić do siebie.

– Zgadza się. Obawiam się, że wciąż dzwoni mi w głowie. Pozwoli pan, że usiądę?

– Oczywiście. Nie zajmę państwu dużo czasu. Możemy też wrócić do tego innego dnia, kiedy poczuje się pan lepiej.

– Miejmy to już za sobą – uznał Lane.

Usiedli przy stole w salonie – gospodarze na sofie, detektyw na krześle. Lane opowiedział Ottowi o przyjeździe do Peppermill, o podcaście i swoich relacjach z Mackiem Carterem. Omówił szczegółowo trzy dni spędzone w miasteczku, kończąc na wieczorze, gdy pojechał do domu Macka, żeby odsłuchać nagranie

z nocy, kiedy to Mack znalazł ciało Theo Comptona przy torach obok opuszczonego domu nauczycielskiego.

Ott słuchał go uważnie i w międzyczasie zadał kilka pytań. Przekazał też Rory garść uzupełniających informacji o wydarzeniach, które miały miejsce po ich pierwszym spotkaniu, a ona ponownie przedstawiła swoją wersję zdarzeń. Poza tym, że nie miała nic do ukrycia, dysponowała fotograficzną pamięcią, więc jej drugie zeznanie było idealną kopią pierwszego – a to albo wzmocniło obraz jej uczciwości, albo rzuciło na nią podejrzenia.

– Jeszcze nigdy nie rozmawiałam z detektywem, który nie sporządza notatek – zauważył Lane.

Ott poprawił się na krześle, jakby ta uwaga wprowadziła go w zakłopotanie.

– Tak, moja wizyta ma charakter zarówno służbowy, jak i prywatny. Wolałbym jej nie rejestrować na wypadek, gdyby to, o co chcę zapytać, spotkało się z niewygodną odpowiedzią.

Lane skinął głową.

– Proszę pytać.

– Oficjalnie sprawa zabójstw w szkole Westmont została zamknięta i stan ten pozostaje niezmienny od roku. Charlesowi Gormanowi postawiono zarzuty i choć nie został on, technicznie rzecz biorąc, skazany przez sąd, jest to nasz człowiek. Zrozumiał to, czego się dopuścił i próbował się tego pozbyć na dobre, rzucając się pod pociąg. Aresztowaliśmy go i formalnie oskarżyliśmy przy szpitalnym łóżku następnego dnia po tym, kiedy zapadł w śpiączkę. Nigdy już zapewne nie stanie przed sądem, ale oficjalnie sprawa jest rozwiązana.

– Oficjalnie – rzuciła Rory.

Ott potarł dłonią szczecinę na podbródku.

– Tak. Formalnie sprawa została zamknięta. Natomiast nieformalnie coś od samego początku nie dawało mi w niej spokoju. Od kiedy przyjechałem do kampusu Westmont w noc zbrodni i pojechałem wózką golfową na miejsce przestępstwa, wszystkie elementy układanki idealnie do siebie pasowały. Zbyt idealnie. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ucieszyła mnie możliwość zamknięcia tej sprawy, a niemal każdy dowód, który zgromadziliśmy, obciążał Gormana. Jednak za każdym razem, kiedy kolejny uczeń odbiera sobie życie, kwestionuję wszystko, czego kiedykolwiek dowiedziałem się o tej sprawie.

– Co na przykład? – zapytała Rory, która zmieniła sposób, w jaki siedziała. Nie opierała się już o sofę z nadzieją, że ukryje się wśród poduszek.

Wyprostowała się i nastawiła uszu. Umysł pozwalał jej myślom płynąć jedynie w kierunku, który nie miał żadnego sensu. Większość ludzi unikała zamieszania i chaosu. Rory do tego przywykła. Intrygowało ją to, co tajemnicze i nierozwiązane, i nie mogła dłużej tego ignorować, tak jak ćma nie potrafiła się oprzeć lotowi ku światłu.

– No cóż, najpoważniejszym pytaniem, jakie sobie zadaję, jest to, czy dopadliśmy właściwego faceta, czy może tamtej nocy działo się coś zupełnie innego. A może nadal się dzieje?

– Na to właśnie pytanie próbował odpowiedzieć Mack Carter – zauważył Lane.

– Tak, ta cała popkultura. – Ott machnął ręką. – Był osobowością telewizyjną produkującą podcast z myślą o wywołaniu sensacji, wynikach popularności i zyskach. Z tego właśnie powodu nie udzieliłem mu żadnego komentarza, kiedy mnie o to prosił. Wolę pracować bez świadków. Nie potrzebuję, żeby ludzie znali każdy mój krok w sprawie czy każdy ślad, na który natrafię. A już zdecydowanie nie potrzebuję detektywów amatorów, którzy za tymi śladami podążają. – Ott pokręcił głową. – Jednak teraz Mack nie żyje, a szef straży pożarnej uważa, że ktoś przyłożył rękę do wycieku gazu w tym domu.

Rory i Lane popatrzyli na siebie. Nie ubrali dotąd w słowa swoich obaw związanych z tym, co wydarzyło się w domu Macka Cartera, oboje jednak wyczuwali krążące między nimi niezadane pytania.

– Ktoś chciał powstrzymać Macka Cartera przed wściubianiem nosa w tę sprawę? – zapytała Rory.

– To pewnie pytanie za milion – odparł Ott.

– Ostatni dzieciak, który popełnił samobójstwo, ten Compton – odezwał się Lane – on rozmawiał z Mackiem. Część tej rozmowy została wyemitowana w podcaście. Chłopak brzmiał tak, jakby chciał zasugerować, że w murach Westmont działa grupa uczniów, która wie coś na temat tamtej nocy i trzyma to w tajemnicy. Przyznał, że Gorman nie zamordował jego kolegów. Nie padło zbyt wiele słów, ale podsunął taką koncepcję.

– Jeśli ta grupa istnieje – podjął Ott – to jej członkowie milczą jak grób. Rozmawiałem z każdym z uczniów szkoły. Z wieloma więcej niż raz. Żadne z nich nie miało nic do powiedzenia, więc jeśli są wśród nich tacy, którzy coś ukrywają, to siedzą cicho.

– Albo odbierają sobie życie – mruknęła Rory.

W pokoju zapadła cisza i dopiero po chwili Ott przeniósł na nią spojrzenie.

– I właśnie dlatego dziś tutaj jestem.

– Ma pan inną teorię na temat tego, co się wydarzyło? – zapytała.

– Nie. Gdy analizuję akta sprawy, a robię to za każdym razem, kiedy kolejny uczeń z Westmont popełnia samobójstwo, niemal wszystko niezmiennie wskazuje na Charlesa Gormana.

– Jak wpadł pan na tego Gormana? – zapytał Lane. – Z tego, co mi dotąd wiadomo, nie ma żadnych fizycznych dowodów wiążących go z miejscem zbrodni.

– Nie ma, ale było wystarczająco wiele przesłanek, by ruszyć jego śladem.

– Powiedział pan, że „niemal” wszystko wskazuje na Gormana – zauważyła Rory. – Co tam nie pasuje?

Detektyw Ott pochylił się do przodu i wsparł łokcie na kolanach.

– To jest mój największy problem. – Spojrzał na Lane’a. – Ma pan może coś do picia?

– Niestety niewiele. Jestem tu dopiero od paru dni.

– Mamy piwo – podsunęła Rory.

– Mogę prosić o jedno?

– Oczywiście – odparła, starając się za wszelką cenę zachować spokój.

Kiedy jednak podeszła do kuchni, żeby nalać gościowi portera, jej ręce drżały z niecierpliwości, a mózg wołał rozpaczliwie o więcej informacji.

Rozdział 42

– Do tego domu nauczycielskiego przyjechałem wcześniej rano – powiedział detektyw Ott, ściskając w dłoniach szklanicę z piwem, i wyprostował się na krześle. – O trzeciej czy czwartej. Znalazłem dwójkę martwych dzieciaków. Pierwszy wisiał nabity na furtkę, drugi był w domku, leżał w kałuży własnej krwi. Na miejscu pozostała tylko jedna osoba, uczennica nazwiskiem Gwen Montgomery. Była w szoku i siedziała na ziemi niedaleko tego chłopaka na płocie. Miała na sobie krew i pomyślałem w pierwszej chwili, że została ranna, jednak większość tej krwi należała do Tannera Landinga. – Ott wziął głęboki oddech. – Powiedziała, że próbowała go ściągnąć, ale szybko sobie uzmysłowiła, że to bezcelowe. Chłopak był naprawdę mocno nabity. Usiadła więc obok niego, zadzwoniła na policję, a potem kołysała się do przodu i tyłu, dopóki nie zjawili się funkcjonariusze. Była w takim stanie, że pozwolili jej tak siedzieć do mojego przyjazdu.

Ott się wyprostował, zagryzł wargę, pokręcił głową i popatrzył na Rory.

– Ta dziewczyna – powiedział – to jedyny niepasujący do całości element. – Upił długi łyk piwa. – Krew na jej rękach i piersi? W większości należała do Tannera Landinga, jednak część pozostała niezidentyfikowana. Nigdy nie udało się nam jej do nikogo dopasować.

– A co powiedziała dziewczyna? – zapytał Lane. On również wyprostował się na sofie i pochylał w stronę detektywa.

– Powiedziała, że pobiegła przez las do tego domu, gdzie planowali się spotkać wszyscy uczniowie. Kiedy dotarła na miejsce, zastała Tannera na płocie i próbowała go zdjąć, brudząc się przy tym jego krwią. Stwierdziła, że nawet nie weszła do środka. Niezidentyfikowaną krew znaleziono również na ciele Tannera Landinga. Niewiele, kilka śladów. Na miejscu zbrodni krwi było jednak sporo. Wyglądało, jakby doszło tam do jakiejś cholernej rzezi. Lending miał rozcięte gardło, a kolec na furtce przebił jego podbródek i twarz. Większość krwi była jego.

– Czyli ta niezidentyfikowana krew mogła należeć do mordercy? – spytała Rory.

– Tak, mogła.

– Ale nie pasowała do Charlesa Gormana?

Ott wypił kolejny długi łyk piwa.

– Nie pasowała do nikogo. Do Gormana, Gwen Montgomery czy któregokolwiek z uczniów. Zbadaliśmy też wszystkich nauczycieli. Zupełnie nic.

– Zbadaliście wszystkich? – zdziwiła się Rory. – Cały personel, woźnych, pracowników tymczasowych?

– Pobraliśmy krew od każdego, kto postawił stopę w tym kampusie – odparł Ott. – Zero trafień.

– Jak więc trafiliście na trop Gormana w takim tempie?

– Kiedy przyjrzałem się miejscu zbrodni, pozwoliłem technikom wszystko udokumentować. Robili zdjęcia i nagrywali. Dom, ciała, las, tory kolejowe. Kiedy pracowali, wróciłem do głównego kampusu i zacząłem gromadzić informacje. Na miejscu nikt już nie spał, a była piąta czy szósta nad ranem. Wszyscy rozmawiali o tym, do czego doszło w opuszczonym domu nauczycielskim. Była ze mną pani dyrektor, doktor Gabriella Hanover. Oprowadziła mnie po akademikach. Tamtego ranka rozmawiałem z każdym z uczniów. Szybko, nieformalnie, żeby zrozumieć, co się tam działo. Większość z nich nie miała pojęcia o istnieniu tego domu. Kilkoro przyznało jednak, że wcześniej tam byli. Przeszli przez las, a kiedy dotarli na miejsce i zobaczyli martwego Tannera Landinga na ogrodzeniu, spanikowali i pobiegli z powrotem, żeby wezwać pomoc. Czas się zgadza. Montgomery zadzwoniła pierwsza, a potem była cała seria telefonów. Przeczytałem transkrypcje wszystkich rozmów z policją i przesłuchałem wszystkie nagrania. Brzmieli jak ogarnięci paniką nastolatkwie. Żadna z relacji uczniów nie wydała mi się podejrzana, wszystko tam do siebie pasowało. Wtedy na radarze nie miałem nikogo. Gwen Montgomery była jedyną uczennicą, z którą nie rozmawiałem tamtego dnia. Sanitariusze zabrali ją ambulansem do szpitala, gdzie spędziła cały dzień i następną noc, zanim ją wypisali. Wtedy prowadziłem już zaawansowane śledztwo i byłem na tropie Gormana. Tego ranka, kiedy przesłuchiwałem uczniów, rozmawiałem też z nauczycielami, między innymi z zastępcą dyrektora, doktorem Christianem Casperem. Ogólnie nie było ich wielu ze względu na letni okres, większość wyjechała. Podczas tych rozmów nie

natrafiłem na nic interesującego, dopóki nie zastukałem do drzwi domu numer czternaście.

– Do domu Gormana – powiedział Lane.

– Kiedy otworzył drzwi, wiedziałem od razu, że coś jest nie tak. Był nerwowy i unikał udzielania odpowiedzi na pytania. Wypłynęło sporo niespójności w kwestii tego, gdzie był w nocy i z kim. Od razu umieściłem go na mojej liście wysoko i przedstawiłem swoje podejrzenia przełożonemu. Później, tego samego dnia, kiedy ściągnęli z ogrodzenia i zawieźli do kostnicy Tannera Landinga, udało się nam uzyskać dostęp do jego telefonu. Odkryliśmy w nim film, który został nagrany przez okno sypialni. Widać było na nim Gormana...

Ott popatrzył przelotnie na Rory i napił się piwa.

– Ech... w trakcie stosunku płciowego i w stanie podniecenia.

– Pieprzył się? – podsunął Lane.

– Tak. Na filmie widać było Gormana uprawiającego seks w swojej sypialni i... – Detektyw Ott spojrział w sufit w poszukiwaniu odpowiednich słów. – Ten film stanowił całkowite naruszenie prywatności i mógł zostać uznany za dość wstydlivy. Dowiedzieliśmy się później, że Landing przesłał to nagranie do mediów społecznościowych. Przebieg wypadków wskazuje, że zrobił to na kilka godzin przed swoją śmiercią.

Rory i Lane wymienili spojrzenia. Partnerzy w interesach od piętnastu lat i kochankowie od ponad dziesięciu, potrzebowali jedynie kontaktu wzrokowego, by wiedzieć, co myśli to drugie. Profil zabójcy sporządzony przez Lane'a dopuszczał prawdopodobieństwo, że śmierć Tannera Landinga – przebicie głowy kolcem na furtce – była aktem zemsty. Wieść o tym nagraniu sprawiła, że owal na narysowanym przez Lane'a diagramie Venna, ten, który nakładał się z charakterystyką Gormana i zabójcy z Westmont, stał się nieco większy.

– Następnego dnia udało mi się zdobyć nakaz przeszukania. Gormana nie było w domu, kiedy doktorzy Hanover i Casper otworzyli nam drzwi. Przeszukaliśmy wnętrze i znaleźliśmy list ukryty w sejfie ściennym.

– List? – zapytała Rory.

– Trzy zapisane odręcznie strony opisujące w szczegółach to, co zamierza zrobić Tannerowi Landingowi i Andrew Grossowi. Był to bardzo dosłowny opis miejsca przestępstwa. Były tam nazwiska ofiar. Opisał starannie, w jaki sposób zabije każdego z nich. Dowiedziałem się później, że Gorman padł ofiarą żartów ze strony tych dwóch. Nagranie okazało się ostatnią kroplą goryczy

i najwyraźniej zmobilizowało go do działania. Kiedy znaleźliśmy list, mieliśmy wystarczający dowód, żeby go dopaść. Problem był jednak w tym, że nigdzie nie mogliśmy go znaleźć. Uznaliśmy, że uciekł, więc zaczęliśmy go szukać. Dołożyliśmy wszelkich starań, żeby go wytropić.

– I kiedy go znaleźliście?

– Jeden z naszych mundurowych był na miejscu zbrodni przy opuszczonym domu nauczycielskim, bo wciąż jeszcze gromadziliśmy dowody. Podczas gdy patrolował obszar wokół budynku, znalazł Gormana leżącego przy torach. Nauczyciel musiał rzucić się pod pociąg. Policjant uznał najpierw, że Gorman nie żyje, ale okazało się, że to przeżył. Sprowadziliśmy na miejsce ratowników medycznych. Ustabilizowali go w szpitalu, lecz był w śpiączce przez kilka tygodni, zanim w końcu otworzył oczy. Ale Charles Gorman już nigdy do nas tak naprawdę nie wrócił. Jego umysł przepadł. Poważne obrażenia mózgu pozostawiły go w stanie wegetatywnym.

– Śmierć mózgu – stwierdził Lane.

Detektyw Ott skinął głową.

– Przetransportowano go w końcu do szpitala psychiatrycznego Grantville na oddział dla obłąkanych przestępców. Przez czternaście miesięcy nie odezwał się ani słowem. Lekarze uznali, że już tego nie robi. Co pewien czas go odwiedzam. Jeździłem tam, żeby wiedział, że go dorwałem. Ostatnio jednak robię to po to, żeby się przekonać, czy nie chce mi powiedzieć, że się mylę. Kiedy jestem w pomieszczeniu, prawie w ogóle nie mruga. Po tym, jak Gorman próbował popełnić samobójstwo, sprawdziłem kilka śladów, głównie po to, żeby je pozamykać. Donikąd mnie nie doprowadziły. Gorman był naszym mordercą i tyle.

Rory ponownie poprawiła okulary na nosie.

– To może być całkiem ciekawa poszlaka – stwierdziła. – Mężczyzna z motywem zemsty i list, który jest praktycznie spowiedzią.

– Uważamy, że Gorman to rozumiał, dlatego próbował odebrać sobie życie.

– Jediną rzeczą, która nie pasowała do niczego, była ta niezidentyfikowana krew?

Detektyw Ott przechylił do tyłu głowę i wypił resztkę piwa.

– To i dzieciaki, które nadal rzucają się pod pociąg.

Rozdział 43

Rory zniosła pustą szklankę Otta do kuchni i naląła mu następne piwo. Wzięła też jedno dla siebie.

– Dzięki – powiedział, kiedy podała mu szklankę ciemnego portera ze starannie uformowaną warstwą pianki.

– Zaczynam rozumieć, że nie przyjechał pan tu dziś po to, żeby przesłuchiwać Lane’a.

– Nie, przyjechałem w zupełnie innym celu – przyznał Ott, patrząc na Rory. – I mam ku temu dobry powód.

Rory chciała odwrócić spojrzenie, jak zwykle to czyniła, kiedy ktoś wymuszał na niej kontakt wzrokowy. Tym razem jednak tego nie zrobiła. Wytrzymała spojrzenie detektywa, bo wiedziała, w jakim celu ich odwiedził.

– Tak – przyznała. – Zauważyłam, że brakuje pańskiego pitbulla.

– Morris to dobry detektyw, ale jest młody, wciąż zielony i trzyma się sztywno reguł.

– Ale pan je łamie? – podsunął Lane.

– Kiedy muszę. – Ott nie spuszczał wzroku z Rory. – Pełna jawność. Kiedy rozmawiałem z panią w szpitalu, rozpoznałem nazwisko i trochę poszperałem. Potem zadzwoniłem do pani szefa w Chicago. Znamy się z Ronem Davidsonem od lat i okazał się on bardzo przekonujący, kiedy zapewniał mnie o pani profesjonalizmie. Wiem, że policja stanowa współpracowała z panią i doktorem Phillipsem w Murder Accountability Project.

MAP było firmą, którą założył Lane z myślą o identyfikacji seryjnych morderców. Opracował specjalny algorytm, który pozwalał śledzić określone charakterystyki zabójstw z całego kraju i znajdował między nimi powiązania. Kiedy pojawiała się odpowiednia liczba cech, tworzono punkt zapalny i prowadzono dalszą analizę, by sprawdzić, czy cechy zebrane przez algorytm wskazywały na jedną osobę dokonującą zbrodni. Do tej pory MAP odpowiadała

za wykrycie kilkunastu seryjnych zabójców, a oprogramowanie rozwijano i sublicencjonowano departamentom policji w całych Stanach Zjednoczonych.

– Wasza praca w rekonstrukcji kryminalistycznej jest legendarna – przyznał Ott. – Prawdę mówiąc, przydałaby mi się pomoc. Chciałbym, żeby ktoś niezwiązany przyjrzał się sprawie z Westmont z innej perspektywy. Szukam kogoś, kto potrafi łączyć elementy nierozwiązanych spraw i znajdować to, co przegapili inni. – Ott wyprostował ramiona i wypiął pierś. – Jestem dumnym człowiekiem i dobrym detektywem. Uważam, że zrobiłem wszystko, co mogłem, w sprawie z Westmont. Jeśli jednak jeszcze jakiś dzieciak pójdzie do tego domu i rzuci się pod pociąg, to się załamie.

Rory poczuła pot na karku, a jej płuca zatrzymały się na chwilę, aż w końcu kazała im się wziąć do roboty.

– Będę potrzebowała dostępu do wszystkiego – oświadczyła, zanim zdążyła się nad tym zastanowić. – Jeśli mam pomoc, potrzebuję wszystkich akt. – Ott skinął głową, jakby już wcześniej to rozważył. – Najpierw muszę zobaczyć miejsce przestępstwa. Przejść przez nie osobiście.

Rory nie wspomniała o tym, że chodzenie śladami zmarłych było jej sposobem na uzyskanie dostępu do ofiar, których dusze czekały na rozwiązanie przez nią ich spraw. Kiedy należało dokonać analizy zabójstwa, stosowała swoje własne metody i filozofie, których nikomu nigdy nie próbowała wyjaśniać. Wiedziała tylko, że jej działania pozwalały jej spojrzeć na to, co widzieli wszyscy inni i wpaść na to, na co nikt inny nie wpadł.

Ott pokiwał głową.

– Mogę to załatwić.

– Wracając jeszcze do akt sprawy, nie mówię tylko o tych, które chce mi pan przekazać. O tych, które są ogólnodostępne. Jeśli mam znaleźć coś, co pan mógł przeoczyć, będę potrzebowała absolutnie wszystkiego. Dokumentów dotyczących szkoły, uczniów, Gormana. Żadnych tajemnic.

Ott przesunął językiem po wewnętrznej stronie policzka, rozważając to, co usłyszał.

– Oficjalnie rzecz biorąc, mamy swojego sprawcę. Jeśli moje śledztwo dotyczące śmierci Macka Cartera podrzuci mi inny ślad, to niech i tak będzie. Ale na ten moment sprawa ze szkoły Westmont to temat zamknięty. Sprawa Cartera jest traktowana jako podejrzana śmierć, a mój wydział bada wszystkie dostępne tropy. Tak to widzi mój szef, a ja rozumiem jego podejście. Jeśli

mielibyśmy formalnie ponownie otworzyć śledztwo dotyczące morderstw w Westmont, domino zaczęłoby się przewracać. Nie licząc ogólnego niepokoju wśród ludzi wywołanego możliwością przebywania wśród nas mordercy, doszłyby dalsze reperkusje prawne. Pozwy ze strony rodzin ofiar. Ze strony rodziny Gormana. Poleciałyby głowy, a moja zapewne jako pierwsza. Ale tak między nami? Coś mi w tym wszystkim śmierdzi i potrzebuję pomocy, by to rozgryźć.

Rory popatrzyła na Lane'a, by się upewnić, że jest gotów działać razem z nią, ale wiedziała, że to prawda, jeszcze zanim spotkały się ich spojrzenia. To dlatego pierwotnie przyjechał do Peppermill i próbował ją przekonać, żeby do niego dołączyła. To dlatego zaopatrzył lodówkę w zapas piwa i stworzył replikę jej domowej pracowni w sąsiednim pomieszczeniu.

– Fani kryminalów, którzy słuchali podcastu Macka, będą mieli swoje własne teorie na temat tego, co się wydarzyło – powiedział Lane.

– No cóż, dzisiaj każdy, kto się takimi rzeczami interesuje, uważa, że poradziłby sobie dwukrotnie lepiej od detektywów, i to dysponując połową informacji. Amatorzy mogą sobie tworzyć takie teorie, jakie tylko zechcą. Dwie trzecie tych głupców całkowicie się myli, a jedna trzecia rozumuje w sposób niedokładny.

– Mimo to – naciskał Lane – podcast Macka miał gigantyczną rzeszę odbiorców. Ludzie będą gadać, szczególnie teraz. Mogą się tu nawet pojawić inni dziennikarze, by dokończyć robotę za niego.

– Dlatego tutaj dzisiaj jestem – odparł Ott. – Próbuję to wszystko wyprzedzić, przekonać się, czy zdołam rozwiązać tę sprawę, jeszcze zanim jakieś ofiary losu przyjdą tu i wszystko spieprzą. Wchodźcie w to?

Rory poprawiła okulary i zauważyła, że jej prawa noga drży, przez co pobrzękują zapinki na jej wojskowym bucie.

– Kiedy mogę dostać te akta? – zapytała.

Rozdział 44

W nieprzyjemny, poniedziałkowy poranek Ryder zaparkowała samochód przy krawężniku nieopodal domu w South Bend, należącego do żony człowieka, który znikł ponad rok wcześniej. Była to jedna ze spraw z listy, którą naczelny wręczył jej w piątek. Historia ta nie była dla niej nowa. Ryder zbierała już informacje na temat tajemniczego przypadku ojca dwojga dzieci, który pewnego dnia wyjechał w sprawach służbowych i już nigdy nie wrócił. Napisała nawet o tym na swoim blogu z poprzedniego roku – *Miejscowy mężczyzna znika bez śladu*. Fani kryminałów, którzy go czytali, emocjonowali się możliwością śledzenia nierozwiązanych spraw i badania śladów porzuconych przez detektywów i policję. Każdy, najdrobniejszy nawet dowód, który udało się znaleźć detektywom amatorom i który mógł pomóc w dochodzeniu, uznawany był za sukces.

Zainteresowanie zaginionym mężczyzną z South Bend wygasło jednak, kiedy tragedia ze szkoły Westmont znalazła się na pierwszej stronie każdej gazety w Indianie. W miarę jak pojawiała się coraz więcej szczegółów dotyczących krwawej zbrodni, zainteresowanie zaczynało rosnąć, aż w końcu ogarnęło cały kraj. W ciągu zaledwie dwóch dni o historii z Westmont opowiadano w telewizjach śniadaniowych w kablówkach, a sama królowa telewizji porannej – Dante Campbell – postawiła stopę na wysokim obcasie w nieznanym niegdyś miasteczku Peppermill.

Kiedy media rozdmuchiwały każdy szczegół tej historii, nadszedł pierwszy przełom w samej sprawie – w ściennym sejfie jednego z nauczycieli odkryto list, w którym opisano wszystko to, co wydarzyło się w opuszczonym domu nauczycielskim. Wieści zaczęły się rozprzestrzeniać jak ogień w buszu. Kiedy ów nauczyciel, Charles Gorman, usiłował popełnić samobójstwo, gorączka związana ze szkołą Westmont i morderstwami w Peppermill sięgnęła szczytu. Zapomniano o zaginionym ojcu dwojga dzieci z South Bend. Zainteresowanie miejscem jego przebywania urosło i zmarniało, jak człowiek.

Ryder była temu winna w takim samym stopniu jak każdy inny dziennikarz. Do pociągu z napisem „Westmont” wskoczyła równie chętnie jak wszyscy jej koledzy. Jedyne różnica polegała na tym, że nie zaakceptowała tak łatwo tego, co przekazała im policja w sprawie tragedii. Kiedy Dante Campbell i inni wielcy z mediów przeskoczyli na inne historie i skandale, Ryder nieustannie tkwiła w Peppermill. Podobnie jak jej czytelnicy, uważała, że ta historia ma drugie dno, i spędziła większą część roku na tropieniu śladów i wyłapywaniu niespójności. Jej ciężka praca spowodowała jednak tylko, że Mack Carter nagrał swój podcast i ukradł jej historię. W tej chwili nie tylko nie było już Macka i jego podcastu, ale Ryder wymykała się okazja do odkrycia czegoś nowego w sprawie szkoły Westmont.

Długo zastanawiała się nad najlepszą słuszną reakcją na swoje trudne położenie. Pierwsze, co przyszło jej do głowy, to odejście z pracy. Gdyby wciąż mogła liczyć na dochody ze swojego kanału na YouTube, powiedziałaaby szefowi, żeby spieprzał na drzewo. Kanał został jednak zamknięty i mało prawdopodobne było, żeby zarobiła na nim choćby centa. Jedynym rozwiązaniem pozostawało opłacanie rachunków z pieniędzy zarobionych w gazecie, poza tym nie była pewna, jakie problemy finansowe mogą ją czekać po procesie, który wytoczyli rodzice Theo Comptona. Niezależnie, z której strony na to patrzyła, Ryder Hillier pozostawała przywiązana do pisania na rzecz innych. Rozpoczęła więc pracę w małym domu w South Bend i zaczęła pisać o zaginionym mężczyźnie nazwiskiem Marc McEvoy.

Rozdział 45

Kiedy sprawa szkoły Westmont ucichła, Ryder wróciła do innych historii. Bohaterem jednej z nich był Marc McEvoy, dwudziestopięcioletni ojciec dwojga dzieci, który pewnego popołudnia wyjechał w sprawach służbowych i już nigdy nie wrócił. Jego samochód znaleziono na międzynarodowym lotnisku w South Bend, ale nikt go już więcej nie widział. Oprócz wpisów na blogu poświęconych tej sprawie, Ryder napisała również artykuły na temat Marca McEvoya dla „Star”. Miały one przede wszystkim charakter krótkich notatek na temat nierozwiązanej sprawy i zawierały znane już wcześniej informacje, nigdy jednak cokolwiek ważnego czy przełomowego. Od samego początku ilość wiadomości na ten temat była niezwykle skąpa. Człowiek po prostu przepadł.

Brak szczegółowych informacji zwykle jednak pociąga za sobą wiele plotek. Mówiły one na przykład o tym, że Marc McEvoy uciekł z rozpadającego się małżeństwa, że dał nogę z kochanką, że żona zabiła go i ukryła ciało. Ryder wiedziała jednak dobrze, że kobiety rzadko zabijają z powodów innych niż emocje, a jak dotąd nie było żadnych dowodów na to, że jej mąż mógł mieć romans. Sporadycznie również znajdowali się ludzie, którzy byli zdolni do tego, by dokonać morderstwa w sposób tak czysty i precyzyjny, by nie pozostawić żadnych śladów. Kretyn, który zabił swoją żonę i dwoje dzieci kilka lat wcześniej w Kolorado, został aresztowany krótko po tym, jak zgodził się na wywiad w telewizji, w którym błagał rodzinę o powrót do domu. Jego rozbiegane spojrzenie i nieskładne zdania zdradziłyby go przed nawet najgorszymi pokerzystami. Kiedy facet niemalże przyznał się do winy w telewizji, policja przeszukała jego dom. Zostawił tak wiele fizycznych dowodów, że aresztowano go w mgnieniu oka. Nawet diaboliczny zabójca, taki jak Robert Durst, nie popisał się, kiedy pozbywał się ciała zamordowanego przez siebie sąsiada. Po rozczłonkowaniu zwłok próbował je zatopić w zatoce Galveston, nie wziął jednak pod uwagę, że czarne, plastikowe worki z kończynami wkrótce wypełnią się gazem po rozpoczęciu procesu rozkładu.

Krótko po tym, jak zatopił dowody, rozdęte worki wypłynęły na powierzchnię i zanieczyściły brzeg. Nie minęło dużo czasu, zanim jeden z przechodniów dokonał aktu ich rozprucia. Dursta aresztowano następnego dnia.

Teoria mówiąca o tym, że żona Marca McEvoya, nauczycielka szkoły podstawowej i członkini kościelnego chóru, dokonała doskonałej zbrodni i zdołała ukrywać ciało przez miniony rok, nie była zatem zbyt prawdopodobna. Ryder skupiła się na założeniu, że Marc McEvoy wciąż żył i gdzieś się ukrywał. Gdyby zdołała go odnaleźć, zyskałaby dzięki temu szansę na uratowanie swojej kariery.

Jedyną faktyczną wieścią – Ryder niechętnie nazywała coś takiego tropem – było odkrycie, że żona Marca McEvoya próbowała pozyskać środki z wartej milion dolarów polisy na życie. Nie był to żaden wielki przełom, ale warto było się temu przyjrzeć. Ryder weszła po schodach i zastukała do drzwi. Chwilę później w progu stanęła kobieta.

– Brianna McEvoy?

– Tak?

– Jestem Ryder Hillier i pracuję jako dziennikarka w „Indianapolis Star”. Czy mogłabym zadać kilka pytań dotyczących pani męża?

Kobieta założyła ręce na piersi.

– Co chce pani wiedzieć?

– Piszę o nim artykuł, a policja przekazała właśnie informację dotyczącą jego polisy na życie.

Brianna McEvoy przewróciła oczami.

– Mam dwie córki i zastanawiam się każdego dnia, jak wychować je bez jego pomocy. Nie mam pojęcia, co im odpowiem, kiedy zapytają, co się stało z ich tatusiem. Czy naprawdę pani uważa, że obchodzi mnie cokolwiek, co ludzie myślą na temat polisy na życie? Założył ją trzy lata temu. To żadna sensacyjna wiadomość. Próbuję uzyskać z niej środki, żeby związać koniec z końcem, bo żyję jedynie z nauczycielskiej pensji.

Kobieta podeszła o krok bliżej i spojrzała Ryder w oczy.

– Czy uważa pani za prawdopodobne, że matka dwóch dziewczynek, która jest miejscową nauczycielką, zabiłaby męża i ojca swoich dzieci, żeby zgarnąć pieniądze z ubezpieczenia? Sugeruję raczej, żeby policja i wszystkie pismaki przestali oglądać tyle telewizji i poświęcili trochę czasu na odkrycie, co się stało mojemu mężowi.

Ryder poczuła na twarzy powiew wiatru, kiedy żona Marca McEvoya zatrzasnęła drzwi. Przypomniała sobie, dlaczego tak nie znosiła roboty związanej z podążaniem za tropami. Wcisnęła swoją wizytówkę w szczelinę w drzwiach i wróciła do samochodu. Na siedzeniu pasażera leżała zgnieciona kartka ze sprawami do rozwiązania. Ryder zamknęła oczy i ścisnęła palcami nasadę nosa. Co za gówniana sytuacja. Jeszcze przed kilkoma dniami pisała z pasją o przestępstwach dla jednej z największych gazet w całej Indianie. Prowadziła popularnego bloga i kanał na YouTube na ten temat, dzięki czemu miała dodatkowe dochody. Teraz jej kariera poszła w diabły. Tropiła pozamykane historie, a wszystko, co mogło okazać się ważne, była zobowiązana przekazywać innym dziennikarzom.

W kieszeni zawibrował jej telefon. Nie rozpoznała numeru.

– Ryder Hillier. – Po drugiej stronie linii panowała cisza. – Halo? Mówi Ryder Hillier.

– Nazywam się Paige Compton. Jestem matką Theo.

Ryder uniosła brwi i rozejrzała się dookoła, jakby właśnie została przyłapana na czymś nielegalnym.

– Dzień dobry.

– Muszę z panią porozmawiać.

– Pani Compton, chciałabym przeprosić za nagranie tego materiału z pani synem. To było nieodpowiedzialne i niestosowne z mojej strony, podobnie jak umieszczenie tego w mediach społecznościowych. Wykazałam się zupełnym brakiem rozsądku. – W słuchawce zapadła cisza i Ryder pomyślała, że połączenie zostało przerwane. Zerknęła na wyświetlacz, żeby się upewnić, że licznik wciąż się przesuwają. – Poza tym – dodała w końcu – chciałabym, aby pani wiedziała, że moja gazeta nie miała nic wspólnego z...

– Nie obchodzi mnie to nagranie – wtrąciła pani Compton. – Proces nie był moim pomysłem. Zasugerował go mój prawnik. Powiedział, że powinnam oskarżyć gazetę, bo są duże szanse na to, że będą proponowali ugodę w sądzie. Podsunał mi również, żebym w pierwszej kolejności zajęła się panią, ale ja nie jestem tym zainteresowana. Żadne pieniądze nie zwrócą mi Theo. Zrezygnuję nawet z tego procesu, jeśli zgodzi mi się pani pomóc.

Ryder mocniej przycisnęła telefon do ucha.

– W czym pomóc? – Znów zapadła chwila ciszy. – Pani Compton? W czym mogłabym pani pomóc?

– Theo zadzwonił do mnie przed swoją... śmiercią. Chciał mnie ostrzec.

Ryder pochyliła się do przodu na siedzeniu i utkwiała wzrok w plamce na desce rozdzielczej.

– Przed czym ostrzec?

– Powiedział, że wraz z przyjaciółmi wpakowali się w jakieś tarapaty.

– Jakiego rodzaju tarapaty?

Pani Compton odchrząknęła.

– Nie chcę rozmawiać o tym przez telefon. Możemy się spotkać?

– Kiedy? – spytała bez wahania Ryder.

– Teraz albo najwcześniej, kiedy pani pasuje, żeby tu przyjechać.

– „Tu”, czyli dokąd?

– Do Cincinnati.

Cztery godziny jazdy. Ryder odczytała w głowie listę terminów, których musiała się trzymać, żeby utrzymać pracę. Sprawy Theo Comptona i morderstw w szkole Westmont nie było na tej liście.

– Przyjadę w weekend – powiedziała w końcu. – W piątek.

Ryder zanotowała adres na samoprzylepnej karteczce, pisząc po wcześniejszych notatkach na temat innych powierzonych jej spraw. Podkreśliła go, a przy okazji prostą kreską skreśliła nazwisko Marca McEvoya.

Rozdział 46

Nogi Gwen Montgomery podrygiwały podczas snu. Próbowwała biec przez ciemny las, ale już po kilku krokach jej stopy zapadły się w gęstym błocie. Z dużym wysiłkiem wyciągnęła jedną z nich, czemu towarzyszył głośny dźwięk zasysania. Znów próbowała biec. Kiedy tylko przeniosła ciężar ciała na wyciągniętą stopę, ta ponownie zapadła się w miękkiej ziemi. Dziewczyna przemieszczała się straszliwie wolno, w końcu jednak dotarła na skraj lasu, gdzie zobaczyła dom nauczycielski. Czuła lepkość krwi na dłoniach oraz piersi i marzyła o tym, żeby znaleźć się w środku, splukać ręce pod strumieniem wody ze zlewu i patrzeć, jak brud znika w odpływie. Wtedy już nigdy więcej nie musiałaby myśleć o jego pochodzeniu.

Niespodziewanie uwolniła stopy z błota i pobiegła w stronę domu. Wtedy zobaczyła ogrodzenie z kutego żelaza i nabite na furtkę ciało. Blask księżyca oświetlał napęczniałą i zniekształconą twarz Tannera Landinga. Jego na wpół otwarte powieki ukazywały puste, pozbawione życia spojrzenie. Z czubka jego głowy sterczał kolec od furtki. Wydała z siebie wrzask, podbiegła do niego i próbowała zdjąć go z furtki. Jego ciało było mokre, a kiedy spojrzała na dłonie, zobaczyła, że całe są we krwi i jest jej jeszcze więcej, niż kiedy wybiegła z lasu.

Zawołała Gavina. Nie było żadnej odpowiedzi. Zawołała ponownie, i jeszcze raz, aż obudziła się z wysiłku. Usiadła na łóżku i natychmiast sobie uświadomiła, że to wszystko znów się wydarzyło. Trzepotanie w piersi, pot na karku i plecach, niemożność zareagowania na najprostszy nawet bodziec. Wystraszyła się, kiedy usłyszała śmiech przechodzących korytarzem uczniów. Oddychała płytko i z trudem, kiedy wstała z łóżka i stanęła na dywanie. Atak paniki był nie do uniknięcia. Pomyślała o rozmowie z Gavinem. On wiedział o jej koszmarach. Wiedział o wszystkim. Jego niegdyś kojący głos w ciągu kilku ostatnich miesięcy stracił jednak swoją moc. Pozostali już tylko oni i podążyli tą ciemną drogą zdecydowanie za daleko. Gwen zaczynała się już zastanawiać,

czy kiedykolwiek będą w stanie znaleźć z tego wyjście. Czy w ogóle chciała je znaleźć? Zejście z tej drogi w tym momencie nie byłoby niczym przyjemnym. W ten sposób znaleźliby się na innej drodze, znacznie mroczniejszej i bardziej złowroziej. Ale ta droga, którą podążali – ta, którą wszyscy poszli tamtej nocy w lesie – okazywała się nie tylko chora, lecz także niebezpieczna.

Spięła włosy w kucyk, założyła dzinsy i wciągnęła przez głowę sweter. Wyszła z budynku i ruszyła szybkim krokiem przez kampus w stronę części nauczycielskiej. Zastukała do drzwi oznaczonych numerem cztery. Po kilku chwilach odezwała się doktor Hanover.

– Gwen? Co się dzieje?

Od czasu wydarzeń z dwudziestego pierwszego czerwca poprzedniego roku, kiedy zamordowano Tannera i Andrew, każdemu uczniowi z Westmont bacznie się przyglądano. Po tym, jak Bridget Matthews rzuciła się pod pociąg, osoby z kręgu jej najbliższych znajomych znalazły się pod obserwacją. Gwen ze swoim nerwowym zachowaniem, napadami depresji, utratą wagi i atakami paniki kontrolowana była w dużo większym stopniu niż pozostali. Podczas spotkania z jej rodzicami i doktorem Casperem doktor Hanover oznajmiła, że zamierza umieścić Gwen w swoim harmonogramie spotkań doradczych. Jako dyrektorka Westmont, doktor Gabriella Hanover nie zamierzała dopuścić do kolejnej tragedii za murami szkoły. Pomimo wysiłków kadry po samobójczej śmierci Bridget życie odebrali sobie jednak również Danielle i Theo. Jednocześnie stan Gwen dalej się pogarszał.

Gwen poklepała się po piersi, stojąc pod domem doktor Hanover.

– Nie mogę oddychać. Nie mogę myśleć. Zaczynam wariować.

– Wejź, proszę – powiedziała dyrektor szkoły, ustępując jej miejsca. – Wszystko będzie dobrze.

Znalazłszy się w biurze, Gwen usiadła tam gdzie zawsze, vis-à-vis doktor Hanover.

– Weź głęboki oddech i powiedz mi, co się dzieje – poprosiła kobieta swoim łagodnym głosem.

– Miałam kolejny sen. Teraz mam atak paniki, a skończył mi się xanax.

– Xanax był rozwiązaniem, na które wyraziłam zgodę jedynie na początku. Plan był taki, żeby lepiej zarządzać twoim niepokojem bez stosowania leków. Opowiedz mi o tym śnie.

Gwen pokręciła głową. W tym miejscu zawsze musiała zachowywać szczególną ostrożność. Nie czuła się komfortowo podczas rozmowy z doktor Hanover i nie potrafiła się podczas nich otworzyć w takim stopniu jak przed doktorem Casperem.

– Byłam w lesie, niedaleko domu. Zobaczyłam Tannera na... na furtce.

– To zupełnie normalne, że miewasz takie przeblęski wspomnień, szczególnie w trakcie snu. To część procesu. Twój umysł stara się te myśli eliminować. Początkowo je tylko blokowałaś, a teraz mózg usiłuje je wyrzucić. Pisałaś coś w dzienniku?

Gwen pokręciła głową.

– Ten dziennik jest miejscem, w którym możesz wyrażać swoje troski – powiedziała doktor Hanover. – Miejscem, w którym możesz się stresować. Powinnaś przechowywać tam cały swój niepokój, gniew i strach. Dzięki temu, kiedy zamkniesz dziennik, wszystkie te sprawy tam pozostaną i nie będą ci przeszkadzały w codziennym życiu.

Będą nadal przeszkadzały. Gwen była tego pewna. Zapisanie swoich strachów na kartkach dziennika sprawi jedynie, że staną się one bardziej realne. Ożywi to rzeczy, które robiła, podczas gdy obecnie z powodzeniem udawała, że nie istnieją. Jedynie w takich momentach, kiedy dopadała ją rzeczywistość związana z tym, co zrobili, ryzykowała ujawnieniem tego, co powinno pozostać ukryte. Przez cały rok rozwijała umiejętność chowania tajemnic, każdego dnia pracowała nad tym, by nie wypłynęły one na powierzchnię.

– Okej – powiedziała w końcu mało przekonującym tonem. – Spróbuję.

– To dobrze. Zapisz cały swój sen. Wszystko, co pamiętasz. Dziś wieczorem do ciebie zajrzę i to omówimy.

Gwen skinęła głową i ruszyła w stronę drzwi.

– Gwen – powiedziała doktor Hanover. Dziewczyna odwróciła głowę, zanim zdążyła chwycić za klamkę. – Będiesz zaskoczona, kiedy się przekonasz, jak przydatne jest prowadzenie dziennika. Wszyscy moi podopieczni bardzo na tym skorzystali.

Gwen skinęła głową. Kiedy wyszła, wypuściła głośno powietrze z płuc. Ruszyła pospiesznie przez część nauczycielską i podeszła po schodkach do domku numer osiemnaście i użyła dzwonka. Chwilę później w progu stanął doktor Casper.

– Gwen – powiedział. – Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? Dawno cię nie widziałem.

– Musimy porozmawiać.

Doktor Casper zmrużył z niepokojem oczy.

– Oczywiście. Coś się stało?

Gwen zagryzła wargę, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Ostatnie lato i wszystko, co działo się dalej.

Nauczyciel uniósł lekko brwi.

– Nie rozmawiałaś o tym z doktor Hanover? Zdecydowaliśmy wszyscy, że po tym, co się wydarzyło, będzie lepiej, jeśli to z nią będziesz się widywała.

– Wcale nie zdecydowaliśmy „wszyscy”. Zdecydowała pani Hanover i moi rodzice. Pan się z nimi zgodził, a ja nie miałam nic do gadania.

Spojrzenie doktora Caspera zmiękło, kiedy popatrzył na swoją byłą pacjentkę.

– Mimo wszystko, Gwen, decyzja zapadła, a ja uważam, że najlepiej będzie się jej trzymać. Porozmawiaj z doktor Hanover, to bardzo doświadczona terapeutka.

– Nie mogę powiedzieć jej o wszystkim.

Doktor Casper zerknął na nią z ukosa.

– Na przykład?

Na chwilę zapadła między nimi kłopotliwa cisza.

– Nie powiedzieliśmy policji wszystkiego na temat tamtej nocy.

– Kto nie powiedział policji?

– Moi przyjaciele i ja. – Gwen przesunęła dłonią po włosach i przeciągnęła nią po kocyku. – Mogę wejść? – zapytała w końcu.

Doktor Casper zawahał się przez moment, po czym skinął głową i wpuścił dziewczynę do środka.

Szkoła Westmont

Lato 2019 roku

Sesja 5

Wpis w dzienniku: PRZEWODNICTWO

Odpowiedziałem na wszystkie ich pytania dotyczące mojego ojca. Byłem młody i pogrążony w szoku. Moja matka nie żyła, a teraz ojciec odebrał sobie życie. Co za straszliwa tragedia. Wszyscy patrzeli na mnie z żalem i smutkiem. Uważali, że nie miałem żadnej szansy w życiu, które zadało mi tak okrutny cios w tak młodym wieku. Przyjmowałem ich współczucie i chłonałem ich smutek, choć uznawałem to za coś, czym było dla mnie naprawdę – za słabość. Policja, pracownicy opieki społecznej i przydzielony przez sąd specjalny adwokat, wszyscy patrzeli na mnie – na pozbawione niespodziewanie rodziców dziecko – z taką słabością, że aż robiło mi się niedobrze.

Maskowali to wszystko i próbowali zmieniać we współczucie. Wiedziałem jednak, że za tymi uśmiechami i smutnymi oczami czai się strach. Praca ze mną przypominała pracę z trędowatym, jakby się obawiali, że podchodząc zbyt blisko, złapią tę samą klątwę, która dopadła mnie w moim życiu. Czułem ich słabość i natychmiast ją rozpoznawałem. To było coś, co kiedyś nie dawało mi spokoju. Postanowiłem więc, że już nigdy nie dopuszczę do tego, żeby to uczucie znów mnie zdominowało. Już nigdy nie będę tchórzem, który patrzył przez dziurkę od klucza. Poprzysiągłem sobie, że wzniosę się ponad to, żebym mógł spojrzeć na życie z zupełnie nowej perspektywy i rozpocząć ciężką pracę związaną z naprawą wszystkiego.

Ale w moim życiu nie zagościła wcale klątwa, lecz oświecenie. Uświadomiłem sobie to dopiero po pewnym czasie. Kiedy tak się stało, poukladałem swoje sprawy i przyszedłem do szkoły Westmont. A potem znalazłem panią.

Ułożyłem zakładkę i zamknąłem dziennik. Kobieta spoglądała na mnie w taki sposób, jakby chciała dziś usłyszeć ode mnie coś więcej.

– Moja matka umarła. Zabiłem mojego ojca. Byłem sam na świecie, dopóki pani nie znalazłem. Od tamtej pory jest pani moją przewodniczką w życiu. Pomagała mi pani podejmować decyzje. Każdą z moich decyzji.

Patrzyłem na nią przez dłuższy czas. Nie musiałem mówić nic więcej, zrozumiała moje słowa. Rozumiała, w jaki sposób ukształtowała moje życie.

– Wstydzi się mnie pani? – zapytałem.

Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której wytrzymywała moje spojrzenie. W końcu zamrugła.

– Absolutnie nie.

Rozdział 47

Wszyscy stali na swoich stanowiskach w laboratorium pana Gormana, sprawdzając wiadomości w telefonach i grając w gry. Letni kurs różnił się tym od regularnego roku szkolnego, kiedy nie pozwalano na używanie telefonów w klasach. Ledwie wyrażano zgodę na korzystanie z nich poza pokojami. Jednak zasady panujące latem były dużo luźniejsze. Teraz czekali na przyście pana Gormana i rozpoczęcie projektu w laboratorium.

Andrew Gross podszedł do stołu Gwen.

– Masz – powiedział i rzucił papierową torbę na sam środek stanowiska. Gwen i jej przyjaciele popatrzyli na to z zainteresowaniem. – Lepiej się pośpiesz, zanim zjawi się Gorman.

Gwen zabrała torbę, zajrzała do środka, po czym wyrzuciła jej zawartość na blat. Ze środka wypadła tania, drewniana pułapka na myszy i rolka taśmy izolacyjnej.

Andrew wskazał je ręką.

– Jedno z was musi założyć pułapkę i przykleić ją do ściany obok włącznika światła w łazience. Kiedy Gorman pójdzie się wysikać, co robi za każdym razem podczas zajęć w laboratorium, z pewnością coś usłyszymy.

Gwen pokręciła głową.

– Przykleić to do ściany?

Andrew skinął głową.

– Nie ma mowy – mruknęła.

– To nie wchodzi w rachubę – dodał Gavin, który również kręcił głową.

Theo i Danielle cofnęli się od stołu z uśmiechami na twarzach. Theo także pokręcił głową.

– Nie.

– Ja to zrobię – zaoferował się Tanner, sięgając po pułapkę.

– Nie rób tego. – Bridget chwyciła go za nadgarstek. – Narobisz sobie poważnych kłopotów.

Andrew tylko się uśmiechnął i odszedł.

– Ustalcie to sobie, jak tylko chcecie, ale pamiętajcie, co się stanie, jeśli nie wypełnicie zadania – powiedział i dołączył do starszych kolegów, którzy ich obserwowali.

– Zrobię to – odparł z naciskiem Tanner.

Gwen spojrzała na niego z troską.

– To mu złamie palec.

– To tania, kiepska pułapka, nie złamie nikomu palca. Powinnaś mi dziękować, a nie próbować od tego odwozić. – Tanner popatrzył na wszystkich po kolei. – Beze mnie żadne z was sobie z tym nie poradzi. Tylko ja mam dość jaj, żeby wykręcić taki numer.

Tanner zabrał pułapkę i taśmę, rozejrzał się po laboratorium, po czym wyszedł na korytarz. Chwilę później rozległ się odgłos splukiwanej toalety i Tanner wrócił do sali z głupawym uśmieszkiem na twarzy. Ledwie zdążył dojść do swojego stanowiska, kiedy zjawił się pan Gorman.

– Wszyscy na swoje miejsca – zawołał.

Uczniowie natychmiast ucichli, chichocząc bezgłośnie i uśmiechając się zagadkowo. Gwen pokręciła głową, kiedy Gavin popatrzył jej w oczy.

– To jest kiepski pomysł – powiedziała.

Pan Gorman rozpakował swoje rzeczy na biurku. Miał na sobie niedopasowaną koszulę z krótkimi rękawami, z których sterczały chude, włochate ramiona. Przez cienki materiał, po obu stronach krzywo zawiązanego krawata, prześwitywały ciemne krążki jego sutków.

– Dziś będziemy mieszać składniki, żeby zademonstrować reakcję Briggs-Rauschera. Jak zawsze – mężczyzna założył na oczy wielkie gogle ochronne – stosujemy przez cały czas ochronę oczu, a okapy wentylacyjne ustawiamy na wysoki bieg.

Przez piętnaście minut kreślił na tablicy instrukcje, a kolejnych dziesięć poświęcił na upewnienie się, że na każdym stanowisku dostępne są odpowiednie składniki. Jeden z nich wymagał podgrzania aż do wrzenia, a kiedy każda grupa przygotowała kolby i palniki Bunsena, pan Gorman nakazał wszystkim dziesięciominutową obserwację. W tym czasie mieli kontrolować punkt wrzenia, obserwując wskazania termometrów. Kiedy uczniowie zajęli się pracą i ucichli w trakcie eksperymentu, Gwen obserwowała, jak pan Gorman wymyka się na korytarz.

Tanner zagryzł dolną wargę i się uśmiechnął.

– Ja pierniczę – wyszeptał.

Salę wypełniła nerwowa energia. Usłyszeli skrzypienie zawiasów w łazienkowych drzwiach, a po chwili głośny trzask.

– Cholera!

Głos pana Gormana odbił się głośnym echem po pustych korytarzach szkoły. Uczniowie próbowali stłumić śmiechy, a Tannerowi wychodziło to zdecydowanie najgorzej. Kiedy nauczyciel wrócił do laboratorium, prawą dłoń trzymał ukrytą pod pachą, a w lewej ścisnął pułapkę na myszy.

– Kto to zrobił, do jasnej cholery? – krzyknął.

Wszyscy uczniowie poza Tannerem zdążyli się już opanować. Gwen była przestraszona, a na twarzach pozostałych zagościł niepokój. Tanner zacisnęła mocno wargi, by powstrzymać uśmiech.

– Kto to zrobił? – wydarł się ponownie pan Gorman.

Gwen popatrzyła na nauczyciela.

– Co się stało?

– Ktoś przykleił to taśmą do włącznika światła.

– Pan pozwoli, że spojrzę – odparła. Pan Gorman przeniósł na nią wzrok. – To nie był żaden z nas – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. – Wszyscy przyszliśmy do laboratorium przed panem. Proszę mi pokazać dłoń.

Pan Gorman wyciągnął przed siebie rękę. Palce wskazujący i serdeczny miał zaczerwienione i opuchnięte, a na kostkach widoczna była wyraźna linia.

Gwen dotknęła delikatnie jego dłoni.

– Myśli pan, że są złamane?

Pan Gorman zabrał powoli rękę i poruszył palcami.

– Wracaj na stanowisko.

Gwen skinęła głową i wróciła na miejsce obok Gavina.

Nauczyciel przełknął głośno ślinę i popatrzył na grupę uczniów.

– Jeśli ciecz w kolbie wrze, przejdźcie do kroku numer dwa – powiedział, po czym wrócił za biurko i wrzucił pułapkę do kosza na śmieci.

Tanner odchrząknął, niezdarnie maskując w ten sposób swój śmiech.

Był trzynasty czerwca.

Rozdział 48

Następnego dnia Charles Gorman wszedł do pokoju nauczycielskiego. Zabrał tacę i poszedł do bufetu, gdzie starannie wybrał składniki swojego lunchu – piezonego kurczaka z warzywami, kubeczek czekoladowego puddingu i napój gazowany. Zaniósł tacę do stołu, przy których siedzieli Gabriella Hanover i Christian Casper.

– Co ci się stało? – zapytała Gabriella.

Po wydarzeniu w laboratorium Charles poszedł do apteki i kupił opatrunek usztywniający na bolące palce. Teraz jego palce wskazujący i serdeczny unieruchomione były za pomocą owiniętego gąbką metalowego pręcika i otoczone białą chirurgiczną taśmą.

Położył tacę na blacie i usiadł.

– Znów zaczęły się letnie psikusy.

– Kto? – spytała krótko Gabriella.

– Chyba Tanner Landing. Jestem pewny, że podpuścił go Andrew Gross.

– Rozmawiałam z Andrew w ubiegłym roku, kiedy ofiarą ich żartów padła Jean Rasmussen. Martwy szop i bielizna wisząca w bibliotece. Ostrzegłam go wówczas i przeprowadziłam długą rozmowę z jego rodzicami.

Charles wzruszył ramionami.

– Chyba nie wziął sobie tego do serca.

– Co się stało? – zapytał Christian Casper. – Jeśli masz jakieś obrażenia, będziemy musieli podjąć poważne kroki.

Charles pokręcił głową.

– Nigdy się do tego nie przyznają, a ten pewny siebie drań będzie wiedział, że niczego mu nie udowodnię.

– Jak to się stało? – zapytał ponownie Christian.

– Przykleili pułapkę na myszy do włącznika światła w łazience.

– Co za małe bydlaki – warknęła Gabriella.

– Nie uważam, że winni są wszyscy. Raczej jeden czy dwóch.

– Mimo to nie możemy tego tolerować. Zwołam zebranie uczniów, żeby to powstrzymać, zanim nadejdzie pełnia lata.

Część 6

Sierpień 2020 roku

Rozdział 49

Detektyw Ott zaparkował samochód i wyłączył silnik. Reflektory w końcu zgasły i parking oświetlała jedynie halogenowa latarnia. W biurach posterunku policji w Peppermill panowała ciemność. Na nocnej zmianie pracowało tylko kilka osób, w tym kilku policjantów z drogówki, którzy o tej godzinie powinni krążyć po okolicy w wozach patrolowych, sierżant dyżurny, obecny zapewne na miejscu, oraz dyspozytorzy, którym na widok detektywa wchodzącego do biura o pierwszej w nocy nie drgnęła nawet powieka.

Nie mógł zdradzić nikomu prawdziwej przyczyny swojej obecności na posterunku o tej godzinie, więc dla wszystkich zainteresowanych przygotował specjalną historyjkę. Oceniał wcześniej swoje szanse i uznał, że przeprowadzenie zaplanowanej operacji w ciągu dnia będzie niemożliwe. Po posterunku kręciło się wtedy zbyt wiele osób, a jego młody protegowany chodził za nim podczas służby jak cień. W nocy miał największą szansę na pozostanie niezauważonym.

Otworzył drzwi samochodu i wyszedł na lepkie od wilgoci, nocne powietrze. Sięgnął za siedzenie, zdjął z haczyka marynarkę, założył ją i dopiero po tym wszedł na posterunek. Przeciągnął kartą identyfikacyjną, żeby uzyskać dostęp do lobby, i minął biurko recepcyjne, za którym siedział nocny strażnik. Mężczyzna się uśmiechnął i pomachał mu ręką.

- Dobry wieczór, detektywie.
- Jak się masz, Donny?
- Żyję jak w bajce.
- To tak jak ja, przyjacielu. Tak jak ja.

Ott poszedł do części biurowej, gdzie wraz z dwunastoma innymi detektywami tworzył zespół śledczy w wydziale policji Peppermill. Nalał sobie kawy do jednorazowego kubka, wsypał torebeczkę cukru i się rozejrzał. Na miejscu obecny był tylko jeden detektyw – Gene Norton – który był zaabsorbowany stukaniem w klawisze komputera. Ott zaraz się domyślił, że jego kolega pisze raport, by zdążyć w terminie. Norton nie znosił komputerów

bardziej niż którykolwiek inny detektyw w oddziale, a pisanie zabierało mu zwykle dwukrotnie więcej czasu.

Ott usiadł przy swoim biurku i otworzył aktywne sprawy, nad którymi pracował. Zalogował się do pliku, żeby zapewnić usprawiedliwienie swojej obecności na posterunku o tej porze. Zostawił sobie trochę pracy w ciągu dnia i zabrał się do pisania raportu. Radził sobie z tym zdecydowanie lepiej od swojego kolegi i po dziesięciu minutach skończył. Pozostawił otwarty plik i wstał od biurka. Norton wciąż wbijał wzrok w ekran, klnąc jak zwykle na klawisze, które nie znajdowały się na swoich miejscach – działo się tak od czasu, kiedy detektywi pozamieniali mu litery na klawiaturze.

Ze swojego stanowiska Ott przeszedł do pokoju z dowodami. Ponownie użył karty identyfikacyjnej, by dostać się do środka, a następnie zabrał skrzynkę zawierającą wszystkie dowody w sprawie, którą otworzył na swoim komputerze. Zabrał też inną skrzynkę i obie zataszczył na swoje biurko. Usiadł i odczekał minutę, słuchając narzekań Nortona. W końcu chwycił drugą skrzynkę i podszedł do kserokopiarki. Po chwili zaczął metodycznie wkładać arkusz za arkuszem na automatyczny podajnik maszyny. Czekał cierpliwie, aż urządzenie zakończy pracę, podczas której wydawało z siebie przeraźliwie głośne dźwięki. Kiedy skończył jedną część, umieścił skopiowane strony w nowym pudle, zaniósł oryginały pod swoje biurko i zabrał się do pracy przy drugiej części. Skserowanie całej zawartości skrzynki zajęło mu dwadzieścia dwie minuty. Zauważył, że gdzieś w połowie pracy zza ścianki oddzielającej stanowiska wysunęła się głowa Nortona. Ott uniósł podbródek w geście pozdrowienia.

– Cholerne terminy – mruknął Norton. – I moja klawiatura znów jest spieprzona. Wiesz coś na ten temat?

– To nie ja.

Norton ponownie znikł za swoim biurkiem, a Ott wsunął ostatnią partię kartek do podajnika. Pięć minut później przeniósł resztę materiałów i pudło z kopiami na swoje stanowisko. Zabrał całość oryginałów z powrotem do pokoju z dowodami, ponownie przeciągając kartą w czytniku przy drzwiach, po czym umieścił je na swoim miejscu.

Nie pożegnał się z Nortonek, ale po drodze skinął głową Donny'emu. Położył pudło na tylnym siedzeniu samochodu i opuścił parking. Dokumenty dotyczyły

sprawy, która rok wcześniej obudziła go o trzeciej nad ranem. Od tamtej pory nie wyspał się dobrze ani razu.

Zastanawiał się, czy wkrótce coś się w tej kwestii zmieni.

Rozdział 50

Rory usiadła w swojej tymczasowej pracowni w przeszklonym pomieszczeniu domku. Lalka Kiddiejoy leżała na biurku, a lampka na pałaku oświetlała jej twarzyczkę. Naprawiony obszar ucha i policzka – który Rory w znakomity sposób zrekonstruowała za pomocą masy papierowej i zimnej glinki porcelanowej – stwardniał już i nadawał się do rzeźbienia. Zabrała się do pracy, przygotowawszy sobie pędzle Foldger-Gruden, i użyła niewielkich końcówek do wyrzeźbienia maleńkich rowków, które miały wkrótce zmienić się w małżowinę uszną. Na tym etapie pracowała bez zdjęć z wzorcem. Wszystko, czego potrzebowała, zapisane zostało w jej pamięci, kiedy oglądała oryginalne fotografie – jakby obraz tego, co miała nadzieję osiągnąć, utrwalił się na sztaludze stojącej przed nią i oświetlonej lampą.

Rory metodycznie zmieniała pędzle, przechodząc od tępych do ostrych, i skończyła na przypominającej igłę końcówce, która z łatwością przenikała powierzchnię glinki. Była tak bardzo skoncentrowana, że przeszła na niemal tunelowe widzenie i wręcz zapominała mrugać. Każdy staranny rowek, który wykonała, wymagał powtarzalnej precyzji artysty i skupienia chirurga. Na wezwania umysłu do powtarzania czynności i zachowania doskonałości, które chowała podczas wielu ostatnich godzin, reagowała teraz, przy swoim stanowisku pracy. W tym miejscu te natarczywe myśli okazywały się przydatne i konieczne.

Kiedy zakończyła proces rzeźbienia ucha, przeszła do krawędzi warg i wystrugała doskonale wgłębienie w kącie ust lalki. Zakończyła też rekonstrukcję lewej szpary powiekowej. Była to bardzo absorbująca praca, która zabrała jej kilka godzin. Po wyrzeźbieniu ostatniego detalu wsunęła pędzel w kieszeń na piersi, zdmuchnęła pył i w końcu rozsiadła się na krześle. Pole widzenia Rory się poszerzyło, jak światła w sali kinowej podczas napisów końcowych. Etap napraw strukturalnych lalki został zakończony. Nie było jeszcze na niej tekstury ani kolorów, więc następnym krokiem miało być

wygładzenie naprawionych powierzchni i wypolerowanie porcelany powłoką epoksydową, co pozwoli na usunięcie pajęczyny pęknięć. Na koniec zostanie pomalowanie powierzchni i lalka odzyska swoje pierwotne piękno. Nadal czekało ją sporo pracy, jednak po zaledwie trzech sesjach efekty już były naprawdę godne podziwu.

Zdekoncentrowało ją trzaśnięcie drzwi samochodowych. Kiedy zabrzmiał dzwonek do drzwi, zerknęła na zegarek. Pierwsza w nocy. Pracowała bez przerwy przez trzy godziny i zupełnie straciła poczucie czasu. Odsunęła pałąk lampki i ułożyła lalkę w pudełku. Znalazła swoje okulary, nasunęła je niezdarnie na nos, po czym założyła szarą wiatrówkę, która pasowała do jej dzinsów. Zapięła ją po szyję i wcisnęła na głowę czapkę. Wojskowe buty na nogach stanowiły dopełnienie jej bojowego stroju. W drodze do drzwi zabrała plecak i zarzuciła go sobie na ramię. Lane spał na piętrze, a ona postanowiła nie przerywać mu odpoczynku. Lekarze ostrzegali, że mogą to być dłuższe epizody, kiedy jego mózg będzie się regenerował po wstrząsie. Otworzyła drzwi i zobaczyła stojącego przed domem detektywa Otta.

– Jest pani gotowa? – zapytał.

Rory pokiwała głową. Tej nocy planowała przejść się po miejscu zbrodni – opuszczonym domu nauczycielskim w lesie na skraju kampusu szkoły Westmont, gdzie rok wcześniej zamordowano dwóch uczniów. Wiedziała, co się zbliża. Wiedziała, co tam na nią czeka. To samo, co czekało w każdym analizowanym przez nią miejscu przestępstwa – dusze tych, którzy stracili tam życie. Celem Rory było połączenie się z nimi, aby w końcu móc nawiązać z nimi kontakt we własny, subtelny sposób. Jej powiązanie z ofiarami nie miało charakteru fizycznego, a komunikacja nie była werbalna. Tym zagubionym duszom Rory składała jedną prostą obietnicę – zaprowadzi je we właściwie miejsce spoczynku, gdzie znajdą spokój i ukojenie.

Od początku swojej kariery rekonstruktorce sądowej Rory Moore ani razu nie złamała tej obietnicy.

Rozdział 51

Usiadła na siedzeniu pasażera, a detektyw Ott ruszył w drogę ulicami Peppermill. Rory nigdy nie czuła się komfortowo w obecności obcych, czy to gliniarzy, czy innych osób. Szczególnie duży niepokój budziły w niej samoloty i samochody. Niewykluczone, że do ogólnego uczucia niepokoju dokładała się lekka klaustrofobia, choć głównie chodziło o niechęć Rory związaną z towarzyszeniem innym ludziom w tak ciasnych miejscach. Przed wieloma laty Lane szybko przebił się przez jej zaporę i stał się jedynym mężczyzną, nie licząc ojca, któremu pozwoliła się fizycznie dotknąć. Teraz, kiedy jechała samochodem, czuła znajome drzenie w piersi. Był to sygnał, że swoista kroplówka, która zapewniała jej stały dopływ niepokoju wprost do układu krążenia, otworzyła się i zaczynała spływać szybciej.

– Mieliśmy dwie opcje – powiedział Ott. – Mogliśmy pojechać w drugą stronę, do mniej znanego punktu wejścia, dostępnego z drogi numer siedemdziesiąt siedem. To tamtędy weszły do lasu te dzieciaki dwudziestego pierwszego czerwca. Mogliśmy również zrobić to bardziej oficjalnie i skorzystać z głównej bramy wjazdowej do szkoły Westmont. W związku z tym, że staram się ze wszystkich sił, żeby nie wyrzucili mnie z roboty, wybieramy oficjalną drogę. Powiedziałem pani dyrektor, że muszę dostać się do tego domu i torów biegnących obok, w ramach śledztwa w sprawie samobójstwa Theo Comptona. Zgodziła się nam towarzyszyć.

Rory pokiwała głową.

– To chyba najlepsze rozwiązanie.

Skęcili w Champion Boulevard i zaparkowali przy dwóch kolumnach obok wielkiej, żelaznej bramy z tablicą z napisem „ELITARNA SZKOŁA ŚREDNIA WESTMONT”.

Detektyw Ott zatrzymał się przy domofonie, nacisnął przycisk i wyjął odznakę policyjną.

– Witamy w szkole Westmont. – W głośniku rozległ się damski głos.

– Detektyw Ott do doktor Hanover.

Chwilę później żelazna brama otworzyła się do środka, jak dwa ramiona biorące ich w uściski. Ott zaparkował auto na parkingu dla gości. Rory otworzyła drzwi, poprawiła okulary i czapkę, po czym poszła za detektywem w stronę głównego budynku z czterema gotyckimi kolumnami lśniącymi w popołudniowym słońcu. Na schodach czekali na nich kobieta i mężczyzna. Rory założyła, że to Christian Casper i Gabriella Hanover, dyrektorzy szkoły. Obok stał wózek golfowy.

– Dzień dobry, doktor Hanover – powiedział Ott. – Dobrze panią widzieć.

– Pana również, detektywie.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Dzień dobry, doktorze Casper – rzucił detektyw, ponownie wymieniając uściski dłoni. – To jest Rory Moore. Pracuje jako konsultantka i będzie mi dziś towarzyszyć.

Doktor Hanover wyciągnęła rękę, ale Rory nawet się nie poruszyła. Nie potrafiła się przemóc. Nigdy nie witała się w ten sposób z obcymi, w zasadzie z nikim. Jej mózg nie był do tego odpowiednio zaprogramowany. Nie miała fobii związanej z bakteriami i nie obawiała się chorób. Jej niechęć do dotykania dłoni innych osób wynikała z tej samej przypadłości, która sprawiła, że pot lał się jej po plecach, kiedy zamykała drzwi samochodu Henry’ego Otta – była to ogólna niechęć do interakcji z ludźmi. Przypadłości tej nie potrafiła wytłumaczyć sama Rory, nie rozumieli jej również inni. W taki sposób po prostu funkcjonowała od czterdziestu lat i żadna zmiana nie była już możliwa. Aby się zmienić, Rory potrzebowała motywu i środków. Nie miała ani jednego, ani drugiego. Woląла dziwactwo związane z niewyciąganiem do nikogo dłoni niż dyskomfort związany z wykonywaniem tej czynności. Poprawiła więc tylko okulary, zaoferowała doktor Hanover przelotny kontakt wzrokowy, po czym skinęła głową. Kobieta zabrała w końcu rękę. Doktor Casper szybko się zorientował, że nie powinien robić tego samego.

– Tędy proszę – powiedziała w końcu doktor Hanover i wskazała wózek golfowy. – Piechotą byłoby zbyt długo.

Detektyw Ott i Rory wspięli się do wózka i usiedli na tylnych miejscach. Hanover prowadziła, a Casper siedział obok niej. Przejechali uliczkami kampusu, minęli porośnięte bluszczem budynki i w końcu dotarli do wysokiego

muru z czerwonej cegły, który ciągnął się przez sto metrów w obu kierunkach, ustępując w końcu miejsca żelaznemu ogrodzeniu odgradzającemu ich od lasu.

Doktor Casper wysiadł z wózka i użył klucza do otwarcia kłódki, umożliwiając im przejazd przez bramę osadzoną w murze. Doktor Hanover przejechała na drugą stronę, zanim jej kolega zdążył zamknąć przejazd. Rory poczuła jakieś dziwne ukłucie, jakby zniknęło bezpieczeństwo oferowane im przez kampus i jakby znaleźli się na łasce złowrogiego lasu.

Doktor Casper wsiadł z powrotem do wózka i wkrótce jechali dalej wyboistym traktem wśród drzew. Opuścili las dziesięć minut później i Rory zobaczyła przed sobą dom. Ściany z wapienia dawało się dostrzec tylko w kilku miejscach, których nie porósł gęsty bluszcz. Jego liście były tak przerośnięte, że wyglądały bardziej jak kamuflaż niż dekoracja.

– Zaczekamy tutaj, jeśli to nie problem – powiedziała doktor Hanover.

– Oczywiście – odparł detektyw Ott.

Wysiedli z wózka. Rory nie czekała, aż Ott przejmie inicjatywę. Ruszyła w kierunku domu, rozglądając się uważnie, jakby jej oczy były kamerami filmującymi całe otoczenie. Oczywiście jej mózg właśnie w taki sposób wszystko rejestrował. Pełne zrozumienie tych podświadomych działań mogłoby potrwać dłużej, jednak proces katalogowania rozpoczął się natychmiast. Podeszła do furtki z kutego żelaza, na którą został nabity Tanner Landing. Czubek kolca znajdował się na wysokości metra osiemdziesiąt nad ziemią. Przeszła przez furtkę, po czym się odwróciła, żeby popatrzeć na nią z drugiej strony i z innej perspektywy.

Detektyw Ott wyjął z tekturowej teczki zdjęcie i podał je Rory. Była to fotografia w formacie dwadzieścia pięć na dwadzieścia, przedstawiająca ciało Tannera Landinga przebite przez jeden z kolców na furtce. Rory przyjrzała się uważnie budzącemu odrazę zdjęciu, po czym przeniosła spojrzenie na furtkę i rząd żelaznych szpiców. Furtka miała sto pięćdziesiąt pięć centymetrów wysokości i była nieco wyższa niż Rory. Założenie ważącego siedemdziesiąt dwa kilogramy chłopaka na taką wysokość wymagało nie lada wysiłku i sporego wzrostu. A do tego czasu. Zabójca wiedział, że ma go pod dostatkiem. Był to ktoś, kto znał dom i jego najbliższą okolicę. Ktoś, kto wiedział, co planowali tamtej nocy uczniowie.

– Kiedy przyjechałem na miejsce – powiedział Ott – od razu się zorientowałem, że ciało Landinga zostało wyciągnięte z domu. Od stopni

ciągnęła się smuga krwi, znaleziono ją również w gruncie między schodkami a tym miejscem.

– A więc bez wątpienia zaatakowano go najpierw w domu – stwierdziła Rory.

– Tak. W pomieszczeniu od frontu, zaraz obok korytarza.

Detektyw Ott podał Rory następane zdjęcie z miejsca zbrodni. Przedstawiało rozmazaną krew na drewnianej podłodze korytarza i na progu.

– We krwi ani na ziemi nie znaleziono żadnych odcisków butów? – zapytała Rory.

– Żadnych. Znalezliśmy kilka włókien sugerujących, że morderca mógł mieć założone nakładki na buty, takie jak u robotników wchodzących do domu. Nie było jednak żadnych konkretnych odcisków.

– Zorganizowany – wyszeptała Rory, patrząc na fotografię.

Ponownie spojrzała na kolce sterczące z furtki.

– Proszę mi zrekonstruować przebieg wydarzeń. Jak szybko się to potoczyło?

Ott podał jej kolejne zdjęcie. Tym razem było na nim nagie ciało Tannera Landinga spoczywające na metalowym stole sekcyjnym.

– W raporcie patologa napisano, że rana od tego szpica znajdowała się tuż pod podbródkiem ofiary – wyjaśnił. – Ciągnęła się przez kości twarzowe i przednią część mózgu, płat czołowy i czoło. Potwierdzono, że akurat ta rana powstała przed śmiercią ofiary.

Rory nie odrywała spojrzenia od zdjęcia z autopsji.

– Landing umierał szybko od cięcia na szyi, ale wciąż żył, kiedy zawieszono go na furtce.

– Zgadza się.

– W takim razie nastąpiło to szybko – uznała Rory. – Nasz morderca nie czekał długo po pierwotnym ataku, żeby to zrobić. Lane zasugerował, że powieszenie miało charakter rytualny i wynikało z chęci dokonania zemsty. Samo pozbawienie chłopaka życia nie wystarczyło. Musiał go dodatkowo ukarać.

– Przeprowadził na nim lobotomię.

– Wygląda na to – zaczęła Rory, oddając zdjęcie Ottowi – że mierzący sto osiemdziesiąt osiem centymetrów Gorman dysponował wzrostem, siłą i motywem, by być naszym sprawcą.

Odwróciła się od furtki i popatrzyła na opuszczony, zaniedbany dom nauczycielski, którego okna zasłaniał czerwony bluszcz.

– Co oni tutaj robili? Te dzieciaki. Dlaczego przyszli w to miejsce tamtego wieczoru?

– Z tego, co udało mi się ustalić, brali udział w grze zwanej Człowiek z lustra. Z moich badań wynika, że to oparta na rytuałach, sekciarska gra znana na całym świecie. Bawią się w nią głównie nastolatki, choć pisze się również o udziale dorosłych. W większości w innych krajach.

– O co w niej chodzi?

– O duchy. Klątwy. O byt żyjący w odkrytych lustrach, którego moc można uwolnić dwa razy w roku, podczas przesilenia letniego i zimowego.

– I do zabójstw doszło w czerwcu.

– Zgadza się. Dwudziestego pierwszego. Najdłuższy dzień w roku.

– Na czym to polega?

– Gracze szukają drogi przez las do opuszczonego domu. Pierwszy, który dotrze na miejsce, znajduje wybrane do gry lustro, odsłania je i szepcze „Człowiek z lustra” do swojego odbicia. Wykonanie tej czynności pozwala żyć przez rok w spokoju i dobrobycie wraz z duchami Człowieka z lustra. Nieodnalezienie kluczy i niezamknięcie rytuału przed północą przynosi rok życia w klątwie.

– Chryste. To brzmi strasznie.

– Sporo na ten temat czytałem – przyznał Ott. – Ta gra nie jest nowa. Występuje wiele jej wersji, ale wygląda na to, że dzieciaki z Westmont wyniosły ją na wyższy poziom. To zdecydowanie nie zabawa w duchy na cmentarzu, w której brałem udział w dzieciństwie.

Rory nie spuszczała wzroku z domu.

– Może pan mi wskazać pomieszczenie, w którym do tego doszło?

– Tak – odparł Ott, odpinając klucze z wielofunkcyjnego paska. – Proszę za mną.

Rozdział 52

Rory weszła do opuszczonego domu nauczycielskiego frontowymi drzwiami. Wnętrze było wysokie, a hol wejściowy sięgał piętra. Brakowało schodów, a ułamane trzpienie podtrzymujące niegdyś stopnie ciągnęły się spiralą wzdłuż ścian.

– Przed wieloma laty – odezwał się Ott, którego głos odbił się echem od ścian domu – w tym miejscu mieszkali nauczyciele. Jest tu osiem pokoi, które przebudowano na prywatne sypialnie z łazienkami. Dom znajdował się z dala od uczęszczanych ścieżek i gwarantował prywatność kadrze. – Wskazał dłonią duże pomieszczenie po prawej stronie. – Tutaj nauczyciele jedli posiłki. Nieco dalej, w głębi domu jest kuchnia. A tutaj – przeniósł rękę na lewo, gdzie krótki korytarz prowadził do zamkniętych drzwi – mieściła się niegdyś biblioteka. To tam odnaleziono ciało Andrew Grossa.

Rory ruszyła za Ottem w tamtym kierunku. Detektyw podał jej następne zdjęcie wyjęte z teczki. Na środku pomieszczenia stało spryskane krwią lustro, obok którego na podłodze leżał malarski brezent. Przed lustrem spoczywało ciało Andrew Grossa otoczone idealnym kręgiem ciemnej, wyschniętej już krwi.

– Krew wokół ciała jest nienaruszona, co pozwala sądzić, że wykrwawił się dokładnie w tym miejscu – powiedziała. – Landinga wywleczono pośpiesznie na zewnątrz w stronę furtki. Sprawca wiedział, że nadchodzą inni i że nie może się ociągać.

– Dlaczego nabił ciało jedynie Landinga? – zapytał Ott. – Dlaczego nie obu?

Rory wpatrywała się w zdjęcie.

– Za mało czasu. A może chciał się zemścić tylko na Tannerze Landingu. To znów dość mocny argument przemawiający za tym, że naszym człowiekiem jest Charles Gorman. O co chodzi z tym brezentem?

– To element gry. Lustra muszą pozostać zakryte, dopóki nie zostanie wezwany Człowiek z lustra.

Rory pokręciła głową i podeszła do okna. Szybę pokryto warstwą wystarczająco ciemnej farby, żeby nie można było dostrzec miejsca, w którym zawieszono ciało Landinga.

– Nikogo innego nie było w domu tamtej nocy? – zapytała.

– Nic nam na ten temat nie wiadomo. Inni uczniowie przebywali w lesie, a kiedy dotarli do domu nauczycielskiego, zobaczyli masakrę i pobiegli z powrotem do kampusu.

– Żadnego obcego DNA w tym pomieszczeniu?

– Nie. Jedyna krew, którą znaleźliśmy, należała do Andrew Grossa i Tannera Landinga.

– A ta niezidentyfikowana krew? Była tylko na furtce?

– Zgadza się – przytaknął Ott.

– I znajdowała się zarówno na rękach i piersi dziewczyny, jak i na ciele Tannera Landinga?

– Tak. Gwen Montgomery miała na sobie krew Tannera, co wyjaśniła rozpaczliwą próbą zdjęcia jego zwłok z furtki, jak również niewielką ilość krwi należącej do niezidentyfikowanej osoby.

Rory odwróciła się od okna.

– W jaki sposób poradził sobie pan z problemem tej niezidentyfikowanej krwi?

– Nie poradziłem sobie.

Rozdział 53

Na blacie w ciemnej pracowni na tyłach domku stała butelka portera. Jedynym źródłem światła w pomieszczeniu była biurkowa lampka. Było ono jednak wystarczające, żeby Rory mogła czytać akta przekazane jej przez detektywa Otta po tym, jak zakończyli obchód opuszczonego domu nauczycielskiego i przyjrzeni się torom, na których Charles Gorman usiłował odebrać sobie życie. W tym samym miejscu życie straciło później troje uczniów. Rory wciąż przetwarzała ten pełen emocji dzień, w podświadomy sposób sortując i katalogując wszystko, co widziała i czego się dowiedziała. Poukładała swoje odkrycia także dzięki opowiedzeniu o wszystkim ze szczegółami Lane'owi. Teraz w domu panowały cisza i ciemność. Minęła północ i najbardziej produktywne godziny dla Rory właśnie nadchodziły.

Wypiła łyk piwa. Siedziała nad papierami od godziny. Najpierw przeczytała dokumenty dotyczące Gormana, żeby się przekonać, czego na temat czterdziestopięcioletniego nauczyciela chemii dowiedzieli się detektyw Ott i policjanci. Poznała szczegóły dotyczące jego życia przed Westmont i ośmiu lat pracy w tej szkole. Sprawdziła dowody, które posłużyły Ottowi do uzyskania nakazu aresztowania. W teczce Gormana znajdował się też list, który detektyw odkrył w sejfie ściennym za obrazem – trzy strony zapisane kursywą, na których Gorman opisał ze szczegółami, co planował zrobić Tannerowi Landingowi i Andrew Grossowi. Treść była przerażająca i zmroziła krew w żyłach Rory. Widziała zdjęcia z miejsca zbrodni – zarówno wcześniej, w ciągu dnia, kiedy Ott podał jej kilka wybranych, jak i teraz, kiedy przerzucała kolejne fotografie towarzyszące listowi. Rory czuła się dość nieswojo, rozkładając zdjęcia, jedno po drugim, w kolejności zdarzeń opisanych przez Gormana. Raport grafologa potwierdził, że pochyłe pismo w liście pasowało do uzyskanych dla porównania notatek nauczyciela.

W końcu Rory poczytała o scenie przy torach kolejowych, gdzie funkcjonariusz odkrył ledwie żywego nauczyciela po nieudanej próbie

samobójczej. W jej mózgu kołatało się jedno pytanie: jeśli Gorman był niewinny, to dlaczego próbował się zabić? Zaczęła się zastanawiać, czy Henry Ott na pewno aresztował właściwego człowieka. Poczula targające nią wątpliwości, czy pudło leżące obok kryło jakiegokolwiek tajemnice, czy może wszystko, co niezbędne, zostało już odkryte.

Kilka newralgicznych punktów przekonało ją jednak, że coś przegapiono. Pierwszym była niezidentyfikowana krew. Drugim uczniowie, którzy popełnili samobójstwo. Upiła trochę piwa, odłożyła teczkę Gormana do pudła i wyjęła akta Bridget Matthews – pierwszej uczennicy z Westmont, która śladem Gormana weszła na tory biegnące obok domu nauczycielskiego.

Rory była przekonana, że tajemnica morderstw w Westmont kryje się za tymi samobójstwami.

Rozdział 54

Rory przeczytała notatki detektywa Otta na temat Bridget Matthews. Zawierały one zapis pierwszej rozmowy z dziewczyną w dniu, kiedy znaleziono martwego Tannera Landinga na furcie, jak również późniejszej rozmowy z rodzicami po jej samobójstwie. Obie transkrypcje przedstawiały Bridget jako typową nastolatkę. Pochodziła z zamożnej rodziny, a jej relacje z rodzicami nie wydawały się bardziej napięte niż w przypadku większości jej rówieśników, których na dziesięć miesięcy w roku wysyłano do szkoły z internatem.

Przedstawiona przez Bridget wersja zdarzeń z miejsca przestępstwa wręcz idealnie pasowała do zeznań innych uczniów, co oznaczało, że albo wszyscy mówili prawdę, albo doskonale przygotowali się do kłamstwa. Historia prezentowała się w następujący sposób: wszyscy spotkali się w uzgodnionym miejscu przy drodze numer siedemdziesiąt siedem, na południowym skraju kampusu. Była to typowa droga, którą obierali uczniowie, kiedy szli do opuszczonego domu nauczycielskiego – rzadko uczęszczana trasa, dzięki czemu mogli uniknąć przechodzenia przez główny kampus. Wieczorem dwudziestego pierwszego czerwca uczniowie zgromadzili się przy drodze numer siedemdziesiąt siedem, aby wziąć udział w inicjacji gry o nazwie Człowiek z lustra. Ich zadaniem tamtej nocy było samodzielne pójście do lasu otaczającego dom i odnalezienie kluczy, które zostały ukryte przez starszych uczniów. Zadanie mieli wykonać przed nadejściem północy.

Do grupy należało pięcioro młodszych uczniów – Bridget Matthews, Gwen Montgomery, Gavin Harms, Theo Compton i Danielle Landry. Tanner Landing, który był chłopakiem Bridget, poszedł do lasu wcześniej. Każdemu z nich przekazano identyczne wyjaśnienie dotyczące nieobecności Tannera tamtego wieczoru. Usłyszeli, że okazał się bardziej przepełniony entuzjazmem niż reszta grupy i był zdeterminowany, żeby dotrzeć do domu jako pierwszy i zakończyć wyzwanie. Wynikającą z tego korzyścią było w tym przypadku

zostanie liderem i przywódcą grupy w następnym roku, kiedy starsi uczniowie ustąpią im miejsca, czyli innymi słowy przejęcie roli Andrew Grossa.

Po dotarciu do wyznaczonego miejsca przy drodze numer siedemdziesiąt siedem weszli do lasu. Po godzinie poszukiwań wszyscy mieli już swoje klucze i każdy z nich wyruszył w stronę domu. Kiedy wyszli z lasu, od razu zauważyli nabitego na ogrodzenie Tannera Landinga. Spanikowali i uciekli do kampusu. Wszyscy, z wyjątkiem jednej osoby. Gwen Montgomery została na miejscu i próbowała zdjąć ciało Tannera z furtki, w końcu jednak się poddała, usiadła na ziemi obok niego i zaczęła na pomoc.

Rory upiła nieco portera i wyobraziła sobie nastolatków krążących po ciemnym lesie. Niektóre informacje trafiły do wiadomości publicznej. Ott powiedział Rory, że kiedy natrafili na ślad Gormana, celowo zachowali w tajemnicy szczegóły dotyczące gry w obawie o powrót paranoi z lat osiemdziesiątych i satanistycznych kultów wtrącających się do ich śledztwa.

W dalszej kolejności Rory wyjęła dokumenty medyczne Bridget Matthews, włącznie z transkrypcjami sesji terapeutycznych dziewczyny z doktorem Christianem Casperem. Rory wczytała się w ich treść. Sesje Bridget sprzed lata dwa tysiące dziewiętnastego roku były zupełnie zwyczajne i obejmowały typowe dla nastolatek troski – chłopaków, przyjaciółki, stres szkolny i obawy związane ze znalezieniem odpowiedniego college'u. Po tamtej tragedii transkrypcje rysowały jednak obraz dziewczyny pełnej żalu i smutku po śmierci Tannera. Rory przeczytała list napisany przez doktora Caspera do rodziców Bridget, w którym opisał swój niepokój związany ze stanem psychicznym uczennicy. Znalazły się tam wzmianki mówiące o skłonnościach samobójczych i typowych sygnałach ostrzegawczych, które im towarzyszyły. Bridget wykazywała je wszystkie, a doktor Casper zasugerował psychoterapię. Było już jednak zbyt późno. Dwudziestego ósmego września dwa tysiące dziewiętnastego roku, trzy miesiące po wydarzeniach z czerwcowej nocy, około dwudziestej drugiej trzydziści, Bridget Matthews rzuciła się pod pociąg towarowy Canadian National.

Rory wyjęła z akt raport z autopsji dziewczyny. Łyknęła portera, żeby się uspokoić, po czym odwróciła okładkę. W górnej części wewnętrznej zakładki przymocowane było niewielkie zdjęcie. Śliczna dziewczyna, młoda i niewinna, mająca przed sobą wiele lat życia. Rory poczuła do niej natychmiastową sympatię. Bridget, podobnie jak wszystkie ofiary, których śmierć Rory

zrekonstruowała, wydawała się zarzucać zakończoną hakiem linę w poprzek przepaści między życiem a śmiercią, który ostatecznie zaczepiła się o duszę Rory. Miała ona w niej pozostać, tworząc połączenie i wywołując ciągle napięcie, które ustąpi dopiero po rozwiązaniu całej sprawy. Rory nie była pewna, co tak naprawdę czuje w odniesieniu do tej słabości – braku umiejętności zapomnienia o nieżyjących do momentu uzyskania pewności, że ich dusze są już spokojne. Z tej właśnie przyczyny była taka drobiazgowa w sprawach, nad którymi pracowała. Relacje z ofiarami, które nawiązywała, były obciążające psychicznie i wiązały się z ogromną odpowiedzialnością.

Rory nie wybrała samodzielnie sprawy dotyczącej zabójstw w Westmont. To niepozostające pod jej kontrolą okoliczności ją do tego pchnęły. Niepewność Rory wynikała nie tylko z obawy, że nie pozostało tutaj już nic nowego do odkrycia, lecz również faktu, że było w tym przypadku wiele ofiar. Zginęło pięcioro uczniów – dwoje zamordowano w bestialski sposób, a troje odebrało sobie życie. Budowanie relacji z tyloma ofiarami jednocześnie groziło przeciążeniem jej zmysłów i wyłączeniem możliwości dostrzeżenia tego, co przegapili inni. Wiedziała jednak, że nie ma większego wyboru. Szepty zaczęły się już rozlegać i mogły je uciszyć jedynie odpowiedzi.

Rory poświęciła godzinę i połowę butelki piwa na przeczytanie raportu z autopsji Bridget, koncentrując swoją uwagę na każdej stronie i każdym wersie. Samobójstwo poprzez rzucenie się pod pociąg było drastyczne i Rory z niepokojem czytała wnioski patologa mówiące o katastrofalnych obrażeniach głowy i korpusu, które doprowadziły do śmierci. Zerknęła na towarzyszące raportowi zdjęcia, ale nie poświęciła im zbyt wielkiej uwagi. W organizmie dziewczyny nie stwierdzono obecności alkoholu czy narkotyków. Raport kończył się przyczyną śmierci: wielokrotne urazy po zderzeniu z tępą powierzchnią. Rodzaj śmierci: samobójstwo.

Rory doczytała stronę do końca i zamknęła dokument. Już miała odsunąć go na bok, żeby zabrać się za następnego ucznia, kiedy coś ją powstrzymało i przyciągnęło ponownie jej uwagę. Ponownie otworzyła raport z autopsji na ostatniej stronie i jeszcze raz przeskanowała wzrokiem zapisane informacje, pomagając sobie palcem. Niemalże to przeoczyła i zaraz się upewniła, że inni z całą pewnością tego nie zauważyli. Ale Rory Moore dostrzegała wszystko. Jeśli ważny szczegół nie był oczywisty od pierwszej chwili, jej mózg przechowywał informacje w niekończącym się zwoju, a następnie wysyłał

sygnał, który zauważała świadoma część jej umysłu. Kontrolka świeciła teraz jasno i przyciągnęła jej pełną uwagę. W raporcie z autopsji Bridget Matthews znalazła coś ważnego: nie było to żadne fizyczne znalezisko, lecz coś zwyczajnie umieszczonego przez patologa wraz z przedmiotami znalezionymi przy ciele Bridget w momencie przeprowadzania badania.

W kieszeni dzinsów dziewczyny natrafiono na trzy przedmioty: pomadkę ochronną do ust, kartę płatniczą i jednocentówkę. Rory mogła pominąć opis monety, ale tego nie zrobiła. Zatrzymała się i przeczytała notatkę patologa, która opisywała jednocentówkę jako „spłaszczoną i podłużną”.

W mózgu Rory zapłonął ogień, jakby doszło w nim do zwarcia. Jej umysł zaczął natychmiast przewijać zwój z danymi i zatrzymał go w miejscu, którego potrzebowała. Odsunęła krzesło od biurka, opadła na kolana i zaczęła szperać w pudle z dowodami. Znalazła tam notatki dotyczące próby samobójczej Charlesa Gormana. Wyjęła dokument i położyła na biurku, zakrywając raport z autopsji Bridget – zrobiła coś, do czego nigdy by się nie posunęła, ponieważ niezorganizowana koncepcja zetknięcia się jednego otwartego dokumentu z innym w ogóle nie pasowała do jej osobowości. Jednak powiązanie, którego szukała, było tak delikatne i kruche, że nie miała czasu, by poukładać wszystko w równiutkie w stosy.

Otworzyła teczkę Gormana, oblizała palec wskazujący i zaczęła przerzucać kartki, aż znalazła listę przedmiotów znalezionych w miejscu próby samobójczej. Przedmiot numer siedemdziesiąt dwa, utrwalony na fotografii obok odwróconego żółtego znacznika, był spłaszczoną i wydłużoną jednocentówką leżącą w odległości niecałego metra od półżywego Charlesa Gormana. Wyraźny odcisk palca zdjęty z monety pasował do mężczyzny, co sugerowało, że trzymał w dłoni jednocentówkę w chwili, kiedy został uderzony przez pociąg. Z analizy monety wynikało, że nietypowy kształt jednocentówki powstał wskutek ułożenia jej na szynie i przejechania przez pociąg.

Rozdział 55

Odkrycie Rory warte było przeprowadzenia rozmowy w samym środku nocy. Kiedy się dowiedziała, że dziwnie wyglądającą monetę znaleziono zarówno w kieszeni spodni Bridget Matthews, jak i w miejscu próby samobójczej Charlesa Gormana, sprawdziła pospiesznie dokumentację z autopsji pozostałych uczniów, którzy odebrali sobie życie. Wśród przedmiotów znalezionych przy Danielle Landry i Theo Comptonie także znajdowały się spłaszczone i wydłużone jednocentówki. Było to typowe powiązanie, które łączyło ich ze sobą, i zdecydowanie zbyt nietypowe, żeby uznać je za zbieg okoliczności.

Lane siedział przy stole naprzeciw Rory. Dochodziło wpół do czwartej nad ranem.

– Co to oznacza? – zapytał.

– Nie jestem pewna – odparła Rory. – Poza tym, że to coś wyjątkowo dziwnego, co łączy ich wszystkich.

– Wiele rzeczy ich łączy – uznał Lane. – Ale to jest z całą pewnością bardzo interesujące. Dzieciaki kładą monety na torach kolejowych, żeby pociągi mogły po nich przejechać i je spłaszczyć. Zapewne chodziło tylko o to. Może wszyscy kładli tam jednocentówki, skoro spędzali tyle czasu w tym domu, a w pobliżu biegły tory.

– Co nie zmienia faktu, że taką monetę znaleziono również przy Gormanie.

Rory się zamyśliła i zaczęła okręcać butelkę portera. W końcu popatrzyła na Lane'a.

– Wrzucmy to do bazy danych MAP. Zobaczymy, czy algorytm złapie jakiś trop.

Lane skinął głową w reakcji na propozycję. Algorytm Murder Accountability Project z pewnością znajdował jeszcze bardziej dziwaczne powiązania niż spłaszczone monety.

– Jakie słowo kluczowe? – zapytał Lane. – Jednocentówki?

– Jednocentówki, spłaszczone jednocentówki, tory kolejowe.

– Tory zarzucą nas całą masą trafień. Ale wpiszę je mimo to i zobaczymy, co wyskoczy. Przekopanie się przez wszystkie informacje i zawężenie wyników wyszukiwania potrwa jednak dzień lub dwa.

Rory dokończyła piwo.

– Zastanawiam się, czy pokazanie tych monet Gormanowi wywołałoby jakąkolwiek reakcję.

Lane uniósł brwi, kiedy to usłyszał. Przesunął dłoń z tyłu wciąż zabandażowanej głowy. Umysł Rory nigdy nie odpoczywał. Bez większego wysiłku zmuszała go do wyteżonej pracy w późnych godzinach nocnych. Lane potrzebował ośmiu godzin snu i dzbanka z kawą, zanim jego neurony mogły odpalić. A teraz były otępiełe zarówno z powodu pory, jak i skutków wstrząsu.

– Ott powiedział, że Gorman nie odezwał się od momentu wyjścia ze śpiączki – powiedział. – Neurologi twierdzą, że jego umysł już się do niczego nie nadaje. EEG potwierdza, że nic tam nie ma. Ale mózg to tajemniczy narząd. Nigdy nie wiadomo, co może wywołać jego stymulację. Wciąż znam parę osób w szpitalu psychiatrycznym Grantville z czasów, kiedy pisałem pracę dyplomową. Zadzwoń do nich. Zobaczymy, co da się zrobić.

Rozdział 56

Pielęgniarka weszła do pokoju numer czterdzieści jeden i ujrzała pacjenta stojącego przy zlewie ze szczoteczką do zębów w dłoni, wpatrującego się w swoje odbicie w lustrze. Widok ten nie był w żaden sposób wyjątkowy. Jej pacjent wiedział, jak rozpocząć dane zadanie, ale gubił się gdzieś w połowie, zapomniawszy o założonym celu. Pielęgniarka zajmowała się wieloma osobami, a pacjenta spod czterdzieści jeden często widywała w podobnych okolicznościach. Czasami stał obok drzwi do łazienki, bo zapomniał, że jego pierwotnym zamysłem było skorzystanie z toalety, albo siedział przy stole z widelcem w dłoni, nie jedząc posiłku. Tego dnia stał przed lustrem i nie pamiętał, co powinien zrobić z tubką pasty.

Pielęgniarka podeszła bliżej. Każdy zasługiwał na współczucie i godność, niezależnie od tego, jak bardzo był poszkodowany. Kobieta nauczyła się podczas swojej wieloletniej pracy, że ludzki dotyk był sposobem na przeniesienie pacjentów z urazami mózgu do terażniejszości. Delikatne muśnięcie barku, dłoń położona na przedramieniu – każdy tego rodzaju gest coś ze sobą niósł. Zawsze robiła to powoli i ostrożnie, żeby nie przestraszyć pacjenta. Dzięki temu nawiązywała z nim kontakt wzrokowy, tak jak i teraz.

– Chciałeś umyć zęby, pamiętasz?

Po kilku sekundach pielęgniarka dostrzegła skinienie głową. Mimika twarzy nigdy się nie zmieniała, pozostawał jedynie obraz oderwania od rzeczywistości. Ale ruch głową był dobrym znakiem. Pielęgniarka osiągnęła tego poranka sukces. W przypadku pacjenta w takim stanie na nic więcej nie mogła liczyć. Zawsze tak było i – jak przypuszczała – zawsze tak będzie. Ten pacjent tylko przy jednej okazji wykazywał zainteresowanie życiem w szpitalu, a następowało to w trakcie wizyty gościa. Odwiedzał go raz w tygodniu, jak w zegarku.

Pielęgniarka obserwowała, jak szczoteczka zaczyna się powoli poruszać. Mężczyzna chybił, więc skierowała ją w stronę ust i pomogła mu wykonać kilka

ruchów w górę i w dół.

Rozdział 57

Było późne czwartkowe popołudnie, dzień po tym, kiedy Rory znalazła wzmianki o jednocentówkach łączących ze sobą wszystkich uczniów z Westmont, którzy popełnili samobójstwo. Fakt, że Charles Gorman również miał jedną z nich przy sobie, stanowił kolejny element układanki. Lane rozpoczął pracę z bazą danych MAP, wprowadzając słowa kluczowe – jednocentówki, spłaszczone jednocentówki, tory kolejowe – i szukając powiązań z innymi morderstwami. Wiedział, że wyniki będą liczne i że ich posortowanie zabierze algorytmowi trochę czasu. Kiedy wraz z Rory czekali na wstępne rezultaty, skoncentrowali uwagę na laptopie Lane'a, który stał otwarty przed nimi w pokoju dziennym w domku. Z portu USB sterczał pendrive, a na ekranie odtwarzał się film, który nagrali technicy kryminalni po przybyciu do domu nauczycielskiego w nocy, kiedy zamordowano Andrew Grossa i Tannera Landinga.

Prawidłowy proces analizy miejsca przestępstwa, w szczególności morderstwa, wymagał zastosowania ustalonej sekwencji czynności. Kiedy pierwsi funkcjonariusze obecni na miejscu uznali, że doszło do zabójstwa, wezwali swoich przełożonych, żeby utworzyć łańcuch dowodzenia. Wysłano detektywów, zespół techników kryminalnych i zaczęto rejestrować każdą osobę wchodzącą na miejsce przestępstwa. Pierwszą grupą, która postawiła tam stopę, nie licząc wezwanych na samym początku funkcjonariuszy, byli ludzie z wydziału dochodzeniowego. Ich zadanie polegało na udokumentowaniu wszystkiego za pomocą zdjęć i nagrań. Dopiero później mogła wkroczyć ekipa badająca odciski stóp, palców i przypadkowe próbki DNA. W pudle z dowodami, które Henry Ott przekazał Rory, znajdował się pendrive ze zdjęciami i nagraniami. Rory i Lane patrzyli teraz, jak na ekranie laptopa materializuje się opuszczony dom nauczycielski. W dolnej części widniała data: sobota, 22 czerwca 2019, 0:55.

Reflektory oświetlały fragment ciemnego lasu. Nagranie zrealizowane przez jednego z techników podskakiwało, kiedy kamera przenosiła się z za domu i po chwili znikała w jego wnętrzu. Tam również zapewniono jasne oświetlenie za pomocą reflektorów, które przeświectliły na chwilę obraz, kiedy technik znalazł się w środku.

Gdy kamera dostosowała kontrast, Rory i Lane zobaczyli wąski korytarz prowadzący do kuchni. Lane zatrzymał odtwarzanie i wskazał na monitor.

– Dlaczego wszystkie szafki są pootwierane?

– Ott opowiedział mi o grze zwanej Człowiek z lustra. Uczniowie grali w jakąś jej wersję tamtej nocy. Duchy, które przychodzą wraz z tą mityczną postacią, znajdują bezpieczną przystań we wszystkim, co pozostaje zamknięte. W kredensach, szufladach, szafach i pokojach. Otwarcie wszystkiego uniemożliwia im pozostanie na miejscu i rzucenie klątwy.

– Super – mruknął Lane. – To dzisiaj nie ma już zabawy w butelkę?

– Och – rzuciła Rory, wznawiając odtwarzanie. – Zabawę w butelkę te dzieciaki miały już dawno za sobą.

Na ekranie zobaczyli całą kuchnię i parter. Wszystkie drzwi były pootwierane. W końcu technik udał się z kamerą do biblioteki. Rory weszła tam dwa dni wcześniej z detektywem Ottem. Przed stojącym lustrem zobaczyli rząd świec. Na podłodze leżały rozsypane zapalniczki, a na pierwszym planie spoczywało ciało Andrew Grossa. Stężenie pośmiertne jeszcze nie wystąpiło i zwłoki wydawały się pozbawione powietrza, jakby pełne niegdyś kończyny się opróżniły. Ciało otaczała ciemna i kleista kałuża krwi o gładkich krawędziach. W lustrze odbijał się technik z kamerą, który zaczął krążyć po pomieszczeniu, tworząc obraz dziwnego zderzenia żywych i martwych. Powierzchnia lustro upstrzona była plamkami krwi, podobnie jak ściana z tyłu. W pomieszczeniu nic więcej nie było, a uwagę zwracał czerwony bluszcz, który wchodził przez uchylone okno. Wiśniowe listki trzepotały na wietrze wpadającym z zewnątrz. Kamera oddaliła się od okna i skierowała na drzwi. Na podłodze, w przejściu, widoczne były smugi krwi w miejscu, gdzie wleczono ciało Tannera Landinga.

Nastąpiło cięcie, a po chwili Rory i Lane zobaczyli ujęcie z zewnątrz. Wysoko ustawione i skierowane w dół reflektory jasno oświetlały całą okolicę. Słychać było wyraźnie szum generatora zasilającego policyjne światła. Kiedy kamera przesunęła się wzdłuż trawnika od frontu, udokumentowała ścieżkę krwi i wgłębienia w ziemi spowodowane ciężarem ciała Landinga. Technik

przesunął ją powoli od trawnika do furtki z kutego żelaza. Rory podświadomie odchyliła się do tyłu, kiedy na ekranie pojawiło się ciało chłopaka. Przypomniała sobie, że Ott określił tę scenę jako rzeź, i kiedy ujrzała szpic przebijający podbródek Tannera i sterczący z jego czoła, nie potrafiła znaleźć żadnego lepszego określenia.

Zatrzymała wideo i nie spuszczać wzroku z laptopa, zwróciła się do Lane'a:

– Żadnych śladów walki wewnątrz. Brak obrażeń wskazujących na obronę u obu ofiar. Założyliśmy, że morderca zaczął się za ich plecami, ale może to nieprawda. Może morderca był jednym z nich. Może był z nimi.

– Inny uczeń?

– Możliwe. W takim scenariuszu ci dwaj zostali zaskoczeni nie dlatego, że ktoś się na nich zaczął, ale dlatego, że nie mieli powodów, by uważać, że ktokolwiek chce zrobić im krzywdę.

Lane pochylił się do przodu i cofnął nagranie do momentu, kiedy operator kamery był wewnątrz.

– Popatrz na to lustro – powiedział. – Jest upačkane krwią. To oznacza, że morderca zaatakował od tyłu, a krew trysnęła do przodu. Obu dzieciakom podeznięto gardła. Aby krew mogła zostawić taki wzór na szkle, obaj musieli stać zwrócenie w stronę lustra, kiedy zostali zaatakowani.

Rory skinęła głową.

– Z tego, co mówił detektyw Ott i co znalazłam w internecie, ta gra wymaga spojrzenia w lustro i wypowiedzenia kilka razy słów „Człowiek z lustra”. Może właśnie to robili, kiedy ich zaatakowano.

Lane pokiwał głową i przesunął się do przodu na sofie.

– A więc morderca albo przyczał się gdzieś w ukryciu, albo jest z nimi, kiedy wchodzi do pomieszczenia i stają przed lustrem. Rozcina im gardła, zostawia jednego na podłodze, żeby się wykrwawił, a drugiego wlecze na zewnątrz, żeby zawiesić go na furtce. Napastnik albo demonstrował swoją dominację, albo dokonywał aktu zemsty. Wyniesienie siedemdziesięciodwukilowego nastolatka z domu i zawieszenie go na ogrodzeniu wymaga jednak czasu. Przynajmniej pięciu minut po ataku. To sugeruje, że oprawca znał okolicę i wcale się nie spieszył. Był spokojny, zdecydowanie zorganizowany. Działał z premedytacją. To się nie wydarzyło w sposób spontaniczny. To, co widzę na ekranie, nie pasuje mi do koncepcji załamania psychicznego Charlesa Gormana.

Te zabójstwa były zbyt dobrze zaplanowane i skomplikowane, żeby rzucić to na zwyczajną utratę panowania nad sobą.

Lane złapał się za zabandażowaną głowę.

– Utrata panowania może sprawić, że ktoś zabija w sposób nieoczekiwany – ciągnął. – Ale rytualne zawieszenie dzieciaka na ogrodzeniu to coś zupełnie innego. To nie była nagła reakcja. Wszystko zostało zaplanowane i miało charakter celowy. Niezależnie od tego, jak bardzo te dzieciaki dokuczały Gormanowi, jego profil nie pasuje do kogoś, kto utraciłby nad sobą kontrolę. Nie pasuje do kogoś, kto zabiłby w taki sposób. Ani do kogoś, kto mógłby zabić w ogóle.

– Ale Gorman opisał tę scenę dokładnie tak, jak widać na wideo – zaoponowała Rory. – Przedstawił w szczegółach opisy podejrziętych gardeł i nabicia na furtkę. To pasuje do twojego profilu przestępcy mordującego z premedytacją i teorii, że wszystko zostało zaplanowane z wyprzedzeniem. – Rory popatrzyła znów na monitor i w końcu odwróciła się do Lane'a. – Uczniowie z Westmont spotykają się ze swoimi doradcami raz w tygodniu. Czytałam raporty medyczne Bridget Matthews i Danielle Landry i zauważyłam, że podczas sesji terapeutycznych zachęcano je do zapisywania swoich przemyśleń w dziennikach. Miały notować tam swoje obawy, niepokoje, jak również pewne prywatne przemyślenia.

– To powszechnie stosowane narzędzie w psychoterapii.

– Może list Gormana był właśnie czymś takim – jego wewnętrzną kontemplacją przeniesioną na papier w ramach terapii.

Lane przechylił nieco głowę na bok.

– Ale to by oznaczało...

– Ktoś inny mógł przeczytać tekst Gormana i zorganizować wszystko w sposób zgodny z opisem.

Lane się wyprostował, zainteresowany hipotezą Rory.

– Zasady poufności między pacjentem i lekarzem mówią o tym, że dostęp do dziennika powinna mieć tylko jedna osoba.

– Zgadza się.

– Czy jego akta wskazują, kto prowadził terapię?

– Tak.

– Czy podano w nich nazwisko?

Rory skinęła głową.

– Gabriella Hanover.

Szkoła Westmont

Lato 2019 roku

Rozdział 58

Zaczekali do północy i spotkali się pod gotyckimi kolumnami szkolnej biblioteki. Skierowane w górę reflektory punktowe podświetlały motto szkoły: *Veniam solum, relinquatis et*. Dziś z całą pewnością zjawili się tu wspólnie, choć nieco niechętnie. Najnowsze wyzwanie postawione przez Andrew Grossa wymagało od nich zakradnięcia się do domu pana Gormana i kradzieży jednego osobistego przedmiotu. Podczas ostatniej wyprawy do domu nauczycielskiego, kiedy pili piwo Miller Lite, Andrew chwalił się tym etapem wyzwań z poprzedniego roku, kiedy będąc nowicjuszem, wraz z grupą kolegów i koleżanek ukradł wszystkie staniki z szuflady doktor Rasmussen. Wieści o kradzieży szybko się rozeszły, pojawiły się też pogłoski w kampusie, że odpowiadały za to osoby zaangażowane w wyzwania Człowieka z lustra. Kilka dni później staniki doktor Rasmussen zawisły na sznurze, tuż obok motta szkoły na budynku biblioteki. Tegoroczna grupa nowicjuszy miała niewielkie szanse na przebicie wyczynu Andrew, a żadne z nich nie miało ochoty nawet się zbliżyć do szuflady z bielizną pana Gormana. Tanner był jednak nieustępliwy i oświadczył, że muszą ukraść coś, co przyciągnie uwagę starszych uczniów i pozwoli im zyskać u nich respekt.

Klucz, który dostali od Andrew, był ponoć kluczem uniwersalnym, pasującym do tylnych drzwi wszystkich domów w części nauczycielskiej. Czy to prawda, tego mieli się dopiero dowiedzieć. Gwen zauważyła, że po kradzieży staników doktor Rasmussen rok wcześniej zamki do wszystkich domów nauczycieli mogły zostać wymienione. Stwierdziła również, że po incydencie z pułapką na myszy kolejny żart nie ujdzie im już na sucho. Baczenie się im przyglądano, a Tannera i Andrew wezwano na rozmowę z Hanover i Casperem, którzy ostrzegli ich, że nie będą tolerować takiego braku poszanowania, jak miało to miejsce poprzedniego lata. Przypomniano im, co mówi kodeks szkoły Westmont. Łamanie jego postanowień nie wchodziło w rachubę.

Mimo to znajdowali się teraz w tym miejscu, pod osłoną ciemności, gotowi przemknąć się do części nauczycielskiej. Każde z nich miało swój własny powód, dla którego się na to zdecydowało. Desperacja i determinacja Tannera, żeby się wpasować i zostać przyjętym, mogła popchnąć go do wszystkiego, byle by zrobić wrażenie na innych. Gwen i pozostali pragnęli stać się częścią elitarnej grupy. Nikt się z tym argumentem nie sprzeczał. Kierowało nimi jednak coś jeszcze. Strach. Od kiedy znaleźli się w szkole jako przerażeni pierwszoklasiści, gonili za mitem Człowieka z lustra. Robił to niemal każdy z uczniów. Ta legenda była w kampusie tak wszechobecna, że jedynie garstce uczniów udało się uciec pokusie spotkania z nią. Teraz cała szóstka miała okazję, by zostać jej częścią. Częścią prawdziwej legendy, a nie taniej repliki, którą inni uczniowie próbowali tworzyć. Dwudziesty pierwszy czerwca był realnym terminem. Żeby jednak móc skorzystać z przywilejów wynikających z ukończenia wyzwania Człowieka z lustra, musieli najpierw zaliczyć serię wstępnych zadań. Wierzyli w ten mit wystarczająco mocno, by podążać za Tannerem przez pogrążony w mroku kampus.

Żadne z nich nie wiedziało, jak bardzo wpłynie to na ich dalsze życie.

Rozdział 59

Plan zakładał, że Tanner wejdzie do domu pana Gormana tylnymi drzwiami i zabierze pierwszą rzecz, jaką znajdzie w kuchni. Nie miało znaczenia, co to będzie, liczyło się tylko to, żeby przedmiot stanowił własność Charlesa Gormana. Następnie mieli szybko zamknąć za sobą drzwi na klucz i zniknąć w mroku po zakończeniu zadania poprzedzającego letnie przesilenie.

Trzymając się cienia, dotarli do części nauczycielskiej, gdzie świeciło się tylko kilka świateł przed drzwiami frontowymi domów. Pozostałe budynki były ciemne i ciche. Podeszli do numeru czternaście i przeszli na tyły. Każde z nich poruszało się cicho, ale wspólnie odgłos ich kroków przypominał przemarsz brygady wojska. Kiedy znaleźli się za budynkiem, zauważyli, że w jednym z okien pana Gormana pali się światło.

– Cholera – mruknął Tanner. – Nie śpi?

– Odwołajmy akcję – zasugerowała Gwen.

– Nie ma mowy. Nie możemy spieprzyć zadania.

– Jeśli nas złapią, zostaniemy wydaleny ze szkoły. Hanover i Casper już mają na nas oko.

– Możesz w takim razie sobie pójść – oznajmił Tanner. – Ale Bridget i ja działamy dalej. – Rozejrzył się po pozostałych. – Wchodźcie w to czy nie?

– Idź, sprawdź, co się tam dzieje – zasugerował Gavin. – Jeśli nie śpi, nie damy rady wejść. Musimy wrócić innej nocy.

Tanner odwrócił się i na kuckach podszedł do tylnego okna. Jego sylwetka widoczna była na tle ściany, aż znalazł się przy samej szybie. Ostrożnie się podniósł i zajrzał do środka. Pozostali patrzyli na niego w napięciu i wstrzymywali oddechy. Wszyscy tkwili w blokach startowych, gotowi rzucić się do ucieczki, gdyby tylko otworzyły się tylne drzwi lub poruszyła się firanka. Zobaczyli jednak, że Tanner przywołuje ich niecierpliwym gestem ręki.

– Chodźcie tutaj! – syknął. – Dalej!

Gwen i Gavin wymienili spojrzenia i z resztą grupy ruszyli w kierunku okna. Tanner chichotał ze świstem, trzymając się za pierś, jakby doznał ataku serca. Wskazał szybę.

– Pan G. daje czadu.

Gwen i Gavin zerknęli do środka, tak że zobaczyli wyraźnie wnętrze domu. Theo, Danielle i Bridget zrobili to samo. Ich twarze rozświetlił żółty, sącący się ze środka blask, który pochodził od lampki nocnej. Na łóżku zobaczyli nagie ciało Charlesa Gormana, który energicznie poruszał biodrami. Wokół jego pasa owinięte były smukłe nogi. Uczniowie wpatrywali się w tyłek nauczyciela chemii, który na przemian zaciskał się i rozluźniał.

– Jasna cholera – rzucił Gavin, odsuwając się błyskawicznie od okna. Pozostali zrobili to samo, dławiąc śmiech.

– Zabierajmy się stąd – powiedziała Gwen. – Dzisiejsza noc odpada.

– To jest zbyt dobre, żeby to tak zostawić – uznał Tanner i wyciągnął telefon.

Włączył aparat, przełączył go na nagrywanie filmów i zaczął rejestrować akcję przez okno. W pewnym momencie pan Gorman ułożył się, jakby wykonywał pompkę, odwrócił głowę na bok i na twarzy wymalowało mu się uczucie ekstazy. Po raz ostatni uderzył biodrami i jego ciało zwiotczało. Tanner próbował trzymać telefon nieruchomo, ale jego śmiech sprawiał, że obraz drżał.

Pozostali również wrócili do okna, uznawszy, że nie da się tego nie oglądać. Sprawiali wrażenie gapiów patrzących na rozbity samochód. Kiedy pan Gorman odwrócił się do tego stopnia, że widoczna była jego twarz, wszyscy schowali głowy za okienną ramę. Tanner trzymał telefon jeszcze przez kilka sekund.

– Idziemy – nakazała Gwen.

– Chwila – odparł Tanner. W końcu odsunął telefon od okna, wyłączył aparat i schował urządzenie do kieszeni.

Z tej samej kieszeni wyjął syrenę na sprężone powietrze, po czym wypełził spod okna i podszedł do tylnego wejścia. Pozostali patrzyli, wciąż wstrząśnięci tym, co zobaczyli, i nie do końca pewni zamiarów Tannera. Sprawa się wyjaśniła, kiedy do ich uszu dotarł cichy pisk otwieranych drzwi. Tanner znikł wewnątrz, po chwili jednak wyłonił się ponownie, trzymając w ręce oprawiony w skórę dziennik.

– Pierwsze, co wymacałem – powiedział, dysząc ciężko z powodu uderzenia adrenaliny.

– Odbiło ci zupełnie – mruknął Gavin i chwycił Gwen za rękę. – Chodźmy już stąd.

Wszyscy odwrócili się od otwartych wciąż drzwi i zaczęli się ostrożnie oddalać. Wtedy rozległ się odgłos syreny. Trzy długie, przeraźliwe sygnały rozdarły ciszę w środku nocy.

– Lepiej uciekajcie, frajerzy! – zawołał Tanner i ich wyprzedził. Drzwi domu pana Gormana wciąż pozostawały otwarte.

Pozostali, z bijącymi mocno sercami, zerwali się do biegu.

Rozdział 60

Charles Gorman dyszał ciężko, kiedy opadł na leżącą pod nim kobietę. Poczuł, jak jej paznokcie przesuwają się po jego plecach.

– Zostań dzisiaj – wyszeptał jej do ucha.

– Wiesz, że nie mogę – odparła.

Nigdy nie naciskał, zawsze tylko pytał. Oboje milczeli. Kiedy leżeli spleceni na łóżku, słyhać było tylko ich oddechy. Po chwili ciszę rozdarł przerażający dźwięk. Potem następny i jeszcze jeden. Trzy niezwykle głośne sygnały, które przestraszyły ich oboje.

– Co jest, do cholery! – krzyknął Gorman. Wytoczył się z łóżka i upadł na podłogę, jakby siła hałasu fizycznie go uniosła i rzuciła nim o ziemię.

Kobieta szybko naciągnęła pościel na nagie ciało. Charles usłyszał śmiechy i tupot stóp. Założył bieliznę, wyskoczył z sypialni i przebiegł korytarzem do kuchni. Tylne drzwi były szeroko otwarte. Zapalił światło i rozejrzał się dookoła. W domu nie było nikogo. Wybiegł na zewnątrz i popatrzył wzdłuż ścieżki, która biegła za rzędem domów. Tupot stóp stopniowo zanikał gdzieś po lewej stronie. Zrobił kilka kroków w tamtym kierunku i znów zaczął nasłuchiwać, ale usłyszał już tylko granie świerszczy. Minęła kolejna chwila, po której nabrał ochoty, by rzucić się biegiem w mrok i dogonić intruzów. Był przekonany, że zdoła ich dopaść. Zorientował się szybko, że biegną w stronę akademików, ale miał na sobie jedynie bieliznę. Zawrócił i wszedł z powrotem do domu. W sypialni Gabriella Hanover stała już ubrana. Widać było, że jest wstrząśnięta.

– Cholerne dzieciaki – warknął Gorman. – Wydaje się im, że latem rządzą tym miejscem.

Dłoń Gabrielli drżała, kiedy przesunęła nią po ustach i policzku.

– Kto to był?

– Nie widziałem ich, ale to musiał być Andrew Gross albo Tanner Landing.

– Charles, myślisz, że nas widzieli?

– Jakim cudem mieliby nas widzieć?

– Byli w środku, Charles! Myślisz, że nas zobaczyli?

– Nie. To tylko głupia zabawa. Otworzyć drzwi, by użyć syreny na sprężone powietrze, czy cokolwiek to było. Nie mieliby dość jaj, żeby wejść do mojego domu, gówniarze cholerni.

– Jeśli ktoś się o nas dowie, będziemy mieli mnóstwo problemów. Tego typu sprawy są ujęte w regulaminie.

– Nikt się nie dowie, Gabriello. Nikt niczego nie widział. To tylko dzieciaki robiące głupie żarty.

– Jestem twoją przełożoną, Charles, i nie zamierzam tej sprawy lekceważyć. Jeśli ktoś się o tym dowiedział, rada szkoły natychmiast mnie zwolni. Nie wspominając o tym, że sypiam z jednym z moich pacjentów. Mogłabym stracić licencję, Charles!

Podszedł do niej, próbując ją pocieszyć, ale go odepchnęła.

– Muszę iść – rzuciła. – Jutro pogadamy.

Gabriella Hanover wyszła pospiesznie tylnymi drzwiami. Gorman stał w kuchni i patrzył, jak się oddala. W końcu podszedł do drzwi i zatrzasnął je z hukiem.

Część 7

Sierpień 2020 roku

Rozdział 61

Rory obudziła się wczesnym rankiem, kiedy w oknach widoczna była już matowa, miedziana poświata zbliżającego się wschodu słońca. Słyszała wciąż oddychającego z pewnym trudem Lane'a, lekki bulgot, kiedy wypuszczał powietrze – nieustępujący jeszcze objaw zatrucia dymem. Zerknęła na zegarek przy łóżku. Piąta dwanaście. Rory zawsze spała bardzo czujnie i budził ją nawet najłżejszy szmer. Kiedy już się wybudziła, często miewała problemy z ponownym zaśnięciem. Otwarcie oczu przypominało u niej włączenie komputera. Jej umysł się uruchamiał i zaczynał przetwarzać dane, gotów do pracy. Działo się tak szczególnie wtedy, gdy pracowała nad jakąś sprawą.

Wstała z łóżka i przeszła na korytarz w szortach i koszulce na ramiączkach. Chwilę później założyła zapinaną, flanelową koszulę. Na parterze domku wciąż pełzały cienie. Zeszła po schodach, wyjęła z lodówki dietetyczną colę i przeszła do pracowni. Usiadła przy biurku i włączyła lampkę. Armand Marseille Kiddiejoy spoczywała w swoim pudełku. Rory wyjęła ją, żeby przyjrzeć się zakończonej wcześniej pracy nad uchem i policzkiem. Wygładziła wcześniej porcelanę i powłokę epoksydową, dzięki czemu usunęła ślady pęknięć. Tego ranka wróciła do pracy, usuwając niedopasowane kolory sekretną mieszaniną wódki i płynu do naczyń, co było pomysłem ciotki Greta. Kiedy skończyła, zabrała się do szlifowania porcelany. Była to drobiazgowa i uciążliwa praca, wymagająca stosowania papieru ściernego o coraz drobniejszym ziarnie – ostatniego, którego użyła, praktycznie nie czuła pod opuszkami palców. W końcu naprawiona strona wyglądała identycznie z oryginalną. Po dwóch godzinach Rory zamknęła oczy i przesunęła palcami po twarzyczce lalki w poszukiwaniu niedoskonałości, których mogła nie dostrzec. Nie znalazła żadnych. Przystąpiła więc do barwienia porcelany, by nadać jej oryginalny kolor. Rory przyjrzała się wcześniej zdjęciom uzyskanym na aukcji i w internecie. Niemiecki katalog lalek był otwarty i spoczywał na sztaludze obok biurka. Bieżąca strona była poznaczona zakreślaczem i pokazywała lalkę

Armand Marseille Kiddiejoy w naturalnej formie z policzkami o barwie różowego wina na tle białej skóry.

Zaczęła od najszerszego pędzla Foldger-Gruden, którego włosie miało nie więcej niż centymetr szerokości. Użyła go do nałożenia pierwszej warstwy podkładu, który zabarwił twarzyczkę na migdałową żółć. Następnie użyła pistoletu do podgrzewania i niebieskiego ultrafioletowego światła. Nałożyła kolejną warstwę podkładu. Zmieniając kolory i susząc, Rory szybkimi ruchami wsuwała pędzle do przedniej kieszeni flanelowej koszuli, niewiele przy tym myśląc, całkowicie skoncentrowana na swojej pracy.

Po dwóch godzinach uświadomiła sobie, że bołą ją plecy. Wstała i rozciągnęła mięśnie, po czym odłożyła lalkę na bok. Prawie skończyła pracę. Pozostało jeszcze dodanie paru detali w postaci rzęs, zabarwienie policzków, dodanie cieni wokół nozdrzy i konturu ust. Mózg Rory błyskawicznie pokazał wszystkie staranne pociągnięcia pędzlami, które będą do tego wymagane – tysiące drobnych ruchów, jeden po drugim. Chciała jak najszybciej zabrać się do końcowych prac. Był to prawdopodobnie jej ulubiony etap całego procesu odbudowy. Konieczne okazywało się jednak dobre wysuszenie porcelany, zanim materiał będzie gotów do przyjęcia delikatnych pastelii.

Zabrała z lodówki drugą puszkę coli i usłyszała odgłos przesuwanego krzesła na piętrze. Wiedziała, że Lane wrócił do komputera i zaczął wprowadzać nowe słowa kluczowe do bazy danych MAP, szukając śladów związanych z samobójstwami i spłaszczonymi na torach monetami. Lane poświęcił większą część poprzedniego popołudnia, pracując nad odkryciem Rory w postaci jednocentówki. Katalogował każde trafienie wyplute przez bazę danych i próbował znaleźć w tym jakiś sens. Późnym wieczorem oznajmił, że natrafił na obiecujący trop. Rory chciała usłyszeć, co takiego znalazł, ale podobnie jak ona sama, Lane również miał swoje nawyki. Jednym z nich była potrzeba izolacji, kiedy znajdował się w samym środku projektu. Zamierzała zapewnić mu przestrzeń, dopóki nie będzie gotów podzielić się z nią odkryciami.

Wróciła do swojego biurka. Dochodziła dziesiąta, kiedy przeniosła spojrzenie na pudło z dowodami. Obok zobaczyła korkową tablicę, na której znajdowały się twarze uczniów z Westmont i oskarżonego o ich zamordowanie nauczyciela. Otworzyła teczkę Theo Comptona. Już przeczytała jego akta, zrobiła to tego samego wieczoru, kiedy detektyw Ott dostarczył jej dokumenty. Teraz ponownie zabrała się do lektury. Jej mózg zarejestrował wszystko już za

pierwszym razem, ale gdzieś głęboko kiełkowała w niej pewna myśl – podświadoma, taka, której nie potrafiła od razu zidentyfikować bądź rozpoznać. Rory wiedziała jedynie, że ten ukryty przebłysk trzeba zwabić na powierzchnię. Gdyby go zignorowała, gdyby nie zaczęła się starać i szukać jego znaczenia, jakaś część jej mózgu już na stałe byłaby zajęta analizowaniem tego, co przeoczyła. Analiza zmieniłaby się w obsesję. Obsesja – jeśli nie zadbałaby o nią odpowiednio – przerodziłaby się w przymus. W codziennym życiu Rory walczyła z tymi problemami w swojej głowie. W przypadku rutynowych zajęć tego typu myślenie było chorobą wystarczająco silną, żeby zrujnować jej życie. Podczas pracy Rory wiedziała jednak, jak okiełznać tę chorobę i wszystkie jej osobliwości, znajdując to, czego nie dostrzegli inni.

Wyciągnęła zdjęcia z teczki Theo i ułożyła je na biurku. Były to duże fotografie przedstawiające tory kolejowe, ciało Theo Comptona, odciski obuwia i najbliższą okolicę. Kiedy oglądała to wszystko po raz pierwszy, skupiona była na spłaszczonej i wydłużonej jednocentówce znalezionej w kieszeni chłopaka po jego samobójstwie. Ale było coś jeszcze. Coś, co dostrzegła jej podświadomość. Teraz pracowała nad odkryciem, co to tak naprawdę było.

Zdjęcia zrobili technicy medycyny sądowej z biura koronera w hrabstwie LaPorte tuż po tym, kiedy Mack Carter zadzwonił na policję i kiedy na miejsce przybyli sanitariusze, by próbować ratować ofiarę. Wkrótce jednak ciało Comptona przemieszczono i stwierdzono zgon. Ludzie z biura koronera zjawili się w dalszej kolejności, by udokumentować scenę. Choć Rory miała teraz do dyspozycji zdjęcia, zapamiętała inny obraz Theo Comptona. Migawka, którą miała w pamięci, zapisana została jeszcze przed przyjazdem techników i koronera na miejsce zdarzenia. Pochodziła ona z dnia, w którym Mack Carter odnalazł ciało Theo. Istniał zapis tego momentu i Rory go widziała. Niestabilne nagranie wykonane przez Ryder Hillier komórką było ziarniste, miało kiepską jakość, a ciemną noc przebijało jedynie słabe światelko latarki w telefonie. Choć materiał był amatorski i miał bardzo kiepską jakość, Rory przypomniała sobie pewien detal. Cokolwiek to było, zapisało się w jej pamięci, gdzie czekało uśpione i nietknięte. Jednak teraz, kiedy patrzyła na zdjęcia z miejsca zdarzenia, tamten obraz się uaktywnił. Dręczył ją jakiś drobny szczegół, sprawiał, że synapsy w jej mózgu płonęły. Rory próbowała opanować ten obraz i dostrzec ów detal, ale wciąż nie potrafiła do niego dotrzeć.

Włączyła laptopa i otworzyła blog Ryder Hillier, mając nadzieję, że zobaczy nagranie. Dostęp do niego został wyłączony. Rory sprawdziła kanał dziennikarki na YouTube, ale tam również wszystko usunięto. Przeszukała internet, niestety każda strona, która kusila zakazanym materiałem, okazywała się ślepą uliczką. „To nagranie nie jest już dostępne”, Rory widziała ten komunikat po kliknięciu każdego łącza. Wideo przepadło.

Wyprostowała się na krześle. Na filmiku było coś, co nie pasowało do zdjęć, na które teraz patrzyła. Zamknęła oczy i spróbowała uruchomić zwój z informacjami w mózgu, cofając się do momentu, w którym obejrzała nagranie. Choć bardzo się starała, nie udało się jej jednak wywołać obrazu. Wiedziała jedynie tyle, że wiąże się on z zakwestionowaniem podstawowego założenia w tej sprawie.

A co, jeśli uczniowie z Westmont nie popełniali samobójstw? Może zostali po prostu zamordowani?

Rory wstała, wzięła plecak, po czym odpięła zamek przedniej komory i wyjęła wizytówkę, którą Ryder Hillier dała jej podczas ich spotkania w szpitalu. Odblokowała komórkę i wybrała numer.

Rozdział 62

Ryder Hillier siedziała naprzeciw matki Theo Comptona przy kuchennym stole. W piątkowy rano poświęciła cztery godziny na pokonanie trasy dzielącej ją od Cincinnati, a teraz, po dziesiątej, przyjęła propozycję zaparzenia kawy przez panią Compton. Z kubka, który kobieta postawiła przed nią na blacie, unosiła się para.

– Dziękuję, że przyjechała pani z tak daleka – powiedziała pani Compton.

– Nie ma sprawy – odparła Ryder. – To ja dziękuję za zaproszenie. Nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć pani historię, ale chciałabym jeszcze raz przeprosić za umieszczenie tamtego nagrania w internecie. Proszę mi wierzyć, naprawdę tego żałuję.

– Dziękuję za te słowa, ale niezależnie od tego, czy opublikowała pani to nagranie, czy nie, mój syn już nie wróci. Proszę mi powiedzieć – rzekła pani Compton, siadając przy stole – skąd pani wiedziała, że Theo będzie w domu nauczycielskim tamtej nocy?

Ryder przyłożyła dłonie do gorącego kubka, żeby je czymś zająć. Wciąż czuła się niepewnie, siedząc w kuchni Comptonów – po pierwsze dlatego, że Paige Compton wytoczyła jej proces, a po drugie dlatego, że jeśli jej redaktor naczelny dowie się o tej wizycie, bez wahania wyrzuci ją z pracy.

– Theo zostawił wiadomość na stronie z podcastem Macka Cartera – wyjaśniła. – Napisał w niej, że tej nocy zamierza wybrać się do tego domu.

– W jakim celu?

– Kiedy czytałam tę wiadomość, nie miałam pojęcia.

– Jak brzmiała jej treść?

– Czy policja z panią o tym nie rozmawiała?

– Nie. W ogóle niewiele mówili. Poinformowali mnie tylko, że Theo odebrał sobie życie, ale nie mieliśmy z mężem okazji zadać jakichkolwiek pytań. A w związku z tym, że mieszkamy tak daleko, możemy jedynie nagrywać się na sekretarkę z nadzieją, że ktoś oddzwoni.

– Chciałaby pani zobaczyć wiadomość, którą napisał Theo? – zapytała Ryder.
– Mogę otworzyć ją na telefonie.

Oczy pani Compton wypełniły się łzami. Skinęła głową.

Ryder weszła na stronę *Domu samobójców*. Od emisji ostatniego odcinka minęły już dwa tygodnie i choć Mack Carter zginął, nie miała wątpliwości, że jego słuchacze mają nadzieję na kolejne epizody. Przewinęła forum, aż znalazła tajemniczą wiadomość od Theo.

– Mam. Napisał tak: „MC, 13:3:5. Dzisiaj. Powiem prawdę. A potem niech się dzieje, co chce. Jestem gotów ponieść konsekwencje”.

Pani Compton chwyciła telefon, kiedy Ryder jej go podała.

– Co oznaczają te liczby? – zapytała kobieta, wpatrując się w wiadomość.

– To swego rodzaju współrzędne. Wskazówki, jak dostać się do opuszczonego domu nauczycielskiego tylną trasą.

– Skąd pani wiedziała, że chodziło właśnie o to?

– Od ubiegłorocznej tragedii szukałam informacji na temat szkoły Westmont i pisałam o niej na moim blogu. Podczas tych poszukiwań natrafiłam na zakodowany komunikat. Absolwent, z którym rozmawiałam, przedstawił mi jego znaczenie. Wyglądało na to, że większość uczniów wiedziała, co te liczby oznaczają. Wokół tego kodu narosło sporo legend, plotek i spekulacji, podobnie jak w przypadku samego domu.

– Czy to ma jakiś związek z grą, w którą grali?

Ryder wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

– Nie jestem pewna. Wiedziałam tylko, że Theo poprosił Macka Cartera o spotkanie w tym domu nauczycielskim. Dlatego tam poszłam. Podążałam za śladami. Próbowałam rozwiązać tę sprawę i chciałam być pierwszą osobą, która o tym napisze.

– Jakiego rodzaju przełomowe informacje udało się pani zgromadzić?

– Nie miałam nic pewnego. Wiedziałam, że Theo zaczął ujawniać pewne szczegóły podczas rozmowy z Mackiem Carterem, zanim w ostatniej chwili się nie rozmyślił. O pani synu była mowa w jednym z odcinków podcastu. Zawsze uważałam, że w tej sprawie chodzi o coś więcej, niż się pozornie wydaje, doszłam więc do wniosku, że pani syn coś wie. Proszę mi jednak wierzyć, nie miałam pojęcia, że znajdę Theo... w takich okolicznościach.

Pani Compton siedziała w milczeniu. W końcu oderwała wzrok od ekranu i spojrzała Ryder prosto w oczy.

– Dlaczego mój syn miałby prosić dziennikarza śledczego prowadzącego podcast na temat morderstw w szkole o spotkanie w miejscu, gdzie do nich doszło? Miałby to zrobić tylko po to, żeby odebrać sobie życie, zanim ten dziennikarz się pojawi?

Pytanie było tak bezpośrednie i zadane wprost, że Ryder zamrugła kilka razy, zanim odpowiedziała:

– Nie wiem...

– Theo nigdy nie rozmawiał ze mną o wydarzeniach z tamtej nocy, kiedy wraz z przyjaciółmi poszedł do tego domu w lesie. Nie mówił nic o zamordowanych kolegach. Powiedział tylko, że rozmowa na ten temat zbyt wiele go kosztuje, że terapeuci w szkole pomagają jemu i innym w poradzeniu sobie ze skutkami tej traumy. Nigdy go nie naciskałam. Uznałam, że przeszedł wystarczająco wiele, więc go nie dręczyłam. Ale Theo zadzwonił na dzień przed swoją śmiercią. Powiedział, że się martwi.

– Czym się martwił? – zapytała Ryder.

– Tym, co zamierzał zrobić.

Ryder pochyliła się do przodu, aż jej podbródek znalazł się w parze unoszącej się nad kubka z kawą.

– A co takiego zamierzał zrobić?

– Powiedział, że chce porozmawiać z dziennikarzem o tym, co się tam wtedy wydarzyło, i o paru rzeczach, które miały miejsce później.

– Czyli?

– Theo miał grupę przyjaciół w Westmont. Znał ich od pierwszej klasy. Powiedział, że chcieli powiedzieć o czymś policji. Wyznał, że chce się pozbyć tego ciężaru.

– O jakim ciężarze mówił?

Pani Compton pokręciła głową.

– Nie powiedział. Zadzwonił tylko po to, żeby mnie ostrzec, że przez to może się znaleźć w tarapatach. Ale dodał też, że dłużej nie może tego ukrywać. Wiedział coś o swoim nauczycielu chemii. Tym, który zabił tych chłopców.

– O panu Gormanie? Co takiego Theo wiedział?

– Jak już wspomniałam, nie powiedział mi tego. Ale chciał wyznać to komuś i zdecydował, że tym kimś będzie Mack Carter. Zanim jednak to zrobił...

Pani Compton zalała się łzami.

– Zanim to zrobił... – powiedziała łagodnie Ryder. – Theo popełnił samobójstwo?

Kobieta pokręciła głową.

– Nie mój Theo. On by się do czegoś takiego nigdy nie posunął.

Ryder nie zareagowała. Musiała się jednak upewnić, czy dobrze to zrozumiała.

– Jeśli więc Theo nie popełnił samobójstwa...

Pani Compton uniosła głowę. Łzy nadal ściekały jej po policzkach.

– Ktoś go zabił. Ktoś, komu zależało na tym, żeby Theo nie ujawnił prawdy na temat tego, co się tam wtedy wydarzyło.

Ryder przysunęła nieco bliżej krzesło, na którym siedziała.

– Rozmawiała pani o tym z policją?

– Próbowałam – odparła kobieta. – Próbowałam ich przekonać, że Theo nigdy nie odebrałby sobie życia. Nie zrobiłby czegoś takiego swojej rodzinie. Ale oni nie chcieli mnie słuchać. Uważają mnie po prostu za pogrążoną w żalu matkę, która nie może się pogodzić ze śmiercią syna. Dlatego zadzwoniłam do pani. Policja nie będzie się już więcej zastanawiać nad tym, co się przytrafiło mojemu synowi. Ale pani tak. Potrzebuję pani pomocy. Chcę, żeby dowiedziała się pani, jakie brzemie Theo chciał zrzucić ze swoich ramion, co zamierzał powiedzieć Mackowi Carterowi.

W mózgu Ryder rozpoczęła się istna galopada myśli. Sprawa szkoły Westmont nie była zamknięta. Nagle zaczęła patrzeć na nią z zupełnie nowej perspektywy, podchodzić do niej pod innym kątem, uzbrojona we wnioski, których nikt inny nie wyciągnął. Wiedziała dobrze, że odłożone na półkę sprawy bywają rozwiązywane, kiedy spojrzy na nie ktoś nowy.

– Okej – powiedziała w końcu, porządkując myśli. – Przyjrzę się temu dla pani. Zobaczę, co uda mi się znaleźć. Zrobię, co w mojej mocy, ale nie mogę obiecać, że dokonam jakiegokolwiek postępu. Myślę, że rozpocznę od przyjaciół Theo.

– Tu tkwi pewien problem – odparła pani Compton. – Zostało ich tylko dwoje i z tego, co mi wiadomo, to ich najbardziej obawiał się Theo.

Zanim Ryder zdążyła zadać następne pytanie, zadzwonił jej telefon.

Rozdział 63

Gwen Montgomery weszła po schodach w budynku biblioteki i znalazła się na piętrze. Między półkami z periodykami i encyklopediami w precyzyjnych odstępach ustawiono sześć ciężkich, drewnianych stołów. Uczniowie przychodzili tutaj w poszukiwaniu ciszy. Zostawali tu, żeby naprawdę się pouczyć, a nie rozmawiać i śmiać się, jak to miało miejsce na parterze. Podczas letniego kursu, kiedy w kampusie przebywała jedynie garstka uczniów, na górnym poziomie biblioteki zawsze było całkiem pusto. W tym właśnie miejscu Gwen spotykała się z Gavinem. Akademik uznali za zbyt niebezpieczny do tego typu rozmów.

Podeszła do rzędu okien z widokiem na bramę wjazdową do kampusu. Wielkie kolumny z cegieł połączone były ciężką, żelazną bramą, którą ceremonialnie zamykano co roku w Dniu Bramy, odcinając uczniów od świata zewnętrznego. Choć z tego miejsca nie było to widoczne, Gwen wiedziała, że okna te znajdują się dokładnie nad literami formującymi napis na gzymsie budynku, który przypominał nowym uczniom w Westmont, że odejdą stąd wspólnie. Ona zastanawiała się, czy kiedykolwiek stąd odejdzie.

– Hej – zawołał cicho Gavin za jej plecami. Drgnęła i odwróciła się od okna. – Co się dzieje?

Jego pytanie było nieco irytujące. Gavin doskonale wiedział, co się dzieje, a jego nonszalanckie zachowanie zawsze ją denerwowało, szczególnie w ciągu kilku ostatnich tygodni. Ich postępowanie wpłynęło już na życie tylu osób.

– Odnoszę wrażenie, że nie wiemy tak naprawdę, co się dzieje – odparła. – Nie wiemy, jak wiele wiedzą inni. Od kiedy zakończono emisję podcastu i zamknięto witrynę Ryder Hillier, błądzimy po omacku.

– To dobrze – rzucił Gavin i podszedł bliżej. – Pamiętasz, jak bardzo się martwiłaś, kiedy po raz pierwszy usłyszeliśmy o tym podcaście? Im mniej ludzi się tym interesuje, tym lepiej dla nas.

– Ale mieliśmy przynajmniej informacje na temat tego, co dzieje się wokół nas. Wiedzieliśmy, na jakim etapie jest dochodzenie. Teraz nie wiemy już nic.

– Wiemy, że nikt nie prosi o rozmowę z nami. W tej chwili tylko to powinno nas obchodzić. Chcesz, żeby ludzie zaczęli zadawać pytania? Chcesz się przekonać, do czego by doszło, gdyby Theo zaczął sypać?

– Chryste, Gavin! Mówisz tak, jakby dobrze się stało, że Theo odebrał sobie życie.

– To była tragedia! Ale mogłoby być dużo gorzej, gdyby Mack Carter poznał szczegóły tamtej nocy. Gwen, do cholery, tylko ja tutaj myślę rozsądnie. I dostaję za to po głowie. Gdzie byśmy teraz byli, gdybyśmy nie trzymali się razem?

Nie odpowiedziała.

– Posłuchaj – powiedział łagodniejszym tonem. – Wiem, że to trudne. Ale nie mamy już żadnego wyboru. Mieliśmy go w pewnym momencie i podjęliśmy decyzję. Teraz musimy z tym żyć i trzymać się blisko siebie. Zostaliśmy tylko my dwoje, Gwen. Tylko ty i ja.

Gwen pokiwała głową. Objęła się swoimi szczupłymi ramionami.

– Szkoda, że nie wiemy przynajmniej, jak wygląda sprawa śledztwa. Chciałabym móc się dowiedzieć, ile wiedzą oni.

– A widzisz? Brak informacji to dobra rzecz. To oznacza, że nie wiedzą nic. A dopóki trzymamy się razem, nic się w tej kwestii nie zmieni.

Podszedł do niej i ją przytulił. Gwen uświadomiła sobie jednak, że dotyk Gavina nie przynosi już takiego ukojenia jak kiedyś. Nie czuła już do niego tego, co wcześniej. Co więcej, Gavin zmienił się od ubiegłego roku tak bardzo, że ledwie go już poznawała.

Rozdział 64

Gwen otarła łzy z oczu w drodze do wyjścia z biblioteki. Napięcie związane z całą tą sytuacją zaczynało ją przerastać, a tak naprawdę już dawno przerosło. Lepszym określeniem byłoby: doprowadzało ją do obłędu. Czuła, jakby przez cały rok niosła na barkach ogromny kamień, walcząc z różnymi myślami dotyczącymi jej życia. W końcu, po czternastu miesiącach, uznała, że ma dość. Słowa Gavina już jej nie uspokajały. Nie potrafiła już wierzyć w jego zapewnienia, że czas wyleczy rany i zabierze jej poczucie winy. On był częścią tego wszystkiego, a zapewne może największym powodem jej strachu. To był jego pomysł.

Nie mogąc dłużej liczyć na Gavina, Gwen potrzebowała kogoś, kto ją poprowadzi. Rodzice niestety odpadali, przynajmniej na razie. Nie po tak długim czasie, który już upłynął. Wysiłki doktor Hanover również okazały się bezowocne. Tylko jednej osobie udało się ukoić jej ból. Tylko jedna osoba zdławiła jej poczucie winy związane z tamtą nocą. Zaufała mu i powierzyła swoje życie w jego ręce, a skoro nie miała już do kogo się zwrócić, postanowiła w końcu o wszystkim mu opowiedzieć.

Przeszła przez kampus i wkrótce znalazła się w części nauczycielskiej. Nie spojrzała na dom numer czternaście, kiedy go mijała. To przypominałoby jej jedynie, jak wiele szkód spowodowała ze swoimi przyjaciółmi tamtego wieczoru. Wieczoru, który zmienił jej życie na zawsze. Jak wielu wydarzeń można by było uniknąć, gdyby nie wybrali się wtedy do domu pana Gormana. Jak inne byłoby jej życie dzisiaj, gdyby nie nagrali tego wideo i nie poszli za Tannerem Landingiem jak stado owieczek. Gwen natychmiast wyrzuciła ze swojej głowy wszelkie myśli z kategorii „co by było, gdyby”. Przez ostatni rok doprowadzała sama siebie do szaleństwa, próbując myśleć o tym, jak by to było, gdyby mogła cofnąć czas. Tworzyła w głowie fantazje na temat cofania zegara i zyskania możliwości zmiany tamtych wydarzeń.

Kiedy dotarła do domu doktora Caspera, weszła po schodkach i zastukała do drzwi, które po chwili się otworzyły. Nie dała mu okazji, by zaprotestował w sprawie jej obecności. Nie dała mu możliwości odrzucenia jej próśb o pomoc.

– Muszę z panem porozmawiać – powiedziała, po czym ominęła go i weszła do pokoju dziennego, który pełnił funkcję jego biura. Usiadła na pluszowym fotelu z wysokim oparciem, z którego korzystała za każdym razem w trakcie ich sesji, do czasu, kiedy po morderstwach została przydzielona do doktor Hanover.

Doktor Casper podszedł dopiero po chwili. Gwen wyczuwała jego napięcie, jakby wiedział, że wypowiedziane przez nią słowa niebawem zmienią jej życie, jakby się domyślał, że dziewczyna stoi na skraju przepaści. Zobaczyła, jak zmienia się w człowieka, którym zawsze dla niej był. W doktora, który za każdym razem wiedział, jak jej pomóc. W kogoś, kto nigdy nie odwróci się do niej plecami, niezależnie od tego, jak strasznych rzeczy by się dopuściła.

– Co się stało? – zapytał w końcu doktor Casper powolnym, spokojnym głosem.

Gwen przesunęła pięścią po ustach i zagryzła kostki, zastanawiając się co powiedzieć.

– Chciałabym porozmawiać z panem o tamtej nocy, kiedy zabito Tannera i Andrew.

Doktor Casper stał w bezruchu w przejściu. Uniósł lekko brwi.

– Czy nie powiedziałaś już policji wszystkiego, co wiesz?

– Nie. Coś jeszcze wydarzyło się tamtej nocy w naszej grupie. Nikomu o tym nie powiedzieliśmy. – Popatrzyła na swoje uda, zbierając myśli, po czym ponownie spojrzała terapeutce w oczy. – Chodzi o pana Gormana. Wiemy, że to nie on zamordował Tannera i Andrew.

Doktor Casper zrobił kilka kroków w jej stronę.

– Gwen, ja nie wiem, czy jestem właściwą osobą, której powinnaś o tym mówić.

– Jest pan jedyną osobą, której mogę o tym powiedzieć.

Szkoła Westmont

Lato 2019 roku

Rozdział 65

Do godziny dziewiątej rano we wtorek – zaledwie kilka dni po wieczornej wyprawie przez kampus szkoły Westmont do domu numer czternaście – wieści o nagraniu rozeszły się lotem błyskawicy. Niemal każdy uczeń chwalił się tym, że je obejrzał. W związku z tym, że to Tanner nagrał ten materiał i w obecnej chwili znajdował się on wyłącznie w jego telefonie, chłopak wykorzystał to jako magnes, który przyciągał tak upragnioną przez niego uwagę ze strony innych. W laboratorium chemicznym uczniowie dopadli go niczym muchy, oglądając bez ustanku półpornograficzne, w dużej mierze komiczne nagranie pracującego biodrami Charlesa Gormana, zwieńczone odwróceniem przez niego głowy i wyrazem ekstazy malującym się na twarzy. Gwen nie musiała oglądać nagrania, żeby się zorientować, która jego część jest właśnie odtwarzana. Kiedy grupa wybuchła śmiechem, uświadomiła sobie, że Tanner zatrzymał kadr na twarzy pana Gormana. Zrobiło się jej żal nauczyciela. Ukradziono mu intymną część jego życia i pokazywano ją wszystkim, którzy zapragnęli spełnić swoje potrzeby w zakresie podglądactwa. A winowajcą był ktoś, kto stawiał wyżej zebranie o akceptację ze strony swoich rówieśników niż poszanowanie dla czyjejś prywatności.

Tanner stworzył nawet memy z najlepszych jego zdaniem momentów nagrania. Jeden z nich, zainspirowany nagimi pośladkami pana Gormana, wściekle podskakującymi i opadającymi w zapętlonym wycinku, nazwał „młot pneumatyczny”. Drugi, zatytułowany „Strzał Pana G.”, przedstawiał ziarniste przybliżenie twarzy nauczyciela w momencie, kiedy ten odwrócił głowę.

– Co za idiota – mruknął Gavin do Gwen. Stali przy swoim stanowisku wraz z Danielle i Theo. – On chce to komuś wysłać, a wystarczy chwila, żeby to nagranie wylądowało w mediach społecznościowych. Wtedy będziemy mieli przerąbane.

– Powiedz mu o tym – zasugerowała Gwen.

– Już to zrobiłem niedawno, kiedy zobaczyłem, że tworzy te memy. Staralem się mu wyjaśnić, że będziemy mieli cholerne problemy, jeśli nagranie wycieknie. Nic go to nie obchodziło. On uważa, że ma w garści bilet, który zaprowadzi go w objęcia Andrew Grossa, i jest przekonany, że bez trudu przebije słynne zawieszenie bielizny pani Rasmussen na budynku biblioteki.

– Dzień dobry – odezwał się pan Gorman, który właśnie wszedł do laboratorium. – Proszę o ciszę i rozejście się do swoich stanowisk. – Popatrzył na grupę stłoczoną w kącie laboratorium. – Panie Landing, co pana tak bawi?

– Nic takiego – odparł Tanner, wsuwając telefon do tylnej kieszeni spodni. Wciąż nie milkły chichoty w całej sali. – Przygotowywałem się do eksperymentu, który dziś przeprowadzamy.

– Świetnie – odparł pan Gorman. – Rozumiem zatem, że możesz wyjaśnić jego przebieg klasie?

– Tak, jasne – powiedział Tanner, ledwie kontrolując rozbawienie. Popatrzył na Andrew Grossa, który stał naprzeciw niego. – Dzisiejszy eksperyment pokaże powolne narastanie, które kończy się gwałtowną erupcją. – Cała sala wybuchła śmiechem. Pan Gorman czekał cierpliwie na ciszę. – Mam krótkie nagranie dotyczące dzisiejszego eksperymentu, które obejrzymy.

Tanner przyciemnił oświetlenie i opuścił ekran projektora. Uruchomił urządzenie i na białej powierzchni pojawił się niebieski prostokąt światła. Gwen poczuła gwałtowny ucisk w żołądku.

– O Boże – wyszeptała do Gavina. – Powiedz mi, że on tego nie robi.

Pan Gorman włączył odtwarzanie. Niebieski kolor znikł i po chwili na ekranie pojawił się mem zatytułowany „Młot pneumatyczny”. W laboratorium zapadła cisza, kiedy projektor wyświetlił nagie ciało nauczyciela chemii. Charles Gorman dopiero po krótkiej chwili zrozumiał, na co patrzy, bo zapętłone wideo odtworzyło się kilkakrotnie. W końcu wyłączył urządzenie i pospiesznie opuścił salę.

Był osiemnasty czerwca.

Rozdział 66

Charles Gorman panikował. W jakiś sposób udało się im go nagrać. Zorientował się, że wideo zostało zarejestrowane przez okno jego sypialni, ale zdążył zobaczyć tylko jeden jego fragment, zanim wyłączył projektor i pospiesznie wyszedł z laboratorium. Teraz umysł płatał mu figle, a w pamięci utkwiła ta krótkka, zapętłona sekwencja. Z każdą mijającą chwilą było coraz gorzej. W połączeniu z innym odkryciem to wystarczało, żeby postawić go na krawędzi racjonalnego zachowania.

Przeszukał każdy zakamarek swojego domu. Teraz szybkim krokiem zmierzał w stronę biura Gabrielli. Zastukał do jej drzwi znacznie mocniej, niż zamierzał. Otworzyła mu po krótkiej chwili.

– Charles – powiedziała zaskoczona, rozglądając się ponad jego ramieniem w poszukiwaniu świadków.

– Musimy pogadać.

– Jestem w samym środku spotkania...

– Chodzi o tamten wieczór.

Gabriella ściszyła głos.

– Charles, to nie jest dobry moment. Nic się w tej kwestii nie zmieniło. Musimy przez jakiś czas zająć się sobą.

– To już nie jest możliwe – powiedział, minął ją gwałtownie i wszedł do domu. Kiedy znalazł się w pokoju dziennym, zobaczył Christiana Caspera siedzącego na krześle.

– Charles, dobrze cię widzieć – powiedział terapeuta.

– Charles wpadł tylko na moment – wyjaśniła od progu Gabriella – żeby omówić...

– Zginał mój dziennik – rzucił Charles.

– Słucham?

– Mój dziennik. Nie mogę go znaleźć. Jest w nim wszystko, o czym rozmawialiśmy na sesjach.

- Chyba zostawię was samych – powiedział Christian, wstając.
- Nie – odparł Charles. – Ty też musisz się o tym dowiedzieć.
- Charles – powiedziała Gabriella. – Widzę, że jesteś zdenerwowany.

Omówmy to na osobności.

- Już mówiłem, że za późno na coś takiego. Oni nas nagrali.

Christian Casper odchrząknął niepewnie.

- Chyba was jednak przeproszę.

- Co takiego zrobili? – rzuciła z niedowierzaniem Gabriella.

Charles wziął głęboki oddech.

- Tamtego wieczoru – zerknął przelotnie na Christiana i znów spojrzał jej w oczy – kiedy... byliśmy razem. Nagrali nas przez okno.

Gabriella przyłożyła dłoń do otwartych w wyrazie przerażenia ust.

- O kim my rozmawiamy? I co takiego nagrali? – zapytał Christian.

Charles zamknął oczy.

- Gabriella i ja jesteśmy w związku. W sobotni wieczór była w moim domu. Uczniowie otworzyli tylne drzwi i użyli syreny na sprężone powietrze. Do dziś sądziłem, że to był tylko głupi żart. Włączyłem projektor na lekcji chemii i odtworzyło się nagranie nas dwojga...

- Dobry Boże – jęknęła Gabriella i opadła na krzesło.

- Proszę, powiedz mi, że zostawiłem dziennik tutaj po ostatniej sesji.

Gabriella pokręciła głową.

- Nie, tutaj go nie ma.

Charles przesunął dłonią po włosach, przełknął ślinę i również usiadł.

- Zabrali go. Te małe sukinsyny zabrały mój dziennik.

- Co w nim było? – zapytał Christian.

- Wszystko na temat mojej przeszłości. – Charles zacisnął zęby, jakby utracił kontrolę nad szczęką. – I wszystkie moje wynurzenia na temat tego, co chciałem zrobić Tannerowi Landingowi i Andrew Grossowi.

Gabriella przyłożyła dłoń do czoła, jakby sprawdzała, czy nie podskoczyła jej temperatura.

- Co ty tam napisałeś, Charles?

- Wszystko, o czym ci mówiłem! Wszystko! Tak jak mnie zachęcałeś na terapii.

- Przestań, proszę – powiedziała Gabriella. Spojrzała na Christiana. – Czy mógłbyś zostawić nas samych?

– On wie, co ja napisałem, Gabriella. Powiedziałem mu o tym, więc pogódźmy się już z tym, że nie utrzymamy niczego w tajemnicy. Jeśli te dzieciaki przeczytają mój dziennik, to już po mnie. I nie mówię o utracie pracy za porozumieniem stron. Mówię o konsekwencjach prawnych. Na miłość boską, uczniowie szkół potrafią zrujnować komuś życie, umieszczając w sieci zdjęcia broni. To, o czym ja napisałem, było... straszne. I krwawe. I bardzo szczegółowe.

– Wezwę ich na spotkanie – oznajmiła Gabriella. – Porozmawiamy z nimi.

– Tak – przyznał Christian. – To zaszło już za daleko.

– Czy naprawdę wierzysz, że przyznają się do kradzieży mojego dziennika? Albo do nagrania filmu?

Gabriella popatrzyła na niego.

– A mamy jakieś inne opcje?

– Myślę, że powinniśmy odwołać zajęcia do końca tygodnia – powiedział Christian. – Przynajmniej dopóki nie opanujemy sytuacji.

Gabriella pokiwała głową.

– Zgadzam się.

Oczy Charlesa Gormana się zaszklily, kiedy wpatrywał się gdzieś w dal. Jego twarz pozostawała jednak bez wyrazu. Wydawał się zupełnie oderwany od rzeczywistości.

Część 8

Sierpień 2020 roku

Rozdział 67

Lane wprowadził zestaw słów kluczowych: „pociąg”, „tory kolejowe”, „kolej”, „szyny”, „samobójstwa”, „monety o nieregularnych kształtach”. Algorytm zwrócił tysiące wyników – jak się okazało, infrastruktura kolejowa bywała bardzo niebezpieczna. Dysponując listą ciągnącą się przez dziesiątki stron, Lane potrzebowałby armii, żeby wszystko przeczytać. Gdyby przebywał w Chicago, mógłby zatrudnić kilku swoich absolwentów, żeby zapoznali się z materiałami, jednak tutaj, w Peppermill, miał tylko siebie i swoją bolącą głowę. Pozostawało mu jedynie zawęzić poszukiwania, dopóki algorytm nie zwróci sensowniejszej liczby trafień. Poświęcił na to cały czwartek. Spośród tych wyników, które pozostały, najbardziej interesującym był ten, którym zajmował się już w Nowym Jorku. Siedział na telefonie przez całe minione popołudnie i wieczór, a potem następny rano aż do teraz, czyli do piątkowego południa, kiedy w końcu udało mu się połączyć z kimś kompetentnym w Departamencie Policji Nowego Jorku.

– Facet, którego szukasz, jest na emeryturze gdzieś na Florydzie.

– Masz może do niego numer? – zapytał Lane.

– Jasne. Ale nie obraż się, jeśli nie odbierze. Gość miał parę... epizodów – powiedział mężczyzna po drugiej stronie linii. – Od pewnego czasu nie można go zlokalizować. Nawet miejscowym glinom nie udało się go znaleźć.

– Mimo wszystko zanotuję sobie numer, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Jasne. Proszę bardzo. Powodzenia.

Lane zapisał numer telefonu, podziękował i zaczął się modlić, żeby nie była to ślepa uliczka.

Rozdział 68

W piątkowy wieczór emerytowany detektyw Gus Morelli zabrał ze swojego mieszkania butelkę jasnego piwa La Rubia z browaru Wynwood Brewing, po czym zszedł po schodach na plażę. Zazwyczaj oglądał zachody słońca z osłoniętego siatką balkonu na drugim piętrze budynku, jednak tego wieczoru postanowił się przewietrzyć. Jego wynajęte mieszkanie znajdowało się w odległości zaledwie pięćdziesięciu kroków od plaży. Policzył to kiedyś – był to nawyk, którego nabrał po tym, jak przed trzema laty rak zaatakował jego prawą nogę. Od tamtej pory liczył w ten sposób niemal wszystkie odległości, które pokonywał.

Już prawie mu się udało ponownie opanować sztukę chodzenia na równym podłożu, jednak piasek wciąż był prawdziwym sukinsynem. Chodził po plaży bez pośpiechu. Żaden z pozostałych emerytów przebywających w pobliżu nie miał pojęcia, że Gus porusza się na tytanowej protezie. Choć na Florydzie panowały skwar i wilgoć, zakładał spodnie z długimi nogawkami i utrzymywał na piasku takie tempo, że oszukiwał w ten sposób większość mijających go ludzi. Ci, którzy podejrzewali, że z jego chodem jest coś nie tak, rozważali wszelkie możliwe scenariusze, pozostawiając dopiero na sam koniec ten związany z utratą nogi. Niewykluczone, że dopiero dochodził do siebie po operacji. Od swojego przyjazdu na południe nauczył się, że niemal każda starsza osoba na Florydzie znalazła się w ciągu roku pod nożem. Dla nich to było jak sport, doskonały temat do rozmów i wymiany doświadczeń na temat zabiegów chirurgicznych. A może po prostu cierpiał na skutek upadku, co było kolejnym powszechnym hobby wśród populacji, której częścią się stał. Starsi ludzie potykali się wszędzie jak pijani i niemal każdy z nich nosił jakiś but ortopedyczny czy inną opaskę uciskową.

Zatrzymał się na moment, żeby wypić łyk La Rubia, mając nadzieję, że splecze swoje cyniczne podejście wprost do żołądka. Choć na wyspie Sanibel panował spokój, detektyw Morelli wciąż miał wiele do roboty, żeby okiełznać

swoją pogardę do starych ludzi. Na ich widok powracały do niego mroczne wspomnienia ze szpitala rehabilitacyjnego, w którym spędził kilka tygodni po utracie nogi. Przebywał tam wśród bezradnych i samotnych. Na kilka tygodni został członkiem kruchej klasy starców, którzy byli uzależnieni od pomocy pielęgniarek i salowych w praktycznie wszystkim – od jedzenia posiłków po korzystanie z toalety. Gus nie chciał już nigdy więcej przebywać w takim towarzystwie. Nad wiekiem nie miał kontroli, ale to, jak zamierzał przeżyć swoje dalsze lata, zależało już wyłącznie od niego samego.

Uznał, że każdy, kto obserwuje go idącego ostrożnie po plaży, uwierzy, że ten człowiek po prostu się nie spieszy, rozkoszuje się spacerem i cieszy czasem spędzanym na emeryturze. Ostatecznie uznał jednak, że nie jest to aż takie proste, ponieważ nie wierzył w samego siebie. Dodatkowo z głębokiego snu budziła się sprawa z przeszłości, która zaczynała go niepokoić. Tego wieczoru wybrał się na plażę, by spróbować ustalić przed samym sobą, czy jest zły z powodu przerwania jego hibernacji, czy cieszy się, bo znów czuje, że żyje.

Sącząc piwo, poruszał się ostrożnie po piasku w stronę brzegu, gdzie grunt był nieco gładzy. Ściskając w dłoni butelkę, popatrzył na ocean. Czekał na moment, w którym górna krawędź słońca zniknie za horyzontem. Pewien starszy mężczyzna, którego poznał pierwszego dnia na Sanibel, powiedział mu, że w momencie znikania słońca za horyzontem pojawia się zielony błysk. Po trzech miesiącach oglądania zachodów słońca zaczął sądzić, że tamten facet miał nierówno pod sufitem. Mimo to zmrużył oczy i czekał na tę magiczną chwilę. Tak naprawdę jego myśli zaprzętał jednak telefon, który odebrał wcześniej od psychologa sądowego z Chicago. Mężczyzna interesował się starą sprawą, którą zajmował się Gus. Zachodzące słońce i jego odbicie w oceanie zniknęły, a myśli detektywa znów popłynęły ku jesiennemu dniowi, kiedy na torach kolejowych zabito nastolatka.

Bronx, Nowy Jork

Oak Point Yard było bazą dla pociągów towarowych, które przejeżdżały przez Nowy Jork w trakcie swojej podróży na zachód. Przewożone ładunki obejmowały zazwyczaj drewno z Kanady, płody rolne, paliwo i towary importowane, które przepłynęły Atlantyk. Przez bocznice przeładunkową przejeżdżały też pociągi z odpadami, podobnie jak dwie linie Amtrak, korzystające z przewodów wysokiego napięcia i osiągające duże prędkości. Kiedy Gus zjawił się na miejscu, było już ciemno. Miejskowa policja ogrodziła teren, przeszedł więc pod taśmą i skierował się w stronę torów. Teren był kamienisty i kamyki chrzęściły pod jego stopami. Na spotkanie wyszła mu pani patolog.

– Jak to wygląda? – spytał Gus.

– Cholerny bałagan – odparła kobieta. Ubrana była w wiatrówkę i czarne dżinsy. – Pociąg o dużej prędkości spotyka się z przechodniem. Takie coś nigdy nie wygląda ładnie. Szacuję, że skład poruszał się z prędkością mniej więcej osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Lokomotywa uderzyła ofiarę i ciągnęła wzdłuż torów – dokładnie przez sto dziewięćdziesiąt trzy metry – zanim wciągnęła ją pod siebie. Skład miał półtora kilometra długości i maszynista nawet nie widział tego dzieciaka, więc się nie zatrzymał.

– Co z niego zostało?

– Niewiele.

– W jaki sposób to zgłoszono?

– Ofierze towarzyszył brat. Powiedział, że bawili się na torach, kiedy do tego doszło. Chłopak uciekł do domu, a rodzice zadzwonili na policję.

– Są tutaj?

Patolog skinęła głową i wskazała grupę osób.

– Tam. Chce pan zobaczyć ciało, zanim je pozbieramy i stąd zabierzemy?

Gus pokręcił głową.

– Nie. Zobaczę zdjęcia, kiedy już skończycie.

Kobieta się odwróciła, żeby dołączyć do swojego zespołu.

– Pani doktor? – zawołał Gus. Obróciła głowę w jego stronę. – Mówiła pani, że pociąg wlokł dzieciaka przez sto dziewięćdziesiąt trzy metry. Skąd taka dokładna miara?

– Z dwóch źródeł – odparła. – Po pierwsze, w miejscu, w którym prawdopodobnie doszło do pierwotnego potrącenia, znaleźliśmy krew i kawałki czaszki. Na całym tym odcinku aż do miejsca znalezienia zwłok leżą fragmenty ciała wraz z wyraźnie widoczną ścieżką krwi.

Gus skinął głową.

– Ale sto dziewięćdziesiąt trzy to wysoka precyzja. Skąd wiadomo, że to nie jest o metr czy dwa mniej lub więcej?

– Z powodu drugiego źródła, dzięki któremu określiliśmy dokładne miejsce uderzenia – odparła patolog. – Pociąg dosłownie wyrzucił go z butów, a przynajmniej z jednego. Nadal leżał on na torach w miejscu, gdzie znaleźliśmy pierwsze kawałki czaszki i krew. Uznaliśmy, że to właśnie ten punkt i dokonaliśmy pomiaru odległości.

– Chryste – mruknął Gus. Wziął głęboki oddech i podszedł do rodziców zabitego chłopca, którzy rozmawiali z funkcjonariuszem.

– Jestem detektyw Morelli. Przykro mi z powodu państwa syna.

Rodzice pokiwali głowami.

– Dziękuję – odparła kobieta, ledwie powstrzymując łzy. Miała purpurową twarz i zaczerwienione białka oczu.

– Rozumiem, że państwa drugi syn był tam w momencie, kiedy Williama uderzył pociąg?

– Tak. To nasz przybrany syn, ale zgadza się, był tam z Williamem.

– Mogę z nim porozmawiać?

Kobieta skinęła głową.

– Jest z jednym z policjantów.

Gus podszedł wraz z matką do grupy funkcjonariuszy. Na ziemi siedział nastoletni chłopiec.

– To jest detektyw Morelli – wyjaśniła mu kobieta. – Chce porozmawiać z tobą o tym, co się stało Williamowi.

Chłopiec uniósł głowę. Gus zauważył, że jego oczy nie są czerwone jak u matki. Przybranej matki, przypomniał sobie.

– Hej – zawołał.

– Hej – odparł chłopak.

– *Przykro mi z powodu brata.*

– *Dziękuję.*

– *Przejdźmy się kawalek, dobrze?*

Chłopiec wzruszył ramionami i wstał. Gus położył mu dłoń na ramieniu. Minęli policjantów i oddalili się od przybranych rodziców.

– *Możesz mi opowiedzieć o tym, co się stało? – zapytał Gus. Szli na południe wzdłuż torów, pozostawiając za sobą całe to zamieszanie. Detektyw wyprowadził chłopca z terenu bocznicy na parking, gdzie stał zaparkowany nieoznakowany wóz policyjny.*

– *Bawiliśmy się przy torach, jak zawsze.*

– *Jak zawsze?*

– *Tak. Stale tu przychodziliśmy.*

– *W jakim celu?*

Chłopak znów wzruszył ramionami.

– *Popatrzeć na pociągi. Zobaczyć, jak blisko da się podejść. Jeśli człowiek zbliży się na odpowiednią odległość, czuje powiew wiatru.*

– *To nie brzmi bezpiecznie.*

Chwila milczenia.

– *Nie wiem, pewnie tak.*

– *Czy to właśnie przytrafiło się Williamowi? Podszedł za blisko torów?*

– *Mniej więcej. Spłaszczaliśmy jednocentówki.*

Gus uniósł brwi.

– *Co takiego?*

Chłopiec sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej monetę. Gus zobaczył, że była cienka i wydłużona.

– *Kładliśmy je na szynach i czekaliśmy, aż przejedzie po nich pociąg. Później właśnie tak wyglądały.*

Gus wziął monetę do ręki. Przypominała mu plastelinę, ale wciąż była sztywna i twarda. Twarz Lincolna nadal pozostawała widoczna, choć nie było już wgłębień ani krawędzi. Przesunął kciukiem po powierzchni. Była gładka, jak świeżo zeszlifowane drewno.

– *Mówiłeś, że często przychodziliście w pobliże torów.*

Chłopak przytaknął.

Tym razem Gus wzruszył ramionami.

– *Mieliście więc pewnie inne jednocentówki?*

– Tak – odparł bez wahania chłopiec. – Mam ich trochę.

– Tak? Gdzie?

– W moim pokoju.

Gus popatrzył na monetę po raz ostatni i oddał ją chłopcu.

– Więc co takiego się tam wydarzyło? Co zrobił William?

– Nie wiem tak naprawdę. Chyba podszedł za blisko. Położyliśmy nasze monety na szynie i nadjechał pociąg. Wycofałem się, ale William został blisko torów i... sam nie wiem. Po prostu znikł.

– Możesz mi pokazać, gdzie to się stało? Miejsce, w którym staliście z Williamem i gdzie położyliście monety?

Chłopak wzruszył ramionami raz jeszcze.

– Jasne.

Gus poszedł z nim z powrotem w stronę torów, krocząc w mdłym blasku lamp oświetlających bocznice przeladunkową.

Rozdział 69

Lane odwinął bandaż z głowy i przyjrzał się w lustrze obrażeniom. Z prawej strony głowy wygolono mu włosy, a szwy wyglądały tak, jakby zamykały opakowanie z polędwicą wieprzową. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie usunąć ich samodzielnie, jednak wiedział, że taki wyczyn będzie go sporo kosztował. Już teraz miał problemy z przekonaniem Rory, by kontynuowali jego plan. Wyrwanie szwów na tydzień przed terminem z pewnością w niczym mu nie pomoże. Zostawił je w spokoju i wziął pierwszy od niemal tygodnia prysznic. Czuł się bosko pomimo piekącej skóry na głowie.

Ogolił się, ubrał w koszulę i sportową kurtkę. Jego przydługawe włosy świetnie zamaskowały wygolony pas na głowie i miejsca, w których widoczne były szwy, mimo wszystko jednak założył czapkę z daszkiem, żeby nie przyprawić nikogo o rozstrój żołądka. Zszedł po schodach i wkroczył do pracowni, w której siedziała Rory.

– I co myślisz? – zapytał.

Rory uniosła wzrok znad czytanego dokumentu.

– Ach, znów wyglądasz jak człowiek – odparła. – No i ta czapka. Świetnie pasuje do sportowej kurtki. Jak się czujesz?

– Po prostu wyśmienicie.

– Świetnie. Może powinieneś jeszcze trochę odpocząć, zanim się za to weźmiesz?

Lane pokręcił głową.

– Nie ma mowy. Ten detektyw chciał pogadać, ale sprawiał wrażenie kogoś ogólnie zaniepokojonego. Odniosłem wrażenie, że w przypadku tego faceta obowiązuje zasada „teraz albo nigdy”.

– W takim razie porozmawiajcie przez telefon. Co będzie, jeśli polecisz aż na Florydę tylko po to, żeby trafić na ślepą uliczkę?

– Odnoszę wrażenie, że stary ma dla nas coś ważnego. Powiedział, że chce pogadać w cztery oczy, nie przez telefon. To jeden z tych wariatów starej daty.

Nie przekazuje żadnych informacji przez telefon.

– Jesteś pewny, że chcesz się na to pisać?

– Tak.

– Lekarze powiedzieli, że nie możesz prowadzić przez przynajmniej dwa tygodnie.

– Zgadza się. Nie usiądę za kierownicą ani na moment. – Ledwie wypowiedział te słowa, kiedy rozległ się dźwięk dzwonka. – Widzisz? To moja eskorta.

Rory wstała zza biurka i założyła okulary.

– Czuję się podle, że przyjechał specjalnie aż tutaj.

– Niepotrzebnie – odparł Lane. – Dzięki mnie przez te wszystkie lata stał się zamożnym człowiekiem. Poza tym to on mnie w to wszystko wpłatał. Ma u mnie dług wdzięczności.

Lane wyszedł z pracowni i podszedł do drzwi wejściowych. Na ganku stał Dwight Corey, jego agent. Ubrany był w szare, dopasowane spodnie, buty w kolorze jasnego migdału i koszulę bez ani jednego zagniecenia.

– Jakim cudem dojechałeś tutaj z Chicago, nie mnąc sobie przy okazji koszuli? – zapytał Lane.

Dwight zmarszczył czoło i popatrzył na niego.

– Ty za to prezentujesz się naprawdę do dupy. Nie mogę pozwolić, żebyś zakładał czapkę bejsbolową do tej kurtki.

– Powinieneś był go zobaczyć z tą obandażowaną głową – powiedziała Rory.

Dwight spojrzał ponad ramieniem Lane'a.

– Dobrze cię widzieć, Rory.

– Ciebie również. Przykro mi, że musiałeś jechać aż taki kawał drogi.

– Żaden problem. I tak chciałem zajrzeć do mojego topowego klienta.

– Wejdz – powiedział Lane.

Rory i Lane spoczęli na sofie, a Dwight usiadł w fotelu.

– Żarty żartami, ale jak się czujesz? – zapytał.

– Bywało lepiej, ale idzie ku dobremu.

– Dobrze to słyszeć. Słuchaj, cieszę się, że mogę ci pomóc, ale przyjechałem również z innego powodu. Tak naprawdę dotyczy to was obojga.

Lane zerknął na zegarek.

– Za trzydzieści minut musimy wyjeżdżać.

– Przejdę więc do rzeczy. Ci z NBC skontaktowali się ze mną zaraz po śmierci Macka Cartera. Są w naprawdę trudnej sytuacji z tym podcastem. Zyskał on sporą popularność i ma mnóstwo odbiorców. Na razie zawiesili jego emisję na czas nieokreślony, ale rozglądają się za kimś, kto pociągnie to dalej. Wpadli na pomysł, żebyś poprowadził wraz z Rory osiem odcinków w ciągu dwóch miesięcy. Jeden tygodniowo. Zasadniczo chcieliby się też dowiedzieć, co dasz radę znaleźć i im przekazać.

Lane pokręcił głową.

– Nie jesteśmy facetami od rozrywki, Dwight. Zrobilibyśmy im jedynie niedźwiedzią przysługę. Poza tym na ten moment nie mamy jeszcze zbyt wiele. Wciąż podążamy za paroma tropami.

– Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, powiedziałaś mi, że rozmawiałaś z kimś z Departamentu Policji Peppermill.

– Tak. Detektyw zajmujący się sprawą z Westmont dał nam zajrzeć w akta. Ale zrobił to nieoficjalnie.

– Nikt nie prosi cię o to, żebyś ujawniał swoje źródła. Sieć chce kontynuować emisję podcastu i oczekuje, że wy dwoje go poprowadzicie. Złożyli całkiem lukratywną ofertę.

Lane rzucił szybkie spojrzenie Rory. Nie potrzebowała słów, by wyrazić, co o tym myśli. Wstał.

– Jedźmy na Florydę. Podcasty to nie nasza specjalność, Dwight. Chętnie zaoferowałem swoją pomoc, mogę podzielić się doświadczeniem, ale obawiam się, że prowadzenie programu to nie jest robota dla mnie.

– Musiałem zapytać – odparł Dwight.

Lane zarzucił torbę na ramię i pocałował Rory na do widzenia.

– Zadzwoń jutro, kiedy będę już wiedział, co ten detektyw dla mnie ma.

– On nie może prowadzić – zastrzegła Rory.

– Ja się tym zajmę – zapewnił agent.

– I powinien spać osiem godzin w ciągu doby.

– Ułożę go wieczorem do snu.

– I żadnego alkoholu – dodała.

Dwight puścił do niej oko.

– Będę go obserwował niczym jastrzęb.

– Pięćdziesięciolatek z nianiami – mruknął Lane, wychodząc na zewnątrz. Usiadł na siedzeniu pasażera w land roverze Dwighta i po chwili ruszyli

w kierunku lotniska, żeby złapać wieczorny lot z Indianapolis.

Bystre oko Rory odkryło obiecujący wątek związany z tajemnicą ze szkoły Westmont. Prowadził on do tajemniczego detektywa z Florydy i sprawy, którą zajmował się przed wieloma laty.

Lane nie połknął tabletki przeciwbólowej od czterdziestu ośmiu godzin. Nie licząc tępego bólu głowy, jego umysł działał sprawnie, a myśli były poukładane. Nie mógł się doczekać powrotu do pracy. Dzięki posiadaniu jedynie bagażu ręcznego bez problemu przeszli z Dwightem przez kontrolę bezpieczeństwa, a o dziewiętnastej trzydzieści samolot osiągnął wysokość przelotową. Lane pochylił oparcie swojego fotela w pierwszej klasie, zsunął daszek czapeczki na oczy i zapadł w sen. W Fort Myers na Florydzie mieli wylądować o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt dwa czasu wschodniego.

Rozdział 70

Nie zważając na sierpniowy upał, Rory ubrała się w swój pełny strój bojowy. Założyła okulary zerówki w grubych oprawkach, wcisnęła czapkę aż na czoło i zapięła po szyję swoją szarą wiatrówkę. Zarzuciła na ramię plecak i jak zwykle zasznurowała na nogach wojskowe buty Madden Girl Eloisee.

Rory zazwyczaj pracowała przy swoich rekonstrukcjach sama. Nie licząc współpracy z Lane'em, dochodzenie w nierozwiązanej sprawie obejmowało ją samą, pudło z aktami i ślady, na które miała dopiero natrafić. Okazjonalnie jednak wymagały one interakcji z innymi ludźmi, a to było najmniej lubianą przez nią częścią pracy. Poszła już obejrzeć miejsce zbrodni z Henrym Ottem i musiała znieść spotkanie z Gabriellą Hanover. Teraz, w piątkowy wieczór, tropy, które wywęszyła w aktach Theo Comptona, prowadziły ją do kawiarni na spotkanie z dziennikarką nazwiskiem Ryder Hillier. Tego typu wieczory były ciężkimi warunkami w jej pracy – zagrożeniami, których nie wynagrodziłyby żadne premie ani inne benefity dla pracowników.

Zaparkowała w odległości jednej przecznicy od kawiarni na rogu i ze zdumieniem ujrzała tłum osób, kiedy otworzyła drzwi wejściowe. Młodzi ludzie napędzani kofeiną tkwili przed ekranami laptopów i zajmowali prawie każdy stolik. Rozpoznała Ryder Hillier dzięki ich spotkaniu w szpitalu – dziewczyna siedziała przy stoliku w odległym kącie. Rory po raz ostatni poprawiła okulary na nosie, wzięła głęboki oddech i do niej podeszła.

– Cześć – powiedziała Ryder. – Zaczynałam się już zastanawiać, czy nie przyszłam o niewłaściwej godzinie.

– Wybacz – odparła Rory. – Robiłam coś ważnego i nie chciałam się odrywać w połowie.

– Żaden problem. Napijesz się kawy?

Rory pokręciła głową.

– Nie, dzięki. – Usiadła przy stoliku.

– Wybacz, że zadzwoniłam tak niespodziewanie, ale chciałabym... poprosić cię o przysługę.

Rory wiedziała, że przysługi ze strony dziennikarzy nigdy nie są darmowe.

Ryder skinęła głową.

– Słucham.

Rory dostrzegła wyraz niepewności na twarzy dziewczyny.

– Muszę obejrzeć to wideo z ciałem Theo Comptona, które nagrałaś tamtej nocy, kiedy zginął. Próbowałam znaleźć je w sieci, ale przepadło.

– Tak działają pozwy. Wykasowano je zewsząd, jakby nigdy nie istniało. Pewnie dobrze, że tak się stało. Nie powinnam była w ogóle go publikować.

– Ale masz nadal oryginał, prawda? Na telefonie?

Ryder przytaknęła.

– Muszę go zobaczyć – dodała Rory.

– Dlaczego?

– W związku z tropem, za którym podążam.

– A więc pracujesz nad sprawą z Westmont.

Rory rozejrzała się dookoła, zanim odpowiedziała:

– Nieoficjalnie. Ale fakt, przyglądam się temu nieco bliżej.

– Co ja będę z tego miała? – zapytała Ryder.

– Niewiele. Ale jeśli znajdę na tym nagraniu to, czego oczekuję, opowiem ci o mojej teorii. Prosiłabym tylko, żebyś nie pisała na ten temat w swojej gazecie. Przynajmniej przez pewien czas.

– Tak naprawdę nie piszę teraz dla żadnej gazety. Redaktor naczelny i ja patrzymy w dość rozbieżny sposób na moje aktualne problemy prawne. – Ryder napiła się kawy. – Pozwolę ci obejrzeć to nagranie, jeśli nie tylko mi powiesz, czego w nim szukasz, ale przedstawiś mi też swoje teorie na ten temat. Nie wrzucę niczego do „Star”, ale umieszczę to na moim blogu.

– Skąd wiesz, że mam jakiegokolwiek teorie?

– Jesteś prawdziwą legendą w świecie kryminalistyki. Nie ma mowy, żebyś spędziła tydzień w Peppermill i nie wypracowała sobie żadnej teorii.

Rory sięgnęła do czapki i zsunęła ją jeszcze niżej na czoło. Chciała czuć się anonimowo. W końcu skinęła głową.

– Powiem ci, co znalazłam do tej pory, jeśli obiecasz, że dasz mi tydzień, zanim cokolwiek napiszesz.

– Umowa stoi.

Ryder wyciągnęła rękę ponad blatem, żeby przypieczętować ich umowę uściskiem dłoni. Rory pokręciła głową.

– Wystarczy dane słowo. Dwie kobiety zgadzające się pomóc sobie wzajemnie.
– Ryder skinęła głową i zabrała rękę. – Spójrzmy zatem na to wideo.

Ryder wyjęła telefon, przeciągnęła kilkakrotnie palcem po ekranie, po czym przysunęła się wraz z krzesłem bliżej Rory. Włączyła odtwarzanie. Jakość nagrania była tak kiepska, jak Rory to zapamiętała. Ekran wypełniał głównie mrok, czasami w kadr wchodziła roślinność. Po chwili pojawił się opuszczony dom nauczycielski, kiedy Ryder przebiegła tuż obok. Głośność była podkreślona i Rory usłyszała z głośnika telefonu dudnienie, wyraźnie słyszalne na tle gwaru panującego w kawiarni. Na nagraniu pojawił się pociąg – kolejne wagony śmigały z prawa na lewo. Wydawało się, że skład nie ma końca. Po chwili pociąg znikł i znów zapadła ciemność, aż w końcu pojawił się drżący obraz przedstawiający ciało Theo Comptona.

– Tutaj – powiedziała Rory. – Zatrzymaj odtwarzanie.

Ryder dotknęła przycisku na ekranie.

– Cofnij trochę – poprosiła Rory. – Tylko o kilka klatek. Zaraz po zniknięciu pociągu.

Ryder przeciągnęła palcem po ekranie, zawracając pędzący pociąg, po czym włączyła odtwarzanie w zwolnionym tempie, aż odjechał ostatni wagon. Po drugiej stronie torów zmaterializowało się ziarniste ciało Theo Comptona.

– Jeszcze trochę – poprosiła Rory.

Ryder włączyła nagranie na sekundę, po czym znów je zatrzymała na znak dany przez Rory.

– Popatrz. – Rory wskazała ekran. Widziała już raz to nagranie, ale po tym jednym razie zapamiętała dokładne położenie ciała Theo Comptona. Teraz, kiedy popatrzyła na telefon Ryder Hillier, nie miała już wątpliwości. – Spójrz na jego ręce.

Ryder przyłożyła opuszki palców do ekranu i powiększyła nieruchomy kadr.

– Na co patrzę? – zapytała.

– Obie ręce trzyma w kieszeniach.

Ryder zauważyła, że tak w istocie było.

– Co to oznacza?

– Ludzie przez cały czas popełniają samobójstwa, rzucając się pod pociąg – wyjaśniła Rory. – Zgodnie ze statystykami jest to jedna z najczęstszych metod.

Zastanawiam się tylko, ile osób jest w takich okolicznościach na tyle spokojnych, żeby trzymać obie dłonie w kieszeniach.

Ryder przyjrzała się bliżej. Ciało Theo Comptona leżało twarzą do góry, a obie dłonie ukryte były w kieszeniach spodni.

– Zdjęcia wykonane przez patologa pokazują zupełnie inną scenę – powiedziała Rory. – Na tamtych ręce Theo są rozrzucone na boki.

– Przenieśliśmy go – wyjaśniła Ryder. – Razem z Mackiem. Nie wiedzieliśmy, że nie żyje, więc go przesunęliśmy i usiłowaliśmy reanimować. Kiedy przyjechały służby ratownicze, próbowali tego samego, aż ostatecznie stwierdzili zgon i wezwali coronera. Podczas tych czynności ręce musiały wysunąć się z kieszeni. – Ryder oderwała spojrzenie od telefonu i popatrzyła na Rory. – Rozmawiałam dzisiaj z matką Theo. Była wręcz pewna, że jej syn nie byłby w stanie popełnić samobójstwa. Nie wiedziałam, co myśleć o tym jej argumencie, bo coś takiego powie niemal każdy rodzic. Ale może miała rację. Powiedziała mi, że Theo zadzwonił do niej wcześniej, żeby ją ostrzec.

– Przed czym?

– Zamierzał powiedzieć Mackowi Carterowi o tamtej tragicznej nocy. Ponoć były to informacje, których nie przekazali wcześniej policji.

Rory nie spuszczała wzroku z obrazu ciała Theo Comptona i jego ukrytych w kieszeniach dłoni.

– Może ktoś go popchnął – powiedziała w końcu.

– A jeśli ktoś popchnął Theo, to może zrobił to samo z pozostałymi.

Rory spojrzała jej w oczy.

– Może ta sama osoba popchnęła także Charlesa Gormana.

Bronx, Nowy Jork

Dzień po tym, kiedy pociąg wyrzucił Williama Pedersona z jego butów i pociągnął go na odległość dwóch boisk piłkarskich, Gus zaparkował przy krawężniku przed piętrowym domem. Wsunął ręce w kieszenie marynarki, wszedł po stopniach i zastukał do drzwi wejściowych. Otworzyła mu pani Pederson. Gus zauważył te same czerwone pierścienie wokół jej oczu i nozdrzy, które widział dzień wcześniej. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że dla niej była to fatalna noc. Widział już niejedną matkę, która straciła swoje dziecko. Była to część jego pracy, z którą wciąż sobie nie radził.

– Dzień dobry, Pani Pederson – powiedział. – Czy mógłbym porozmawiać teraz z pani synem?

Kobieta skinęła głową i otworzyła drzwi, za którymi znajdowała się siatka przeciw owadom. Gus wszedł do środka i podążył za nią do pokoju dziecięcego. Postanowiła zaczekać na niego przy drzwiach. Dzieciak leżał na łóżku z ręką pod głową i skrzyżowanymi nogami. Na jego piersi leżał kolorowy magazyn.

– Cześć, kolego – zagaił Gus.

Chłopiec spojrzał na niego, ale się nie odezwał.

Gus uniósł lekko podbródek.

– Czytałem to, kiedy byłem w twoim wieku.

– William je zbierał. Pozwalał mi je czytać.

Pani Pederson weszła do pokoju i wyrwała mu magazyn.

– Prosiłam cię, żebyś ich nie dotykał. William ułożył je w kolejności chronologicznej i nie podoba mi się, że je zabierasz.

Chłopiec nie zaprotestował w żaden sposób. Nie poruszył się nawet, kiedy matka wyszarpnęła mu czasopismo.

– Powiedział, że mogę je przeglądać – odparł. – Nie wziąłbym go, gdybym uznał, że on tego nie chciał.

Gus popatrzył na panią Pederson i przeniósł spojrzenie z powrotem na chłopaka.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym zadać ci jeszcze kilka pytań dotyczących wczorajszych wydarzeń.

Chłopiec wzruszył ramionami, podobnie jak poprzedniego dnia.

– Już ich pan sporo zadał.

– Wiem. Ale mam jeszcze kilka.

Chłopak się nie odezwał.

– Czy trzymaliście się z Williamem razem? Mieliście bliskie relacje?

– Nie wiem. Czasami tak.

– Mówiłeś, że bardzo często chodziliście blisko torów. Zgadza się?

Kolejne wzruszenie ramionami.

– Tak. Często tam byliśmy.

– Czy wasi rodzice o tym wiedzieli?

– Latem – odezwała się od progu pani Pederson – zostali przyłapani przy torach przez policjanta, który przyprowadził ich do domu.

Gus zdążył znaleźć raport dotyczący tego incydentu.

– Więc zostaliście już złapani z Williamem wcześniej w tamtym miejscu? I powiedziano wam, że macie tam więcej nie chodzić?

– Tak – odparła za niego pani Pederson z nutą gniewu w głosie. – Prosiłam go, żeby nie zabierał tam więcej Williama.

Gus się odwrócił i popatrzył na kobietę.

– Wolałbym, żeby sam mi odpowiadał.

Skinęła głową.

– Twoi rodzice i policja kazali wam trzymać się z dala od torów, zgadza się?

Chłopiec skinął głową.

– Ale i tak tam poszliście.

Skinienie głową.

– Co tam było takiego interesującego?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Lubiliśmy po prostu tam chodzić i spłaszczać monety. William zawsze mnie o to prosił.

– William nigdy nie chodził w pobliże torów – powiedziała pani Pederson. – Dopiero od sześciu miesięcy stało się to problemem.

Sześć miesięcy, pomyślał Gus. Właśnie pół roku temu Pedersonowie przejęli opiekę nad tym młodym człowiekiem.

– Mogę zobaczyć twoją kolekcję? – zapytał. – Wspomniałeś, że zbierasz te spłaszczone jednocentówki.

– Moją kolekcję?

– Tak. Mówiłeś, że chodziliście z Williamem na tory, żeby kłaść te monety na szynach. Powiedziałeś wczoraj, że masz je wszystkie.

– To prawda.

Chłopak wstał z łóżka i podszedł do biurka. Podniósł pełną spłaszczonych jednocentówek miseczkę i podał ją Gusowi. Detektyw zamieszał dłonią w naczyniu, dzwoniąc miedzią o porcelanę. Wyjął jedną z monet. Wyglądała identycznie z tą, którą dzieciak pokazał mu poprzedniego dnia. Cienka, płaska i gładka.

– Sporo tego. Ile ich tutaj jest? Trzydzieści?

– Dwadzieścia osiem.

– Ile zabieraliście monet za każdym razem, kiedy szliście na tory?

– Nie wiem. Czasami dwie, czasami trzy.

– Powiedz mi, jak to działa. Kładziesz monetę na szynie i patrzysz, jak przejeżdża po niej pociąg? A potem, gdy już przejedzie, ją zabierasz?

– Tak.

– Co w takim razie stało się wczoraj?

– Nie wiem. William podszedł po prostu za blisko.

Gus uniósł miseczkę.

– Ale chodziliście tam już wcześniej. Co takiego zrobił wczoraj William? Co różniło się od wszystkich poprzednich razy?

Chłopiec spojrzał Gusowi w oczy.

– Został zabity.

Gus Morelli siedział na swoim balkonie i słuchał fal wpływających na brzeg. Było już późno, po dwudziestej drugiej. Na bezchmurnym niebie zagościł półksiężyc, a jego odbicie tańczyło na powierzchni oceanu, aż dotarło na brzeg, gdzie oświetliło plażę odcieniami szarości. Słońce zaszło już przed kilkoma godzinami, a on wciąż myślał na temat starej sprawy, o której przypomniał mu jeden telefon. Sączył swoje ulubione piwo La Rubia, choć miał ochotę na coś mocniejszego. Gdyby miał w domu butelkę, nalałby sobie tak na dwa palce, ale od kiedy stracił nogę, obiecał sobie nie sięgać po tego rodzaju alkohol. Zanim nowotwór nie spróbował go zabić, niczego sobie nie odmawiał. Teraz ograniczał

się do dwóch piw w ciągu dnia. Nie była to podręcznikowa trzeźwość, ale Gus Morelli potrafił doskonale nad tym panować.

Wrócił myślami do tamtego dnia, kiedy znalazł się w pokoju chłopaka. Wciąż pamiętał ten dźwięk, kiedy zamieszał palcami w miseczce ze spłaszczonymi monetami. Odbijał się echem w jego uszach i zagłuszał odgłos fal. Sięgnął po piwo i pociągnął łyk z butelki. Nie po raz pierwszy ta sprawa z przeszłości budziła się z głębokiego snu. Tym razem jednak był na to przygotowany.

Wstał, zabrał ze sobą piwo i wrócił do mieszkania. Miał trochę pracy przed jutrem.

Rozdział 71

Sprawy wymknęły się spod kontroli. Czułem to w kościach. Odczuwałem coś podobnego tamtego dnia, kiedy umarł mój przybrany brat. Pomyślałem wtedy, że mogłem się przeliczyć. Za każdym razem, kiedy mnie dręczył, za każdym razem, kiedy wyrywał mi jeden ze swoich magazynów z rąk, mój gniew narastał. W takich chwilach mój przybrany brat przypominał mi ojca. A kiedy leżałem spokojnie na łóżku, a on stał nade mną w zastraszającej pozie, trzymając czasopismo, jakby chciał mnie nim zdzielić, powracało wspomnienie tego żalсного dziecka, które patrzyło przez dziurkę od klucza i pozwalało na katowanie matki. Ta krucha i żalсна dusza już nie istniała. Dawno odeszła i pozostałem tylko ja – ktoś, kto nie tolerował już tyranów ani słabeuszy, na których ci żerowali.

Planowanie pomogło mi przetrwać burzę. Moje staranne przygotowania pozwoliły mi zmniejszyć ciśnienie, które napompował ten detektyw. Wyszedłem z tego bez uszczerbku, ale tym razem byłem mniej ostrożny. Pozwoliłem, by emocje wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem. Kiedy doświadczyłem rzeczy, które miały miejsce w szkole Westmont, nie miałem wyboru – musiałem działać. Zrealizowałem swój pierwotny plan wprost perfekcyjnie. Wszystko potoczyło się bez najmniejszych problemów. Kilka osób nie chciało jednak zaakceptować rzeczywistości, którą zaaranżowałem. Niektórzy wciąż kopali w poszukiwaniu odpowiedzi. Ci, którzy ryli za głęboko, już odeszli. Ale byli jeszcze inni i nierozsądnie byłoby założyć, że mogą uniknąć łopat wbijających się w moją ziemię. Gwen była moim największym problemem. Uparcie nie chciała milczeć, wciąż pragnęła podzielić się z kimś tym, co pamiętała z tamtej nocy, a to mi uświadamiało, że koniec jest bliski. Ale koniec mojej podróży wiązał się z inną osobą. Zawsze tak było.

Po wejściu do szpitala, kiedy znalazłem się we wschodnim skrzydle, wykonałem wszystkie rutynowe czynności. Lekarze rzadko wchodzili na ten oddział. On był przeznaczony dla tych, którzy nie rokowali i byli już za daleko

stąd, żeby liczyć na wsparcie ze strony współczesnej medycyny. Opieka paliatywna była wszystkim, co im tutaj pozostało. Lekarze przepisywali całe garście leków, żeby uspokoić pacjentów, którzy mogliby skrzywdzić innych lub samych siebie. Bogactwo narkotyków usprawiedliwione zostało stwierdzeniem, że uniemożliwiali w ten sposób oderwanym od rzeczywistości i pełnym wewnętrznych sprzeczności pacjentom jeszcze głębsze wejście w tę otchłań bez dna. Tak naprawdę jednak chodziło o to, żeby utrzymać ich w ryzach.

Osoba, do której dziś przyszedłem, była tą samą, z którą spotykałem się raz w tygodniu, od kiedy pozwolono mi na wizyty. Nie było już żadnej nadziei na poprawę i pewnie właśnie dlatego przychodziłem tak często. To z pewnością wyjaśniało, dlaczego jestem tutaj w tej chwili. Wszystko się rozpada, a pacjent ze wschodniego skrzydła szpitala z pewnością przyczyni się do mojego upadku.

Kiedy wszedłem do pokoju, panował tam spokój. Pacjent leżał obudzony pod kołdrą, poruszając oczami, jakby się spodziewał, że dziś przyjdę. To było zupełnie normalne i nie po raz pierwszy wyobrażałem sobie, jak by to było, żyć w takim stanie, patrząc na świat i będąc uwięzionym w bańce bez drogi ucieczki. Dziś jednak ucieczka była możliwa. Wolność była wręcz namacalna. Nigdy nie opuściłbym tego świata, nie zabierając tej osoby ze sobą.

Zamknąłem drzwi na korytarz. Kosztowało mnie to trochę wysiłku i czasu, ale w końcu udało mi się posadzić pacjenta na wózku. Chwilę później minęliśmy pokój pielęgniarek, pozdrawiani spojrzeniami i skinieniami głowy. Zatrzymałem się w sali dziennej, gdzie włączony był wyciszony telewizor i gdzie inni pacjenci gapili się z otwartymi ustami w różne strony. Dołączyliśmy do nich na wystarczająco długą chwilę, żeby wmieszać się w tłum. Zerknąłem w stronę pokoju pielęgniarek. Wszystkie wpatrywały się w ekrany komputerów i przygotowywały do nocnej zmiany. Żadna nie wydawała się zainteresowana otepiałymi pacjentami, którzy oglądali telewizję bez dźwięku.

Wstałem i ruszyłem swobodnym krokiem w stronę wind, gdzie wcisnąłem przycisk ze strzałką w dół. Usłyszałem jęk kabli, kiedy kabina rozpoczęła jazdę z parteru. Wróciłem do wózka i powoli popchnąłem go wraz z pasażerem w stronę wind. Kiedy drzwi się otworzyły, wszedłem do środka tyłem, nacisnąłem przycisk „parter” i cierpliwie czekałem, aż drzwi się zasuną. W końcu tak się stało i zostaliśmy sami.

– Zabieram cię dziś stąd – oznajmiłem.

Pochyliłem się nad wózkiem i spojrzałem w te szeroko otwarte, wyrażające zastanowienie oczy, które nie zmieniły wyrazu, odkąd tutaj przychodziłem. Nie zmieniły się nawet wtedy, kiedy wolność była tak blisko. Rozległ się dzwonek windy zwiastujący jej zjazd na parter. Kiedy drzwi się otworzyły, nie okazałem wahania. Przepchnąłem po prostu wózek obok recepcji i przez rozsuwane, szklane drzwi wejściowe. Otworzyły się przed nami niczym kurtyna witająca nas na wielkiej scenie. Minęliśmy próg i wyszliśmy w ciemność.

Rozdział 72

Następnego ranka o siódmej pielęgniarka rozpoczęła swoją zmianę. Spędziła trzydzieści minut na wymianie – zakładce czasowej między zakończeniem zmiany nocnej i rozpoczęciem dziennej, kiedy kończące pracę pielęgniarki informowały nowo przybyłe o wydarzeniach z minionej nocy. Ta była całkiem spokojna, bez żadnych incydentów czy telefonów na policję. Minęły dwa tygodnie od śmierci jednego z pacjentów, a w tym szpitalu był to naprawdę długi okres.

O siódmej trzydzieści pielęgniarka rozpoczęła obchód. Krążyła od pokoju do pokoju, budząc pacjentów i przyjmując zamówienia na śniadanie, sprawdzając, kto potrzebuje pomocy przy wyjściu z łóżka, organizując poranne dawki leków i odhaczając pozycje na liście z pralni. W ten sposób zapewniała sobie zajęcie aż do południa. Kiedy weszła do pokoju numer czterdzieści jeden, spodziewała się zastać mieszkającą tam osobę w łóżku. To jednak pozostawało puste. Tak naprawdę gorzej niż puste – idealnie pościelone, jakby nikt w nim nie spędził nocy. Zajrzała do łazienki, czując dziwne łaskotanie w brzuchu. Czasami znajdowała swojego pacjenta wpatzonego w lustro, zdezorientowanego i niewiedzącego, co ze sobą począć. Ostatnim razem trzymał szczoteczkę do zębów i chyba nie wiedział, co z nią począć. Jeszcze innego dnia stał przed sedesem z zabrudzonymi spodniami, bo zapomniał o powodzie, dla którego wszedł do łazienki. A kiedy zajrzała tam w sobotni poranek, okazało się, że i to pomieszczenie jest puste.

Ruszyła pospiesznie korytarzem, żeby sprawdzić w jadalni, a następnie w sali dziennej, gdzie pacjenci gromadzili się, by oglądać telewizję. W końcu wpadła do pokoju pielęgniarek i podniosła słuchawkę telefonu.

– Zgłaszam kod żółty – zawołała nerwowo. – Zaginiony pacjent. Pokój czterdzieści jeden.

Rozdział 73

Życie doktor Gabrielli Hanover od wydarzeń z minionego lata stało się prawdziwą udręką. Gdyby prawda na temat jej związku z Charlesem wyszła na jaw, nigdy by tego nie przetrwała. Rada nadzorcza nie pozwoliłaby jej zachować stanowiska dyrektora szkoły, a jej kariera w medycynie ległaby w gruzach. Przekonała się, że najlepiej będzie milczeć na temat spraw, o których wiedziała. W szczególności, że list, na podstawie którego policja skazała Charlesa, był jej pomysłem. Nie mogła przecież przyznać, że nie był on żadną deklaracją zamiarów, lecz narzędziem psychoterapeutycznym, które miało posłużyć do złagodzenia gniewu. Przyznanie się do tego teraz niewiele by zmieniło.

W sobotni rano Gabriella znalazła miejsce na parkingu dla gości i weszła do szpitala psychiatrycznego Grantville dla obłąkanych przestępców. Przechodziła przez to tak często przez ostatni rok – tak naprawdę co tydzień – że stało się to już dla niej praktycznie rutyną. Pielęgniarki poinformowały ją o widocznej różnicy, którą zauważano u Charlesa Gormana po każdej z jej wizyt, starała się więc żadnej nie pominąć.

Grantville nie przypominał innych szpitali. Wejście tam stanowiło procedurę samą w sobie. Wymagało rejestracji fotograficznej, wygenerowania plakietki dla gościa i towarzysztwa uzbrojonego strażnika, który przechodził przed nią przez kolejne drzwi w drodze na czwarte piętro. Nagroda była jednak tego warta, bo kiedy te wszystkie fajerwerki się już skończyły, mogła go w końcu zobaczyć. Nie był już taki jak kiedyś, a mimo to uspokajała się wewnętrznie na jego widok. Potrafiła analizować i zrozumieć emocje innych osób, ale czuła się kompletnie zagubiona, kiedy próbowała tego na samej sobie. Wszystko, co czuła od ostatniego roku, nadal stanowiło temat, którego nie chciała badać.

Jej żołądek zacisnął się z podekscytowania, kiedy zbliżyła się do jego pokoju. Zawsze tak było. Zamknęła na moment oczy, położyła dłoń na klamce, wzięła głęboki oddech, pchnęła drzwi i weszła do środka.

Siedział na swoim wózku. Wyraz jego twarzy się nie zmienił, kiedy przed nim stanęła. Nie zmienił się również, kiedy ukucnęła, żeby nawiązać kontakt wzrokowy. Nigdy się nie zmienił.

– Cześć, Charles – powiedziała. – Jak się masz? – Nie oczekiwała żadnej odpowiedzi. Jeszcze nigdy się nie odezwał podczas jej odwiedzin. Dziś jednak jego milczenie bolało ją bardziej niż kiedykolwiek. – Och, Charles. Nigdy nie chciałam, żeby to się wydarzyło.

Położyła mu dłoń na policzku i patrzyła, jak mruga, nie rejestrując jednak niczego. Gabriella wzięła kolejny głęboki oddech i usiadła na krześle naprzeciw mężczyzny.

Szkoła Westmont

Lato 2019 roku

Rozdział 74

Marc McEvoy ucałował rano żonę, załadował do samochodu niedużą walizkę i pojechał na lotnisko. Powiedział, że ze względu na spotkanie odbywające się w Houston będzie musiał zostać jedną noc w hotelu. Zaparkował samochód na lotnisku, upewnił się, że zabrał rachunek, po czym skierował się na stację metra. Godzinę później ciągnął za sobą walizkę, oddalając się od stacji kolejowej. Znalazł Grand Avenue i wszedł do lobby Motelu 6.

– Nazwisko? – zapytała młoda kobieta za recepcyjnym biurkiem.

– Jones. Marc Jones.

– Tak, mam pana tutaj. Tylko jedna noc?

– Tak.

– Będę potrzebowała pana karty kredytowej jako zabezpieczenia.

Marc się uśmiechnął.

– Mam obecnie drobne problemy z wypłacalnością. Ktoś ukradł moją tożsamość, więc karty zostały unieważnione. Mogę zapłacić gotówką?

– Przykro mi to słyszeć. Hm... – Kobieta postukała w klawisze. – Jasne. Może być gotówka. Będziemy potrzebowali dwustu dolarów depozytu w przypadku zniszczeń. Kiedy się pan jutro wymelduje, zwrócimy różnicę po opłaceniu pokoju.

– Doskonale – odparł Marc. Wyciągnął z kieszeni portfel i wyjął dwa studolarowe banknoty. – Przepraszam za niedogodności.

– Żaden problem.

Kobieta włożyła plastikową kartę w kopertę z nadrukiem „Motel 6”, po czym zapisała na niej numer dwieście jeden.

– Proszę bardzo. Drugie piętro, na prawo od windy.

– Dzięki. – Marc zabrał kopertę. Po kilku minutach znalazł się w swoim pokoju i położył na łóżku. Była szesnasta w piątek dwudziestego pierwszego czerwca. Pozostało mu kilka godzin na to, by zabić.

Rozdział 75

W końcu nadeszła noc inicjacji Człowieka z lustra, choć towarzyszyło jej więcej strachu i niepewności, niż powinno. Strach wiązał się z tym, co czekało na nich w ciemnym lesie na skraju kampusu. Znalezienie kluczy i dotarcie do bezpiecznego pomieszczenia miało na celu zwiększenie poziomu niepokoju, podobnie jak wyobrażenia na temat tego, co mieli znaleźć po otwarciu drzwi i wypowiedzeniu słów do lustra. Zasady inicjacji opracowano z myślą o ich rozdzieleniu i zmuszeniu do samotnego przebywania w lesie w poszukiwaniu kluczy, przy czym jednocześnie miało to mieć formę wyścigu.

Choć żadne z nich otwarcie tego nie przyznało, wszyscy chcieli dotrzeć na miejsce pierwsi. Ich marzeniem było wydostać się z lasu i spotkać się z czekającym przy frontowych drzwiach Andrew Grossem. Kilka tygodni wcześniej Andrew wyjaśnił, że znaczenie dotarcia do domu w pierwszej kolejności jest ogromne. To właśnie zwycięzca Człowieka z lustra przechodził na sam szczyt łańcucha pokarmowego w następnym roku, kiedy wszyscy zostawali uczniami ostatniej klasy i wysyłali zaproszenia niczego się niespodziewającym młodszym uczniom. Zwycięzca miał również poprowadzić ceremonię Człowieka z lustra dla nowych rekrutów, podobnie jak Andrew tej nocy. Był on jednym ze starszych uczniów, którzy mogli być obecni w opuszczonym domu nauczycielskim. Jego zadaniem miało być asystowanie tym, którzy znajdą swój klucz i wydostaną się z lasu. O północy pozostali starsi uczniowie opuszczają kampus i pójdą do domu, żeby się przekonać, którym rekrutom się powiodło. Dla tych osób przewidziano wyjątkową ceremonię.

Jednak wypadki z minionego tygodnia znacząco zmieniły charakter oczekiwania na to wydarzenie. Od kiedy Tanner wgrał wideo przedstawiające pana Gormana do projektora i odtworzył je podczas czwartkowych zajęć w laboratorium, do końca tygodnia odwołano resztę zajęć. Nauczyciele milczeli na temat powodów takiego postępowania, lecz wieści rozchodziły się po kampusie prawdziwym lotem błyskawicy. Pod koniec tygodnia wszyscy słyszeli

już o żarcie Tannera. Pojawiły się też plotki, że konsekwencje zostaną wyciągnięte w najbliższy poniedziałek.

Tego wieczoru, kiedy szykowali się do inicjacji, Gwen i jej przyjaciele myśleli przede wszystkim o tym, by chronić siebie. Wszyscy z wyjątkiem Tannera, który nie miał z tym większego problemu. Wyeliminowanie go było jedynym sposobem na zrealizowanie tego, co mieli nadzieję dziś osiągnąć, a ich plan polegał na potajemnym zwróceniu panu Gormanowi dziennika jeszcze przed wyruszeniem do domu nauczycielskiego. Nie powiedzieli o tym Tannerowi, dochodząc do wspólnego wniosku, że są tego wieczoru zdani wyłącznie na siebie. Później pozostawało im jedynie pójście trasą trzynaście-trzy-pięć i samotne wejście do lasu.

Gwen, Gavin, Theo, Danielle i Bridget utworzyli krąg na korytarzu akademika. Byli przekonani, że Tanner wyruszył już w stronę opuszczonego domu nauczycielskiego, a może nawet szukał już klucza w lesie. Postanowili mu na to zwycięstwo pozwolić. Wkrótce zamierzali do niego dołączyć, ale w pierwszej kolejności musieli zabezpieczyć swoją przyszłość i zgasić pożar, który wzniecił Tanner.

Bridget sięgnęła do torebki.

– Mam go – powiedziała, gdy wyciągnęła oprawiony w skórę dziennik pana Gormana, który nieco wcześniej wykradła z pokoju Tannera. Położyła go na podłodze na środku ich kręgu. – Kiedy zabierałam go z pokoju Tannera, wzięłam jeszcze to – dodała, wyjmując woreczek strunowy. Wewnątrz znajdował się pojedynczy skręt.

– Doby pomysł – pochwaliła ją Gwen. – Odchodzę już od zmysłów.

Bridget wyjęła skręta, kliknęła zapalniczką i przysunęła płomyk do końcówki. Gavin otworzył okno i wszyscy się zaciągnęli, po czym wydmuchnęli dym na zewnątrz. Niedługo potem kręciło się im w głowach i śmiali się, patrząc na dziennik pana Gormana.

– Nie mogłem uwierzyć, że ten sukinsyn użył wtedy syreny – powiedział Gavin.

Wszyscy znów się roześmiali.

– A kiedy odpalił to nagranie w laboratorium Gormana? – podsunął Theo.

– Mało się w gacie nie posrałem – przyznał Gavin.

Nie przestawali się śmiać, podając sobie kolejno skręta.

– Dwudziesta druga trzydzieści – powiedziała Danielle. – Musimy ruszać, jeśli chcemy zdążyć przed północą. Kto wie, jak długo będziemy szukali tych kluczy.

Gwen otworzyła szeroko oczy.

– Mam pomysł i chyba jest naprawdę genialny. – Pozostali zwrócili na nią szkliste spojrzenia. – Tanner wyprzedza nas o trzydzieści minut. Pozbądźmy się dziennika Gormana, tak jak planowaliśmy. Ale zamiast iść do tego domu, pojedziemy tam. Ja poprowadzę! Dotrzemy tam błyskawicznie, może nawet go dogonimy.

W trakcie roku szkolnego uczniom nie pozwalano korzystać z pojazdów w kampusie. W trakcie letniego kursu reguły jednak luzowano i coś takiego było dopuszczalne.

– Zróbmy to – zgodził się Gavin z uśmiechem.

Gwen zabrała klucze i dziennik pana Gormana, po czym wszyscy wymknęli się w noc. Trzymali się mroku, podobnie jak ostatnim razem, kiedy szli do części nauczycielskiej. Tym razem jednak dzięki marihuanie czuli się zrelaksowani i pewni siebie.

Doszli do ścieżki biegnącej za domami i znaleźli numer czternasty. Natychmiast powróciły wspomnienia z tamtej nocy. Bezgłośnie podeszli do tylnej ściany.

– Powinniśmy go zostawić na stopniach przed domem – uznała Gwen.

Gavin pokiwał głową.

– Daj, ja to zrobię.

Gwen podała mu dziennik. Gavin wskazał na okno kuchenne, z którego sączyło się światło.

– Zajrzyjcie do środka – poprosił. – Dajcie mi znać, kiedy będzie wolna droga.

Gavin podszedł do narożnika domu i zaczął czekać na sygnał. Pozostali powoli unieśli głowy powyżej linii parapetu. Zobaczyli pana Gormana. Stał zwrócony do nich plecami i mieszał coś w garnku stojącym na piecu. Przykucnęli szybko. Byli na zbyt dużym haju, by sobie uświadomić, że o mały włos zostaliby zdemaskowani. Gwen pomachała do Gavina, który obiegił budynek, położył dziennik na schodkach i nacisnął przycisk dzwonka.

Zanim Gorman otworzył drzwi, Gwen i jej przyjaciele byli już w połowie drogi na uczniowski parking, gdzie czekał jej samochód.

Charles Gorman mieszał makaron, którzy wrzał na piecu. Osolił wodę w tej samej chwili, kiedy rozbrzmiał dźwięk dzwonka. Spojrzał na zegarek i zaraz pomyślał, że może to Gabriella postanowiła go odwiedzić, by przekazać, co zaplanowała na poniedziałek w trakcie zebrania uczniów i nauczycieli. Wiedział, że była zdenerwowana.

Odłożył łyżkę i podszedł do drzwi wejściowych. Kiedy je otworzył, zobaczył, że przed domem nikogo nie ma. Wyszedł na zewnątrz i popatrzył w obu kierunkach wzdłuż szeregu domów. Światła na innych budynkach rozjaśniały letnią noc, ale na chodniku nie było nikogo. Kiedy spojrzał na schodki, zaraz go zauważył. Jego dziennik leżał na drugim stopniu. Podniósł go szybko i przekartkował. Wszystko było na swoim miejscu. Znow się rozejrzał, po czym wrócił do środka.

Zdjął garnek z makaronem z pieca, usiadł przy kuchennym stole i przez dziesięć minut czytał swój dziennik. Kiedy uznał, że niczego nie brakuje, wstał i wszedł do swojego biura. Zdjął tablicę okresową pierwiastków ze ściany i przekręcił pokrętło ściennego sejfu. Umieścił dziennik w środku, zamknął sejf i zawiesił z powrotem tablicę. Potem sięgnął po telefon, żeby zadzwonić do Gabrielli.

Rozdział 76

Szli w ciemności, dopóki nie doszli do parkingu dla uczniów. Gavin rozsiadł się na siedzeniu pasażera, a pozostali stłoczyli się z tyłu. Gwen włożyła kluczyk do stacyjki, upewniła się, że reflektory są wyłączone, po czym wyjechała z parkingu. Kiedy minęli bramę szkoły, włączyła lampy, rozświetlając Champion Boulevard, i wcisnęła pedał gazu. Uznała, że jeśli się pospieszą, to mają szansę dogonić Tannera.

Pięć minut później skręciła ostro w drogę numer siedemdziesiąt siedem. Panowały na niej egipskie ciemności, więc włączyła światła długie. Kiedy jechała pustą szosą, wszyscy skoncentrowali się na zielonych znacznikach odległości. Pierwszy oznaczał jedenastą milę. Minęli go, jasno rozświetlonego przez reflektory. Minutę później zobaczyli znacznik numer dwanaście. Zaczekali, aż ciemność wypełni okna, po czym zaczęli wypatrywać numeru trzynaście. Wiedzieli, że są już blisko.

Byli tak skoncentrowani na wypatrywaniu znacznika, że żadne z nich niczego nie zauważyło, ale wszyscy usłyszeli odgłos uderzenia. Brzmiał, jakby ktoś walnął kijem bejsbolowym w plastikowy kosz wypełniony wodą.

Łup.

Gwen wcisnęła mocno hamulce i samochód zatrzymał się z piskiem. Nikt się nie poruszył przez kilka długich sekund. Nikt nie oddychał. W końcu powoli odwrócili głowy i popatrzyli przez tylną szybę. Na poboczu drogi coś leżało, ledwie widoczny w mroku kształt. Nic się nie poruszyło, kiedy tak patrzyli i czekali.

– Co to było? – zapytała Gwen drżącym głosem, zaciskając dłonie na kierownicy. Jako jedyna wciąż patrzyła przed siebie, nie znajdując w sobie tyle odwagi, żeby odwrócić głowę.

Gavin wziął głęboki oddech.

– Pewnie jakiś opos.

– Za duże to na oposa – zaproponował Theo. – Może sarna?

Gwen oderwała w końcu wzrok od przedniej szyby i spojrzała na Gavina. Obróciła kierownicę i zawróciła na trzy razy. Samochód potoczył się powoli w stronę nierozpoznanego kształtu. Cała piątka wbijała w niego wzrok, mając nadzieję rozpoznać kształty sarny. Jakiegokolwiek zwierzęcia. Im bardziej się jednak zbliżali, tym blask reflektorów uwydatniał więcej szczegółów.

Część 9

Sierpień 2020 roku

Rozdział 77

Mąż Brianny McEvoy zaginął rok wcześniej. Nie przyjęła do wiadomości możliwości, że może on nie żyć: takiej wersji w ogóle nie brała pod uwagę. Po takim jednak czasie ta myśl zaczynała niepokoić ją bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Krótco po zaginięciu Marca regularnie spotykała się z detektywami, żeby wysłuchać najnowszych ustaleń. Znaleźli jego samochód na lotnisku w South Bend, gdzie zaparkował, żeby udać się w podróż służbową do Teksasu. Szybko jednak odkryli, że firma, w której Marc pracował, nie zaplanowała żadnego spotkania w Teksasie ani gdziekolwiek indziej w tygodniu, w którym doszło do zaginięcia. Okazało się za to, że Marc poprosił o dwa dni urlopu. Brianna była wstrząśnięta, gdy dowiedziała się o oszustwie męża.

Detektywi chętnie z nią rozmawiali przez kilka pierwszych tygodni, kiedy jednak podczas ustalania, co przytrafiło się jej mężowi i gdzie, wykluczyli przestępstwo, temat zaczął stopniowo wygasać.

Kiedy Brianna dzwoniła na początku śledztwa, detektywi odbierali telefony. Dwanaście miesięcy później reagowali dopiero wówczas, gdy nagrała im na pocztę głosową serię wiadomości. Kiedy w końcu oddzwaniła, przedstawiali rozmaite teorie na temat zniknięcia jej męża. Udało się im odkryć jego kłopotliwy dług, w związku z czym uznali, że Marc po prostu gdzieś się zaszył, żeby uniknąć egzekutorów. Brianna wiedziała, że ta teoria jest po prostu nedorzeczna, podobnie jak inna, która mówiła o tym, że Marc uciekł z kochanką. Rzadko bywał gdziekolwiek poza domem i pracą – niedużą firmą konsultingową, w której zatrudniano jeszcze pięć innych osób. Trzech pracowników było mężczyznami, a dwie kobiety przekroczyły już sześćdziesiątkę.

Najnowsze ustalenia okazały się wprowadzeniem nazwiska Marca do systemu NamUs, czyli ogólnokrajowej listy osób zaginionych i niezidentyfikowanych. Znajdowały się na niej dziesiątki tysięcy Amerykanów, którzy przepadali bez wieści każdego roku. Detektywi dodali dane Marca do

systemu wraz z próbkami DNA, które przekazała im Brianna. Nie musieli jej tłumaczyć przyczyn takiego postępowania, bo dobrze je rozumiała. Jeśli gdzieś znalezione zostanie niezidentyfikowane ciało, koroner lub patolog będzie mógł wprowadzić DNA do bazy NamUs w poszukiwaniu zgodności.

Brianna wiedziała, że detektywi postępowali zgodnie ze swoimi procedurami w odniesieniu do typowych sytuacji i podejrzeń. Wiedziała także, że była całkowicie szczerą w sprawach dotyczących swojego męża, żeby detektywi mogli dokonać szybszych postępów w poszukiwaniach. W tym momencie szczerść nie wchodziła jednak w rachubę i to nie do policji zwróciła się o pomoc.

Zeszła po schodach do piwnicy i otworzyła szafkę, w której Marc trzymał kolekcję swoich kart bejsbolowych. Wyjęła trzy opakowania i ułożyła je na barze. Odpięła zatrzask na pierwszym i rozłożyła je na boki, ujawniając cztery kolumny starannie poukładanych kart. Na kartach spoczywały luźne wycinki z gazet, na które natknęła się poprzedniej jesieni, trzy miesiące po zaginięciu Marca. Na każdej z nich znajdował się zapisany tekst „Człowiek z lustra”. Wszystkie artykuły dotyczyły dziwnego rytuału, który odbywał się dwa razy do roku w elitarnej szkole Westmont – raz zimą, podczas najkrótszego dnia w roku, i raz latem, podczas najdłuższego. W ubiegłym roku miało to miejsce dwudziestego pierwszego czerwca. Tego samego dnia zaginął Marc, a na terenie szkoły zamordowano dwóch uczniów.

Brianna poświęciła kilka ostatnich miesięcy na zastanawianie się, czy te dwa wydarzenia były ze sobą jakoś powiązane. Jednocześnie nie miała odwagi, żeby wspomnieć o tym detektywom – obawiała się, że mogliby w jakiś sposób powiązać jej męża z tymi morderstwami. Teraz uznała, że ta tajemnica skrywana jest już zdecydowanie za długo. Choć wciąż nie była gotowa, by zgłosić się z tym na policję, postanowiła opowiedzieć o tym komuś innemu.

Wyjęła z kieszeni wizytówkę i spojrzała na nazwisko dziennikarki.

Rozdział 78

Jak to często bywało w wykonywanej przez nią pracy, cisza potrafiła przerodzić się w burzę w ciągu jednej, krótkiej chwili. Zaledwie tydzień wcześniej Ryder została wycofana do rezerw przez redaktora naczelnego gazety, jej kanał na YouTube zamknięto, a blog przepadł. Następnie zadzwoniła do niej matka Theo Comptona z prośbą o pomoc i informacjami na temat niewygodnych tajemnic, które skrywał jej syn. Po tym skontaktowała się z nią Rory Moore, praktycznie upewniając ją w tym, że Theo został zamordowany i wcale nie popełnił samobójstwa.

Jakby tego było mało, w sobotni poranek zakończyła rozmowę z żoną Marca McEvoya i zastanawiała się, w jaki sposób sprawa zaginionego mężczyzny z South Bend może być powiązana z morderstwami w szkole Westmont. Jedno wiedziała na pewno: sprawa tamtej tragedii w opuszczonym domu nauczycielskim wcale nie ucichła i wciąż miała się dobrze. Teraz tchnięto w nią nowe życie, a Ryder uznała, że jeśli właściwie wszystko rozegra, przyczyni się do odkrycia prawdy. Uruchomiła silnik samochodu i czym prędzej pojechała do South Bend.

Rozdział 79

W sobotni rano Dwight Corey wyjechał wypożyczonym samochodem z parkingu przed hotelem. Lane siedział obok, na fotelu pasażera.

– To mi się nawet podoba – przyznał. – Jeszcze nigdy dotąd nie wyruszyliśmy razem w żadną podróż.

– Byłem na promocji twojej książki parę lat temu – odparł Dwight, włączając się do ruchu na grobli prowadzącej do wyspy Sanibel.

– To nie to samo. Nie mieliśmy jednego pokoju w hotelu i nie wozileś mnie wszędzie.

– Obiecałem Rory, że będę miał na ciebie oko, bo twój mózg wciąż nie pracuje jeszcze na najwyższych obrotach. Tylko dlatego spaliśmy w jednym pokoju. Nie odważyłbym się złamać złożonej jej obietnicy. A tak przy okazji, chrapiasz jak stary baran.

– To przez te moje płuca. Nie oczyściły się jeszcze i budzi mnie kaszel.

– Naprawdę? Wydawało mi się, że śpisz jak zabity. Słuchałem tego warkotu przez całą noc.

– To pewnie część twojej pracy.

– Może Rory miała rację, każąc ci poczekać jeszcze kilka dni. Przyznam szczerze, że nie wiedziałem, w jakim jesteś stanie, dopóki cię nie zobaczyłem.

– Nic mi nie jest. I mam u niej dług. Zaangażowałem się w tę sprawę z czysto osobistych pobudek. Ona nie ma w tym absolutnie żadnego interesu. Wiem po prostu, w jaki sposób działa jej umysł. Wystarczyło ściągnąć ją do Peppermill, a ta sprawa i wszystkie jej tajemnice załatwiły całą resztę. Może po tym pożarze i zagrożeniu życia miewam właśnie te rozterki w rodzaju „życie jest za krótkie”, ale czuję się naprawdę do dupy, robiąc jej to. Ale skoro mleko się już wylało, niczego nie cofnę. Rory nie spocznie, dopóki nie znajdzie odpowiedzi. Tak właśnie funkcjonuje. A teraz, kiedy zapewne natrafiła na jedną z nich, muszę jej pomóc i pójść tym tropem niezależnie od tego, czy zakończy się to klapą, czy też nie.

Dwight pokiwał głową.

– Cholera. Jak mocno walnęło cię w tę głowę?

– Cóż, masz przed sobą nowego, ciepłego i serdecznego Lane'a Phillipsa.

– Chyba go nawet lubię. Jak sądzisz, uda mu się zrezygnować ze steków i zatruwania kawy cukrem?

– Nie ma na to szans.

– A już myślałem, że jest dla ciebie jakaś nadzieja.

Kiedy poranne słońce zaczęło się odbijać na powierzchni oceanu, obaj mężczyźni pomknęli długim mostem łączącym kontynentalną Florydę z wyspą Sanibel.

Rozdział 80

Lane wysiadł z wypożyczonego samochodu i stanął w cieniu palmy, pod którą zaparkował Dwight. Naciągnął swoją bejsbolową czapkę, zakrywając w ten sposób paskudnie wyglądające rozcięcia z tyłu głowy, po czym przeszedł przez parking restauracji o nazwie Doc Ford's Rum Bar & Grille. Minęła jedenasta, kiedy wszedł do lokalu i zastał detektywa Gusa Morelliego siedzącego przy stoliku pod ścianą. Gości nie było jeszcze zbyt wielu, więc łatwo było go wypatrzeć. Mężczyzna był przysadzisty, Lane ocenił go na dobijającego siedemdziesiątki. Miał siwe włosy, srebrną kocią bródkę i klatkę piersiową faceta, który w młodości podnosił ciężary. Jeśli w encyklopedii znajdowała się definicja emerytowanego nowojorskiego detektywa, to obok z całą pewnością widniało zdjęcie Gusa Morelliego.

Mężczyzna wstał, kiedy Lane podszedł bliżej.

– Gus Morelli.

– Lane Phillips. – Wymienili uścisk dłoni. – Dziękuję za pański czas, naprawdę to doceniam.

– Jestem na emeryturze. Pozostał mi już tylko czas. Sprawa musi być istotna, skoro pofatygował się pan tutaj aż z Chicago w tak krótkim czasie.

– Zgadza się. Jest istotna albo może się taką niebawem stać.

Gus wskazał zajmowany wcześniej stolik i Lane usiadł. Zauważył na stole teczkę, na której widniało jego nazwisko.

– Praca domowa?

Gus się uśmiechnął.

– Kiedy dzwoni do mnie były profiler FBI, pytając o starą sprawę, nad którą pracowałem przed laty, staram się o takiej osobie co nieco dowiedzieć.

Lane uniósł podbródek.

– I co, znalazł pan coś interesującego na mój temat?

– Sporo rzeczy. O panu i pańskiej partnerce. – Gus otworzył teczkę. – Byłem gliniarzem w Nowym Jorku przez ponad trzydzieści lat i wciąż mam swoje

kontakty. Chyba się pan spodziewał, że poproszę o te papiery?

– Tak, spodziewałem się tego.

Gus uniósł lekko teczkę i przeczytał:

– Doktor Lane Phillips, profesor psychologii sądowej na Uniwersytecie Chicagowskim, założyciel systemu MOP. Były profiler z ramienia FBI w Instytucie Nauk Behawioralnych, gdzie pracował pan dziesięć lat, tropiąc, badając i pisząc procedury dotyczące seryjnych morderców. W ramach pracy doktorskiej przygotował pan słynną rozprawę *Niektórzy wybierają ciemność*, podręcznik na temat sposobów myślenia i postępowania seryjnych morderców, z którego treścią zapoznał się niemal każdy detektyw z wydziału zabójstw w tym kraju. Autor bestsellerów i gość wielu rozmów. Czy tyle wystarczy?

Lane przytaknął.

– Najważniejsze informacje.

– Do tego – Gus odwrócił kartkę – partner Rory Moore, którą uważa się za genialną specjalistkę od nierozwiązanych spraw.

– Woli określenie „rekonstruktor sądowy”.

– Jasne, ta współczesna mowa. W moich czasach oznaczało to w zasadzie tyle, że dostrzega przeoczone przez nas złoto w gównie.

Lane pokiwał głową.

– Dziś oznacza to dokładnie to samo. I owszem, jest w tym cholernie dobra.

– Z tego, co mówili mi moi znajomi, ma wyjątkowy wskaźnik rozwiązanych najstarszych i najbardziej beznadziejnych spraw. Te jednocentówki, w temacie których się pan do mnie zwrócił... to od niej?

Lane się uśmiechnął.

– Niestety nie jestem na tyle bystry, żeby samemu dostrzec to powiązanie. Podążam jedynie za jej odkryciami.

– No cóż, muszę przyznać... pański telefon obudził we mnie demony, co do których miałem nadzieję, że pozostaną już uspione. Nie ukrywam, bardzo chciałbym usłyszeć o tym powiązaniu.

Do stolika podeszła kelnerka, która przyjęła ich zamówienia. Dwie mrożone herbaty.

– Moja partnerka i ja pracujemy nad pewną sprawą w Indianie. Słyszał pan o morderstwach w szkole Westmont w zeszłym roku? – Gus wyduł wargi i pokręcił głową. – Nie słyszał pan o tym? Trąbiono o tym przez całe ubiegłe lato, a ostatnio znów mówią o tym w wiadomościach.

– Nie śledzę wiadomości – odparł Gus. – Nie mam kablówki i od dwudziestu lat nie oglądałem wieczornych newsów.

– A gazety pan czytuje?

– Każdego dnia rano, ale tylko sekcję sportową. Cała reszta to liberalne pieprzenie lub konserwatywny nonsens.

– A internet?

– A co to takiego?

Lane się uśmiechnął. Gus Morelli nie był zwyczajnym detektywem starej daty, on był prawdziwym zabytkiem.

– Westmont to elitarna, prywatna szkoła z internatem w miasteczku Peppermill w stanie Indiana – wyjaśnił. – Ubiegłego lata zamordowano tam dwójkę dzieciaków.

– Uczniów?

– Tak.

– W szkole?

– Na skraju kampusu w opuszczonym domu nauczycielskim, gdzie przed laty mieszkała kadra. Sprawa została otwarta i zaraz zamknięta – jeden z nauczycieli przeszedł załamanie nerwowe i pozabijał dzieciaki. Tak przynajmniej mówi oficjalna wersja. Ale to nie jest takie proste, jak się wydaje. W ciągu minionego roku troje uczniów, którzy przeżyli tamtą noc, wróciło do tego domu, po czym popełniło samobójstwo na biegnących tuż obok torach kolejowych. Coś tam wyraźnie nie gra, a główny detektyw prowadzący sprawę poprosił nas dwoje, żebyśmy po cichu przyjrzeliby się tej sprawie. Kiedy Rory zagłębiła się w akta, natrafiła na temat jednocentówek, które wiążą wszystkie ofiary samobójstw ze sprawcą. Użyłem algorytmu MAP, żeby sprawdzić, czy nie było już podobnych spraw. W ten sposób trafiłem na pana.

Kelnerka przyniosła im mrożone herbaty. Lane wypił łyk zimnego napoju.

– Kiedy się z panem skontaktowałem i tutaj przyjechałem, Rory zdążyła wywęszyć jeszcze jedną niespójność. Zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno dzieciaki ze szkoły Westmont odebrały sobie życie.

Gus odsunął teczkę na bok i oparł łokcie na blacie.

– Co ma pan na myśli?

– Wciąż nad tym pracuje, ale uważa, że ta trójka mogła zostać zamordowana, a wspólnym elementem są tutaj spłaszczone jednocentówki, które każde z nich miało przy sobie.

– Wspólnym elementem z zabójcą?

Lane uniósł brwi.

– Tego właśnie mam nadzieję się tutaj dowiedzieć.

Detektyw Morelli odwrócił głowę i utkwiał spojrzenie gdzieś w oddali. Lane zrozumiał chwilowe oderwanie się mężczyzny od rozmowy – jego mózg z pewnością musiał przez moment popracować. W końcu wyciągnął z teczki wizytówkę i zapisał coś na jej odwrocie.

– To jest mój adres – powiedział Gus. – Muszę sprawdzić kilka rzeczy. Wpadnie pan dzisiaj, tak koło dziewiętnastej?

Lane zabrał wizytówkę z blatu.

– Wymyślił pan coś?

– Niewykluczone – odparł Gus. – Proszę dać mi trochę czasu, dobrze?

Lane pokiwał głową.

– Nie ma sprawy. Do zobaczenia wieczorem.

Rozdział 81

Do Peppermill Ryder wróciła wczesnym popołudniem. Poświęciła pełną godzinę Briannie McEvoy, po czym wsiadła do samochodu i ruszyła w drogę powrotną. Teraz weszła do kawiarni, w której poprzedniego dnia spotkały się z Rory. Kobieta siedziała przy tym samym stoliku. Kiedy Ryder podeszła bliżej, zauważyła, jak Rory poprawia na nosie okulary w grubych oprawkach, których górne krawędzie dotykały wciśniętej na czoło czapki.

– Co odkryłaś? – zapytała Rory.

– Nie jestem pewna. Może to nic takiego, ale... kto to wie.

Ryder sięgnęła do torebki i wyjęła wycięty artykuł z „Indianapolis Star”, który napisała na temat Marca McEvoya, mężczyzny z South Bend, który przepadł bez wieści poprzedniego lata. Dopiero kiedy uświadomiła jej to Brianna McEvoy, Ryder zauważyła, że Marc zaginął dwudziestego pierwszego czerwca dwa tysiące dziewiętnastego roku – tego samego dnia, kiedy doszło do morderstw w Westmont.

– Pracuję nad tą sprawą z większym lub mniejszym zaangażowaniem od roku – przyznała Ryder. – Marc McEvoy, dwudziestopięcioletni ojciec dwojga dzieci z South Bend, zaginął ubiegłego lata. Poinformował żonę o wyjeździe służbowym do Teksasu i już nigdy nie wrócił do domu. Jego samochód znaleziono na lotnisku w South Bend i na tym ślad się urywa. Okazało się, że nie było żadnego zaplanowanego spotkania biznesowego w Teksasie. Policja nie dopatrzyła się żadnych śladów przestępstwa, facet nie miał wrogów, nie miał też prawdopodobnie żadnego romansu.

Rory pokiwała powoli głową.

– A co to ma wspólnego ze sprawą z Westmont?

– McEvoy zaginął tego samego dnia, którego doszło do morderstw. Po kilku miesiącach jego żona zeszła do piwnicy i znalazła plik wycinków prasowych, które ukrył w swojej kolekcji kart bejsbolowych. – Ryder wyjęła z torebki

więcej artykułów, położyła je na stoliku i przesunęła po blacie. – Dała mi je dziś jego żona.

– Kilka z nich napisałaś ty – zauważyła Rory, zerkając na nagłówki i podpisy.

– Tak, sporo grzebałam w sprawie z Westmont i ogólnie w temacie samej szkoły. Wygląda na to, że Marc McEvoy miał obsesję na punkcie gry, w którą bawiły się dzieciaki. Człowieka z lustra.

Rory pokiwała głową, przeglądając artykuły.

– Detektyw Ott. – Spojrzała na Ryder. – To on prowadził śledztwo w sprawie zabójstw w Westmont. Opowiedział mi o tej grze. Stwierdził, że dzieciaki wyniosły ją na zupełnie nowy poziom.

– Z tego, co odkryłam w ciągu tego roku – powiedziała Ryder – i z tego, co napisałam na moim blogu, wynika, że uzyskanie zaproszenia do gry nie jest takie proste. Niewielu uczniów wie, o co tak naprawdę w tym chodzi, bo tylko wybrani brali w niej udział, a ci z kolei mają obsesję na punkcie zachowywania tajemnicy na ten temat. To trochę taka klika w obrębie szkoły.

– Coś w rodzaju tajnego stowarzyszenia.

– Tak. Ale zamiast czaszek z piszczelami mamy tutaj lustra i duchy. Brianna McEvoy wiedziała wszystko na ten temat. Marc był absolwentem Westmont i opowiedział jej o grze, jak również o tym, że nie został przyjęty do tego klubu. Według niej sprawiał wrażenie, jakby było to dla niego zupełnie obojętne, czuła jednak, że nie przestawał myśleć o tym, co się wydarzyło, kiedy uczył się w Westmont.

– Dzieciaki potrafią być prawdziwymi dupkami.

– Bez wątplenia. Brianna uważała, że McEvoy mógł nadal cierpieć z powodu odrzucenia, nie miała jednak pojęcia, jak silna była to obsesja.

– Jakiego rodzaju obsesja? – zapytała Rory.

– Brianna McEvoy dowiedziała się, że Marc wziął w pracy dwa dni urlopu przed swoim zniknięciem. Zależało mu na tym, żeby żona uwierzyła w tę podróż służbową i żeby w pracy uważano, że wziął urlop z przyczyn osobistych.

– W jakim celu?

– Tego nie wie nikt. Ale Brianna McEvoy się martwi, że ma to coś wspólnego z tragedią w Westmont.

Ryder dostrzegła jakąś zmianę w wyrazie twarzy Rory, która nadal przeglądała artykuły. Z tego, co zauważyła, kobieta rzadko nawiązywała

kontakt wzrokowy, ale tym razem to zrobiła, podnosząc gwałtownie głowę znad wycinków.

– Na miejscu zbrodni odkryto niezidentyfikowaną krew – powiedziała Rory. Ryder zamrugła, próbując zrozumieć, co ma na myśli jej rozmówczyni.

– W tym opuszczonym domu?

Rory skinęła głową.

– Policja nie powiedziała o tym mediom, bo był to kawałek układanki, którego nie udało się im dopasować. Na miejscu przestępstwa znaleziono trzy profile DNA. Pierwszy pasował do Tannera Landinga, drugi do Andrew Grossa, a trzeciego nie udało im się dotąd zidentyfikować.

Ryder pochyliła się i spojrzała na jeden z nagłówków.

Zaginienie mężczyzny z South Bend.

Brak jakichkolwiek śladów

– Marc McEvoy? – zapytała pełnym napięcia głosem, patrząc na Rory.

– Musimy zdobyć próbkę jego DNA.

– Już ją mamy – odparła Ryder. – Informacje na jego temat dodano do bazy NamUs.

– Ogólnokrajowej listy osób zaginionych i niezidentyfikowanych.

– Zgadza się. Dane zawierają również profil DNA.

– Ja mam dostęp do DNA tej niezidentyfikowanej krwi. Możemy wrzucić je do bazy NamUs i poszukać zgodności.

– Kiedy? – spytała Ryder.

– Teraz. Wszystko, czego potrzebujemy, mam w wynajętym domu.

Kobiety wstały od stolika i opuściły pospiesznie kawiarnię.

Szkoła Westmont

Lato 2019 roku

Rozdział 82

Gwen i jej przyjaciele wysiedli z samochodu i stanęli w świetle rzucanym przez reflektory. Ich cienie rozciągały się na asfalcie i zasłaniały leżące przy drodze ciało – kształt z poskręcanyymi kończynami i połamanymi kośćmi, który nie odpowiedział, kiedy dziewczyna zawołała łagodnie z pytaniem, czy wszystko jest w porządku. W końcu Gavin podszedł bliżej i przykucnął przy ciele. Nasłuchiwał przez chwilę oddechu i sprawdził, czy pierś mężczyzny unosi się i opada. Po chwili wstał i wrócił do pozostałych.

– On chyba nie żyje – oznajmił.

Gwen, która już była strzępkiem nerwów, zaczęła głośno płakać. Pozostali instynktownie cofnęli się o kilka kroków. Gavin przesunął dłonią po twarzy i podrapał się nerwowo za uchem.

– Okej – rzucił. – Lepiej... lepiej to przemyślmy.

– Powinniśmy wezwać policję – powiedziała Danielle.

Gavin wyciągnął przed siebie obie ręce z wyprostowanymi palcami wskazującymi.

– Tak powinniśmy postąpić. Zastanówmy się jednak, co się stanie, jeśli to zrobimy. Wszyscy za to bekniemy. Gwen prowadziła po wypaleniu trawy, po czym po prostu... zabiliśmy człowieka. Jeśli zadzwonimy na policję, wszyscy trafimy do więzienia.

– To był przecież wypadek – zaproponowała Danielle. – Nie zrobiła tego celowo.

– Zgadza się – przyznał Gavin. – Nie chciała go zabić, ale mimo wszystko mamy tu trupa. To się określa mianem spowodowania śmierci. Nieumyślnego spowodowania śmierci, jeśli się jej poszczęści. Ale ona jest na haju, będą więc obstawać przy tym, że nie było to jednak nieumyślne. Za to się idzie do więzienia. Jeśli ściągniemy tu gliny, życie Gwen się skończy, podobnie jak nasze. Naprawdę sądzicie, że dostaniecie się do college'u, mając coś takiego w papierach?

– Okej, okej – zawołał Theo. – Nie kłóćmy się. Pomyślmy lepiej, jak to rozwiązać.

– Posłuchajcie – powiedział Gavin. – To był wypadek, jak już powiedziała Danielle. Nie chcieliśmy tego. Poza tym co ten facet robił na ciemnej drodze, ubrany zupełnie na czarno? Potrąciłibyśmy go, nawet gdybyśmy byli trzeźwi. Żadne z nas nie zasługuje na zniszczone życie z powodu wypadku.

– Nie gadaj, jakbyś zwracał się do ławników, Gavin! – warknął Theo. – Jaki jest ten pieprzony plan, skoro nie wzywamy glin?

Gavin zastanowił się przez chwilę.

– Okej. – Wzruszył ramionami, jakby to, co miał za chwilę zaproponować, było prostym rozwiązaniem. – Ukryjemy ciało. Pojedziemy do wąwozu i zatopimy je w Baker's Creek. Tam jest głęboko i prąd jest silny. Nikt go nie znajdzie. Potem wszyscy udamy się na poszukiwanie kluczy i wrócimy do domu, żeby się spotkać z Andrew. Inicjacja będzie kontynuowana zgodnie z planem.

– Odbiło ci? – zawołał Theo.

– Posłuchaj mnie. Jeśli postanowimy nie wzywać glin, a chyba wszyscy się zgadzamy, że to najlepsza decyzja, to będziemy potrzebowali na dzisiaj alibi. Za jakiś czas ktoś może zacząć szukać tego faceta. Musimy mieć niepodważalne historie związane z tym, co dzisiaj robiliśmy.

– Ja się tym zajmę – oznajmiła Gwen, przerywając Theo i Gavinowi. Wszyscy przenieśli na nią spojrzenia. – Wrzucę go do potoku. To ja go potrąciłam i to ja go ukryję. Wy ruszajcie już w drogę. Idźcie do tego domu, kontynuujcie inicjację. Spotkamy się na miejscu.

– Pomogę ci – powiedział Gavin.

– A co z samochodem? – zapytała Danielle.

– Kiedy skończymy, odprowadzę go do kampusu – odpowiedział Gavin. – Wrócę piechotą. Chrzanić to. Spóźnię się, ale dotrę na miejsce. Powiem po prostu, że nie mogłem odnaleźć swojego klucza.

Wszyscy popatrzyli na siebie w rozświetlanych reflektorami ciemnościach. W głowach kręciło im się od marihuany, myśli galopowały niezdarnie, a pulsy gwałtownie przyspieszyły w reakcji na szokujące wydarzenia. W końcu wszyscy po kolei skinęli głowami. Plan został zatwierdzony.

Theo, Danielle i Bridget ruszyli poboczem drogi numer siedemdziesiąt siedem w poszukiwaniu wejścia do lasu, które prowadzi do opuszczonego domu

nauczycielskiego. Kiedy ich przyjaciele zniknęli w mroku, Gwen i Gavin popatrzyli na ciało. Dziewczyna wzięła głęboki oddech, żeby się trochę uspokoić. W końcu chwycili martwego mężczyznę pod pachy, czując na dłoniach jego kleistą krew.

Część 10

Sierpień 2020 roku

Rozdział 83

Wybiła dziewiętnasta w sobotni wieczór, kiedy Lane zastukał do drzwi domu Gusa Morelliego – budynku ze stiukową fasadą w kolorach łososia i odcieni błękitu, dość powszechnych na Florydzie. Wszedł zewnętrznymi schodami na drugie piętro i stanął na pomoście. Drzwi się otworzyły i w przejściu stanął emerytowany detektyw.

– Dobry wieczór – powiedział Lane. – Jak tam postępy?

– Proszę wejść, zaraz panu o wszystkim opowiem – odparł Gus i zaprosił Lane’a do środka gestem ręki. – Mam piwo i napoje gazowane.

Lane sięgnął do tylnej części swojej czapeczki bejsbolowej i poczuł ból w okolicach rany. Chętnie napiłby się piwa, ale tym razem postanowił odpuścić.

– Poproszę colę dietetyczną, jeśli pan ma.

– Jasne.

Lane wszedł do kuchni, która przechodziła w jadalnię, a potem w salon z meblami zgromadzonymi wokół powieszonego na ścianie telewizora. Za salonem widoczny był osłonięty balkon, przez którego otwarte drzwi wpadała ciepła, oceaniczna bryza.

– Możemy porozmawiać na balkonie – zaproponował Gus i sięgnął do lodówki, z której wyjął puszkę coli i butelkę piwa.

Z drugiego piętra rozciągał się fantastyczny widok na zatokę z plażą ciągnącą się na wschód i zachód. Po stronie południowej, za wodą, widoczna była dzielnica Naples. Słońce na zachodzie rzucało długie cienie osób spacerujących po piasku.

Lane zajął jedno z ogrodowych krzeseł. Gus usiadł naprzeciw niego i pociągnął łyk piwa z butelki.

– Przez cały dzień wisiałem na telefonie. Rozmawiałem z moimi kontaktami i stopniowo podążałem we właściwym kierunku. Od tego zacząłem pracę. Znów poczułem się jak gliniarz i czuję, że to, co odkryłem, uzna pan za bardzo interesujące.

– Zamieniam się w słuch.

Gus wstał.

– Proszę za mną. Żeby uzyskać pełny obraz, powinniśmy chyba zacząć od samego początku.

Lane odłożył swoją dietetyczną colę i wyszedł z balkonu, patrząc, jak emerytowany detektyw kuśtyka przez kilka kroków, łapiąc w końcu swój rytm. Weszli do pokoju sąsiadującego z salonem. Kiedy Gus otworzył drzwi, Lane ujrzał sypialnię zastawioną kartonami. Zajmowały prawie całą przeciwległą ścianę i tworzyły stertę wysoką na trzy rzędy.

– Czym jest to wszystko? – zapytał.

– Jestem emerytowanym detektywem. Te kartony jadą ze mną wszędzie, dokąd się przenoszę. Trzymałem je wcześniej w skrytce w Nowym Jorku. Kiedy postanowiłem w końcu przejść na emeryturę, zabrałem wszystko ze sobą.

Lane zrobił kilka kroków do przodu, przyglądając się pudłom.

– Co się w nich znajduje?

– Sprawy z czasów mojej kariery, które nigdy nie przestały wołać mnie po imieniu.

– Czyli nigdy ich pan nie rozwiązał?

– Niektórych nie. Inne prawie. – Gus wskazał jeden z kartonów, który spoczywał u stóp łóżka. – Ten jest wyjątkowo niepokojący i nigdy nie potrafiłem się go pozbyć. – Wszedł głębiej do pokoju i chwycił pudło za wycięte uchwyty. – Nazwałem to sprawą jednocentówek.

Rozdział 84

Rory i Ryder siedziały przed komputerem, patrząc na obracającą się na ekranie klepsydrę. Znajdowały się w pracowni urządzonej w wynajętym domu. Rory nie pofatygowała się nawet, żeby wytłumaczyć znaczenie opartej na sztaludze tablicy korkowej i zdjęć każdej z osób mających związek ze sprawą z Westmont. Nie wyjaśniła również, dlaczego na biurku leży porcelanowa lalka, której ostatnie detale Rory poprawiała jeszcze tego ranka.

Rory zauważyła swoje odbicie w ekranie komputera i zobaczyła kontur swoich okularów wystających poza skronie. Poprawiła je na nosie, wciąż czekając na wyniki wyszukiwania DNA, które prowadziła obecnie razem z Ryder. Wcisnęła mocniej na czoło czapkę i już miała wymacać górny zatrzask wiatrówki, kiedy ekran komputera na moment pociemniał, a następnie znów ożył.

DOPASOWANIE

Rory popatrzyła na Ryder.

– Czyli już wiemy, że krew na miejscu zbrodni należała do Marca McEvoya.

– Sukinsyn – mruknęła Ryder, ledwie poruszając wargami, po czym spojrzała na Rory. – I co teraz?

Rory przypomniała sobie opis i szczegóły raportu. Śladowe ilości niezidentyfikowanej krwi znajdowały się zarówno na ciele Tannera Landinga, jak i na dziewczynie, którą znaleziono na miejscu.

– Teraz porozmawiamy z Gwen Montgomery – oznajmiła – i dowiemy się, co wie na temat Marca McEvoya.

Rozdział 85

Gwen Montgomery płakała i patrzyła na siedzącą naprzeciw niej kobietę. Rozejrzała się po pomieszczeniu i wzięła kilka oddechów. Przyszła tutaj przygotowana, żeby podzielić się swoją tajemnicą, żeby w końcu opowiedzieć o tym, co wiedziała na temat tamtej nocy, kiedy zginęli Tanner i Andrew. Wielokrotnie odtwarzała sobie te wydarzenia w głowie, nigdy jednak nie odezwała się na głos. Aż do teraz. Przyszła tutaj, żeby oczyścić swoje sumienie i wypędzić demony. Żeby w końcu ujawnić prawdę na temat tamtej tragedii. Żeby wyrzucić z siebie wszystko to, co wcześniej ukryli przed policją.

Gwen i jej przyjaciele wiedzieli, że pan Gorman jest niewinny. Wiedzieli, że to nie on zabił Tannera i Andrew. Widzieli go tamtej nocy, kiedy zajrzeli przez kuchenne okno. Gotował coś na swojej kuchence. Chwilę później Gavin użył dzwonka i wszyscy uciekli w ciemność, do jej samochodu, żeby pojechać w kierunku wskaźnika trzynastej mili na drodze numer siedemdziesiąt siedem. Zważywszy na czas śmierci Tannera i Andrew, pana Gormana należało wykluczyć jako sprawcę. Wszyscy dobrze o tym wiedzieli. Kiedy plotki rozeszły się po kampusie, a szczegóły związane z udziałem w morderstwie pana Gormana trafiły do mediów, wiedzieli, że owe plotki są błędne, a szczegóły źle interpretowane. Ujawnienie tego policji wymagałoby jednak od Gwen i jej przyjaciół przygotowania nowego przebiegu wypadków z tamtej nocy, a wszyscy za bardzo się obawiali, że mogliby w ten sposób powiedzieć policji więcej, niż chcieli, a w szczególności to, że potracili i zabili człowieka, pędząc drogą numer siedemdziesiąt siedem w stronę leśnej dróżki prowadzącej do domu nauczycielskiego.

Kiedy znaleźli się tamtej nocy przy domu, zobaczyli Tannera nabitego na furtkę i uciekli. Wszyscy z wyjątkiem Gwen. Ona próbowała zdjąć Tannera z ogrodzenia, na skutek czego poplamiła się jego krwią. Krew martwego kolegi wymieszała się z krwią mężczyzny, którego zabiła i którego ciało zepchnęła do Baker's Creek. Po kilku dniach poznała jego nazwisko – Marc McEvoy. Policja

zaczęła jednocześnie podejrzewać pana Gormana, przez co cała ich grupa przeprowadziła ożywioną rozmowę, podczas której zastanawiali się, czy powinni powiedzieć o tym, co wiedzą, czy lepiej zachować milczenie. Kłócili się na tyle długo, że w tym czasie pan Gorman spróbował odebrać sobie życie. Dni zmieniły się w tygodnie, a te w miesiące. Ich poczucie winy jednak wcale nie zniknęło. Pierwsza załamała się Bridget, a po niej kontrolę stracili Danielle i Theo. Tak przynajmniej uważała Gwen. Aż do teraz. Aż do chwili, kiedy usiadła w pomieszczeniu i wpatrywała się w siedzącą naprzeciw niej kobietę.

Przyszła tutaj, żeby oczyścić swoją duszę. Nie mogła już z tym dłużej żyć. Teraz siedziała spięta i bawiła się nerwowo trzymaną w dłoniach, spłaszczoną jednocentówką. Znow się rozplakała. Miała chęć krzyknąć, choć wiedziała, że to bezcelowe.

Rozdział 86

Wrócili na balkon. Karton spoczywał na stoliku między nimi. Detektyw Morelli zaczął przekładać teczki, aż w końcu wyciągnął jedną z nich i otworzył na stronie ze swoimi notatkami. Przesuwając palcem po kartkach, mówił, nie podnosząc wzroku na Lane'a. Przewracał jedną stronę po drugiej, jakby szukał czegoś w zapomnianym pamiętniku z dzieciństwa.

– Wezwano mnie do Oak Point Yard, przeładunkowej bocznicy kolejowej na Bronksie. Nastolatek kontra pociąg oraz ja, wezwany pospiesznie na miejsce zdarzenia. Kiedy tam przyjechałem, zastałem chaos. Patolog była już w drodze. Ofiara została rozczłonkowana, niewiele z niej zostało po tym, jak pociąg przeciągnął ją po torach. Po przyjeździe rozmawiałem z rodzicami. Byli zszokowani, jak może pan sobie wyobrazić. Dowiedziałem się wtedy, że ofierze towarzyszył brat. Chciałem oczywiście z chłopakiem porozmawiać, przejść się kawałek, żeby znalazł się poza zasięgiem swoich rodziców. Od razu jednak wyczułem, że między nimi jest coś dziwnego. Potem usłyszałem, że chłopak został przez tych ludzi przygarnięty. Miało to miejsce sześć miesięcy wcześniej.

– Ile miał lat?

– Czternaście. Ten, który wpadł pod pociąg, szesnaście.

Gus pociągnął piwo z butelki i przerzucił stronę w teczce. Lane odniósł wrażenie, że detektyw nie potrzebował swoich notatek. Wydawał się pamiętać szczegóły tej sprawy, jakby pracował nad nią zaledwie dzień wcześniej.

– Zabrałem więc dzieciaka na krótki spacer. Powiedział mi wtedy, że razem z bratem chodzili w pobliże torów i że nie był to ich pierwszy raz. Jego zdaniem przychodzili tam po to, żeby spłaszcząć na szynach jednocentówki. – Lane zmarszczył czoło, gdy usłyszał o spłaszczonych monetach. – Wyglądało to tak: kładli po jednej nowej monecie na szynie, po czym się cofali i czekali na przyjazd pociągu. Tamtego dnia, kiedy zginął jeden z nich, zrobili dokładnie to samo. Tym razem jednak brat podszedł bliżej i pociąg go potracił.

Lane pokiwał głową i przekrzywił ją lekko.

– Tragiczna historia.

– Może, jeśli to prawda. Moim zdaniem był to prawdziwy stek kłamstw. Po pierwsze młody twierdził, że robili to już wielokrotnie. Można zatem założyć, że za każdym razem szło im sprawniej, a nie gorzej.

Lane wzruszył ramionami i wydał dolną wargę.

– Tak, rozumiem pański tok rozumowania. Ale dzieciaki są głupie. Lubią podejmować ryzyko i uważają się za nieśmiertelne. Ja to widzę tak, że chłopak robi się zbyt pewny siebie, podchodząc do torów, aż w końcu ta pewność siebie przekracza pewien poziom. I w pewnym momencie jest po prostu za blisko.

– Zgoda – przyznał Gus. – Ale mam z tą teorią pewien problem. Ten, który przeżył, powiedział, że jego przybrany brat William Pederson podszedł zbyt blisko torów i wtedy uderzył go pociąg. W raporcie z autopsji podano jednak, że pociąg nie uderzył go tak po prostu, ale wręcz zmasakrował.

Gus wyjął wspomniany raport z kartonu, otworzył i przesunął po blacie. Lane zobaczył zdjęcie zwłok chłopaka. Ledwie potrafił dopasować kształt leżący na stole do konturów ludzkiego ciała. Zamknął teczkę.

– Pociąg zmiażdżył mu czaszkę, jakby to był pączek, i zniszczył praktycznie każdy organ w jego ciele. Przeciągnął go przez dystans równy dwóm boiskom piłkarskim, po czym resztki spoczęły na torach.

– Wygląda paskudnie – przyznał Lane.

– Bo to było paskudne. I dlatego właśnie uznałem, że historia opowiedziana przez chłopaka to bzdury. Jeśli William Pederson podszedł po prostu za blisko torów, to czy pociąg najzwyczajniej nie uderzyłby go i nie odrzucił w bok? Żeby lokomotywa mogła uderzyć w całe ciało i pociągnąć je ze sobą, musiałby on stać na torach, a nie pochylać się nad nimi. Myślę więc, że tamten gówniarz go wtedy popchnął.

Lane spojrzał na ocean i przypomniał sobie teorię Rory mówiącą o tym, że uczniowie z Westmont nie popełniali samobójstw.

Oni nie odebrali sobie życia, powiedziała mu. Ktoś wepchnął ich pod nadjeżdżający pociąg.

Lane poczuł łaskotanie w piersi, tuż pod mostkiem, kiedy wyczuł związek między tymi dwiema sprawami.

– Proszę, niech mi pan powie, że w końcu złapał pan tego dzieciaka.

Gus znów wziął łyk piwa.

– Ależ oczywiście. Dlatego poprosiłem pana o przyjazd na Florydę.

Rozdział 87

Rory zastanowiła się nad najlepszym sposobem na znalezienie Gwen Montgomery i ostatecznie uznała, że jedyną możliwą opcją będzie podejście niezauważoną. Jeśli dziewczyna wiedziała cokolwiek na temat Marca McEvoya i potrafiła wyjaśnić, dlaczego miała jego krew na rękach w dniu, kiedy doszło do tragedii w Westmont, to z pewnością nie powiedziałaaby o tym Rory przez telefon. A jeśli naprawdę skrywała tę tajemnicę przez cały rok, to Rory wiedziała, że będzie potrzebowała pomocy, żeby przekonać dziewczynę do mówienia. Potrzebny jej będzie zespół zaufanych sojuszników – kadry i personelu ze szkoły Westmont, którzy uczyli Gwen i jej doradzali. Rory potrzebowała kogoś z autorytetem, przed kim Gwen z całą pewnością zawahałaby się, chcąc skłamać. Aby zebrać ten zespół, Rory zrobiła jedyną rzecz, która przyszła jej do głowy, mianowicie zadzwoniła do Henry'ego Otta. Nie znosiła ujawniać jakichkolwiek informacji, dopóki nie miała w ręce wszystkich odpowiedzi, ale tym razem znajdowała się daleko od domu i musiała polegać na innych w stopniu, do którego nie była przyzwyczajona. Już sama konfrontacja z Gwen Montgomery wymagała od niej dostępu do kampusu szkoły Westmont. Rory była tam w minionym tygodniu z Henrym Ottem. Brama była zamknięta i otworzyła się elektronicznie dopiero po tym, jak detektyw pokazał swoją odznakę. Skoro wjazd na teren szkoły stanowił pewien problem nawet dla kogoś takiego jak Henry Ott, Rory nie mogłaby nawet pomarzyć o tym, żeby dostać się tam bez zapowiedzi.

Zaparkowała na Champion Boulevard, nieopodal bramy wjazdowej do szkoły. Podczas rozmowy z detektywem Ottem Rory przekazała mu wszystko, czego się dowiedziała w ciągu ostatnich kilku dni – powiedziała o tajemniczych jednocentówkach, które łączyły uczniów i Charlesa Gormana, o podejrzaniach, że dom samobójców był czymś znacznie bardziej złowrogim, jak również o swoich odkryciach, które pozwoliły jej zidentyfikować źródło tajemniczej krwi. Gdyby miała jeszcze kilka dni i dostęp do swoich zwyczajowych zasobów,

zaplanowałyby wszystko zupełnie sama. Jednak w Peppermill w stanie Indiana, wspierana przez dziennikarkę, która nie mogła się doczekać, żeby napisać artykuł, Rory nie miała wyboru – musiała skorzystać z pomocy innych.

Kiedy udała się do szkoły Westmont, Ryder zabrała się za sprawę Marca McEvoya, chcąc się przekonać, czy znajdzie jakiegokolwiek dowody mówiące o tym, dlaczego znalazł się w Peppermill w dniu tragedii w Westmont. Rory obiecała zadzwonić do niej później, kiedy dowie się czegoś więcej na temat Gwen Montgomery. Henry Ott zatelefonował do szkoły z prośbą o spotkanie z Gabriellą Hanover i Christianem Casperem, żeby przekazać im najnowsze wieści. Powiedział Rory, że spotka się z nią przy bramie. Razem, zgodnie z procedurami, znajdą Gwen Montgomery i dowiedzą się, co dziewczyna wie na temat zaginionego mężczyzny nazwiskiem Marc McEvoy.

Rory czekała więc w samochodzie z włączonymi światłami w pobliżu bramy wjazdowej. Swędziała ją skóra, a pot na karku stał się kleisty i wilgotny. Jej prawa noga drżała, a klamry na butach Madden Girl wypełniały samochód subtelnym pobrzękiwaniem, kiedy wpatrywała się w ciemną drogę przed sobą i czekała na światła nadjeżdżającego auta Henry’ego Otta.

Zamiast tego brama wjazdowa zagrzechotała i zaczęła się otwierać. W ciemności zobaczyła jakąś postać, która gestem ręki zaprosiła ją na teren szkoły.

Rozdział 88

Gus sięgnął ponownie do kartonu i wyjął kolejną teczkę, w której znajdowały się fotografie z miejsca zdarzenia. Podał Lane'owi duże zdjęcie w formacie dwadzieścia na dwadzieścia pięć. Utrwalone zostały na nim tory, na których stracił życie William Pederson. Na szynie widać było wysoki sportowy but.

– Uderzenie sprawiło, że chłopaka wyrzuciło z butów – oznajmił Gus. – Akcja w stylu Raya Browera[4].

Lane przysunął zdjęcie nieco bliżej.

– Prawda wydaje się dziwniejsza niż fikcja. Kto by pomyślał, że coś takiego jest możliwe.

– Przyczyna jest tutaj bardzo ważna, ponieważ sytuacja, kiedy ofiara zostaje wyrzucona z butów, stanowi potwierdzenie, że chłopak znajdował się na torach, kiedy został uderzony.

– Ale przybrany brat nigdy temu nie zaprzeczył, prawda? Nie powiedział przecież, że William pochylał się nad torami.

– Przyznał jedynie, że chłopak znalazł się za blisko, że w jednej chwili tam był, a w następnej już nie. Twierdził, że nie widział dokładnie, co się stało.

– Może to zablokował. To dość powszechne w przypadku traumy. Mógł cierpieć na zespół stresu pourazowego.

– Z całym szacunkiem, doktorze, ale to tylko psychiatryczna paplanina. Dzieciak doskonale wiedział, co tam zaszło, a wszystko, co mi powiedział, przygotował sobie zawczasu w głowie.

– Na przykład co?

– Na przykład całą historię. Była zbyt doskonała. Aż pękał z dumy, kiedy opowiadał o tym, że chodzili tam z Williamem wielokrotnie, że wiele razy kładli jednocentówki na szyny. Opowiedział, że kilka tygodni wcześniej napatoczyli się na gliniarza i zostali spisani, że dostali reprimendę od rodziców i że jest gotów pokazać mi tę cholerną kolekcję spłaszczonych monet.

– Może miał tę historię przygotowaną, bo była prawdziwa.

Gus pokręcił głową.

– Nie ma mowy. To była czysta choreografia. Gówniarz doprowadził ją do takiej perfekcji, że nie miałem się do czego przyczepić.

– A dzięki czemu zyskał pan pewność, że wszystko było kłamstwem?

Gus wskazał trzymane przez Lane'a zdjęcie.

– Widzi pan?

Lane spojrział ponownie na fotografię.

– Tak. But tamtego dzieciaka. Już go widzieliśmy.

– Nie. Nie to, co jest widoczne na zdjęciu, mnie niepokoi, lecz to, czego na nim nie widać.

Lane popatrzył dokładniej.

– A czego tu brakuje?

Gus pochylił się do przodu.

– Jego pieprzonej jednocentówki – odparł, wskazując zdjęcie. – Na zdjęciu jest tylko jedna. Dzieciak powiedział, że położyli na szynach dwie monety, tuż przed tym, jak pociąg przejechał Williama. Potem, kiedy jego przybrany brat znikł, chłopak spanikował i pobiegł do domu, żeby powiedzieć o wszystkim Pedersonom. Ale nie to się wydarzyło. Gówniarz czekał, aż pociąg przejedzie, zabrał swoją monetę i dopiero stamtąd uciekł. Kiedy przyjechałem tamtego wieczoru na bocznice, wciąż miał ją w kieszeni.

[4] Postać z powieści *Ciało* Stephena Kinga, która zginęła w podobny sposób, potrącona przez pociąg (przyp. tłum.).

Rozdział 89

Rory wytężyła wzrok w swoich okularach i wpatrywała się w ciemność, jadąc powoli przed siebie. Kiedy znalazła się wystarczająco blisko, rozpoznała Christiana Caspera. Gdy tylko podjechała do bramy, wyszedł jej naprzeciw i podszedł do samochodu. Rory poprawiła okulary na nosie i opuściła szybę. Doktor Casper pochylił się do niej.

– Dobry wieczór, panno Moore – powiedział. – Dobrze znów panią widzieć.

Rory przypomniawszy sobie niekomfortowe spotkanie w środę, kiedy doktorzy Casper i Hanover zabrali ją i Henry'ego Otta wózkiem golfowym do opuszczonego domu nauczycielskiego. Na wspomnienie odmowy uściśnięcia dłoni doktor Hanover poczerwieniała na twarzy, a w brzuchu poczuła motyle. Uznała, że doktor Casper doskonale zapamiętał ten incydent, ponieważ i tym razem nie wyciągnął do niej ręki.

– Właśnie odebrałem telefon od detektywa Otta – wyjaśnił. – Powiedział, że jest już w drodze. Pomyślałem nawet, że to on, kiedy zobaczyłem światła samochodu.

– Powinien dotrzeć tutaj lada chwila. Czekałam na niego.

– Ponoć szukacie Gwen Montgomery? – zapytał doktor Casper.

– Zgadza się. Musimy z nią porozmawiać o... wydarzeniach z ubiegłego roku.

Wypłynęło coś nowego.

– Czy to dzięki waszej ostatniej wizycie w domu nauczycielskim?

– Po części tak – odparła Rory.

– Kiedy odebrałem telefon od detektywa Otta, porozmawiałem z personelem. Przykro mi, ale Gwen wyjechała wczoraj do domu. Wczoraj rano zakończył się kurs letni. Wróci dopiero na rozpoczęcie jesienno-zimowego semestru, za kilka tygodni. Czy to jakaś pilna sprawa?

– Możliwe – odparła Rory, nie chcąc niczego ujawniać do chwili przybycia detektywa Otta. – Gdzie jest ten jej dom?

– W Michigan. Ann Arbor.

– Czy mogłabym poprosić o jej dane kontaktowe? Numer telefonu i adres?

Doktor Casper zawahał się i uśmiechnął przelotnie. Uważnie dobrał słowa:

– Zanim udzielię informacji na temat jednej z naszych uczennic, będę musiał porozmawiać z detektywem Ottem.

Rory skinęła głową i ponownie poprawiła okulary.

– Oczywiście. – Zerknęła na zegarek. – Zaraz powinien tutaj być.

– Może zjedzie pani na parking dla gości? Możemy poczekać w biurze. Zadzwońm już do Gabrielli Hanover, wkrótce do nas dołączy. Tymczasem poszukam teczki Gwen.

Czując pot na karku, Rory minęła żelazną bramę i znalazła się na terenie elitarnej szkoły Westmont.

Rozdział 90

Lane nie odrywał wzroku od zdjęcia sięgającego za kostkę buta sportowego, który leżał na torach tuż obok pojedynczej spłaszczonej jednocentówki. W końcu odłożył je na stół.

– Zapytał pan go kiedykolwiek o te jednocentówki? Dlaczego tamtego dnia na torach nie było dwóch monet?

– Nie – odparł Gus. – Uznałem, że zachowam to na później, ale to później nigdy nie nadeszło, bo nie dotarłem donikąd z moimi podejrzeniami.

– A powiedział pan o tym rodzicom zastępczym chłopaka?

– Nigdy niczego nie powiedziałem im wprost, ale moim zdaniem mieli takie same podejrzenia jak ja. Oni także nie ubrali ich w słowa, ale po sposobie, w jaki patrzyli na mnie za każdym razem, kiedy przychodziłem do ich domu, wywnioskowałem, że błagają mnie o pomoc.

– I co z tego wszystkiego wynikło?

– Kolejny karton, który skończył w skrytce. Musiałem się z tym wszystkim użerać w wydziale zabójstw. Sprawa została początkowo sklasyfikowana jako podejrzana, ale w końcu patolog uznała, że doszło do zwykłego wypadku, i podstemplowała kwit dla policji. Nie mogłem nic zrobić.

Lane popatrzył Gusowi w oczy.

– Coś mi mówi, że nie pozwolił pan sprawie tak po prostu umrzeć.

– Nie pozwoliłem. Przynajmniej przez pewien czas. Nie mogłem przyskrzynić dzieciaka za śmierć Williama Pedersona, ale było w nim coś złowrogiego. Może miał to w oczach. Może to ta jego postawa, sam nie wiem. Ale coś sprawiało, że na jego widok robiłem się nerwowy. Przyjrzałem się więc mu dokładniej i sprawdziłem, dlaczego i w jaki sposób dostał się do systemu opieki zastępczej.

– I co pan znalazł?

– Umieszczono go pod opieką państwa po tym, jak ojciec powiesił się na łóżku w ich domu. Dzieciak go znalazł.

– Chryste. A gdzie była matka?

– Dzień przed tym, jak ojciec popełnił samobójstwo, matka w tajemniczy sposób spadła ze schodów.

– Dzień wcześniej?

Gus skinął głową.

– Czytałem akta dotyczące tego wypadku. Lekarze wskazali, że jej obrażenia nie były do końca spójne z tymi, które powinna mieć po upadku ze schodów. Ktoś spuścił jej niezłe manto.

Lane zastanowił się przez chwilę.

– Mąż?

– Może. Zostałby oczywiście pierwszym podejrzanym, ale powiesił się krótko potem. Dzieciak znalazł go rano i zadzwonił na policję.

– A więc ojciec chłopaka bije matkę na śmierć, pozoruje jej upadek ze schodów, a potem odbiera sobie życie. Nie ma dalszej rodziny, więc dzieciak trafia do rodziny zastępczej?

– Nie – odparł Gus. – Matka chłopaka nie zmarła. Została pobita prawie na śmierć, ale przeżyła. Przez pół roku była w śpiączce. Kiedy się obudziła, była już inwalidą. Już nigdy nie odzyskała sprawności, nie mogła się sobą zająć. Po śmierci ojca i w obliczu ciężkiego stanu matki dzieciak znalazł się pod opieką państwa i systemu opieki zastępczej. Sześć miesięcy po tym, jak Pedersonowie przyjęli go pod swój dach, William zginął na torach.

– Co się stało z matką chłopaka?

Gus sięgnął do kartonu i wyjął kolejny dokument.

– Jak już powiedziałem, to jest powód, dla którego poprosiłem pana o przyjazd na Florydę. Myślę, że nasze sprawy mogą być ze sobą powiązane.

Rozdział 91

Rory zaparkowała na jednym z miejsc przeznaczonych dla gości i zgasiła silnik samochodu. Otworzyła drzwi i wysiadła. Doktor Casper czekał na nią na chodniku. Wybiła dwudziesta pierwsza i wilgotną, sierpniową noc wypełniło brzęczenie komarów. Rory zabiła jednego, który usiadł jej na karku, zwabiony zapewne potem, który się tam zebrał.

– Czy długo będziemy musieli czekać na detektywa Otta? – zapytał doktor Casper.

Rory wyczuła w jego głosie lekką nutę niepokoju, jakby zwracał się do dziecka, które zagubiło się w supermarkecie. „Czy twój tatuś mówił może, że gdzieś idzie, skarbie?” Rory słyszała tego typu protekcjonalny ton przez całe życie. Christian Casper był oczywiście psychiatrą, więc nie miała wątpliwości, że po ich środowym spotkaniu i niekomfortowym powitaniu, kiedy Rory nie uścisnęła dłoni doktor Gabrielli Hanover, Christian Casper już zdiagnozował jej aspołeczne zachowanie. Na pewno wydedukował podświadomy strach przed zarazkami, który wywoływał u niej lęk przed kontaktami z innymi, a do tego nutę agorafobii. Z pewnością odpowiednio ją już zaszufładkował i miał w głowie całą listę medykamentów, które pozwoliłyby jej pozbyć się problemów.

Tłusty komar usiadł jej na policzku, klepnęła się więc w twarz i powróciła do rzeczywistości, wyrzucając nieprzyjemne myśli z głowy.

– Nie sędzę – odparła. – Powiedział, że jest już w drodze.

– Chodźmy do środka. Jest tam dużo chłodniej i nie ma komarów. Doktor Hanover do nas dołączy, a ochrona poinformuje o przyjeździe detektywa Otta.

Rory podążyła za doktorem Casperem do części nauczycielskiej i wkrótce weszła po stopniach do domu numer osiemnaście.

Rozdział 92

– Pogrzebałem dziś trochę w dokumentach dotyczących matki chłopaka – oznajmił Gus, wyjmując z kartonu następny arkusz papieru. – Rodzina nie miała pieniędzy i ubezpieczenia. Po wypadku kobieta spędziła sześć miesięcy w szpitalu, a kiedy się wybudziła ze śpiączki i okazało się, że będzie potrzebowała długoterminowej opieki, przeszła pod opiekę państwa. Jej syn znalazł się w systemie opieki zastępczej, a ona trafiła do publicznego ośrodka opieki nad osobami dorosłymi pod Nowym Jorkiem. Spędziła tam dwadzieścia trzy lata.

– I co dalej? – zapytał Lane. – Zmarła?

– Nie. Dwa lata temu przeniesiono ją do szpitala w Indianie, mniej więcej godzinę jazdy samochodem od Indianapolis.

W mózgu Lane’a aż się zagotowało. Czekają tam na niego powiązanie, które musiał odkryć, ale jeszcze nie potrafił tego zrobić.

– Ale jest pewien haczyk – dodał Gus. – Zadzwoń dziś do szpitala, żeby dowiedzieć się czegoś na jej temat i okazało się, że... zaginęła.

– Kto zaginął?

– Matka chłopaka.

– Jak to: zaginęła?

– Nie mogą jej znaleźć. Rozmawiałem z miejscową policją. Sprawdzają nagrania z kamer, ale wygląda na to, że ktoś posadził ją na wózku i po prostu wyjechał głównym wyjściem.

Lane zamrugał kilkakrotnie.

– Kiedy to się stało?

– Wczoraj wieczorem.

Lane pokręcił głową.

– Kto chciałby porwać starszą kobietę w stanie wegetatywnym?

– Jeśli miałbym zgadywać, to jej syn.

– Chłopak Pedersonów?

– Tak, ale nie nazywa się już Pederson. To było nazwisko noszone przez jego rodzinę zastępczą. Nigdy się nim nie posługiwał. Zachował swoje własne.

– Jak się zatem nazywa?

Gus spojrział na dokument.

– Casper. Dzieciak nazywał się Christian Casper. W pięćdziesiątym czwartym roku, kiedy zginął jego brat, miał czternaście lat. Z tego, co mi wiadomo, pracuje obecnie w szkole Westmont na stanowisku wicedyrektora i doradcy uczniów.

– Jasna cholera – rzucił Lane i sięgnął po telefon.

Rozdział 93

Doktor Casper otworzył kluczem drzwi wejściowe do swojego domu i Rory weszła za nim do środka. Mijając próg, poprawiła odruchowo okulary i upewniła się, że górny zatrzask wiatrówki jest zapięty.

– Czy mogę zaproponować pani coś do picia? – zapytał doktor Casper.

– Nie, dziękuję – odparła Rory.

Po lewej stronie znajdował się jego gabinet. Dostrzegła tam eleganckie biurko stojące dumnie w środku pokoju. Na blacie spoczywały papiery i teczki, natomiast obok biurka stały dwa krzesła ustawione naprzeciw siebie, a między nimi stolik kawowy. Skóra Rory zapiekła jak przy wywołanym egzemą podrażnieniu, kiedy wyobraziła sobie, że mogłaby ujawniać swoje najgłębsze tajemnice, siedząc na jednym z tych krzeseł. Sekrety z ostatniego roku swojego życia zakryła wielką zasłoną, którą dociażyła w narożnikach czterema głazami, bo nie zamierzała już nigdy więcej do tych spraw wracać. Sama idea dzielenia się raz na tydzień intymną częścią swojego życia z kimś, kogo ledwie знаła, nie miała dla niej najmniejszego sensu. Nauczyła się innych metod radzenia sobie z problemami tkwiącymi w jej głowie.

– O co więc w tym wszystkim chodzi? – zapytał doktor Casper. – Detektyw Ott sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się doczekać rozmowy z Gwen.

– Natrafiliśmy na pewne nowe informacje i chcieliśmy... usłyszeć jej opinię na ten temat.

– Czy to coś niepokojącego dla nas?

– Nie... nie wydaje mi się – odparła Rory, choć zdradziło ją wahanie w głosie.

– Koniec kursu letniego to wyjątkowo niefortunny okres. W innym czasie poszlibyśmy po prostu do jej pokoju i porozmawiali z nią. Proszę mi też wybaczyć. – Doktor Casper wskazał swoje biuro. – Obawiam się, że panuje tam niezły bałagan, ponieważ kończymy przygotowywanie letnich kart podsumowujących i szykujemy się do nowego roku szkolnego. Przenieśliśmy tymczasowo dokumenty uczniów na niższy poziom.

Spojrzał na zegarek.

– Gabriella powinna tu zaraz być. Proszę pójść za mną, zabiorę teczkę Gwen. Niższy poziom.

Rory nie potrafiła wyrzucić tych słów z głowy. Zastanawiała się przez chwilę, czy sama użyłaby takiego określenia. Nie znajdowali się w wielkim budynku biblioteki, który minęła w drodze od bramy, a którego piwnicę można by określić mianem niższego poziomu. Przebywali w piętrowym domu, który pełnił dodatkowo funkcję biura doktora Caspera. Jakikolwiek schody prowadzące w dół wiodły tutaj do *piwnicy*. Rory zmusiła się do uśmiechu i poprawiła okulary. Naciągnęła mocniej czapkę na czoło, mając ochotę zsunąć ją aż do podbródka. Nie lubiła piwnic, ani swojej własnej w domu w Chicago, ani niczyjej innej.

Doktor Casper otworzył drzwi po drugiej stronie schodów. Rory zauważyła zarys podestu i niknące w ciemności zejście w dół.

– Znalezienie teczki zabierze tylko chwilę. Czy byłaby pani tak miła i mi pomogła?

Rory się uśmiechnęła i pomimo szalejącej w głowie burzy podeszła do drzwi prowadzących do piwnicy.

Rozdział 94

Lane przysunął telefon do ucha, kiedy usłyszał powitanie na poczcie głosowej Rory.

– Hej – powiedział. – To ja. Jestem na Florydzie i chyba na coś wpadłem. Musisz koniecznie do mnie oddzwonić. Jak najszybciej, zaraz jak to odsłuchasz.

Spojrzał na zegarek. Dwudziesta pierwsza piętnaście czasu środkowego. Napisał to samo w wiadomości i wysłał, po czym położył komórkę na stole, nie chcąc przypadkowo przegapić połączenia od Rory.

– Bez powodzenia? – zapytał Gus.

– Niestety. – Lane ponownie spojrzał na zegarek i zaczął się zastanawiać, dlaczego Rory nie odbiera telefonu. Poczuł narastające w nim poczucie niepokoju, ale od Rory dzieliło go blisko dwa i pół tysiąca kilometrów i zdawał sobie sprawę, że jest zupełnie bezradny, dopóki jego partnerka nie oddzwoni. W końcu spojrzał na Gusa.

– Zakładam, że poszperał pan w papierach doktora Caspera.

Gus pokiwał głową.

– Owszem. Pozostał w systemie opieki zastępczej, ale żadna rodzina nie przyjęła go pod swój dach na stałe. Kiedy skończył osiemnaście lat, był wolny jak ptak. Wtedy straciłem jego trop, ale kiedy pan zadzwonił, skontaktowałem się z paroma osobami i trochę poszukaliśmy. – Gus odwrócił stronę w teczce leżącej przed nim na stole. – Kiedy Casper znajdował się pod opieką państwa, ukończył szkołę średnią. Później złożył wniosek o przyjęcie do college'u, jak się okazało, z powodzeniem. To dość rzadka sytuacja w przypadku dzieciaka, który nigdy nie znalazł domu, żeby spokojnie zaliczyć szkołę średnią. Ale jemu się to udało. Przyjęto go do New York State College. – Gus uniósł wzrok znad strony, którą czytał. – Proszę zgadnąć, co stało się pewnej nocy z jego współlokatorem w akademiku.

Lane pokręcił głową.

– Casper mieszkał w akademiku. W październiku, kiedy był na pierwszym roku, jego współlokator popełnił samobójstwo. Casper znalazł go pewnego dnia wiszącego na krokwi, kiedy wrócił do pokoju.

Lane przypomniał sobie profil mordercy z Westmont, który opracował. Zorganizowany charakter miejsca zbrodni wskazywał na to, że sprawca nie zabił po raz pierwszy. Lane domyślił się również, że pochodził on z rozbitej rodziny i prawdopodobnie nawiązał nienaturalnie intymną relację z matką. Ta matczyzna więź stanowiła przeciwieństwo trudnych relacji z ojcem.

– Wygląda na to, że wszyscy wokół tego faceta umierają – powiedział Gus. – Po ukończeniu college’u poszedł do szkoły medycznej. W końcu trafił na psychiatrię, gdzie wyspecjalizował się w psychoterapii osób dorosłych i młodszych. Moje źródła wytropiły starego pacjenta Caspera z czasów, kiedy ten prowadził praktykę w Nowym Jorku. Tamten pacjent ma obecnie prawie trzydzieści lat i na temat swojego byłego psychiatry wypowiada się w samych superlatywach. Zapytany, czy doktor Casper stosował jakiegokolwiek nietypowe praktyki lub techniki, facet odpowiedział, że podczas sesji terapeutycznych wykorzystywał on niezwykle sposoby na uspokajanie swoich pacjentów.

Lane zaczął chwilę.

– Mianowicie?

– Kazał się im bawić spłaszczoną jednocentówką. Facet powiedział, że działało to tak dobrze, że po chwili czuł się jak niemowlę ssące smoczek.

W mózgu Lane’a szalało już prawdziwe tornado, a uczucie niepokoju w piersi zmieniło się w coś przypominającego strach.

– Nawiązując do tego wszystkiego, co miało miejsce w tej szkole – ciągnął Gus – można powiedzieć albo o bardzo dziwnych zbiegach okoliczności, że tak wiele osób z otoczenia Caspera zginęło, albo jest to dowód na to, że trafiliśmy na ślad wieloletniego, seryjnego mordercy.

Lane sięgnął po telefon i ponownie wybrał numer.

– Odbierz, Rory. Odbierz ten cholerny telefon.

Rozdział 95

Kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi piwnicy, Rory natychmiast uświadomiła sobie, że coś jest nie tak. Zrobiła trzy kroki w dół, zanim jej intuicja podpowiedziała jej, żeby się odwróciła, pobiegła na górę, znalazła powyżej poziomu gruntu i opuściła ten dom. Kiedy doktor Casper zniknął za narożnikiem podestu i usłyszała, jak schodzi po ostatnich stopniach, postanowiła to zrobić. Niestety jakaś część niej – ta paranoiczna – martwiła się wstydem, którego będzie musiała się najeść, kiedy stąd wybiegnie i stanie przed domem. Doktor Casper z pewnością zjawi się z teczką Gwen Montgomery w ręce, zastanawiając się, dlaczego dorosła kobieta uciekła z jego biura. Jednak nieufna część jej umysłu krzyczała do niej, żeby stamtąd uciekała. Jej wewnętrzny układ „uciekaj lub walcz” wypuścił do krwiobiegu adrenalinę, która przyspieszyła bicie serca i zwiększyła ciśnienie krwi. Ostatecznie uznała, że woli stawić czoła niezręcznej sytuacji związanej z ucieczką niż nadchodzącemu atakowi paniki, który groził jej, jeśli zostanie dłużej na tych ciasnych, wąskich schodach.

– Przydałaby mi się tutaj pomoc – zawołał z dołu doktor Casper.

Gdyby wybiegła na zewnątrz, mogłaby poczekać na detektywa Otta, który był przecież w drodze. Czy doktor Casper nie wspomniał również, że lada chwila powinni się spodziewać Gabrielli Hanover? Aż trudno było jej uwierzyć, jak bardzo pragnęła zobaczyć zupełnie obce sobie osoby. To uczucie jedynie potwierdziło niebezpieczeństwo, w którym się znalazła.

– Chyba znaleźliśmy to, czego pani szuka. – Usłyszała głos doktora Caspera.
– Do tego...

Rory odwróciła się i wbiegła na górę po schodach, dudniąc swoimi wojskowymi butami i zagłuszając dalsze słowa Caspera. Chwyciła za klamkę. Drzwi były zamknięte. Kliknięcie, które usłyszała, gdy drzwi zamknęły się za jej plecami, stało się teraz oczywiste – zatrzaskiwały się automatycznie

z drugiej strony. Stojąc na ciemnych schodach, przesunęła rozpaczliwie palcami po okrągłej klamce, wyczuwając dziurkę od klucza.

Usłyszała za sobą jakieś szuranie i stukot butów, kiedy doktor Casper pokonał kilka pierwszych stopni. Po chwili stanął na podeście. Jego twarz i oczy pozostawały niewidoczne w mroku.

– Powiedziałem, że znalazłem to, czego szukałem – rzucił. – A teraz schodzimy na dół.

Rory ponownie spróbowała przekręcić klamkę.

– Drzwi zatrzasują się same po zamknięciu. Tak jest najbezpieczniej. A teraz powtórzę po raz ostatni. Na dół.

Rozdział 96

Henry Ott zatrzymał swojego chevroleta przed bramą wjazdową do szkoły Westmont. Spojrzał na zegarek i wyteżył wzrok, patrząc w stronę ciemnej drogi ciągnącej się przed nim. Zerknął w lusterko wsteczne i znów na zegarek. Zastanawiał się, jakim cudem mógł się tutaj zjawić przed nią. Rory zadzwoniła przed czterdziestoma minutami, żeby powiedzieć mu o swoich odkryciach. Poprosiła go o spotkanie przed bramą szkoły, żeby mógł skorzystać ze swoich wpływów i zorganizować rozmowę z Gwen Montgomery. Ott przebrał się pospiesznie, przekąsił coś na szybko, po czym ruszył w drogę. Miał równie wielką ochotę na przeprowadzenie rozmowy z dziewczyną, żeby się dowiedzieć, skąd na jej rękach tamtej nocy znalazła się krew należąca do Marca McEvoya.

Zaczekał minutę, po czym odblokował telefon i nacisnął ikonę połączenia zwrotnego. Po kilku sygnałach odezwała się poczta głosowa.

– Dodzwoniłeś się do Rory Moore. Zostaw wiadomość.

Ott przerwał połączenie i po raz kolejny spojrzął w lusterko wsteczne. Był gliniarzem od ponad trzydziestu lat i ufał swoim instynktom za każdym razem, kiedy się w nim odzywały, a które teraz wręcz krzyczały, że coś jest nie tak. Sięgnął do schowka na rękawiczki, wyjął z niego niewielką latarkę, po czym wysiadł z samochodu w ciemność. Otworzył tylne drzwi, zdjął z haczyka swój płaszcz, wsunął ręce w rękawy i go założył. Na zewnątrz było gorąco, ale wolał ukryć w ten sposób broń. Poprawił kaburę, układając ją w taki sposób, żeby rękojeść pistoletu spoczywała tuż pod lewą pachą.

Włączył latarkę i skierował kroki w stronę bramy prowadzącej do elitarnej szkoły średniej Westmont.

Rozdział 97

Kiedy doktor Casper zawrócił i zszedł po schodach, Rory sięgnęła do tylnej kieszeni dzinsów. Nie znalazła w niej jednak telefonu. Sprawdziła wiatrówkę, następnie ponownie spodnie, jakby druga próba miała przynieść odmienny rezultat. Położyła telefon w samochodzie na siedzeniu pasażera, kiedy zadzwoniła do Henry'ego Otta, i musiał tam zostać. Walczyła jeszcze przez chwilę z klamką, czując spływający wzdłuż kręgosłupa pot. W końcu się odwróciła i spojrzała w głąb ciemnych schodów. Ucieczka lub walka. Jedna z możliwości została już wyeliminowana, poprawiła więc okulary na nosie, wzięła głęboki wdech i zaczęła schodzić. Kiedy dotarła do podestu, skręciła w prawo i zobaczyła kilka ostatnich stopni prowadzących do drzwi. Było tam znacznie jaśniej i światło z piwnicy rzucało blask na dwa pierwsze schodki.

Powoli zrobiła kilka ostatnich kroków. Na dole zobaczyła szafki z dokumentami ustawione wzdłuż ściany i biurko zavalone papierami. Przez krótką chwilę pomyślała, że może niewłaściwie oceniła sytuację i że niebezpieczeństwo, które odczuwała, istniało tylko w jej głowie. Wtedy zobaczyła jednak doktora Caspera. Siedział na krześle ze skrzyżowanymi niedbale nogami. Na jego udach spoczywał oprawiony w skórę dziennik. Mężczyzna wyglądał, jakby czytał powieść i delektował się wieczorną lampką wina. Kiedy Rory przekroczyła próg, zobaczyła coś jeszcze. Naprzeciw doktora Caspera, na wózku inwalidzkim siedziała wycieńczona kobieta o zapadniętych oczach. Były otwarte, ale wydawały się nie dostrzegać świata wokół.

– Matko – powiedział doktor Casper. – Przedstawiam ci Rory Moore. To częściowo z jej powodu się tutaj dziś znalazłaś. Ach, i oczywiście poznałaś już Gwen.

Rory weszła głębiej do pomieszczenia. Wtedy zobaczyła dziewczynę przywiązaną do krzesła. Usta miała zaklejone szarą taśmą montażową, a po jej policzkach spływały łzy. W prawej dłoni obracała nerwowo jakiś przedmiot. Kiedy zobaczyła Rory, otworzyła szeroko oczy i zza taśmy dobiegł jęk.

Rory rozpoznała to słowo. *Pomocy*.

Dziewczyna upuściła nagle przedmiot, który trzymała w dłoni. Rory spojrzała na podłogę i zobaczyła spłaszczoną jednocentówkę.

– Gwen – powiedział doktor Casper, rozsuwając nogi i podnosząc się z krzesła. – Ta moneta miała cię uspokoić, a nie potęgować zdenerwowanie. Przecież zawsze tak na ciebie działała. Spróbujmy jeszcze raz.

Podszedł do niej, podniósł monetę i umieścił ponownie w jej dłoni. Następnie się cofnął i zabrał ze stołu miseczkę. Uniósł ją wyżej i przysunął do Rory. Była pełna spłaszczonych jednocentówek.

– Pani również zaferowałabym jedną, panno Moore. Mogłaby panią uspokoić podczas tego, co niebawem się wydarzy, ale zakładam, że do pani spektrum zaburzeń można również zaliczyć mizofobię.

Rory stała w bezruchu i milczała.

– Tak myślałem – mruknął doktor Casper i odłożył miseczkę na stół. Usiadł i otworzył swój dziennik. Spojrzał Rory w oczy.

– Moja matka i ja mieliśmy właśnie przejść sesję, kiedy zadzwonił detektyw Ott. Przeczytałem jej już prawie całość. Niewiele zostało. Pani również może posłuchać końcówki.

Rory stała jak sparaliżowana i nawet nie mrugnęła, kiedy Christian Casper otworzył dziennik, odsunął zakładkę i zaczął czytać.

Sesja 6

Wpis w dzienniku: KONIEC JEST BLISKI

Przyszedłem do opuszczonego domu nauczycielskiego i czekałem w miejscu, które uczniowie określają mianem „bezpiecznego” pokoju. To dość ironiczna nazwa, zważywszy na to, że tej nocy nie będzie można nazwać bezpieczną. Zachowałem komplet kluczy do domu z czasów, kiedy jeszcze funkcjonował. Drzwi otworzyłem bez trudu i zająłem miejsce w kącie. Wiedziałem, co się tej nocy wydarzy. Było to letnie przesilenie, a to oznaczało datę inicjacji młodszych uczniów. Choć jej uczestnicy wierzyli, że wszystko jest utrzymane w pełnej tajemnicy, to znałem dobrze szczegóły gry, którą nazywali Człowiekiem z lustra. Wiedziało o niej wielu członków kadry nauczycielskiej, z Charlesem Gormanem włącznie.

W ubiegłym tygodniu pokazał mi swój dziennik i poznałem w ten sposób wszystkie jego fantazje związane z tym, co chciałby zrobić dręczącym go dzieciakom. Wtedy narodził się mój plan. Zamierzałem pójść do tego domu i czekać na przybycie kolejnych uczniów. Początkowo chciałem pozabijać ich wszystkich tej nocy, ale pierwsi zjawili się ci, których Charles nienawidził najbardziej. Nikt inny nie wyszedł wtedy z lasu, więc wróciłem szybko do kampusu. Wiedziałem, że policja w końcu zainteresuje się Charlesem. Był słaby i żałosny, a kiedy przyszedł do mnie po tej tragedii w lesie, by wyznać mi, że jakimś cudem jego najmroczniejsze myśli zmieniły się w rzeczywistość, przekonałem go, że jedynym sposobem na pozbycie się dręczących go demonów będzie pójście do tego domu oraz na tory i stawienie im czoła. Poszliśmy tam razem. To tam potknął się, podobnie jak mój brat przed wieloma laty, i znalazł na torach. Uznano to za próbę samobójczą. Pragnąłem oczyścić świat z ludzi słabych i żałosnych – takich samych jak ja kiedyś – ale Charles jakimś cudem przeżył. Tak było nawet lepiej. Dzięki temu już na zawsze będzie pokazywał się światu jako bezradna i beznadziejna dusza, którą w istocie był. Zastąpił, by

cierpieć za swoje słabości. Jego dręczyciele zasłużyli jednak na śmierć. Tak jak mój ojciec.

Tamtej nocy w bezpiecznym pokoju Andrew Gross umarł w kałuży własnej krwi. Tannera Landinga zabił kolec, który przebił jego mózg. Musiałem zaczekać na pozostałych. Powoli, jedno po drugim, przyszli do mnie na sesje terapeutyczne i przyznali się do winy, uważając, że to oni doprowadzili Charlesa Gormana do popełnienia zbrodni i próby samobójczej, ukrywając przed policją fakt, iż widzieli go tamtej nocy samego w swoim mieszkaniu i że niemożliwe było, aby Charles dotarł na czas do opuszczonego domu.

Tamtej nocy wydarzyło się jednak coś jeszcze, co dręczyło ich dusze. Zabili przypadkowo człowieka, a potem wrzucili go do Baker's Creek. Każde z nich zjawilo się później u mnie, rozpaczliwie szukając pomocy. Pragnęli jedynie pokonać wszechogarniające ich poczucie winy. Zaproponowałem im rozwiązanie doskonałe. Powiedziałem im, że jedynym sposobem na oczyszczenie sumienia będzie pokonanie demonów w miejscu, w którym się narodziły.

Bridget była pierwsza. Przekonałem ją, żeby wróciła do opuszczonego domu nauczycielskiego. Zaproponowałem, że pójdę tam z nią, by stawiała czoła swoim demonom przy torach kolejowych. Było to dokładnie w tym samym miejscu, w którym zdaniem wszystkich Charles Gorman spróbował się zabić. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zamknęła oczy i zaczęła na pociąg, który porwie jej demony. Tak jak w przypadku mojego przybranego brata przed laty, nie miałem z tym najmniejszych problemów.

Następni byli Danielle i Theo. Wszyscy uwierzyli w ich samobójstwa. Wtedy jednak przyjechał ten dziennikarz i rozpoczęto emisję podcastu. Samobójstwa wzbudziły nowe zainteresowanie i choć robiłem, co w mojej mocy, by zdławić tę ciekawość i zakończyć podcast, zdawałem sobie sprawę, że to jedynie kwestia czasu, kiedy ktoś do mnie przyjdzie. Teraz jestem już z tym pogodzony. Wiedziałem, że ten dzień nadejdzie. Już wtedy, kiedy zerkąłem przez dziurkę od klucza w moim pokoju i pozwoliłem umrzeć słabemu i bezradnemu dziecku – temu, które patrzyło, jak ojciec bije jego matkę – wiedziałem, że ten dzień w końcu nadejdzie.

Kiedy wczoraj przyszła do mnie Gwen, uświadomiłem sobie, że ów dzień już nastał. Przedstawiła mi swój plan pójścia na policję, a ja od razu wiedziałem, że nie mogę na to pozwolić, Matko. To nie mogło się wydarzyć, zanim ty i ja przeżyjemy razem tę chwilę.

Zamknąłem dziennik i spojrzałem na matkę. Czułem obecność dwóch innych kobiet w pomieszczeniu – Gwen, związanej i wpatrzonej we mnie, oraz Rory Moore, spanikowanej bardziej, niż się mogło wydawać.

– Czy uważasz, że postąpiłem źle, matko?

Nastąpiła chwila ciszy, ale tego wieczoru sam kontakt wzrokowy nie wystarczał.

– Absolutnie nie – odparła.

Uśmiechnąłem się, słysząc te pełne otuchy słowa. Wchłonąłem je i się uspokoiłem. Były to oczywiście jedyne słowa, które moja matka potrafiła wypowiedzieć, od kiedy przed dwudziestoma pięcioma laty wybudziła się ze śpiączki. Mimo to cieszyłem się zawsze, kiedy słyszałem jej głos. Potrzebowałem jej zapewnienia, że przeżyłem swoje życie zgodnie z jej oczekiwaniami. Jestem dziś tym, kim jestem, i zrobiłem to, co zrobiłem, właśnie z jej powodu. Z powodu rzeczy, których pozwoliła mi doświadczyć przez dziurkę od klucza w moim pokoju. Z powodu swojej słabości.

Odłożyłem dziennik na stół obok krzesła. Wstałem, sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem nóż. Rozłożyłem go i zablokowałem ostrze. Zrobiłem krok w stronę matki, wiedząc, że jest to konieczne, choć wyjątkowo trudne.

Rozdział 98

Rory słuchała słów Christiana Caspera czytającego swój dziennik trupio bladej kobiecie siedzącej naprzeciw. Czy on nazwał ją matką? Tak pomyślała, choć cała ta scena była do tego stopnia absurdalna, że Rory nie przetwarzała informacji w sposób poprawny ani logiczny. Wiedziała tylko, że doświadcza teraz dokładnie tego samego poczucia obowiązku, co przed rokiem, kiedy znajdowała się w domku ukrytym w lesie. Kilka minut wcześniej, kiedy stała na schodach, jej głównym celem było przetrwanie. Teraz cel się zmienił. Starsza kobieta uwięziona w piwnicy potrzebowała jej pomocy. Rory nie brała już pod uwagę ucieczki.

Wzięła głęboki oddech i słuchała, jak doktor Casper przyznaje się do zamordowania Tannera Landinga i Andrew Grossa, jak mówi o tym, że wepchnął Charlesa Gormana i pozostałych pod pociąg na torach biegnących tuż obok domu nauczycielskiego. Ten człowiek był z pewnością odpowiedzialny za spowodowanie wybuchu, w którym zginął Mack Carter i w którym życie mógł stracić Lane. Poczula ściekający po plecach pot, kiedy przed oczami stanęła jej korkowa tablica z przypiętymi fotografiami twarzy.

Casper skończył czytać i Rory wróciła do rzeczywistości w ciszy, która zapadła. Patrzyła, jak podnosi się z krzesła, jak sięga do kieszeni i coś wyjmuje. Świecąca się na suficie lampa oświetliła złowrogo wyglądające ostrze noża, kiedy je rozłożył. Krucha kobieta nawet nie mrugnęła, kiedy do niej podszedł. Wydawała się zupełnie oderwana od rzeczywistości.

– To ty mnie takim uczyniłaś, matko – powiedział cicho Casper. – A teraz, kiedy jestem gotów zakończyć życie, które mi dałaś, zamierzam zabrać cię ze sobą.

Rory nie miała czasu na rozważanie swoich opcji. Po prostu skoczyła w jego stronę. Niczym zawodnik futbolu amerykańskiego opuściła głowę i grzotnęła w niego na wysokości pasa. Jej prawie ramię spotkało się z jego genitaliami. Mężczyzna pisnął, kiedy powietrze wyleciało mu z płuc, i wylądował pod nią na

ziemi. Natychmiast sięgnęła po jego prawą rękę, żeby zabezpieczyć nóż, ale kiedy chwyciła go za nadgarstek, uświadomiła sobie, że jego dłoń jest pusta.

Casper odwrócił się na brzuch, wciąż jęcząc z bólu, po czym zaczął pełznąć w stronę leżącego nieopodal noża. Rory zacisnęła prawe ramię wokół jego szyi i złączyła dłonie. Dusiła go z całą siłą, którą w sobie miała. Spowolniła go w ten sposób, choć nie przestał pełznąć centymetr po centymetrze w kierunku noża. Zacisnęła rękę jeszcze mocniej, mając nadzieję, że brak krwi i tlenu w mózgu w końcu go powstrzyma. Z jego zaciśniętej tchawicy wydobywało się stłumione charczenie, nadal jednak włókł Rory na swoich plecach, aż nóż znalazł się w zasięgu jego dłoni.

Rory zacisnęła mocno powieki, starając się za wszelką cenę nie poluzować uścisku. Kiedy Casper chwycił nóż, poczuła ukłucie strachu. Wzięła głęboki wdech, wezwała do siebie wszystkie rezerwy sił w swoim ciele, po czym włożyła je w uścisk na jego szyi.

Jego palce mimo wszystko zacisnęły się na rękojeści noża. Kiedy Casper chwycił go w dłoń, z ust Rory wydobył się przeraźliwy ryk.

Rozdział 99

Detektyw Ott poświecił latarką na bramę wjazdową do szkoły Westmont i ciągnącą się w dal brukowaną drogę. Widział w pewnej odległości budynek biblioteki z czterema solidnymi kolumnami oświetlanymi od dołu przez punktowe reflektory. Po prawej stronie znajdował się parking dla gości i zaraz zauważył na nim zaparkowany samochód. Wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć, ale obraz blokował mu ceglany mur, z którym łączyła się brama.

Nie zastanawiając się dłużej, ruszył chodnikiem, który biegł równolegle do czerwonego muru o wysokości blisko dwóch i pół metra. Pokonał odległość, która powinna zapewnić mu dobry widok na parking dla gości. Wsunął latarkę do kieszeni marynarki, sięgnął szczytu muru i podciągnął się na tyle, żeby wyjrzeć zza górnej krawędzi cegieł.

Stęknął z wysiłku i nie po raz pierwszy uznał, że robi się za stary na tego typu wyczyny. Jednak stary czy nie stary, jego instynkty nigdy go nie zawiodły. Zapamiętał toyotę Rory Moore, kiedy przyjechał do doktora Phillipsa, żeby z nimi porozmawiać. Teraz patrzył na ten sam samochód i zastanawiał się, dlaczego wjechała na teren kampusu bez niego. Zapewniała, że zaczeka przed bramą.

Ott się podciągnął i zarzucił prawą nogę na szczyt muru. Jęknął i stęknął, aż w końcu usiadł okrakiem na ogrodzeniu. Podciągnął drugą nogę, aż obie zaczęły zwisać po stronie kampusu. Wiedział, że kontuzjowane w czasach gry w piłkę w college'u kolano z pewnością zaprotestuje przeciwko jego następnej decyzji, nie dał więc sobie zbyt wiele czasu na jej zmianę. Wsparł obie dłonie na murze, dźwignął pośladki i zeskoczył. Uderzył o ziemię, wdzięczny, że wylądował na trawie, a nie na betonie. Mimo to kolano odpowiedziało przeszywającym bólem.

Ruszył w kierunku parkingu i poświecił latarką do wnętrza samochodu Rory. Natychmiast zauważył leżący na siedzeniu telefon komórkowy. Rozejrzał się dookoła, po czym pognął w stronę części nauczycielskiej kampusu. To tam rok

wcześniej wszedł do domu Charlesa Gormana. Wkrótce przed nim stanął i popatrzył wzdłuż drogi biegnącej przed budynkami. Wtedy to usłyszał. Stłumiony krzyk, który dobiegł z domu po jego prawej stronie.

Otworzył szeroko oczy i wyjął pistolet. Usłyszał kolejny krzyk i zerwał się do biegu.

Rozdział 100

Krzyk, który wyrwał się z ust Rory w momencie, gdy palce Caspera wymacały nóż, przestraszył ją samą. Brzmiał dla niej obco i zwierzęco i aż nie mogła uwierzyć, że jest zdolna coś takiego z siebie wydobyć. Wiedziała jednak, co to oznacza. Walczyła o życie i nieznajomy głos wewnątrz wołał do niej, żeby zrobiła wszystko, co tylko potrafi, aby zwyciężyć.

Kiedy Casper chwycił za nóż, Rory zwolniła uścisk wokół jego szyi i stoczyła się z niego. Usłyszała, jak mężczyzna robi gigantyczny wdech, przypominający odgłosem odtykający się odkurzacz. Rory odwróciła się do niego tyłem i rzuciła w stronę drzwi. Jej jedyną nadzieją było teraz dostanie się do wnęki okiennej, którą zauważyła, schodząc do piwnicy, i przedostanie się na drugą stronę, zanim Casper się otrząśnie. Nie zdążyła się oddalić. Dopadł ją niemal natychmiast, uderzając w nią od tyłu. Uderzyła twarzą o drzwi z taką siłą, że ze ściany posypał się tynk. Ponownie krzyknęła i zdołała się odwrócić plecami do ściany, dzięki czemu znów znalazła się z nim twarzą w twarz. Casper uniósł nóż. Rory ledwie zdołała chwycić go za nadgarstek, kiedy wykonał zamach, by wbić jej go w szyję. W całej tej pełnej napięcia sytuacji jej mózg zdążył odnotować pewien fakt – otóż był to ten sam nóż, którego morderca użył do podejrzenia gardeł Andrew Grossa i Tannera Landinga.

Z góry dobiegł jakiś głośny dźwięk. Ktoś łomotał do drzwi wejściowych. Zobaczyła, jak oczy Caspera rozszerzają się gwałtownie. Mięśnie na jego policzkach zadrżały, kiedy zaczął z całej siły dociskać nóż. Sama lewa ręka Rory nie była na tyle silna, żeby powstrzymać powolny ruch ostrza, postanowiła więc dołożyć do niej prawą. Aby to zrobić, przesunęła dłoń po lewej piersi i poczuła coś ostrego. Błyskawicznym ruchem rozpięła wiatrówkę, sięgnęła do przedniej kieszeni koszuli i wyjęła pędzel Foldger-Gruden. Był to ten sam pędzel, którego użyła wcześniej na swojej lalce Kiddiejoy, przeznaczony do precyzyjnego rzeźbienia, wyposażony w ostrą jak igła końcówkę na uchwycie.

Kiedy Casper nieustrudzenie pchał ostrze w stronę jej gardła, Rory bez wahania wbiła mu pędzel prosto w lewe oko. Mężczyzna osłabł natychmiast jak przekłuty balon i upadł ciężko na podłogę. Jego twarz wylądowała na wojskowym bucie Madden Girl Eloisee, barwiąc go na czerwono krwią obficie wypływającą z oczodołu.

Rozdział 101

Sekcja zwłok Christiana Caspera wykazała, że uchwyt pędzla Foldger-Gruden przeszedł przez lewy oczodół – czyste przebicie przez rogówkę, źrenicę, soczewkę oka, tęczę i jego dno – oraz przerwało wewnętrzną tętnicę szyjną. Przyczyną śmierci był silny krwotok do mózgu, zwany formalnie wykrwawieniem czaszkowym. Zważywszy na metodę, było to uzasadnione zabójstwo.

Wycieńczona kobieta była istotnie jego matką, Liane Casper. Przez trzy dni po wydarzeniach w piwnicy syna hospitalizowano ją, a następnie przewieziono z powrotem do ośrodka opieki pod Indianapolis. Gwen Montgomery również spędziła trochę czasu w szpitalu. Nie miała żadnych fizycznych obrażeń, ale jej stan psychiczny – już i tak fatalny po wydarzeniach sprzed roku – zbliżał się do granicy załamania. Tydzień po wypisaniu znalazła wreszcie ulgę, ujawniając swoją tajemnicę detektywowi Ottowi i policjantom z Peppermill. Gavinowi Harmsowi postawiono zarzuty nieumyślnego spowodowania śmierci Marca McEvoya, którego ciało w końcu wyłowiono z Baker's Creek. Gwen i Gavina czekała cała gama potencjalnych wyroków, od dozoru kuratora po więzienie.

Tydzień po wydarzeniach, które miały miejsce w piwnicy Christiana Caspera, Rory weszła do swojej pracowni w domu w Chicago. Siedząc przy biurku, sączyła swojego ulubionego portera. Lalka Armand Marseille Kiddiejoy German spoczywała na blacie, oświetlona lampką na pałaku. Zarówno postronny obserwator, jak i doświadczony kolekcjoner uznały ją za nieskazitelną. Twarzyczka pozbawiona była jakichkolwiek defektów, a wszelkie rysy zamaskowane zostały z ogromną pieczołowitością. Rekonstrukcję ucha i policzka przeprowadzono wprost idealnie.

Rory przeciągnęła pędzelkiem po włosach lalki, prostując je, po czym przeszła wzdłuż zabudowanych półek. Na jednej z nich znajdowało się wolne miejsce powstałe po tym, jak rano zabrała jedną ze starszych lalek i schowała ją do kartonu. Ustawiła Kiddiejoy na nowym miejscu i cofnęła się o krok, żeby

spojrzeć na swoje dzieło. Coś wewnątrz niej nagle się zresetowało i znów poczuła równowagę; uznała, że jej najnowsza praca pasuje do pozostałych. Kolekcja lalek, która zapełniała jej pracownię, nie była tak po prostu wypełnieniem jej życia, lecz jej wybawieniem. To dzięki nim pokonywała przypadłości, które w przeciwnym razie mogłyby opanować jej umysł i ją zniszczyć.

Wróciła za biurko, usiadła na krześle i napiła się piwa. Spojrzała na dużą, żółtawą kopertę, którą przyniósł rano listonosz i której nie otworzyła aż do tej pory. Po oddarciu brzegu wyjęła ze środka złożoną gazetę. Było to wydanie „Indianapolis Star” z poprzedniego dnia. Historię umieszczono na pierwszej stronie, tuż nad zagięciem.

**Zaginiony mężczyzna z South Bend rozwiązuje tajemnicę
morderstw w elitarnej szkole średniej Westmont
CZĘŚĆ PIERWSZA CYKLU
Autorka: Ryder Hillier**

Zanim Rory zabrała się za czytanie artykułu, oderwała przyklejoną do gazety żółtą karteczkę:

*Rory,
jutro mam rozmowę o pracę.
Dziękuję po stokroć!
Ryder*

Znów upiła łyk piwa. To było jej pierwsza i zarazem ostatnia butelka tego dnia. Musiała zachować trzeźwość umysłu na jutrzejszy lot, choć o tej porze będzie już miała obok siebie Lane’a, a sam przelot na Florydę z pewnością okaże się dużo przyjemniejszy niż ten ostatni.

Chwyciła gazetę i zabrała się za czytanie artykułu napisanego przez Ryder.

Rozdział 102

Ryder Hillier pokonała drogę do Chicago w mniej niż dwie godziny. Teraz jechała windą na trzydzieste czwarte piętro biurowca wyrastającego w samym sercu dzielnicy Loop. Czowała, jak zaciska się jej żołądek, i starała się ze wszystkich sił opanować emocje. Drzwi windy się rozsunęły i wyszła na korytarz, ciągnąc za sobą małą walizkę na kółkach, aż dotarła do szklanych drzwi i stanęła przed biurkiem w recepcji.

Powitał ją młody mężczyzna o przyjemnym uśmiechu.

– Dzień dobry, w czym mogę pani pomóc?

– Nazywam się Ryder Hillier, jestem umówiona z panem Dwightem Coreym.

– Tak – odparł z entuzjazmem recepcjonista. – Czeka na panią.

Podniósł słuchawkę telefonu.

– Panie Corey, przyszła pani Hillier.

Po krótkiej chwili w drzwiach obok recepcji stanął wysoki mężczyzna ubrany w garnitur od Armaniego. On również uśmiechnął się szeroko.

– Ryder? – zapytał, podchodząc bliżej i wyciągając rękę. – Dwight Corey. Miło mi panią poznać.

Ryder uścisnęła jego dłoń.

– Dziękuję. Bardzo się cieszę, że mam taką okazję.

– To coś więcej niż okazja – odparł Dwight. – Z tego, co słyszałem od Lane’a i Rory, jest pani do tego wręcz stworzona. Proszę wejść. Ludzie z NBC będą tutaj za trzydzieści minut, a ja chciałbym tymczasem przedstawić pani ofertę.

Ryder przełknęła ślinę i weszła za agentem do biura. Niebawem miała poinformować pracowników NBC, dlaczego to ona może zostać idealnym gospodarzem podcastu Macka Cartera. Kiedy podsunęła sobie krzesło, poczuła, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi.

Rozdział 103

Ich lot był zaplanowany na godzinę trzynastą. Wyjechali z domu o dziesiątej, zdecydowanie za wcześnie jak na gust Rory, ponieważ to oznaczało, że po półgodzinie znajdą się na lotnisku i będą mieli jeszcze sporo czasu do odlotu. Nawet bilety w pierwszej klasie i korzyści związane z salonem Admirals Club na lotnisku nie były w stanie przekonać jej do spokojnego oczekiwania na jednym z najbardziej zatłoczonych lotnisk na świecie. Zanim jednak pojechali na O'Hare, Rory musiała zaliczyć jeszcze jeden postój.

Prowadził Lane, dzięki czemu nie musieli korzystać z parkingu. Skręcili w LaSalle, po czym włączył światła awaryjne, a Rory wyskoczyła z samochodu i wbiegła do sklepu obuwniczego Romans. Po niemal dekadzie noszenia tej samej pary Madden Girl teraz kupowała kolejną w ciągu kilku tygodni – jej ostatnie buty zostały zniszczone, kiedy splamiła je przebita gałka oczna Christiana Caspera.

Wsunęła stopy w parę w rozmiarze siedem i poczuła znajomy spokój, tak samo jak na początku tego miesiąca. Zapłaciła przy kasie i ponownie wyszła ze sklepu w nowym obuwiu. Chrzanić upał na Florydzie. I tak nie należała do wielbicielek kłapek.

Ich samolot wylądował w Ft. Meyers o szesnastej pięć. Wynajęli samochód i po trzydziestu minutach jechali mostem na wyspę Sanibel. W trakcie ponad dziesięcioletniego związku Rory i Lane nigdy nie pojechali razem na wakacje. Istniało wiele przyczyn takiego stanu rzeczy. Rory wolała spędzać czas między kolejnymi sprawami zupełnie sama, zajmując się odnawianiem nowych lalek i walcząc z nieprzyjemnymi dolegliwościami, które stale przeszkadzały jej w życiu. Lane nie był typem faceta, który marzył o wakacjach. Ich mózgi nie były w stanie na tyle się odprężyć, żeby mogli leżeć przy basenie i się opalać. Rory nie znosiła piasku i sposobu, w jaki wchodził we wszelkie możliwe szczeliny, przez całe życie trzymała się więc z dala od plaż. To dlatego ich podróż była

rzuceniem się na głęboką wodę. Lane obiecał, że w szaleństwie związanym z wynajęciem domku na Sanibel znajdą jakąś metodę. Przez całe swoje życie Rory nie potrafiła czegoś takiego dostrzec. Ostatecznie jednak bliskie spotkanie ze śmiercią Lane'a i traumatyczne chwile spędzone w piwnicy Christiana Caspera sprawiły, że oboje postanowili to przemyśleć i dać sobie szansę. Lane zapewnił Rory, że zna jej potrzeby i będzie o nie dbał podczas tego wyjazdu. Ten mężczyzna jeszcze nigdy jej nie okłamał i uwierzyła mu, kiedy powiedział, że wyjazd na Florydę będzie dla niej najważniejszy.

Rory Moore nie należała do kobiet, które można było zwalić z nóg – zarówno dosłownie, jak i w przenośni – albo w sobie rozkochać. Lane o tym wiedział. Rozumiał, jak pracuje jej umysł i w jaki sposób zakodowane było jej DNA. Mózg Rory wymagał ciągłej stymulacji albo dzięki nierozwiązanej sprawie, albo dzięki wymagającej naprawy lalce leżącej w pracowni. Tajemnice, które rozwiązywała Rory, były nie tylko jej zajęciem, lecz także sposobem na życie. Zapewniały delikatną równowagę, która pomagała jej funkcjonować. Potrzebowała tajemnic związanych z nierozwiązanymi sprawami, bo bez tych zagadek dręczące ją dolegliwości mogłyby przejąć kontrolę nad jej życiem.

Wjechali mostem na Sanibel i Lane skierował samochód na jedyną drogę, która przecinała wyspę. Skręcił w boczną ulicę, wzdłuż której ciągnął się rząd palm, aż w końcu dotarli pod bramę wjazdową do kompleksu budynków mieszkalnych.

– Widzę to na twojej twarzy – powiedział Lane. – Zaczynasz się martwić.

– Nie – odparła Rory. Zmusiła się do uśmiechu i zrobiła show polegające na ciekawskim rozglądaniu się po okolicy. – Tu jest pięknie. Tego... tego mi po prostu trzeba.

– Nadal uważasz, że przywiozłem cię tu po to, żebyś siedziała na plaży i piła piña coladę, prawda?

– Nie wiem tak do końca, co będziemy tutaj robili, ale wiem z całą pewnością, że nie potrafisz sobie wyobrazić mnie pijącej piña coladę lub spacerującej po plaży.

Znaleźli miejsce parkingowe i Lane wyjął ich torby z bagażnika. Wjechali windą na trzecie piętro. Mężczyzna otworzył drzwi kluczem i wpuścił Rory do środka. Zostawili bagaże w sypialni, po czym przeszli na taras. Rozciągał się przed nimi wspaniały widok na zatokę. Popołudniowe słońce odbijało się na powierzchni oceanu.

Rory spojrzała na plażę w dole i się skrzywiła.

– Mówię poważnie, Lane. Nie każ mi chodzić boso po piasku.

– Proszę – odparł. – Chyba wiesz, że dobrze cię już znam. – Objął ją ramieniem, przytulił mocno i spojrzał na zegarek. – Chciałbym, żebyś kogoś poznała. Ta osoba ma coś, co chciałaby ci pokazać.

– Czy muszę założyć klapki?

– Broń Boże!

Rozdział 104

Zastukali do drzwi mieszkania, które znajdowało się blisko ich nowego lokalu mieszkalnego. Rory założyła szare dżinsy i szarą koszulkę. Jej nowe Madden Girl były jeszcze trochę sztywne, ale wygodne. Kiedy drzwi się otworzyły, poprawiła okulary na nosie, jednak z jakiegoś powodu odczuwała mniejszą potrzebę ukrycia się za nimi. Starszy mężczyzna, który ich powitał, emanował aurą, która natychmiast ją uspokoiła.

– Lane! – zawołał z uśmiechem i uścisnął jego dłoń. – Jak dobrze cię widzieć.

– Ciebie też, Gus.

Lane odwrócił się do Rory.

– Gus Morelli, a to moja lepsza połowa, Rory Moore.

– Cześć, Rory – powiedział mężczyzna. – Sporo o tobie słyszałem. Od tego faceta i od innych.

Rory się uśmiechnęła.

– Miło cię poznać.

Zauważyła, że nie próbował wyciągać do niej ręki.

– Wejdźcie – powiedział Gus, po czym spojrział na Rory. – Mam coś dla ciebie.

– Spojrział na zegarek. – Ach, gdzieś wybiła siedemnasta.

Kiedy znaleźli się w środku, Rory stała blisko Lane'a, podczas gdy emerytowany detektyw otworzył lodówkę i wyjął z niej butelkę portera Dark Lord.

– To cholerstwo kusi – przyznał. – Ale jest naprawdę dobre. – Zerwał wosk z góry butelki i ją otworzył. – Doktorze, mogę zaproponować jedno?

– Nie – odparł Lane. – To ciemne piwo wywraca mi zawsze w żołądku. Ale chętnie napiję się jasnego, jeśli masz.

Gus wskazał palcem.

– La Rubia stoi na dolnej półce.

Gus podał Rory szklanekę, którą chwilę wcześniej napełnił z zachowaniem idealnych proporcji grubości pianki do ciemnego płynu poniżej.

– Na zdrowie – powiedział i uniósł swoją szklanę.

Lane zrobił to samo ze swoją butelką. Rory popatrzyła na nich i wydali jej się przyjaciółmi, którzy spotkali się po długiej przerwie. Wciąż była nieco zmieszana wszystkim tym, co się wydarzyło w ostatnim czasie.

– Co świętujemy? – zapytała.

Gus przechylił głowę lekko w bok, jakby chciał pokazać Rory coś, co znajdowało się za jego plecami. Następnie spojrzął na Lane'a i się uśmiechnął.

– Nie powiedziałaś jej?

– Jeszcze nie – przyznał Lane.

Gus spojrzął na Rory z uśmiechem.

– Chodź za mną.

Rory poszła za detektywem korytarzem odchodzącym od pokoju dziennego. Ten sięgnął do klamki zamkniętych drzwi i pchnął je do środka. Wydawało się, że pomieszczenie emanuje czymś magnetycznym, czymś, co przyciągało Rory. W pokoju zobaczyła cały stos kartonów.

– Czym jest to wszystko?

– Każda sprawa z okresu mojej trzydziestoletniej kariery, której nie byłem w stanie rozwiązać lub o której nie mogłem przestać myśleć. Lane powiedział, że możesz być nimi zainteresowana i pomóc mi z nimi.

Rory podeszła powoli do pudeł i przesunęła po nich dłonią. Jej mózg zaczął iskrzyć na samą myśl o możliwościach, które się tutaj znajdowały. Jej serce zatrzepotało, kiedy uświadomiła sobie, jak wiele tajemnic czekało na rozwiązanie w tych kartonach.

Usiadła na łóżku, postawiła piwo na stoliku obok, po czym położyła sobie jeden z nich na kolanach.

Odetchnęła i powolnym ruchem otworzyła wieko.

Nota autora

Wszystkie moje powieści są samodzielnymi thrillerami. Wierni czytelnicy znajdują jednak drobne smaczki z poprzednich książek na kartach każdej następnej. Choć jest to druga książka z serii o Rory Moore i Lanie Phillipsie, starałem się napisać ją tak, żeby czytelnik mógł je czytać w dowolnej kolejności.

Jeśli *Dom samobójców* jest Twoją pierwszą przygodą z niezrównaną Rory Moore i chcesz dowiedzieć się o niej nieco więcej, polecam Ci książkę *Some Choose Darkness*. Znajdziesz w niej więcej informacji na temat genezy dziwactw Rory. Dodatkowo zatoniesz we wciągającej opowieści.

Jeśli *Dom samobójców* to również Twoje pierwsze spotkanie z Gusem Morellim, sprytnym i mądrym detektywem, przeczytaj *Don't Believe It*, aby lepiej poznać jego historię, jego walkę z życiem, pogardę wobec ludzi w jego wieku i dowiedzieć się o tym, dlaczego nosi tytanową protezę.

A jeśli przeczytasz *Don't Believe It* i zaintryguje cię patolog sądowa nazwiskiem Livia Cutty, poznaj jej historię w książce *Uprowadzona*.

Czytelnicy zauważą również, że w *Don't Believe It* pojawia się miasteczko Summit Lake. Jeśli ciekawi Cię historia (i tajemnice) tego miejsca, możesz przeczytać powieść, której akcja rozgrywa się właśnie tam. *Dziewczyna z Summit Lake* to moja pierwsza książka i wciąż jedna z ulubionych wśród moich czytelników.

Dziękuję za sięganie do moich powieści. Jestem za to niezmiernie wdzięczny.

Charlie Donlea

Podziękowania

Lista osób, którym chciałbym podziękować za pomoc w napisaniu tej książki, obejmuje wielu typowych podejrzanych.

Amy – za pomoc w ciągu trudnego pisarskiego roku, okazaną miłość i wsparcie. Pokazałaś, że jesteś cudowną żoną, matką i najlepszą przyjaciółką. Dobrze wiedzieć, że kiedy tracę kontakt z rzeczywistością, mam drugiego pilota, który może przejąć stery.

Mary – za chęć zostania współkonspiratorką przy pisaniu tej historii. Z uśmiechem wspominam wszystkie nasze wczesne rozmowy, które kończyły się słowami: „Zaczekaj, nie pamiętam, o co mi pierwotnie chodziło”. Ale udało się nam wystartować z powieścią i to jest najważniejsze.

Jen Merlet – za szczególny prezent w postaci wyłapywania moich błędów po tym, kiedy ich wyszukiwanie wszyscy już skończyli.

Pani Desmet – za użyczenie swojego imienia tak ważnej postaci. Wielkie dzięki.

Emerytowany detektyw Ray Peters – za odpowiedzi na moje pytania dotyczące procedur stosowanych w policji oraz za wspaniałe opowieści z czasów Twojej kariery.

Marlene Stringer – za porady związane z moją karierą oraz za ciągle przypominanie mi nie tylko o tym, dokąd zmierzamy, ale gdzie obecnie jesteśmy.

Jak zwykle dziękuję również mojemu utalentowanemu zespołowi z Kensington Publishing, który wciąż oszałamia mnie swoimi wysiłkami i wsparciem. To wszystko przekłada się na jakość moich książek. Szczególne ukłony dla Vidy Engstrand i Crystal McCoy za Waszą kreatywność oraz dla mojego redaktora Johna Scognamiglio, który jest zawsze spokojny i opanowany, kiedy ja wchodzę w tryb paniki.

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat

* * *

Sesja 1

Elitarna szkoła średnia Westmont

Peppermill, stan Indiana

Część 1. Sierpień 2020 roku

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Część 2. Sierpień 2020 roku

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Szkoła Westmont. Lato 2019 roku

Sesja 2

Rozdział 13

Rozdział 14

Część 3. Sierpień 2020 roku

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Szkoła Westmont. Lato 2019 roku

Sesja 3

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Część 4. Sierpień 2020 roku

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Szkoła Westmont. Lato 2019 roku

Sesja 4

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Część 5. Sierpień 2020 roku

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Szkoła Westmont. Lato 2019 roku

Sesja 5

Rozdział 47

Rozdział 48

Część 6. Sierpień 2020 roku

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Szkoła Westmont. Lato 2019 roku

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Część 7. Sierpień 2020 roku

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Szkoła Westmont. Lato 2019 roku

Rozdział 65

Rozdział 66

Część 8. Sierpień 2020 roku

Rozdział 67

Rozdział 68

Bronx, Nowy Jork

Rozdział 69

Rozdział 70

Bronx, Nowy Jork

Rozdział 71

Rozdział 72

Rozdział 73

Szkoła Westmont. Lato 2019 roku

Rozdział 74

Rozdział 75

Rozdział 76

Część 9. Sierpień 2020 roku

Rozdział 77

Rozdział 78

Rozdział 79

Rozdział 80

Rozdział 81

Szkoła Westmont. Lato 2019 roku

Rozdział 82

Część 10. Sierpień 2020 roku

Rozdział 83

Rozdział 84

Rozdział 85

Rozdział 86

Rozdział 87

Rozdział 88

Rozdział 89

Rozdział 90

Rozdział 91

Rozdział 92

Rozdział 93

Rozdział 94

Rozdział 95

Rozdział 96

Rozdział 97

Sesja 6

Rozdział 98

Rozdział 99

Rozdział 100

Rozdział 101

Rozdział 102

Rozdział 103

Rozdział 104

Nota autora

Podziękowania

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *The Suicide House*

Copyright © 2020 by Charlie Donlea
Copyright for the Polish edition © 2021 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2021

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce © Ivan Aleksic/Unsplash
Redakcja: Katarzyna Smardzewska / panbook.pl
Korekta: Kamila Sowińska / panbook.pl
Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-435-8

FILIA

Wydawnictwo FILIA
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl